REPORTAŻ

Barbara Demick

ŚWIATU NIE MAMY CZEGO ZAZDROŚCIĆ

Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej



Barbara Demick

Światu nie mamy czego zazdrościć

Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej

Przełożyła Agnieszka Nowakowska

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2017

W serii ukazały się ostatnio:

Elizabeth Pisani *Indonezja itd. Studium nieprawdopodobnego narodu*

Beata Szady *Ulica mnie woła. Życiorysy z Limy*

Rana Dasgupta *Delhi. Stolica ze złota i snu*

Ed Vulliamy *Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki* (wyd. 2)

Andrzej Brzeziecki, Małgorzata Nocuń *Armenia. Karawany śmierci*

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz *Zabić smoka. Ukraińskie rewolucje*

Anna Sulińska *Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u*

Anjan Sundaram *Złe wieści. Ostatni niezależni dziennikarze w Rwandzie*

Ilona Wiśniewska *Hen. Na północy Norwegii*

Mur. 12 kawałków o Berlinie pod red. Agnieszki Wójcińskiej (wyd. 2 zmienione)

Iza Klementowska *Szkielet białego słonia*

Piotr Nesterowicz *Każdy został człowiekiem*

Dariusz Rosiak *Żar. Oddech Afryki* (wyd. 2 zmienione)

Anna Mateja *Serce pasowało. Opowieść o polskiej transplantologii*

Linda Polman *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej* (wyd. 2)

Scott Carney *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci* (wyd. 2)

Misha Glenny *Nemezis. O człowieku z faweli i bitwie o Rio*

Adam Hochschild *Lustro o północy. Śladami Wielkiego Treku*

Kate Brown *Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne*

Drauzio Varella *Klawisze*

Piotr Lipiński *Cyrankiewicz. Wieczny premier*

Mariusz Szczygieł *Gottland* (wyd. 3 zmienione)

Maciej Czarnecki *Dzieci Norwegii. O państwie* (*nad*)*opiekuńczym*

Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Kryształowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki*

Paweł Smoleński *Wieje szarkijja. Beduini z pustyni Negew*

Albert Jawłowski *Milczący lama. Buriacja na pograniczu światów*

Lidia Pańków *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego* (wyd. 2)

Mariusz Szczygieł *Niedziela, która zdarzyła się w środę* (wyd. 3)

Aneta Prymaka-Oniszk *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy* (wyd. 2)

Wojciech Górecki *Toast za przodków* (wyd. 2)

Jonathan Schell *Prawdziwa wojna. Wietnam w ogniu*

Wojciech Górecki *Planeta Kaukaz* (wyd. 3)

Janine di Giovanni *Tamtego ranka, kiedy po nas przyszli. Depesze z Syrii*

Wolfgang Bauer *Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki*

Wojciech Górecki *Abchazja* (wyd. 2)

Bartek Sabela *Afronauci. Z Zambii na Księżyc*

Anna Pamuła *Polacos. Chajka płynie do Kostaryki*

Paweł Smoleński *Pochówek dla rezuna* (wyd. 3)

Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 2)

Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 4)

W serii ukażą się m.in.:

Jacek Hugo-Bader *Dzienniki kołymskie* (wyd. 2)

Ben Rawlence *Miasto cierni. Największy obóz dla uchodźców*

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Nothing to Envy: Ordinary Lives in North Korea*
Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Fotografia na okładce © by Alain Nogues / Corbis / FotoChannels
Copyright © 2009, 2015 by Barbara Demick. All rights reserved
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2011
Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Nowakowska, 2011
Redakcja Anna Sterczyńska i Ewa Polańska
Konsultacja merytoryczna dr Marceli Burdelski
Korekty Magdalena Kędzierska, Zuzanna Szatanik i Sandra Trela / d2d.pl
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Magdalena Kędzierska, Małgorzata Poździk / d2d.pl
Skład wersji elektronicznej d2d.pl
ISBN 978-83-8049-574-6

Dla Nicholasa, Gladys i Eugene'a

Od autorki

W 2001 roku jako korespondentka „Los Angeles Times” zamieszkałam w Seulu, skąd miałam pisać o obydwu Koreach. Amerykańskiemu dziennikarzowi było wtedy wyjątkowo trudno wjechać do Korei Północnej. Kiedy wreszcie zostałam tam wpuszczona, przekonałam się, że poznawanie tego kraju na miejscu jest właściwie niemożliwe. Zachodnim dziennikarzom przydzielano „przewodników”, którzy mieli udaremnić im wszelkie spotkania i rozmowy niezatwierdzone w narzuconym z góry, starannie przygotowanym programie wizyty, ograniczonym do zwiedzania pokazowych miejsc i atrakcji. Kontakty ze zwykłymi ludźmi nie wchodziły w rachubę. Na zdjęciach i w telewizji Koreańczycy z Północy maszerują jak roboty w zwartym szyku na defiladach albo uczestniczą w wielkich pokazach gimnastycznych na cześć przywódców. Zaczynając od przeglądania fotografii, próbowałam dostrzec, co kryją te pozbawione wyrazu twarze.

Obraz prawdziwego życia w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej zaczął mi się wyłaniać dopiero dzięki moim rozmówcom, którzy uciekli z Północy do Korei Południowej albo Chin. Dla „Los Angeles Times” napisałam cykl artykułów o zbiegach z leżącego na północy kraju miasta Chongjin[1]. Uznałam, że rozmowy z wieloma osobami o jednym konkretnym miejscu ułatwią mi weryfikację faktów. Zależało mi na tym, żeby było ono położone z dala od zadbanych atrakcji turystycznych, które północnokoreańskie władze pokazują zagranicznym gościom – chociaż liczyłam się z tym, że przyjdzie mi pisać o miejscu, do którego sama nie będę mogła dotrzeć. Chongjin, trzecie co do wielkości miasto Korei Północnej, które w połowie lat dziewięćdziesiątych zostało szczególnie dotknięte klęską głodu, jest niemal całkowicie zamknięty dla cudzoziemców. Miałam szczęście spotkać wielu wspaniałych ludzi stamtąd, którzy obrazowo opowiadali i nie szczędzili mi czasu. Książka wyrosła właśnie z tej serii artykułów.

Powstała ona na kanwie moich siedmioletnich rozmów z Koreańczykami z Północy. Zmieniłam w niej jedynie niektóre imiona, by chronić tych, którzy stamtąd nie wyjechali. Wszystkie dialogi przytaczam tak, jak zostały mi podane w relacjach jednej lub kilku osób. Dołożyłam wszelkich starań, by zweryfikować opowiadane historie i ukazać je na tle wydarzeń nagłośnionych publicznie. Opisy miejsc, do których nie dane

było mi dotrzeć, powstały na podstawie zdjęć, nagrań wideo i relacji uciekinierów. Korea Północna wciąż jest dla nas pod wieloma względami nieprzenikniona, więc naiwnością byłoby twierdzić, że zdołałam wszystko uchwycić właściwie. Pozostaje mi jedynie nadzieja, że kiedyś ten kraj otworzy się i będziemy mogli sami osądzić, co się tam naprawdę działo.

Po ciemku trzymaliśmy się za ręce



[9] Nocne zdjęcie satelitarne Korei Północnej i Południowej

Na nocnych zdjęciach satelitarnych Dalekiego Wschodu widać rozległą, zadziwiająco nieoświetloną plamę. Ta ciemna przestrzeń to Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna.

Z tajemniczą czarną dziurą sąsiadują Korea Południowa, Japonia i świecące już względnym dobrobytem Chiny. Nawet z wysokości setek kilometrów widać tam białe punkciki billboardów, latarni, sygnalizacji ulicznej czy neonów sieci fast foodów, które świadczą o tym, że życie w tych krajach jest w dwudziestym pierwszym wieku nieodłącznie związane ze zużyciem energii elektrycznej. Ale tuż obok rozpościerają się obszary czerni, o powierzchni prawie dorównującej Anglii. To zdumiewające, że państwo, w którym żyją dwadzieścia trzy miliony mieszkańców, wydaje się bezludnym oceanem. Północna Korea jest po prostu pustką.

Kraj ten zaczernił się na początku lat dziewięćdziesiątych. Jego głęboko niewydolna gospodarka załamała się po rozpadzie Związku Radzieckiego, który wspierał swego komunistycznego sojusznika dostawami taniej ropy naftowej. Elektrownie popadły w ruinę. Zabrakło światła. Wygłodniali ludzie wspinali się na słupy elektryczne, żeby ściągnąć kawałek miedzianego drutu i wymienić go na jedzenie. Gdy schowa się słońce, a pejzaż zaciągnie szarością, przycupnięte małe domostwa wciąż giną w mroku. Do świtu nikną całe wsie. Nawet w niektórych dzielnicach pokazowej stolicy, Pjongjangu, idzie się nocą środkiem dużej ulicy, nie widząc domów ani po jednej, ani drugiej stronie.

Przygodnej osobie wpatrującej się w pustkę, którą jest dzisiejsza Korea Północna, mogą przychodzić na myśl odludne wioski w Afryce czy Azji Południowo-Wschodniej, gdzie jeszcze nie dotarła cywilizacja elektryczności. Korea Północna nie jest jednak krajem zacofanym, lecz państwem, które odłączyło się od rozwiniętego świata. Świadectwa tego, czym była dawniej, i tego, co zostało utracone, odnajduje się przy każdej większej drodze – bo wszędzie tam wiszą resztki zardzewiałych drutów elektrycznych, których sieć pokrywała kiedyś cały kraj.

Starsi mieszkańcy Korei Północnej dobrze pamiętają czasy, gdy mieli więcej prądu (a zatem także żywności) niż ich proamerykańscy kuzyni z Korei Południowej, to zaś tylko potęguje w nich poczucie upokorzenia z powodu przymusowego siedzenia nocami po ciemku. W latach dziewięćdziesiątych Stany Zjednoczone zaoferowały KRLD pomoc energetyczną w zamian za rezygnację przez ten kraj z programu zbrojeń jądrowych. Administracja Busha wycofała się jednak z tej obietnicy,

zarzucając Korei Północnej niedotrzymanie warunków umowy. Mieszkańcy skarżą się gorzko na ciemności, lecz ich przyczyny upatrują w sankcjach amerykańskich. W nocy nie mogą czytać. Nie mogą oglądać telewizji. „Bez prądu nie mamy kultury” – rzucił mi kiedyś oskarżycielsko pewien przysadzisty północnokoreański strażnik.

Ale ciemności miewają też dobre strony. Zwłaszcza gdy jest się nastolatkiem i chodzi na sekretne randki.

Kiedy dorośli położą się spać, czasem już o siódmej wieczorem, łatwiej wymknąć się z domu. Mrok sprzyja prywatności i swobodzie, których w Korei Północnej brakuje tak bardzo jak elektryczności. Jego cudowna zasłona zapewniająca niewidzialność chroni przed wścibstwem rodziców, sąsiadów, tajniaków.

Chociaż poznałam wielu Koreańczyków z Północy, którzy mówili, że pokochali ciemności, największe wrażenie wywarła na mnie historia pewnej kilkunastoletniej dziewczyny i jej chłopaka. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, miała dwanaście lat. On, o trzy lata od niej starszy, mieszkał w pobliskim miasteczku. W bizantyjskiej hierarchii społecznej obowiązującej w Korei Północnej jej rodzina plasowała się nisko. Gdyby ktoś zobaczył ich razem w miejscu publicznym, chłopak straciłby szanse na karierę, a ona reputację cnotliwej dziewczyny. Dlatego umawiali się wyłącznie na długie spacery po ciemku. Zresztą i tak nie mieli wyboru, bo na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy zaczęli spotykać się na poważnie, z powodu braku prądu zamknięto restauracje i kina.

Umawiali się po kolacji. Dziewczyna zakazała mu stukać do drzwi wejściowych, bo krępowała się starszych sióstr, młodszego brata i ciekawskich sąsiadów. Jej rodzina mieszkała w ciasnocie razem z kilkunastoma innymi rodzinami w długim, wąskim budynku, za którym znajdowała się wspólna ubikacja. Biały murek zasłaniający dom od ulicy sięgał nieco powyżej linii wzroku. Za tym murkiem chłopak krył się po zmroku. Brzęk przy zmywaniu naczyń u sąsiadów i odgłosy dobiegające z wychodka tłumiły dźwięk jego kroków. Musiał na nią długo czekać, czasem dwie, trzy godziny. To było bez znaczenia. W Północnej Korei życie biegnie wolniej. Tam nie nosiło się zegarka.

Dziewczyna wymykała się, kiedy tylko mogła wyjść z domu niezauważona. Przez chwilę wpatrywała się w ciemność: jeszcze go nie widziała, ale czuła jego obecność. Nie musiała się malować – w mroku makijaż jest przecież niepotrzebny. Czasem miała na sobie po prostu

szkolny mundurek z marszczonej tkaniny syntetycznej: szafirową spódniczkę zakrywającą skromnie kolana i białą bluzkę z czerwoną chustką. Była bardzo młoda i jeszcze nie przejmowała się swoim wyglądem.

Najpierw szli w milczeniu, potem ich głosy stopniowo podnosiły się do szeptu, normalnie zaczynali mówić dopiero za wsią, kiedy mijało napięcie. Trzymali się na odległość wyciągniętej ręki aż do chwili, gdy byli pewni, że nikt ich nie widzi.

Na skraju wsi mijali kępę drzew, za którą zaczynały się tereny uzdrowiska z gorącymi źródłami. Kiedyś był to dość znany kurort – do jego wód o temperaturze pięćdziesięciu pięciu stopni zjeżdżały autobusy pełne chorych na cukrzycę i reumatyzm Chińczyków – lecz później zamarło w nim życie. Przy wejściu błyszczał prostokątny staw, otoczony kamiennym obramowaniem. Dalej ciągnęły się dróżki wysadzane sosnami, klonami japońskimi i jej ulubionymi miłorzębami, których delikatne liście o idealnym kształcie orientalnego wachlarza żółkły jesienią na musztardowo. Drzewa porastające okoliczne wzgórza zostały zdziesiątkowane, ponieważ ludzie potrzebowali opału, ale te na terenie uzdrowiska były tak piękne, że okoliczni mieszkańcy nie ośmielali się ich tknąć.

Teren był jednak zaniedbany. Drzew nie przycinano, kamienne ławki popękały, wyrwy w brukowanych alejkach wyglądały jak dziury w zębach. W połowie lat dziewięćdziesiątych prawie wszystko w Korei Północnej zdążyło się zużyć, zepsuć, podupaść. Kraj widział lepsze czasy. Ale po ciemku zniszczenia mniej rzucały się w oczy. Basen z gorącą wodą, mętny i zarośnięty rzęsą, jaśniał wtedy odbiciem nieba.

Widoku nocnego nieba w Korei Północnej nie sposób zapomnieć. To chyba najwspanialsze niebo w północno-wschodniej Azji, bo tylko tam nie przesłaniają go pyły węglowe, piasek nawiewany znad pustyni Gobi ani dymy przemysłowe, od których dusi się reszta kontynentu. Kiedyś północnokoreańskie fabryki dokładały się do tej chmury, ale to już przeszłość. Blasku gwiazd jaśniejących na górze nie tłumią tam sztuczne światła.

Wędrująca nocą para zbierała liście miłorzębu. O czym rozmawiali? O rodzinie, kolegach z klasy, przeczytanych książkach – każdy temat był fascynujący. Gdy po latach spytałam dziewczynę o najszczęśliwsze chwile w jej życiu, opowiedziała mi o tamtych nocach.

Zjawisk tego rodzaju nie widać na zdjęciach satelitarnych. W siedzibie CIA w Langley w Wirginii i na uniwersyteckich wydziałach orientalistyki o

Korei Północnej myśli się z oddali. I w tym myśleniu pomija się to, że w tej czarnej dziurze, w przygnębiającym, mrocznym kraju, gdzie miliony ludzi umarły z głodu, jest także miłość.

Kiedy ją poznałam, ta dziewczyna była już trzydziestojednoletnią kobietą. Mi-ran (tak ją nazywam w tej książce) uciekła sześć lat wcześniej ze swojego kraju i zamieszkała w Korei Południowej. Poprosiłam ją o rozmowę w związku z moim artykułem o zbiegach z Północy.

W 2004 roku zostałam szefową seulskiego oddziału gazety „Los Angeles Times", który zajmuje się całym Półwyspem Koreańskim. Korea Południowa, ze swą dwunastą pod względem wielkości gospodarką na świecie, rozwijającą się – choć nie bez zawirowań – demokracją oraz mediami należącymi do najprężniejszych w Azji, nie sprawiała nam trudności. Wysocy urzędnicy państwowi podawali dziennikarzom swoje numery telefonów komórkowych i nie mieli pretensji, gdy dzwoniło się do nich poza godzinami pracy. Korea Północna była tego przeciwieństwem. Jej komunikacja ze światem zewnętrznym sprowadzała się niemal wyłącznie do tyrad Koreańskiej Centralnej Agencji Informacyjnej, którą ktoś przezwał „zajadłą szczekaczką" za komiczny patos, z jakim złorzeczyła „imperialistycznym sługusom Ameryki". W wojnie koreańskiej, która toczyła się w latach 1950–1953 i była pierwszym wielkim, krwawym starciem zimnej wojny, Stany Zjednoczone walczyły po stronie Korei Południowej i do dziś utrzymują tam czterdziestotysięczny kontyngent wojskowy. Dla KRLD, której animusz bojowy nie osłabł od tamtych czasów, wojna na Półwyspie jakby nigdy nie dobiegła końca.

Obywatele amerykańscy rzadko są wpuszczani do Korei Północnej, a jeszcze trudniej tam wjechać amerykańskim dziennikarzom. Kiedy w 2005 roku dostałam wreszcie wizę i wybrałam się do Pjongjangu, mnie i mojego kolegę poprowadzono wydeptanym szlakiem pomników ku czci wielkich przywódców: Kim Dzongila i jego nieżyjącego ojca Kim Ir Sena. Przez cały czas nie odstępowali nas ani na krok dwaj chudzi panowie w ciemnych garniturach. Obaj nazywali się tak samo: pan Park. (W Korei Północnej zagraniczni goście na wszelki wypadek dostają po dwóch „opiekunów", którzy pilnują się wzajemnie, żeby żadnego z nich nie można było przekupić). Panowie Park używali takiej samej koturnowej retoryki, w jakiej przemawia państwowa agencja prasowa. („Dzięki naszemu przywódcy Kim Dzongilowi" – ta fraza powtarzała się w naszych rozmowach z zadziwiającą regularnością). Kiedy się do nas zwracali, unikali kontaktu wzrokowego, a

ja zastanawiałam się, czy wierzą we własne słowa. Co sobie myślą naprawdę? Czy rzeczywiście tak bardzo kochają swojego wodza? Czy nie brakuje im jedzenia? Czym zajmują się w domu po powrocie z pracy? Jak wygląda życie w najbardziej represyjnym reżimie na świecie?

Zrozumiałam, że na te nurtujące mnie pytania nie uzyskam odpowiedzi w Korei Północnej. W tym celu należało rozmawiać z uciekinierami stamtąd.

W 2004 roku Mi-ran mieszkała w Suwonie, mieście położonym trzydzieści kilometrów na południe od Seulu, tętniącym życiem i pełnym rozgardiaszu. W Suwonie znajdują się centrala Samsung Electronics oraz zakłady produkujące rzeczy nieznane większości Koreańczyków z Północy, jak monitory komputerowe, płyty CD, telewizory cyfrowe, pendrive'y. (Dane statystyczne wskazują, że różnice poziomu gospodarczego między Koreami są co najmniej czterokrotnie większe niż te, które dzieliły NRD od RFN w momencie zjednoczenia Niemiec w 1990 roku). Suwon jest zakorkowany, tłoczny, hałaśliwy, to kakofonia dźwięków i feeria kontrastowych kolorów. Jak w większości południowokoreańskich miast, rażą w nim architektoniczny nieład, brzydota betonowych brył, krzykliwe oznakowania. Na peryferiach kilometrami ciągną się wieżowce mieszkalne, w centrum, przez które trudno się przebić samochodem, nie sposób zliczyć kawiarni Dunkin' Donuts, restauracji Pizza Hut oraz ich koreańskich podróbek. W bocznych ulicach umiejscowiły się hotele o takich nazwach, jak Eros czy Love-Inn Park, gdzie wynajmuje się pokoje na godziny. Inny owoc cudu gospodarczego to jezdnie zablokowane tysiącami hyundaiów, próbujących się przebić z domu do centrum handlowego. Z powodu nieustannego paraliżu komunikacyjnego w Suwonie pojechałam tam z Seulu pociągiem, co trwało pół godziny, po czym przesiadłam się do taksówki, by dotrzeć do jednego z nielicznych lokali w mieście, gdzie można spokojnie posiedzieć: restauracji tuż przy osiemnastowiecznych fortyfikacjach, której specjalnością są wołowe żeberka z grilla.

W pierwszej chwili nie udało mi się wypatrzyć Mi-ran. Wyglądała zupełnie inaczej niż przybysze z Północy, których poznałam. W tym czasie w Korei Południowej mieszkało około sześciu tysięcy uciekinierów z Północy i zwykle widać było na pierwszy rzut oka, że nie wtopili się w otoczenie: kobiety nosiły na przykład przykrótkie spódniczki, a na nowych ubraniach zostawiały nieoderwane metki – lecz Mi-ran niczym się nie wyróżniała. Miała na sobie elegancki brązowy sweter i dobrane spodnie z

trykotu. Odniosłam także wrażenie (które, jak wiele innych moich odczuć, okaże się błędne), że jest nieśmiała. Włosy, gładko ściągnięte, spięła klamrą ozdobioną kryształem górskim. Wyglądała nienagannie mimo śladu trądziku na brodzie i lekkiego brzuszka – była bowiem w czwartym miesiącu w ciąży. Przed rokiem wyszła za mąż za Koreańczyka z Południa, cywilnego pracownika armii, z którym teraz spodziewała się swego pierwszego dziecka.

Zaprosiłam ją na lunch i poprosiłam, żeby opowiedziała mi o szkolnictwie w Korei Północnej. Przed ucieczką Mi-ran pracowała jako przedszkolanka w osadzie górniczej, KRLD kończyła magisterskie studia pedagogiczne[2]. Wywiązała się między nami poważna, chwilami przygnębiająca rozmowa. Nie byłyśmy w stanie tknąć niczego, co zamówiłyśmy, bo opowiadała mi o tym, jak przyszło jej patrzeć na umierających z głodu pięcio- i sześcioletnich podopiecznych. Dzieci głodowały, a ona miała im wpajać, że Koreańczycy z Północy zostali pobłogosławieni przez los. Kim Ir Sena, który rządził północną częścią Półwyspu Koreańskiego od drugiej wojny światowej do śmierci w 1994 roku, trzeba było czcić jako boga, jego syna i następcę – Kim Dzongila – jako syna bożego, na podobieństwo Chrystusa. Mi-ran nie umiała się pogodzić z tym praniem mózgu.

Po godzinie czy dwóch wdałyśmy się, jak to się mówi lekceważąco, w babską paplaninę. Opanowanie i otwartość Mi-ran sprawiły, że ośmieliłam się poruszyć tematy dotyczące jej bezpośrednio. Co młodzi ludzie w Korei Północnej robili dla przyjemności? Czy ma stamtąd jakieś miłe wspomnienia? I czy miała tam chłopaka?

– To zabawne, że pytasz – odparła – bo właśnie wczoraj mi się przyśnił.

Powiedziała, że był wysoki, zwinny i miał zmierzwioną czuprynę opadającą na czoło. Po ucieczce z kraju odkryła z ogromną radością, że idol południowokoreańskich nastolatków, niejaki Yu Jun-sang, przypomina uderzająco jej byłego chłopaka. (Dlatego temu ostatniemu nadałam pseudonim Jun-sang). Bardzo zdolny, zapowiadał się na naukowca, studiował na jednej z najlepszych uczelni w Pjongjangu. Był to jeden z powodów, dla których nie mogli się razem pokazywać publicznie. Ich związek przekreśliłby jego szanse na karierę.

W Korei Północnej nie ma hoteli, gdzie można się spotykać, ani aprobaty dla intymnych relacji pozamałżeńskich. Mimo to próbowałam delikatnie wypytać, jak daleko się posunęli.

– Przez trzy lata chodziliśmy, trzymając się za ręce – roześmiała się Mi-ran. Pocałowaliśmy się po następnych sześciu. Nic więcej nawet nie przyszłoby mi do głowy. Jak wyjeżdżałam z Korei Północnej, miałam dwadzieścia sześć lat i chociaż byłam przedszkolanką, nie wiedziałam, skąd się biorą dzieci.

Mi-ran przyznała, że często myśli o swojej pierwszej miłości, a sposób, w jaki rozstała się z Jun-sangiem, nie daje jej spokoju. Był jej najbliższym przyjacielem, zwierzała mu się z marzeń i tajemnic rodzinnych. Mimo to nie zdradziła mu swojego największego sekretu. Ukrywała przed nim, że nabrała odrazy do Korei Północnej i nie wierzy w propagandę, którą karmi swoich wychowanków. Przede wszystkim zaś nie zdradziła, że jej rodzina dojrzewa do ucieczki. Nie dlatego że mu nie ufała, ale dlatego że w Korei Północnej ostrożności nigdy nie było za wiele. Gdyby to komuś powiedział, a ten ktoś powiedział to jeszcze komuś... no cóż, nie wiadomo – donosiciele byli wszędzie. Sąsiedzi wydawali sąsiadów, przyjaciele zdradzali przyjaciół. Donosili na siebie nawet kochankowie. Gdyby ktoś współpracujący z tajną policją dowiedział się o ich planach, cała rodzina zostałaby wywieziona w góry do obozu pracy.

– Nie mogłam ryzykować, nie mogłam się z nim pożegnać.

Po naszym pierwszym spotkaniu często rozmawiałyśmy z Mi-ran o Jun-sangu. Chociaż wyszła szczęśliwie za mąż, a kiedy zobaczyłyśmy się po raz drugi, była już matką, ilekroć padało jego imię, rumieniła się i zaczynała szybciej mówić. Odnosiłam wrażenie, że poruszając ten temat, sprawiam jej przyjemność, bo z nikim poza mną nie może o tym rozmawiać.

– Co się z nim stało?

Wzruszyła ramionami. Pięćdziesiąt lat po wojnie koreańskiej ci z Południa wciąż nie mogą się komunikować z tymi na Północy. Pod tym względem jest to sytuacja bez precedensu, zupełnie inna niż w podzielonych Niemczech. Między Koreami nie ma łączności telefonicznej, pocztowej ani elektronicznej.

Mi-ran sama nie znała odpowiedzi na wiele pytań. Czy się ożenił? Czy wciąż o niej myśli? Czy uważa, że skoro uciekła, zdradziła ojczyznę?

– Jakoś myślę, że potrafiłby mnie zrozumieć, choć naprawdę nie mam możliwości, żeby się tego dowiedzieć – wyjaśniła.

Mi-ran i Jun-sang poznali się wcześnie. Mieszkali pod Chongjinem, dużym przemysłowym miastem w północno-wschodniej części Półwyspu Koreańskiego, niedaleko granicy z Rosją.

Pejzaż Korei Północnej znakomicie oddają czarne uderzenia pędzla w malarstwie wschodnim. W niektórych miejscach jej krajobraz jest przepiękny – Amerykanom może przypominać zachodnie wybrzeże na północ od Kalifornii – ale widoki te są jakby pozbawione koloru. Wąską paletę barw otwiera ciemna zieleń jodeł, jałowców i świerków, kończy zaś jasna szarość granitowych szczytów. Tak charakterystyczną dla azjatyckiej wsi bujną zieleń poletek ryżowych można podziwiać jedynie w czasie krótkiej letniej pory deszczowej. Liście przelotnie wybuchają kolorami na jesieni. Przez resztę roku wszystko jest żółtawe lub brązowe, inne barwy blakną i znikają.

W odróżnieniu od Korei Południowej w pejzażu Północy nie ma ani odrobiny bałaganu. Niemal nie widuje się tam napisów i znaków, pojazdy należą do rzadkości. Prywatnych aut prawie się nie spotyka, bo w zasadzie obowiązuje zakaz ich posiadania, zresztą mało kto mógłby sobie na nie pozwolić. Rzadkością są nawet traktory, przy orce pracują tylko wychudłe woły. Proste, funkcjonalne domy niczym się nie różnią w swojej szarości. Sprzed koreańskiej wojny przetrwało niewiele. Powstałe głównie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych osiedla z cementowych prefabrykatów i piaskowca były zasiedlane lokatorami z rozdzielnika, w zależności od ich miejsca pracy i zajmowanej pozycji. W miastach budowano tak zwane „gołębniki” – jednoizbowe mieszkania w niskich budynkach, na wsi najczęstsza jest parterowa „harmonijka” – długi dom z rzędem jednopokojowych mieszkań, przypominający organki. Czasem framugi drzwi i ramy okienne pomalowane są jaskrawym turkusem, ale zazwyczaj całość jest pobielona lub szara.

W antyutopii George’a Orwella *Rok 1984* czytamy o świecie, w którym kolory pojawiają się jedynie na plakatach propagandowych. Właśnie tak jest w Korei Północnej. Socrealistyczne wizerunki Kim Ir Sena są malowane w bardzo żywych barwach. Wielki Wódz, dobrotliwie uśmiechnięty, siedzi w otoczeniu gromadki jaskrawo ubranych dzieci. Jego rozpromienione oblicze bije żółtą i pomarańczowa jasnością: Kim Ir Sen jest słońcem.

Wszechobecne slogany propagandowe malowane są na czerwono. Znaki alfabetu koreańskiego składają się z kółek i linii. Czerwone litery kontrastują z szarością krajobrazu. Wędrują wśród pól, wieńczą granitowe urwiska górskie, stoją przy szosach jak znaki drogowe, tańczą na dachach dworców kolejowych i innych budynków publicznych.

NIECH ŻYJE KIM IR SEN
김일성 만세!

KIM DZONGIL – SŁOŃCEM XXI STULECIA
21세기의 태양 김정일 장군 만세!

ŻYJMY PO NASZEMU
우리 식으로 살자.

PÓJDZIEMY ZA GŁOSEM NASZEJ PARTII
당이 결심하면 우리는 한다!

ŚWIATU NIE MAMY CZEGO ZAZDROŚCIĆ
세상에 부럼 없어라.

Gdy Mi-ran była dziewczynką, nie miała powodów, by nie wierzyć w te hasła. Jej ojciec był prostym cieślą w kopalni. Żyło im się biednie, lecz wszyscy wokół nich byli biedni. Chowała się bez dostępu do zagranicznych publikacji, filmów, telewizji, radia, była więc przekonana, że tak się powodzi ludziom na całym świecie, albo wręcz że gdzie indziej jest gorzej. Nasłuchała się z radia i telewizji, jak to Koreańczycy z Południa cierpieli pod butem proamerykańskiego marionetkowego prezydenta Parka Chung-hee, a potem jego następcy Chunga Doo-hwana. Wpajano jej, że komunizm w Chinach jest rozmyty i gorszy od komunizmu Kim Ir Sena, a miliony Chińczyków głodują. Uważała, że spotkało ją szczęście, bo urodziła się w Korei Północnej, gdzie panuje dobrotliwy przywódca, który dba o nią jak ojciec.

Gdy Mi-ran dorastała w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, jej rodzinna wieś nie miała się w gruncie rzeczy najgorzej. Wycięta z północnokoreańskiego szablonu, liczyła około tysiąca mieszkańców i choć niczym się nie różniła od innych wsi zbudowanych w ramach centralnego planowania, była fortunnie umiejscowiona. Leżała około dziesięciu

kilometrów od Morza Japońskiego, więc jej mieszkańcy mogli czasem zjeść świeżą rybę i kraby. Tuż za nią zaczynał się przemysłowy Chongjin, korzystała więc z bliskości miasta, a dzięki dostępowi do ziemi uprawiano w niej warzywa. Stosunkowo płaska okolica była błogosławieństwem, górzysta Korea Północna cierpi bowiem na niedostatek terenów nadających się pod uprawy. Kim Ir Sen miał jedną ze swych letnich rezydencji w pobliskim uzdrowisku z gorącymi źródłami.

Mi-ran była najmłodszą z czterech córek. W 1973 roku, kiedy się urodziła, same dziewczynki w rodzinie traktowano w Korei Północnej jako dopust boży, równie dotkliwy jak w dziewiętnastowiecznej Anglii, gdzie o zmaganiach rodziny z pięcioma córkami pisała Jane Austen w *Dumie i uprzedzeniu*. W obydwu Koreach żywe są tradycje konfucjańskie, według których ciągłość rodu zapewniają synowie i na nich też spoczywa obowiązek opieki nad starymi rodzicami. Dla matki i ojca Mi-ran los okazał się w końcu łaskawy, bo trzy lata po niej urodził im się upragniony chłopiec. Po jego przyjściu na świat przestali jednak poświęcać uwagę najmłodszej córce.

Rodzina Mi-ran zajmowała pojedynczy segmencik w harmonijkowym domu, mieszkanie odpowiadające statusowi ojca. Z dworu wchodziło się bezpośrednio do małego pomieszczenia kuchennego z paleniskiem na węgiel lub drewno. Piec służył nie tylko do gotowania, lecz także ogrzewał całe mieszkanie dzięki urządzeniu wbudowanemu pod podłogą, zwanemu *ondol*. Rozsuwane drzwi dzieliły kuchenkę od pokoju, gdzie wszyscy spali na matach, które zwijało się na dzień. Po narodzinach chłopca było ich ośmioro: pięcioro dzieci, rodzice i babcia. Ojciec
Mi-ran przekupił wtedy miejscowego sekretarza partii, który przydzielił im sąsiedni segment i pozwolił wybić drzwi w ścianie łączące oba mieszkanka.

Powiększona przestrzeń do życia została podzielona na część żeńską i męską. Kobiety przy niskim drewnianym stole w kuchni jadały potrawy z mąki kukurydzianej, tańszej i mniej pożywnej od ryżu, który jest w Korei preferowany. Ojciec z synem żywili się nim przy osobnym stole.

– Myślałem, że to jest naturalne – powie mi później Sok-ju, brat Mi-ran.

Podczas gdy starsze siostry nie protestowały otwarcie, Mi-ran płakała i narzekała na niesprawiedliwość.

– Dlaczego tylko Sok-ju dostaje nowe buty? – pytała. – Dlaczego mama tylko nim się zajmuje?

Rodzice ją wtedy uciszali i nie dawali odpowiedzi.

Buntowała się przeciwko dyskryminowaniu dziewczynek także w innych sprawach. W tamtych latach nie uchodziła im jazda na rowerze. Ludzie to piętnowali, uważając, że dziewczyna na rowerze wygląda brzydko i wyzywająco – a Partia Pracy co pewien czas uchwalała rezolucje, w których zakazywała tego formalnie. Mi-ran się tym nie przejmowała. Po ukończeniu jedenastu lat zaczęła wyjeżdżać jedynym w rodzinie, starym japońskim rowerem na drogę do Chongjinu. Chciała się wyrwać z opresyjnej wioski, dokądś przed nią uciec. Dla dziecka taka wyprawa do miasta była męcząca, jechało się tam jakieś trzy godziny pod górę, tylko częściowo asfaltem. Mężczyźni, którzy próbowali ją wyprzedzać na swoich rowerach, przeklinali jej zuchwałość.

– Rozwalisz sobie cipę – krzyczeli.

Bywało, że stawały jej na drodze grupki podrostków, którzy chcieli ją zrzucić na ziemię. Początkowo na ich wulgarne zaczepki Mi-ran odpowiadała równie ordynarnym krzykiem, później nauczyła się je ignorować i obojętnie pedałować przed siebie.

Kiedy mieszkała w rodzinnej wiosce, odnajdywała wytchnienie tylko w jednym miejscu – w kinie.

W każdym północnokoreańskim miasteczku, nawet bardzo małym, było kino, bo Kim Dzongil wierzył, że film jest niezbędnym narzędziem umacniającym posłuszeństwo mas. W 1971 roku trzydziestoletniemu Kim Dzongilowi powierzono pierwsze zadanie państwowe: nadzór nad Wydziałem Propagandy i Agitacji Partii Pracy, któremu podlegała kinematografia. Dwa lata później wydał książkę *O sztuce filmowej*, w której pisał odkrywczo, że „rewolucyjna sztuka i literatura niezmiernie efektywnie zachęcają lud do pracy na rzecz rewolucji”.

Pod kierunkiem Kim Dzongila Koreańska Wytwórnia Filmów Pełnometrażowych zbudowała na przedmieściach Pjongjangu studia o powierzchni setek tysięcy metrów kwadratowych. Produkowano tam czterdzieści filmów rocznie. W większości były to fabuły według jednego schematu: droga ku szczęściu wymaga od jednostki poświęceń i podporządkowania się dobru ogółu, a kapitalizm to szczyt upodlenia. Kiedy w 2005 roku byłam w tej wytwórni, widziałam dekoracje mające przedstawiać typową ulicę w Seulu: obskurne sklepy sąsiadowały tam z szemranymi barami z panienkami.

Chociaż filmy były czystą propagandą, Mi-ran uwielbiała chodzić do kina. Kochała je miłością dziewczynki chowającej się na

północnokoreańskiej wsi. Gdy trochę podrosła i mogła tam już bywać sama, prosiła matkę o pieniądze na bilety. Wejście było tanie, kosztowało tylko pół wona, tyle co oranżada. Mi-ran oglądała wszystko, co się tylko dało. Zdarzały się tam śmiałe filmy nie dla dzieci, na przykład *Moja ukochana* z 1985 roku, którą oglądając, widz mógł odgadnąć, że mężczyzna całuje się z kobietą. Wprawdzie nie było tego widać, bo główna bohaterka skromnie zasłoniła ekran parasolką, ale *Moja ukochana* została zakwalifikowana jako film dla dorosłych. Rzecz jasna, w Korei Północnej nie pokazywano produkcji hollywoodzkich ani żadnych filmów zagranicznych, z wyjątkiem nielicznych sowieckich. Mi-ran lubiła te ostatnie najbardziej, bo było w nich mniej propagandy i więcej romantyzmu.

Może tak się musiało stać, że rozmarzona dziewczyna uwielbiająca ekranowe romanse odnajdzie historię miłosną także w prawdziwym życiu.

Poznali się w 1986 roku, gdy wciąż jeszcze wystarczało prądu na seanse filmowe. Najbardziej okazałą budowlą w okolicy był dom z salą widowiskową, zaprojektowany w pompatycznym stylu, modnym w Korei już w latach trzydziestych, za czasów okupacji japońskiej. W wysokim amfiteatrze mieścił się nawet balkon, a fasadę zasłaniał gigantyczny portret Kim Ir Sena. Jego rozmiary zostały określone specjalnymi przepisami, które nakazywały, by podobizny Wielkiego Wodza odpowiadały wielkością kubaturze budynku W sali widowiskowej odbywały się pokazy filmowe i teatralne oraz wykłady. Z okazji świąt, na przykład urodzin Kim Ir Sena, organizowano w niej konkursy obywatelskiej wierności Wielkiemu Wodzowi. Na co dzień wyświetlano tam filmy: co parę tygodni twórcy z Pjongjangu przysyłali nowe dzieło.

Jun-sang też był szalonym fanem kina. Starał się nie przepuścić żadnej premiery. Tego dnia pokazywali *Narodziny nowej władzy.* Był to film historyczny, którego akcja rozgrywała się w czasie drugiej wojny światowej w Mandżurii, gdzie komuniści koreańscy pod wodzą młodego Kim Ir Sena powstali przeciwko japońskiemu okupantowi. Walka z Japończykami była w północnokoreańskiej kinematografii wątkiem tak popularnym, jak zmagania kowbojów z Indianami we wczesnych filmach hollywoodzkich. Ponieważ w *Narodzinach* grała gwiazda rodzimej kinematografii, można się było spodziewać, że seans przyciągnie tłumy.

Jun-sang poszedł więc do kina zawczasu i kupił dwa bilety, dla siebie i brata. Wyszedł, żeby trochę się przejść – i wtedy ją zobaczył.

Stała prawie na samym końcu kolejki oblegającej kasę. W Korei Północnej do kina chodzi najczęściej młodzież, w dodatku niezbyt dobrze ułożona. Tego dnia tłum zachowywał się wyjątkowo bezceremonialnie. Starsi wypychali młodszych z kolejki i nie dopuszczali ich do okienka. Jun-sang podszedł bliżej, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Ze złości tupała nogami i najwyraźniej była bliska płaczu.

Według północnokoreańskich kanonów urody dziewczyna powinna mieć jasną karnację, im bledszą, tym lepiej, twarz zaokrągloną i usta w kształcie kokardki, lecz ona zupełnie nie odpowiadała temu ideałowi. Jej pociągła buzia o wyrazistych rysach, orlim nosie i wydatnych kościach policzkowych wydała mu się niemal egzotyczna i odrobinę dzika. Z oczami pałającymi wściekłością patrzyła na przepychankę przy kasie. Nie była powściągliwa w gestach jak inne dziewczyny, które uśmiechając się, zakrywają usta. Jun-sang wyczuł w niej determinację, by nie dać za wygraną, jakby życie w Korei Północnej nie zdołało jej stłamsić. I to go z miejsca oczarowało.

Piętnastoletni Jun-sang dręczył się myślą, że choć interesuje się dziewczynami, żadna go nie zauroczyła. Tak było dotychczas. Ponieważ naoglądał się filmów, umiał spojrzeć na siebie z dystansu i wyobrazić sobie, jakby scena ich pierwszego spotkania wyglądała na ekranie. W jego późniejszych wspomnieniach te chwile rozgrywały się w odrealnionym technikolorze, a Mi-ran roztaczała jakąś nieziemską aurę.

– Trudno mi uwierzyć, że w tej wsi jest taka dziewczyna – powiedział sobie w duchu.

Przez chwilę, bijąc się z myślami, krążył w pobliżu, żeby się jej lepiej przypatrzeć. Nie był z natury zdobywcą, lecz typem naukowca. Próby przepchnięcia się do okienka nie miały sensu. Ale szybko zaświtał mu w głowie pewien pomysł. Zaraz miał się zacząć seans, a jego brata jeszcze nie było. Jeśli jej odstąpi jego bilet, ona usiądzie obok, bo miejsca są numerowane. Zrobił następne okrążenie, w głowie dobierając słowa, którymi do niej przemówi.

Ale koniec końców nie umiał się zebrać na odwagę i zagadać do nieznajomej dziewczyny. Wślizgnął się na widownię. Gdy na ekranie zobaczył bohaterkę galopującą na koniu po zaśnieżonych polach, uznał, że zaprzepaścił szansę. Krótko ostrzyżona filmowa bohaterka jako dzielna bojowniczka rewolucji konno przemierzała stepy Mandżurii, a Jun-sang nie umiał opędzić się od myśli o dziewczynie, którą zobaczył przed seansem.

Kiedy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, wybiegł, by ją odnaleźć, ale jej już nie było.

Nieczysta krew



[27] Uchodźcy w czasie wojny koreańskiej

Chudy jak tyczka piętnastoletni Jun-sang uczył się pilnie. Z matematyki i przedmiotów ścisłych był od małego najlepszy w klasie. Jego ojciec, sam w jakiejś mierze niezrealizowany intelektualnie, przelał własne ambicje na dzieci, zwłaszcza na uzdolnionego najstarszego syna. Chciał, żeby chłopak wyrwał się z prowincji i mógł studiować w Pjongjangu. Gdy Jun-sang wracał do domu po dziewiątej wieczorem albo nie przykładał się do odrabiania lekcji, ojciec bez wahania sięgał po kij, by nauczyć syna posłuszeństwa. Żeby dostać się na najlepszą uczelnię w kraju, czyli Uniwersytet imienia Kim Ir Sena, chłopak musiałby mieć celujące oceny w szkole średniej i zdać w Chongjinie trudne, trwające dwa tygodnie egzaminy. Chociaż zaczynał dopiero pierwszą klasę, jego kariera została z góry zaplanowana, a na drodze do niej nie było miejsca na randki ani na seks. To, co wiązało się z dojrzewaniem, musiało poczekać.

Jun-sang starał się opędzać od natrętnych myśli, które rozpraszały go w najmniej odpowiednich momentach. Mimo to nie umiał zapomnieć o tupiącej dziewczynie z rozwichrzonymi włosami. Nie miał pojęcia, kim jest. Jak ma na imię? Czy rzeczywiście jest taka piękna, jak zapamiętał, czy pamięć płata mu figle? Czy trafi kiedyś na jej ślad?

Odnalezienie jej okazało się zaskakująco łatwe. Mi-ran należała do dziewczyn, które nie pozostają niezauważone przez chłopców, a krótkie włosy wyróżniały ją na tyle, że wystarczyło opowiedzieć o spotkaniu pod kinem kilku kolegom, żeby ją zidentyfikować. Jeden z nich – Jun-sang chodził z nim na lekcje boksu – mieszkał dwoje drzwi od niej w tym samym harmonijkowym domu. Jun-sang wyciągnął od niego trochę informacji o dziewczynie i powierzył mu misję szpiegowską. W sąsiedztwie trzęsło się od plotek o Mi-ran i jej siostrach. Ludzie mówili, że jedna jest ładniejsza od drugiej. Wszystkie były wysokie, a taki wzrost jest w Korei Północnej bardzo ceniony, i wszystkie utalentowane. Najstarsza śpiewała, młodsza malowała. Wszystkie były wysportowane, świetnie grały w siatkówkę i koszykówkę. Piękne i mądre dziewczyny. Szkoda tylko, powiadali ludzie, że mają tak niskie pochodzenie.

Chodziło o ich ojca, zniszczonego, cichego człowieka, który jak wielu ich sąsiadów pracował w górnictwie. Był cieślą, remontował drewniane chodniki w kopalni kaolinu, glinki stosowanej w przemyśle ceramicznym. Ten niepozorny człowiek wyróżniał się tylko jednym: abstynencją. Podczas gdy koledzy z pracy wypijali morze piwa kukurydzianego, skręcającego wnętrzności, a jeśli mogli sobie na to pozwolić, nie stronili od rodzimej wódki ryżowej *soju*, ojciec Mi-ran nie brał do ust ani kropli alkoholu. Nie tykał niczego, co mogłoby mu rozwiązać język i skłonić do rozmowy o przeszłości.

Miał na imię Tae-woo i urodził się w 1932 roku na terenach, które przypadły później wrogiej Korei Południowej. Koreańczycy utożsamiają dom z miejscem urodzenia przodków w linii męskiej, nawet jeśli sami od dawna mieszkają gdzie indziej. Tae-woo pochodził z prowincji Chungchong Południowy, leżącej nad Morzem Żółtym, w zachodniej części półwyspu. W odróżnieniu od nieprzystępnych okolic Chongjinu, jest to gościnna kraina z sielskim pejzażem szmaragdowych pól ryżowych. Jego rodzinna wioska pod Seosanem składała się właściwie tylko z rzędu chałup zbudowanych na grobli przecinającej szachownicę poletek ryżu. W latach czterdziestych wszystko wytwarzano tam ze słomy i gliny, słomiane były nawet piłki, które

chłopcy kopali na drodze. Ryż żywił tę wioskę i był jej duszą. Jego uprawianie wymagało katorżniczej pracy. Od sadzenia po zbiór, wszystko robiło się ręcznie. We wsi nikt nie był bogaty, ale rodzinie Tae-woo powodziło się odrobinę lepiej niż innym. Mieszkali w nieco większej chacie krytej strzechą. Mieli dwa *pyongi* ziemi (koreańska jednostka powierzchni *pyong* odpowiada 65 arom) oraz mały młyn, w którym sąsiedzi mielili ryż i jęczmień. Dziadek Mi-ran dzięki wysokiemu statusowi mógł pozwolić sobie na dwie żony, co w tamtych czasach wciąż nie należało do rzadkości, choć tylko pierwsze małżeństwo było uznawane przez prawo. Tae-woo był pierworodnym dzieckiem drugiej żony i jej jedynym synem. Dwie młodsze siostry przepadały za nim i nie odstępowały go na krok, co budziło w nim irytację, a w jego kolegach – zachwyt, bo obie wyrosły na śliczne dziewczyny.

Tae-woo, mimo że nie był najwyższy, wśród kolegów grał pierwsze skrzypce. W zabawach w wojnę musiał być generałem. Chłopcy przezywali go Napoleonkiem. – Był stanowczy i szczery, więc wszyscy go słuchali – powiedział Lee Jong-hun, przyjaciel z dzieciństwa, który do dziś mieszka w rodzinnej wiosce Tae-woo. – I do tego bystry – dodał.

Po ukończeniu szkoły podstawowej Tae-woo, jak większość wiejskich chłopców, kontynuował naukę do piętnastego roku życia. W szkołach uczono w języku japońskim. Po aneksji Cesarstwa Koreańskiego przez Japonię w 1910 roku rozpoczęła się metodyczna japonizacja kraju. W pierwszych latach okupacji Japończycy zmusili starszych mężczyzn z wioski Tae-woo do obcięcia długich warkoczy, które zgodnie z nakazem koreańskiej tradycji upinali na głowie i przykrywali czarnymi kapeluszami. Zmuszono ich także do przyjęcia japońskich imion. W czasie drugiej wojny światowej okupanci nałożyli na chłopów wysoką kontrybucję, rekwirując co najmniej połowę zbiorów ryżu. Młodych mężczyzn masowo wywożono do Japonii i tam wcielano do armii albo do służb pomocniczych, młode Koreanki, eufemistycznie nazywane kobietami-pocieszycielkami, były zmuszane do prostytucji w japońskich wojskowych domach publicznych. Dla wieśniaków żyjących z upraw ryżu Japończycy byli znienawidzonymi panami losu.

15 sierpnia cesarz Hirohito ogłosił przez radio kapitulację Japonii. Gdy kilka dni później wieść dotarła do wioski, chłopcy pobiegli do pobliskich koszar, w których stacjonowali Japończycy. Okazało się, że żołnierze

uciekli w pośpiechu, zostawiając swoje rzeczy. Okupacja dobiegła końca. Chłopi nie mieli pieniędzy, żeby to uczcić, ale rozradowani wylegli na ulice.

– *Mansei Chosun!* – wiwatowali. – Niech żyje Korea!

Koreańczycy wierzyli, że wreszcie znów będą decydować o sobie. Że odzyskają ojczyznę.

Kiedy cesarz Japonii wygłaszał orędzie radiowe, dwóch młodych oficerów amerykańskich pochylało się w Waszyngtonie nad mapą Korei. Zastanawiali się, co począć z tym krajem. Waszyngton niewiele wiedział o tej dalekiej japońskiej kolonii. Podczas gdy dla Niemiec i Japonii opracowywano szczegółowe plany powojennej okupacji, Korei nikt nie poświęcał większej uwagi. Po pospiesznym wycofaniu się Japończyków, którzy panowali na Półwyspie Koreańskim przez trzydzieści pięć lat, mogła się tam wytworzyć polityczna próżnia. Stany Zjednoczone obawiały się, że Związek Radziecki mógłby wchłonąć Koreę, by rozwijać na Dalekim Wschodzie ekspansję, której prawdziwym celem byłaby Japonia. Waszyngton coraz mniej ufał swojemu wojennemu sojusznikowi. Armia Czerwona wkroczyła od północy na Półwysep Koreański tydzień przed kapitulacją japońską i nic nie stało na przeszkodzie jej marszowi w głąb kraju. Amerykanie postanowili zatrzymać Sowietów, oddając im kontrolę nad północną częścią Korei w ramach tymczasowego rozejmu. Dwaj wspomniani oficerowie – jednym z nich był Dean Rusk, przyszły sekretarz stanu – chcieli, by Seul znalazł się w sektorze amerykańskim. Szukając dogodnej linii demarkacyjnej, uznali, że najlepiej będzie ją wyznaczyć wzdłuż trzydziestego ósmego równoleżnika.

Ten podział Korei nie miał uzasadnienia historycznego ani geograficznego, był arbitralny i sztuczny. Półwysep Koreański, oblany od wschodu Morzem Japońskim, a od zachodu Morzem Żółtym, niczym duży palec wystający z Chin, jest od nich oddzielony rzekami Amnok (Yalu) i Tumen. Przez tysiąc trzysta lat poprzedzających okupację japońską Korea była zjednoczonym państwem pod panowaniem dynastii Chosun – jedną z najdłużej istniejących monarchii w historii świata. Wcześniej o władzę nad półwyspem rywalizowały trzy królestwa. Polityczne rozłamy dokonywały się zazwyczaj na osi północ–południe, wschodnia część kraju w sposób naturalny ciążyła bowiem ku Japonii, a jego zachód – ku Chinom. Podział półwyspu wzdłuż linii równoleżnikowej został narzucony całkowicie z zewnątrz, wymyślono go i zatwierdzono w Waszyngtonie bez

najmniejszego udziału Koreańczyków. Podobno ówczesny sekretarz stanu Edward Stettinius musiał pytać swojego podwładnego, gdzie leży Korea.

Podział kraju rozwścieczył Koreańczyków nie mniej niż Niemców. Ci pierwsi nie byli jednak w wojnie światowej agresorami, lecz ofiarami. Po jej zakończeniu lubili mówić o sobie z lekceważącym dystansem, że są „krewetkami wśród wielorybów", wydanymi na pastwę ścierających się supermocarstw.

Żadne z nich nie zamierzało ustąpić i dopuścić do powstania niezależnej Korei. W jej podzielonym społeczeństwie, w którym istniało kilkanaście ugrupowań politycznych, silne były sympatie prokomunistyczne. Wyznaczona na mapie tymczasowa linia demarkacyjna szybko stała się faktem dokonanym. W 1948 roku została proklamowana Republika Korei[3] (Południowej), w której prezydenturę objął siedemdziesięciojednoletni Syngman Rhee (Li Syng Man), twardy konserwatysta z doktoratem uzyskanym w Princeton. Powstanie Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej ogłosił wkrótce na północy Kim Ir Sen, który wywodził się z antyjapońskiej partyzantki wspieranej przez Moskwę. Na dwustukilometrowej linii demarkacyjnej wzdłuż trzydziestego ósmego równoleżnika powstał szeroki na cztery kilometry pas zasieków, okopów, bunkrów, fos, pułapek przeciwpancernych, stanowisk artyleryjskich i min.

Ponieważ każda ze stron uważała się za prawowitą władzę w Korei, wojna była nieunikniona. W niedzielę 25 czerwca 1950 roku nad ranem wojska Kim Ir Sena przekroczyły granicę w sowieckich czołgach. Komuniści wkrótce zdobyli Seul i w szybkim marszu na południe podbili cały kraj z wyjątkiem „worka pusańskiego", niewielkiej enklawy wokół Pusanu, portowego miasta na wschodzie. Śmiały desant czterdziestu tysięcy żołnierzy amerykańskich pod dowództwem generała Douglasa MacArthura, przeprowadzony we wrześniu w pobliżu miasta Incheon, przechylił szalę zwycięstwa. W koalicji ONZ oprócz Stanów Zjednoczonych po stronie Korei Południowej walczyły kontyngenty wojskowe piętnastu państw, między innymi Wielkiej Brytanii, Australii, Kanady, Francji i Holandii. Po odbiciu Seulu i szybkim marszu wojsk oenzetowskich na północ pod ich kontrolą znalazła się prawie cała Korea. Gdy siły koalicji zbliżały się nad rzekę Yalu, do wojny wkroczyła komunistyczna armia chińska. Walki, które toczyły się jeszcze przez dwa lata, doprowadziły do impasu militarnego. Zakończona rozejmem z 27 lipca 1953 roku wojna pochłonęła blisko trzy miliony ofiar i obróciła Koreę w gruzy. Granica została ponownie ustalona mniej więcej na

linii trzydziestego ósmego równoleżnika. Nawet według wątpliwych standardów dwudziestowiecznych ta wojna była bezsensowna, a jej zakończenie nie zadowoliło nikogo.

W czasie komunistycznej inwazji Tae-woo miał osiemnaście lat. Po śmierci ojca, który zmarł przed wojną, został głową rodziny, opiekunem matki i sióstr. Korea Południowa z jej sześćdziesięciotysięczną armią nie była przygotowana do odparcia ataku czterokrotnie liczniejszych wojsk Północy. Południe mobilizowało wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Część chłopów uprawiających ryż sprzyjała komunistom, którzy według pogłosek mieli rozdawać ziemię. Sytuacja gospodarcza na wsi nie poprawiła się po klęsce Japonii. Ale większość młodych mężczyzn była apolityczna.

– W tamtych czasach nie odróżnialiśmy lewicy od prawicy – powiedział Lee Jong-hun. Niezależnie od przekonań politycznych, nie mieli oni wyboru: zostali zwerbowani do południowokoreańskiej armii.

Tae-woo awansował na sierżanta. Jego jednostka stoczyła ostatnią bitwę w pobliżu wioski Kimhwa, trzydzieści pięć kilometrów na północ od trzydziestego ósmego równoleżnika. Kimwha (przemianowana później na Kumhwę) była jednym z wierzchołków „żelaznego trójkąta” – tak wojskowi amerykańscy nazywali otoczoną granitowymi górami strategiczną dolinę. Pozostałe wierzchołki trójkąta wyznaczały miasta Pjongjang i Chorwon. W końcowym okresie wojny, gdy w obliczu zbliżającego się rozejmu Chińczycy próbowali odeprzeć przeciwnika jak najdalej na południe, toczyły się tam wyjątkowo zacięte walki. Nocą 13 lipca 1953 roku trzy chińskie dywizje liczące około sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy przypuściły nieoczekiwany szturm na siły ONZ i Korei Południowej. Około wpół do ósmej wieczorem komuniści rozpoczęli bombardowanie pozycji wroga, około dziesiątej wystrzelili race, by ten zobaczył „wzgórza i doliny ożywające tysiącami żołnierzy”, jak pisał później jeden z Amerykanów. Sygnałówki trąbiły ze wszystkich stron, w świetle rac widać było atakujących Chińczyków. „Nie wierzyliśmy własnym oczom. To była scena jak z filmu”, wspominał po latach były żołnierz południowokoreański. Od tygodnia nieustannie padało, wzgórza „spływały krwią i wodą”.

Tae-woo, przydzielony do służb medycznych, dźwigał nosze z rannym kolegą, gdy jego jednostkę otoczyli Chińczycy. Dwa tygodnie przed podpisaniem rozejmu wraz z około pięciuset żołnierzami Dywizji Stołecznej armii Korei Południowej[4] trafił do niewoli.

Zakończył się południowokoreański rozdział jego życia. Ojciec Mi-ran nigdy nie opowiadał o swoich przejściach w niewoli. Można przypuszczać, że jego los nie różnił się od doświadczeń innych jeńców wojennych pojmanych przez komunistów. Jeden z nich, Huh Jae-suk, który później zdołał uciec z Korei Północnej, opisał we wspomnieniach warunki panujące w obozie. Jeńcy, którym nie pozwalano się myć, cierpieli na wszawicę, ich nieopatrzone rany roiły się od robactwa, raz dziennie dostawali ryż i słoną wodę.

Po zawieszeniu broni komuniści zwolnili w ramach wymiany 12 773 jeńców, w tym 7862 Koreańczyków z Południa. Tysiące, być może dziesiątki tysięcy żołnierzy, wśród których był Tae-woo, nie wróciły do domu. Jak opisuje Huh, na dworcu w Pjongjangu ładowano ich do pociągów, myśleli więc, że wracają na południe, ale wywożono ich w odwrotnym kierunku, do bogatych w węgiel rejonów górskich blisko granicy z Chinami. Przy tamtejszych kopalniach powstały obozy jenieckie podległe tak zwanemu wydziałowi budowlanemu ministerstwa spraw wewnętrznych. Praca w północnokoreańskim górnictwie węglowym jest nie tylko brudna, lecz także wyjątkowo niebezpieczna z powodu częstych zawałów i pożarów w kopalniach. „Życie jeńca było tańsze niż życie muchy – pisał Huh. – Dzień w dzień, gdy schodziliśmy na dół, drżałem ze strachu. Czułem się jak krowa prowadzona do rzeźni, nigdy nie wiedziałem, czy ujdę z życiem”.

W 1956 roku władze KRLD wydały dekret, który umożliwiał południowokoreańskim jeńcom wojennym otrzymanie obywatelstwa Korei Północnej. Oznaczało to dla nich, że najgorsze mają za sobą, ale nigdy nie wrócą do domu. Tym najgorszym była praca w pospiesznie budowanych kopalniach węgla. Tae-woo został skierowany do kopalni rudy żelaza w Musanie, zapylonym miasteczku w prowincji Hamgyong Północny, tuż przy granicy chińskiej. Wszyscy mężczyźni pracujący w tej kopalni byli południowokoreańskimi jeńcami. Zakwaterowano ich w hotelu robotniczym.

Pracowała w nim kobieta, niezamężna dziewiętnastolatka – czyli praktycznie stara panna, zbyt koścista, by uchodzić za ładną. Było jednak coś atrakcyjnego w jej stanowczości; silna fizycznie, dziewczyna emanowała także siłą charakteru. Chciała wyjść za mąż choćby po to, by wyprowadzić się od matki i siostry. Po wojnie brakowało kandydatów do małżeństwa. Kierownik hotelu przedstawił ją Tae-woo. Kandydat nie

przewyższał jej wzrostem i był brudny od pyłu, ale ujął ją delikatnym głosem dżentelmena. Młody i samotny, wzbudził jej współczucie. Pobrali się przed upływem roku.

Tae-woo szybko przystosował się do życia w Korei Północnej. Mógł się tam łatwo wtopić. Koreańczycy to *hana nara* – jeden naród, jak lubią powiadać o sobie. Gardłową wymowę mieszkańców Pjongjangu często wyśmiewa się i porównuje do sposobu mówienia w Pusanie. W chaosie wojennym ludność Korei przemieszała się całkowicie. Ze strachu przed komunistycznymi prześladowaniami, z północy kraju uciekły na południe tysiące ludzi, przede wszystkim posiadacze ziemscy, przedsiębiorcy, duchowni chrześcijańscy i japońscy kolaboranci. W odwrotnym kierunku, choć na mniejszą skalę, migrowali zwolennicy komunizmu. Niezliczone rzesze ludzi uciekały, by nie znaleźć się w ogniu walk na przesuwających się frontach.

Koreańczyka z Północy niełatwo było odróżnić od tego z Południa. Niedługo po ślubie Tae-woo został przeniesiony wraz z żoną do kopalni pod miastem Chongjin, gdzie nikt go nie znał. Nie było powodów, by snuć domysły co do jego pochodzenia, ale osobliwość Korei Północnej polegała na tym, że tam nigdy nie można było zatrzeć za sobą śladów.

Po wojnie Kim Ir Sen postanowił przede wszystkim rozprawić się z wrogami. Zaczął od góry, od potencjalnych rywali w walce o władzę. Pozbył się wielu spośród dawnych towarzyszy broni, którzy razem z nim bili się w Mandżurii z Japończykami. Kazał też aresztować założycieli partii komunistycznej w Korei Południowej. W czasie wojny byli oni bezcennymi sojusznikami, teraz stali się zbędni i można ich było zlikwidować. Kolejne czystki w latach pięćdziesiątych sprawiły, że Korea coraz bardziej przypominała dawne cesarstwo chińskie, z Kim Ir Senem jako niepodzielnym władcą.

Potem wódz zajął się zwykłymi ludźmi. W 1958 roku w ramach ambitnego przedsięwzięcia przebudowy społecznej nakazał dokładnie sklasyfikować wszystkich mieszkańców Korei Północnej pod względem ich wiarygodności politycznej. W Chinach w czasie rewolucji kulturalnej przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy hunwejbini z Czerwonej Gwardii niszczyli „popleczników kapitalizmu”, terror doprowadził do chaosu, a sąsiad donosił na sąsiada. Reżim północnokoreański postępował natomiast niezwykle metodycznie. Wszyscy obywatele podlegali ośmioetapowej kontroli pochodzenia. *Songbun*, czyli

kategoria, do której przypisywano jednostkę, zależała od pochodzenia rodziców, dziadków, a nawet kuzynów drugiego stopnia. Badaniom lojalności przyświecały górnolotne hasła: początkowo prowadzono je w imię „wzmocnienia przewodniej roli Partii", w następnych fazach działania klasyfikacyjne były bardziej wnikliwe. Na przykład te prowadzone w latach 1972–1974 miały służyć „wszechstronnej analizie ludnościowej"[5].

Chociaż procesowi temu towarzyszyła dwudziestowieczna retoryka inżynierii społecznej, doprowadził on do odtworzenia hierarchicznej, quasi-feudalnej struktury, podobnej do tej, która istniała w Korei od wieków. Dawny koreański system kastowy był niemal tak samo sztywny jak w Indiach. Szlachetnie urodzeni nosili białe koszule i wysokie czarne kapelusze z końskiego włosia, a niewolnicy – drewniane tabliczki na szyi. Dawna struktura społeczna opierała się w dużej mierze na naukach Konfucjusza, który uważał, że wśród ludzi powinien panować ścisły porządek hierarchiczny. Kim Ir Sen połączył stalinizm z zaczerpniętymi wybiórczo elementami konfucjanizmu. Wierzchołek piramidy społecznej, zamiast cesarza, zajmował on i jego rodzina. Hierarchiczne społeczeństwo dzieliło się na pięćdziesiąt jeden kategorii, należących do trzech klas: właściwej, chwiejnej i wrogiej.

Do klasy wrogiej zaliczali się *kiseang* (kobiety biegłe w sztukach, które – podobnie jak japońskie gejsze – mogły oferować zamożnym klientom nieco więcej) i *mudang* (szamani, którzy również w okresie cesarskim zajmowali niską pozycję w hierarchii społecznej). Należeli do niej także wszyscy podejrzani politycznie. Jak czytamy w raporcie dotyczącym łamania praw człowieka w KRLD, sporządzonym na podstawie relacji uciekinierów do Korei Południowej, byli to:

> Ludzie pochodzący z zamożnych rodzin chłopskich, z rodzin kupców, przemysłowców, posiadaczy ziemskich oraz tych, którym skonfiskowano majątek; ludzie o sympatiach projapońskich i proamerykańskich; reakcyjni urzędnicy; uciekinierzy z Południa […] buddyści, katolicy, osoby pozbawione stanowisk publicznych, ludzie, którzy w czasie wojny wspierali Koreę Południową.

Tae-woo jako były żołnierz południowokoreański plasował się w tej strukturze nisko – ale jeszcze niżej byli dożywotni więźniowie obozów pracy (około dwustu tysięcy ludzi, czyli jeden procent społeczeństwa) wzorowanych na sowieckim Gułagu. Ludzi należących do niskich kategorii obejmował zakaz zamieszkania w reprezentacyjnym stołecznym Pjongjangu oraz na stosunkowo żyznym i ciepłym południu kraju. Tae-woo nie miał też

co marzyć o wstąpieniu do partii, która – podobnie jak w komunistycznych Chinach – zmonopolizowała dostęp do atrakcyjnych posad.

Obywatele jego pokroju byli też pilnie obserwowani przez sąsiadów. Mieszkańcy Korei Północnej należą do wspólnot sąsiedzkich zwanych *inminban* – co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „grupę ludową”. *Inminban* tworzy około dwudziestu rodzin, których członkowie muszą mieć się wzajemnie na oku i przestrzegać reguł życia sąsiedzkiego. Każdy *inminban* wybiera przewodniczącego – funkcję tę pełni najczęściej kobieta w średnim wieku – który ma informować władze wyższego szczebla o wszystkim, co wydaje się podejrzane. Ludzie o niskiej pozycji społecznej właściwie nie mają szans na poprawę swojego statusu. Teczki osobowe są przechowywane w lokalnych delegaturach Agencji Bezpieczeństwa Państwa[6], a ich kopie, na wszelki wypadek – żeby nikt nie ważył się pomyśleć o zaglądaniu do papierów – w archiwach znajdujących się górskiej prowincji Yanggang. Jeśli w hierarchii społecznej obserwujemy jakikolwiek ruch, to jest to ruch w dół. Za nieodpowiednie zachowanie grozi wykluczenie nawet z klasy właściwej, do której należą wyłącznie ludzie spokrewnieni z rodziną panującą i nomenklatura partyjna. Ale przypisanie do wrogiej klasy jest dożywotnie, a związane z tym piętno – nieusuwalne. Tak jak w dawnej Korei dziedziczyło się status kastowy, w KRLD dziedziczy się przynależność klasową. Grzechy ojca przechodzą na dzieci i wnuki.

W Korei Północnej ludzie nieczyści, z piętnem „nieczystej krwi”, zwani są *beulsun.*

Mi-ran i jej czwórka rodzeństwa odziedziczyli nieczystą krew. Dlatego musieli pogodzić się z tym, że tak samo jak ich ojciec mają ograniczone możliwości życiowe.

W dzieciństwie Mi-ran nie zdawała sobie sprawy z piętna, którym została naznaczona jeszcze przed urodzeniem. Rodzice uznali, że najlepiej będzie nie mówić dzieciom o południowokoreańskim pochodzeniu ojca. Po co obciążać je wiedzą, że nie będą miały wstępu na dobre uczelnie, nie dostaną przyzwoitej pracy, że szybko dojdą do ściany? Gdyby o tym wiedziały, czy przykładałyby się do nauki, ćwiczyły grę na instrumentach, rywalizowały w sporcie?

Obywateli nie powiadamia się o przypisanej im kategorii. To, że z ich rodziną jest coś nie w porządku, początkowo nie było dla dzieci oczywiste, choć zaczęły one dostrzegać u ojca osobliwe cechy. Był samotnikiem i zdawał się dźwigać jakiś ciężar. Nie miał krewnych. Nie tylko nie

rozmawiał o przeszłości, ale niemal w ogóle się nie odzywał. Na pytania odpowiadał monosylabami i szeptem. Odprężał się, gdy miał ręce zajęte robotą, gdy w skupieniu coś naprawiał, bo praca stawała się pretekstem do milczenia.

Po chłopcu, który przewodził kolegom i grał generała, nie pozostał nawet ślad. W jego imieniu zawsze mówiła żona, po której dziewczynki odziedziczyły wzrost i siłę fizyczną. Gdy trzeba było zdyscyplinować któreś z dzieci albo załatwić jakąś sprawę z sąsiadem, robiła to matka. Jeśli ojciec miał swoje zdanie, to zachowywał je tylko dla siebie. Czasem, kiedy udało mu się dostać gazetę, a w Korei Północnej był to luksus, czytał ją w milczeniu w świetle jedynej, czterdziestowatowej żarówki, jaką mieli w domu. Nie zdradzał się z tym, co myśli o ostatnich wielkich czynach Kim Ir Sena, o których pisano w oficjalnym organie prasowym partii „Rodong Sinmun" albo w lokalnym dzienniku „Hambuk". Czy w nie wierzył? Czy wierzył w Koreę Północną?

Bierność ojca często irytowała Mi-ran. Dopiero później zrozumiała, że była jego sposobem na przetrwanie. Sprawiał wrażenie człowieka, który zdusił własną osobowość, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi. Spośród tysięcy byłych żołnierzy południowokoreańskich pragnących przystosować się do życia na Północy wielu poniosło klęskę. Matka opowiedziała jej później, że czterech kolegów ojca z kopalni stracono za drobne przewinienia i pochowano w zbiorowym grobie. Wróg klasowy nie mógł oczekiwać litości, nic go nie usprawiedliwiało. Gdyby pozwolił sobie na cień sarkazmu pod adresem Kim Ir Sena czy jakąś nostalgiczną uwagę o Korei Południowej, spotkałyby go bardzo poważne konsekwencje. Nie wolno było mówić zwłaszcza o wojnie koreańskiej i o tym, kto ją zaczął. Zgodnie z wersją oficjalną (a w KRLD istniała wyłącznie taka wersja historii) to nie komuniści przedarli się pierwsi przez trzydziesty ósmy równoleżnik, lecz Północ została zaatakowana przez posłuszną Amerykanom armię Korei Południowej. „Imperialiści amerykańscy nakazali marionetkowej klice Syngmana Rhee rozpętać wojnę koreańską" – pisał „Rodong Sinmun". Jeśli ktoś pamiętał, co się naprawdę wydarzyło 25 czerwca 1950 roku (a czy Koreańczycy mogli o tym zapomnieć?), to wiedział, że usta trzeba trzymać zamknięte na kłódkę.

Na pierwsze poważne przeszkody związane z pochodzeniem ich ojca dzieci natrafiły, gdy miały kilkanaście lat. Po ukończeniu obowiązkowej podstawówki piętnastolatkowie ubiegają się o przyjęcie do szkół średnich.

Ci, którzy się do nich nie dostaną, są kierowani do pracy w fabrykach i kopalniach. Ale rodzeństwo Mi-ran było przekonane, że będzie mogło kontynuować naukę. Byli zdolni, ładni, wysportowani, lubiani przez nauczycieli i kolegów. Gdyby nie mieli tych zalet, łatwiej pogodziliby się z odrzuceniem.

Mi-hee, najstarsza z sióstr, miała piękny sopranowy głos. Kiedy śpiewała ukochane przez Koreańczyków rzewne piosenki ludowe albo pieśni na cześć Kim Ir Sena, sąsiedzi schodzili się, żeby jej posłuchać. Często występowała też na publicznych uroczystościach. W Korei, gdzie niewielu ludzi ma odtwarzacze stereo, wysoko ceni się talent wokalny. Do tego Mi-hee była tak śliczna, że pewien artysta postanowił narysować jej portret. Była pewna, że dostanie się do szkoły muzycznej. Kiedy jej nie przyjęto, przepłakała wiele dni. Matka, choć wiedziała, jaka jest tego przyczyna, wybrała się do szkoły, by poprosić o wyjaśnienie. Dyrektorka była życzliwa, ale nie mogła pomóc Mi-hee. Powiedziała, że do jej szkoły przyjmuje się wyłącznie dzieci z lepszym *songbun.*

Mi-ran, inaczej niż starsze siostry, nie odznaczała się talentami artystycznymi czy sportowymi, ale dobrze się uczyła i była piękna. Gdy miała piętnaście lat, do jej szkoły przyszła grupa srogo spoglądających mężczyzn i kobiet w ciemnych strojach. To byli *okwa,* funkcjonariusze wydziału piątego prezydium Partii Pracy, którzy przemierzali kraj w poszukiwaniu młodych dziewcząt do świty Kim Ir Sena i Kim Dzongila. Wybranki kierowano na obóz szkoleniowy o wojskowym drylu, a następnie rozwożono po licznych rezydencjach przywódców. Dziewczyny przyjęte do pracy nie mogły jeździć do domu, ale ich rodziny dostawały drogie podarunki. Nie wiadomo dokładnie, na czym polegała ich praca. Jedne, mówiło się, miały być sekretarkami, służącymi albo damami do towarzystwa, o innych krążyły słuchy, że zostały nałożnicami. Mi-ran dowiedziała się tego wszystkiego od koleżanki, której kuzynka znalazła się wśród wybranek.

– No wiesz, Kim Dzongil i Kim Ir Sen też są mężczyznami, jak wszyscy – powiedziała jej szeptem przyjaciółka. Mi-ran ze zrozumieniem pokiwała głową, bo wstyd było jej się przyznać, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Jej północnokoreańskie rówieśnice nie wiedziały, kim jest nałożnica, ale były święcie przekonane, że służba przywódcom jest niezmiernym zaszczytem. Rekrutowano do niej najbystrzejsze i najładniejsze dziewczyny.

Werbownicy chodzili po klasie, a uczennice czekały wyprostowane na swoich miejscach. Siedziały po dwie w ławkach ustawionych w długie rzędy. Mi-ran miała na sobie szkolny mundurek. Co jakiś czas przystawali w przejściu, żeby się którejś lepiej przypatrzyć. Zatrzymali się przy ławce Mi-ran.

– Wstań! – usłyszała. Zaprowadzili ją do pokoju nauczycielskiego. Tam już czekały cztery dziewczynki. Obejrzeli jej akta i ją zmierzyli. Miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i była jedną z najwyższych dziewczynek w klasie. Zasypali ją pytaniami. Jakie ma stopnie? Które przedmioty lubi najbardziej? Czy na coś choruje? Odpowiadała spokojnie i miała wrażenie, że wypadła dobrze.

Więcej się jednak do niej nie odezwali. Nie żeby bardzo chciała się rozstać z rodziną, ale odrzucenie zawsze boli.

W tym okresie dzieci zapewne zrozumiały już, że problemem jest ich pochodzenie. Zaczęły się domyślać, że ojciec, który na Północy nie miał żadnych krewnych, pochodzi z Południa, ale nie wiedziały, w jakich okolicznościach znalazł się w KRLD. Przypuszczały, że był żarliwym komunistą i bohatersko przedarł się przez granicę, żeby wstąpić do armii Kim Ir Sena. Prawda wyszła wreszcie na jaw za sprawą najmłodszego brata. Sok-ju, poważny chłopak o wiecznie ściągniętych brwiach, przez wiele miesięcy przygotowywał się pilnie do egzaminu wstępnego do kolegium nauczycielskiego. Odpowiedział doskonale na wszystkie pytania. Kiedy komisja oznajmiła mu, że nie zdał, zdenerwowany zażądał wyjaśnień.

Prawda okazała się wstrząsająca. Dzieciom skutecznie wpojono oficjalną wersję historii. Amerykanie byli w niej wcieleniem zła, a Koreańczycy z Południa – ich żałosnymi sługusami. Naoglądały się zdjęć pokazujących straszliwe zniszczenia ojczyzny po amerykańskich nalotach. Nasłuchały się o okrucieństwach amerykańskich i południowokoreańskich żołdaków, którzy zakłuwali bagnetami bezbronnych cywili. W podręcznikach naczytały się o wrogu, który ich rodaków palił, miażdżył, rozstrzeliwał i truł. Dlatego nie potrafiły uporać się z myślą, że ich własny ojciec jest Koreańczykiem z Południa, który walczył po stronie jankesów. Sok-ju po raz pierwszy w życiu się wtedy upił. Uciekł z domu. Przez dwa tygodnie mieszkał u przyjaciela i wrócił dopiero, gdy ten zdołał go do tego przekonać.

– Przecież w końcu to jest twój ojciec – powtarzał. Sok-ju wziął sobie jego słowa do serca. Jak każdy Koreańczyk, a tym bardziej jako jedyny syn

w rodzinie, wiedział, że ojca należy szanować. Po powrocie do domu na kolanach błagał go o przebaczenie. Po raz pierwszy zobaczył wtedy, jak ojciec płacze.

Dzieci późno odkryły prawdę o nim. Kto wie, czy nie poznały jej jako ostatnie. W sąsiedztwie od dawna krążyły słuchy, że Tae-woo jest byłym żołnierzem południowokoreańskim, a wspólnota *inminban* miała bacznie obserwować jego rodzinę. Jun-sang dowiedział się, jak ma na imię dziewczyna wypatrzona w kinie, lecz niemal równocześnie doszły go plotki o jej ojcu. Zdawał więc sobie sprawę, że związek z kimś takim jak Mi-ran może mu zniszczyć przyszłość. Choć nie był tchórzem, został jak wszyscy w Korei Północnej wychowany w tradycji konfucjańskiej, która nakazywała synowskie posłuszeństwo. Wpojono mu, że wolę ojca trzeba bezwzględnie spełniać, a ojciec pragnął, by Jun-sang studiował na uniwersytecie w Pjongjangu. Do tego nie wystarczały celujące oceny, konieczne było także wzorowe zachowanie. Najmniejsze uchybienie wszystko by przekreśliło, zwłaszcza że również jego rodzina miała problemy związane z pochodzeniem.

Obydwoje rodzice Jun-sanga urodzili się w Japonii, gdzie pod koniec drugiej wojny światowej żyły dwa miliony Koreańczyków. Elity wyjeżdżały tam na studia, inni zostali do Japonii przymusowo przesiedleni, by wesprzeć ją w wysiłku wojennym, część przyjechała za chlebem. Niektórzy się dorobili, ale mimo to zaliczali się do pogardzanej mniejszości. Tęsknili za ojczyzną i chcieli do niej wrócić. Ale do której ojczyzny? Gdy powstały dwa państwa, emigracja koreańska w Japonii podzieliła się na tych, którzy popierali Koreę Południową, i zwolenników Północy. Ci ostatni byli związani ze Stowarzyszeniem Koreańczyków w Japonii, działającym pod japońską nazwą Chosen Soren.

Wierzyli oni, że prawdziwą ojczyzną jest Korea Północna, która zerwała ze spuścizną japońskiego kolonializmu, podczas gdy w proamerykańskim rządzie Syngmana Rhee nie brakowało dawnych kolaborantów. Do późnych lat sześćdziesiątych wydawało się również, że Północ ma znacznie silniejszą gospodarkę niż Południe. Propaganda północnokoreańska sprzedawała obraz raju na ziemi: KRLD rozkwita cudownie pod mądrym przewodnictwem Kim Ir Sena, dzieci o różowych policzkach bawią się w polu, a nowiutkie maszyny rolnicze zbierają obfity plon. Jaskrawe plakaty utrzymane w tym stylu łatwo dziś odrzucić jako socrealistyczny kicz, ale wtedy wielu ludziom trafiały do przekonania.

Ponad osiemdziesiąt tysięcy Koreańczyków, w tym dziadkowie Jun-sanga, dało się uwieść tej propagandzie. Dziadek ze strony ojca należał w Japonii do partii komunistycznej i za poglądy siedział nawet przez pewien czas w tamtejszym więzieniu. Sam zbyt stary i słaby, by przydać się ojczyźnie, wysłał do niej najstarszego syna. Ojciec Jun-sanga przybił do brzegu nowego wspaniałego świata w 1962 roku po dwudziestojednogodzinnej podróży promem przez Morze Japońskie. Był inżynierem, a kraj bardzo potrzebował ludzi z jego kwalifikacjami. Został skierowany do pracy w fabryce pod Chongjinem. Kilka lat później poznał młodą, szykowną kobietę, która przyjechała z Japonii z rodzicami mniej więcej w tym samym czasie co on. Choć niezbyt atrakcyjny fizycznie, o spadzistych ramionach i dziobatej twarzy, był inteligentny i wykształcony. W jego rodzinie powiadano, że wygląda jak pirat, ale mówi jak poeta. O tę subtelną piękność zabiegał delikatnie, lecz wytrwale, aż zgodziła się go poślubić.

Dzięki pieniądzom przywiezionym z Japonii rodzice Jun-sanga zdołali zapewnić sobie w Korei Północnej lepszy byt niż większość rodaków. Zamieszkali w wolnostojącym domu – co było luksusem, tym większym, że w ogródku mogli hodować warzywa. Mieszkańcy Północy do lat dziewięćdziesiątych nie mogli uprawiać prywatnych działek. W domu mieli pięć solidnych drewnianych szaf pełnych eleganckich kap i ubrań z Japonii. (W Korei Północnej, jak w wielu krajach Azji, ludzie sypiają na matach rozkładanych na podłodze, które zwija się i chowa na dzień). Liczba szaf była na Północy popularnym wskaźnikiem poziomu zamożności. Pięć świadczyło o dobrobycie. Rodzina Jun-sanga miała także więcej sprzętów niż sąsiedzi: elektryczny wiatrak, telewizor, maszynę do szycia, ośmiościeżkowy magnetofon, aparat fotograficzny, a nawet lodówkę, która w kraju, gdzie niemal nikt nie miał zapasów jedzenia do przechowywania w chłodzie, stanowiła prawdziwą rzadkość.

Jeszcze większym dziwem był jednak ich domowy pies: koreańskiej rasy *poonsang*, biały i kudłaty, podobny do szpica. Chociaż na wsi hodowano czasem psy na mięso, używane przede wszystkim do pikantnej, duszonej potrawy *boshintang*, pies mieszkający pod jednym dachem z ludźmi budził zdumienie. Bo kto by sobie mógł pozwolić na jeszcze jedną „gębę” do wyżywienia?

Koreańscy reemigranci z Japonii, zwani *kitachosenjin*, od Kita Chosen, japońskiej nazwy Korei Północnej, rzeczywiście żyli w osobnym świecie.

Odróżniali się akcentem i najczęściej pobierali między sobą. Chociaż według standardów japońskich daleko im było do dobrobytu, w KRLD cieszyli się względną zamożnością. Przywieźli tam skórzane buty i eleganckie wełniane swetry, podczas gdy ich rodacy chodzili w tekstylnym obuwiu i błyszczących ubraniach z tkanin syntetycznych. Krewni z Japonii systematycznie przysyłali im jeny, za które kupowali sprzęty domowe w specjalnych sklepach dewizowych. Niektórzy sprowadzili sobie nawet samochody, ale przy braku części zamiennych auta szybko przestawały jeździć i były przekazywane władzom. Przez całe lata bliscy z Japonii regularnie odwiedzali ich z pieniędzmi i podarunkami. Przypływali promem Mangyongbong-92, którego armatorem była proreżimowa organizacja Chosen Soren, a władze KRLD sprzyjały tym wizytom, bo dzięki nim zdobywały twardą walutę. Reżim pobierał bowiem część przywożonych pieniędzy. Mimo wysokiego statusu materialnego reemigranci zajmowali jednak niską pozycję w północnokoreańskiej hierarchii. Chociaż byli żarliwymi komunistami, którzy z przekonania zrezygnowali z wygodnego życia w Japonii, zaliczano ich do wrogiej klasy. Władze nie ufały nikomu, kto miał pieniądze i nie należał do partii. Przybysze z Japonii zaliczali się do wąskiej grupy mieszkańców KRLD, którym pozwalano na kontakty z zagranicą, co samo w sobie czyniło ich niegodnymi zaufania; siła reżimu opierała się przecież na izolacji społeczeństwa od świata zewnętrznego.

Reemigranci szybko tracili idealistyczne złudzenia. Niektórzy spośród tych, którzy wrócili do kraju jako pierwsi, listownie przestrzegali przed taką decyzją swych bliskich, ale władze cenzurowały i niszczyły korespondencję. Wielu japońskich Koreańczyków, w tym aktywiści Chosen Soren, padło ofiarą czystki na początku lat siedemdziesiątych: działaczy stracono, a ich rodziny wysłano do obozów.

Jun-sang podsłuchał szepczących o tym rodziców. Zaskoczonych ludzi zabierano późną nocą. Pod dom podjeżdżał samochód, a zatrzymywani w najlepszym razie dostawali godzinę albo dwie na spakowanie rzeczy. Jun-sang tak się przyzwyczaił do życia w strachu, że nawet nie umiał wyrazić go słowami, lecz lęk nie opuszczał go ani na chwilę. Odruchowo uważał na to, co mówi.

Nie chciał też wzbudzać zazdrości. W odróżnieniu od większości dzieci, które w ogóle nie miały skarpetek, nosił ciepłe wełniane skarpety z Japonii, ale nie chciał, żeby ktoś to zauważył, więc starannie obciągał nogawki spodni. Po latach porówna się do zalęknionego zwierzęcia o wielkich,

czujnie nastawionych uszach, wiecznie nasłuchującego, czy nie zbliża się nagonka.

U Jun-sanga w domu, mimo że wszyscy mieli ciepłe swetry, kołdry i drogie sprzęty, panowało nie mniejsze napięcie niż w rodzinie Mi-ran. Jego matka, która wyjeżdżała z Japonii jako ładna, ciesząca się powodzeniem nastolatka, z wiekiem stawała się coraz bardziej rozgoryczona i coraz bardziej tęskniła za utraconą młodością. Po urodzeniu czwórki dzieci zapadła na zdrowiu. Wieczorami ojciec Jun-sanga palił papierosy, wzdychając ponuro. Milczeli nie tyle z obawy, że ktoś ich może usłyszeć – wolnostojący domek oprócz innych wygód w jakiejś mierze zapewniał także prywatność – ale dlatego, że nie ośmielali się wypowiedzieć głośno własnych myśli. Nie umieli otwarcie się przyznać, że chcą wyjechać z socjalistycznego raju z powrotem do kapitalistycznej Japonii.

Więc w domu milczało się o tym, ale z każdym dniem rodzice utwierdzali się w przekonaniu, że przyjazd do Korei Północnej był straszliwym błędem. Skoro powrót do Japonii nie wchodził w rachubę, należało jak najlepiej ułożyć sobie życie na miejscu. Trzeba było podjąć próbę awansu społecznego w ramach istniejącego systemu. Nadzieje rodziny spoczęły na Jun-sangu. Jeśli dostanie się na uniwersytet w Pjongjangu, to być może zostanie przyjęty do partii, a ich burżuazyjno-japońska przeszłość odejdzie w niepamięć. Z powodu nieustannej presji Jun-sang stał się nerwowy i niezdecydowany. Nie umiał zapomnieć o dziewczynie, którą zobaczył przed seansem filmowym, i bił się z myślami, czy nawiązać z nią kontakt, ale nie potrafił się na to zdobyć.

Niezłomna komunistka



[49] Pancernik Missouri ostrzeliwuje Chongjin, październik 1950 roku

Pięćsettysięczny Chongjin to miasto otoczone złą sławą, gdzie życie jest trudne nawet według standardów północnokoreańskich. Zajmuje wąski pas ziemi wzdłuż brzegu Morza Japońskiego, przez Koreańczyków zwanego Wschodnim, zamknięty od lądu wijącym się, stromym granitowym łańcuchem górskim. Skaliste wybrzeże uderza surowym pięknem, a zimne, głębokie morze lśni, ale na tych nieprzystępnych wodach bez solidnej łodzi rybackiej nie da się bezpiecznie łowić. Zimą temperatura spada tu do minus dwudziestu stopni, górzysta i wietrzna okolica nie sprzyja rolnictwu. Ryż, który jest podstawą wyżywienia w Korei i nieodłącznie wiąże się z jej kulturą, można uprawiać jedynie na nisko położonych skrawkach ziemi nad morzem. W dawnej Korei bliskość władzy politycznej przesądzała o życiowym powodzeniu: w długiej tradycji azjatyckiej chłopi dążyli do tego, by porzucić wieś i znaleźć się jak najbliżej monarszego pałacu. Z Chongjinu, leżącego na dalekich północnych peryferiach Korei, bliżej jest do rosyjskiego Władywostoku niż do Pjongjangu. Nawet dzisiaj do odległej

o czterysta kilometrów stolicy jedzie się samochodem trzy dni niebezpiecznymi, krętymi, górskimi drogami bez twardej nawierzchni.

Za panowania dynastii Chosun, gdy stolica była jeszcze dalej, w miejscu dzisiejszego Seulu, nieposłusznego urzędnika, który zagniewał władcę, za karę zsyłano na obrzeża monarchii. Może więc także geny niepokornych przodków sprawiły, że mieszkańcy dzisiejszej prowincji Hamgyong Północny uchodzą za najbardziej hardych w całym kraju.

Ta najbardziej wysunięta na północ prowincja Korei, sięgająca rzeki Tumen i graniczą z Chinami i Rosją, do początków dwudziestego wieku była słabo zaludniona i pozbawiona znaczenia gospodarczego. Niewykluczone, że w dawnych stuleciach populacja tygrysów – wszechobecnych w koreańskich baśniach ludowych i wciąż jeszcze będących postrachem małych dzieci – przewyższała na tych terenach ludzką. Tutejsze tygrysy dawno jednak wyginęły. Wszystko odmieniła imperialistyczna ekspansja Japonii. Przez Hamgyong Północny wiódł szlak do Mandżurii, zaanektowanej przez Japonię w latach trzydziestych. Japończycy rozpoczęli także eksploatację prawie niewykorzystywanych wcześniej złóż węgla i rudy żelaza w pobliżu miasta Musan i zbudowali port, z którego wywozili do siebie wydobywane surowce. Mała wioska rybacka Chongjin (jej nazwa pochodzi od chińskiego zapisu oznaczającego „dogodny bród rzeczny”) zamieniła się w port handlowy przeładowujący do trzech milionów ton towarów rocznie. W jego sąsiedztwie powstały wielkie zakłady hutnicze, a na południe od nich Japończycy założyli miasto Nanam z siatką przecinających się prostopadle ulic i okazałymi nowoczesnymi budynkami. Stacjonowała w nim Dziewiętnasta Dywizja Piechoty Armii Cesarskiej, która uczestniczyła w inwazji na wschodnie Chiny. Wiele kilometrów dalej na południe Japończycy zbudowali także niemal od zera nadmorskie miasto Hamhung, wielki ośrodek przemysłu chemicznego, gdzie produkowano wszystko, od materiałów wybuchowych po nawozy sztuczne.

Zbombardowane w czasie kolejnych wojen japońskie fabryki na Północy zostały w latach pięćdziesiątych przejęte i odbudowane przez komunistów. Dawna japońska huta żelaza w Chongjinie stała się największym zakładem przemysłowym Korei Północnej. Kim Ir Sen przypisywał sobie zasługę uprzemysłowienia północno-wschodniej części kraju i szczycił się tym jako wielkim sukcesem gospodarczym. Mieszkańcy dzisiejszego Chongjinu niewiele wiedzą o historii miasta – które

rzeczywiście wydaje się pozbawione przeszłości – bo reżim komunistyczny nie zamierza przyznać, że w jego rozwoju mieli udział Japończycy. W latach siedemdziesiątych liczba ludności Chongjinu wynosiła dziewięćset tysięcy, co czyniło go drugim co do wielkości miastem w kraju. (Później liczba jego mieszkańców spadła, jak się szacuje, do pięciuset tysięcy, a miejsce Chongjinu na liście największych miast koreańskich zajął Hamhung).

Jako wielki ośrodek metalurgiczny, zwany „miastem stali", Chongjin miał ogromne znaczenie nie tylko gospodarcze, lecz także strategiczne. Fabryki w mieście produkowały zegarki, telewizory, tworzywa syntetyczne, maszyny i narzędzia, traktory, leki i broń. Zbudowano w nim stocznię, rozwinął się eksport krabów, kalmarów i ryb. W pojapońskich bazach wojskowych na wybrzeżu Korea Północna zbudowała skierowane na Japonię wyrzutnie rakietowe. Podczas gdy okoliczne wioski i osady górnicze pozostały miejscem zsyłki wrogów klasowych, takich jak ojciec Mi-ran, samo miasto trzeba było chronić przed niepewnym elementem. Reżim potrzebował w nim lojalnych kadr, które miały dopilnować, by Chongjin dochowywał wierności partii. Lokalna elita władzy żyła więc w pobliżu, choć nie w bezpośrednim sąsiedztwie, ludzi wyklętych. Stosunki między tymi dwiema przeciwstawnymi grupami w północnokoreańskiej hierarchii społecznej przesądzą o specyfice tego miasta.

Song Hee-Suk żarliwie wierzyła w komunizm. Pracowała w fabryce, miała czworo dzieci i była wzorową obywatelką. Z pełnym przekonaniem powtarzała hasła Kim Ir Sena i skrupulatnie przestrzegała przepisów. Oddaną bez reszty systemowi panią Song (która jak większość Koreanek z Północy nie przyjęła nazwiska po mężu) można by sobie świetnie wyobrazić jako bohaterkę propagandowego filmu. W młodości znakomicie pasowałaby do tej roli także fizycznie, uosabiała bowiem ideał północnokoreańskiej kobiecości. Producenci z wytwórni filmowej Kim Dzongila szukali aktorek w tym typie: twarz okrągła jak księżyc sprawiała wrażenie, że pani Song jest dobrze odżywiona, nawet jeśli było inaczej, z ustami w kształcie kokardki zawsze wyglądała radośnie, choć w rzeczywistości mogła być smutna. Mały nos i jasne spojrzenie budziły zaufanie, ale nie były to tylko pozory, bo pani Song naprawdę była uczciwa i szczera.

Choć system ją zawiódł, długo jeszcze zachowała niezachwianą wiarę, nie przyjmując tego do wiadomości.

– Za marszałka Kim Ir Sena i ojczyznę oddałabym życie bez wahania – powiedziała mi na naszym pierwszym spotkaniu.

Pani Song urodziła się w ostatnim dniu drugiej wojny światowej, 15 sierpnia 1945 roku. Wychowywała się niedaleko dworca kolejowego w Chongjinie, gdzie jej ojciec pracował jako mechanik. W czasie wojny koreańskiej, gdy siły ONZ pod amerykańskim dowództwem próbowały przerwać szlaki transportowe wzdłuż wybrzeża, by odciąć komunistów od zaopatrzenia, dworzec był wielokrotnie bombardowany. Pancernik Missouri i inne amerykańskie okręty wojenne obecne na Morzu Japońskim ostrzeliwały Chongjin oraz pozostałe miasta portowe. Dzieci przerażał ryk nadlatujących samolotów, które czasem schodziły tak nisko, że pani Song widziała twarze pilotów. Na dzień jej matka wyprowadzała szóstkę swoich małych dzieci do kryjówki w górach, nocą chowali się w wykopanym wspólnie przez sąsiadów schronie niedaleko domu. Drżąc pod cienkim kocem, pani Song tuliła się w przerażeniu do matki i rodzeństwa. Któregoś dnia matka zostawiła maluchy, żeby sprawdzić, co dzieje się u ich ojca. Poprzedniej nocy w czasie ciężkich nalotów doszczętnie zniszczono fabrykę taboru kolejowego. Po powrocie matka z płaczem rzuciła się na kolana i przyłożyła czoło do ziemi.

– Wasz ojciec nie żyje – załkała, zbierając swoją gromadkę.

Śmierć ojca uczyniła panią Song córką „męczennika poległego w wojnie o wyzwolenie Ojczyzny”. Dzieci dostały nawet odpowiednie zaświadczenie. Jego śmierć obudziła w niej także trwałą nienawiść do Ameryki, a ideologia jej kraju jest z gruntu antyamerykańska. Po smutnym dzieciństwie w wojennym chaosie pani Song z ulgą przyjęła nowy porządek, jaki zapanował w jej życiu dzięki Partii Pracy. Była biedna, więc bez trudu identyfikowała się z prześladowanymi, dla dobra których walczył Kim Ir Sen. Dziewczynie o tak niezłomnej postawie komunistki trzeba było znaleźć odpowiedniego kandydata na męża. Zadbał o to pewien aparatczyk. Pretendujący do jej ręki Chang-bo też, rzecz jasna, należał do partii – pani Song nie wyobrażała sobie nawet, żeby mogło być inaczej. W czasie wojny jego ojciec służył krajowi w wywiadzie, młodszy brat pracował w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego[7]. Chang-bo, który ukończył Uniwersytet imienia Kim Ir Sena, rozpoczął karierę dziennikarską. Zawód ten cieszył się w Korei Północnej wysokim prestiżem, a dziennikarze byli tubą sytemu. „Ci, którzy potrafią wyrazić na piśmie intencje naszej partii, są bohaterami” – powiedział Kim Dzongil.

Chang-bo był mężczyzną mocno zbudowanym i niezwykle wysokim jak na Koreańczyka z jego pokolenia. Pani Song, która miała metr pięćdziesiąt wzrostu, chowała się z łatwością jak ptaszek pod jego ramieniem. Ładna i prawomyślna młoda para mogłaby się bez trudu zakwalifikować do zamieszkania w Pjongjangu. W Korei Północnej stolica jest jedynym miastem odwiedzanym przez cudzoziemców, więc władze dbają o to, by mieszkańcy nie przynosili wstydu swoim wyglądem i mieli właściwą postawę ideologiczną. W tym przypadku postanowiono jednak, że młodzi pozostaną w Chongjinie, który także potrzebował ludzi niezłomnych, i przydzielono im mieszkanie w najlepszej dzielnicy.

Wbrew egalitarystycznej propagandzie miejsce zamieszkania zależy w Korei Północnej od statusu w hierarchicznej strukturze społecznej. W Chongjinie najgorsze są południowe przedmieścia w pobliżu kopalni węgla i kaolinu, gdzie w harmonijkowych, pobielanych domach żyje lud pracujący. Bardziej na północ wszystko jest okazalsze. Po przejechaniu Nanamu przy głównej arterii zaczynają się wysokie domy, gdzieniegdzie nawet osiemnastopiętrowe wieżowce, które w momencie, gdy je stawiano, były szczytem nowoczesności. Wybudowano w nich nawet szyby na windy, ale samych dźwigów nigdy nie zainstalowano. Znaczna część powojennej mieszkaniówki powstała według projektów enerdowskich, przystosowanych do tradycji koreańskiej. Między piętrami pozostawiono więc miejsce na grzejniki podpodłogowe, a wszystkie mieszkania zostały wyposażone w głośniki do transmitowania wiadomości lokalnych.

Chongjin, choć znacznie mniej nowoczesny od Pjongjangu, też może robić wrażenie. Jako stolica prowincji Hamgyong Północny jest siedzibą władz administracyjno-partyjnych. Centrum, w którym stoją biurowce, zostało zbudowane według planu urbanistycznego. Miasto ma uniwersytet, akademię hutniczą, akademię górniczą, uczelnię rolniczą, wyższą szkołę artystyczną, kolegium języków obcych, akademię medyczną, trzy uczelnie pedagogiczne, kilkanaście teatrów i poświęcone Kim Ir Senowi muzeum historii rewolucji. Naprzeciwko portu wschodniego zbudowano hotel Chonmasan dla zagranicznych gości, niedaleko jest konsulat rosyjski. Monumentalne ulice i place śródmieścia, wzorem Moskwy i innych komunistycznych miast, mają przypominać jednostce o potędze reżimu.

Główna, przecinająca miasto arteria komunikacyjna, zwana po prostu Drogą nr 1, mogłaby bez trudu zostać sześciopasmówką, gdyby tylko w Chongjinie było tyle samochodów, żeby ją zapełnić. Po jej obydwu stronach

stoją, niczym wartownicy, posadzone w równych odstępach platany i akacje. Ich pnie pobielono wapnem: jedni mówią, że dla ochrony przed szkodnikami i ostrym klimatem, inni – że oznaczono tak drzewa, żeby było wiadomo, że są własnością państwową i nie wolno ich wycinać na opał. Krawężniki też zostały pomalowane na biało. Wśród drzew wyrastają znajome tablice z czerwonymi napisami propagandowymi, w drugim rzędzie stoją rzadko włączane latarnie uliczne. Chodniki są szerokie jak na Polach Elizejskich – w końcu Droga nr 1 ma być wielkim bulwarem – ale piesi chodzą także jezdnią, po której rzadko przejeżdża samochód. Nie ma też sygnalizacji ulicznej, ruchem nielicznych aut kierują rytmicznie jak roboty umundurowani policjanci z drogówki. Główną ulicę zamyka okazały budynek teatru prowincji Hamgyong Północny, zwieńczony wielkim portretem Kim Ir Sena. Za teatrem od północnego wschodu wyrasta góra Naka – i tu miasto nagle się kończy. Dzisiaj jej zbocze jest usiane grobami, a większość drzew wycięto na opał, ale mimo to góra jest malownicza. Na pierwszy rzut oka centrum Chongjinu robi dobre wrażenie, ale gdy rozejrzymy się dokładniej, dostrzeżemy, że z elewacji odpada tynk, latarnie uliczne chwieją się i chylą ku ziemi, tramwaje to poobijane gruchoty. Nieliczni przyjezdni są jednak w Chongjinie tylko przelotem, więc łatwo mogą to wszystko przeoczyć.

Pani Song mieszkała na pierwszym piętrze siedmiokondygnacyjnego budynku bez windy. Gdy przyszła tam po raz pierwszy, dowiedziała się ze zdumieniem, że dom jest podłączony do kanalizacji – w latach sześćdziesiątych zwykli ludzie, tacy jak ona, nie znali takich wynalazków. W budynku było też centralne ogrzewanie: do grzejników, umieszczonych zgodnie z koreańską tradycją pod podłogą, płynęła gorąca woda z elektrowni. Młodzi nie mieli zbyt wielu mebli, ale w ich mieszkaniu były dwa pokoje, jeden dla nich, drugi dla powiększającej się gromadki dzieci. Najstarsza córka, Oak-hee, urodziła się w 1966 roku, dwa lata później przyszła na świat następna dziewczynka, a potem kolejna. W tych czasach większość Koreanek z Północy rodziła już w szpitalu, ale pani Song, choć wyglądała subtelnie, była twardą kobietą. Wszystkie dzieci wydała na świat nawet bez pomocy położnej. Jedno urodziła na ulicy – szła właśnie do domu z koszem prania. Po narodzinach najstarszej córeczki teściowa przyrządziła pani Song tradycyjną zupę z cienkimi pasemkami wodorostów, która miała położnicy przywrócić siły. Zawiedziona urodzeniem kolejnej wnuczki

rzuciła tylko młodej matce wodorosty na zupę, po trzeciej dziewczynce przestała się do synowej odzywać.

– Tobie pisane są same córki – rzuciła jej na odchodnym.

Ale pani Song nie zamierzała się poddać. Czwarte dziecko przyszło na świat, gdy była sama w domu. Tego dnia bolał ją brzuch i wcześniej wyszła z pracy. Ale nie umiała siedzieć bezczynnie, więc zabrała się do szorowania podłóg. Nagle poczuła ostre szarpnięcie bólu i pobiegła do łazienki. Chłopiec, nareszcie. Pani Song odkupiła się w oczach rodziny. Tym razem teściowa ugotowała jej zupę z wodorostów.

Do jej męża, który był wtedy w podróży służbowej, nowina dotarła następnego dnia. Wrócił pierwszym pociągiem i po drodze do domu kupił nowo narodzonemu synowi rowerek.

Pani Song, choć miała na głowie czwórkę dzieci i dom, pracowała w pełnym wymiarze godzin przez sześć dni w tygodniu. Była urzędniczką w administracji zakładowego przedszkola przy Zakładach Odzieżowych Chosun w dzielnicy Pohang. Ponieważ w Korei Północnej około dwudziestu procent mężczyzn w wieku produkcyjnym służyło w wojsku – KRLD jest najbardziej zmilitaryzowanym krajem na świecie – lukę na rynku pracy wypełniały kobiety. Pani Song w drodze do fabryki niosła najczęściej na plecach któreś z dzieci, a jedno albo dwoje dreptało obok. Jej dzieci właściwie wychowywały się w przedszkolu. Pracowała osiem godzin dziennie z przerwą na posiłek i drzemkę. Potem szła do sali zakładowej, gdzie odbywały się parogodzinne szkolenia ideologiczne. Jednego dnia była to na przykład prelekcja o imperializmie amerykańskim i związanych z nim zagrożeniach, kiedy indziej wykład o udziale Kim Ir Sena (rzeczywistym lub fikcyjnym) w walce z Japończykami w czasie drugiej wojny światowej. Pani Song pisała referaty o najnowszych rezolucjach partii albo przygotowywała prasówki z dziennika „Hambuk Ilbo”. Do domu wracała o wpół do jedenastej wieczorem. Tam czekały ją jeszcze gotowanie i inne obowiązki. Wstawała przed świtem, by wyszykować wszystkich przed wyjściem, po czym o siódmej ruszała w drogę. Rzadko sypiała dłużej niż pięć godzin. Niektóre dni były cięższe od innych. Na przykład w środy rano miała przed pracą obowiązkowe zebranie Socjalistycznej Federacji Kobiet. Bardzo długo trwały sesje samokrytyki odbywające się w piątkowe wieczory. Wszyscy pracownicy jej wydziału wstawali po kolei, by przyznać się przed kolektywem do tego, co zrobili źle. Była to komunistyczna

odmiana spowiedzi katolickiej. Pani Song wyznawała wtedy z całkowitą szczerością, że powinna, jak jej się wydaje, ciężej pracować.

Wierzyła we własne słowa. Lata niedosypiania, wielogodzinne szkolenia i seanse samokrytyki – metody prania mózgu nie różniły się od technik stosowanych na przesłuchaniach – zabiły w niej zdolność do samodzielnego myślenia. Została ukształtowana jako udoskonalona istota ludzka, produkt filozofii Kim Ir Sena. Wielki Wódz chciał bowiem nie tylko zbudować nowy kraj, lecz także stworzyć lepszego człowieka, zmienić jego naturę. Rozwinął własną doktrynę filozoficzną, *dżucze*, co zazwyczaj przekłada się jako „samodzielność". Doktryna ta łączy marksistowsko-leninowskie koncepcje walki klasowej, konfliktu między posiadaczami ziemskimi a chłopami czy między biednymi a bogatymi, z ideą odpowiedzialności jednostki za własny los i odrzuceniem Boga. Kim Ir Sen odciął się jednak od komunistycznych tradycji internacjonalizmu i uniwersalizmu. Był skrajnym nacjonalistą. Głosił, że Koreańczycy są narodem wyjątkowym, niemal wybranym, który musi zapewnić sobie samodzielność oraz niezależność od potężniejszych sąsiadów – Chin, Japonii i Rosji. Korea Południowa z powodu swojego uzależnienia od Stanów Zjednoczonych okryła się hańbą. „Realizacja *dżucze* polega więc w istocie na rewolucyjnej przebudowie kraju, w której samodzielna jednostka odrzuci zależność od innych i, odwołując się do rozumu, odnajdzie w sobie moc i rewolucyjnego ducha niezależności" – pisał Kim Ir Sen w jednym z licznych traktatów. W narodzie, którego godność przez długie lata deptali sąsiedzi, ideologia ta trafiła na podatny grunt.

Po dojściu do władzy Kim Ir Sen uczynił idee przyświecające niegdyś partyzantce antyjapońskiej instrumentem kontroli społecznej. Obywatele jego państwa mieli więc czerpać siłę z podporządkowania indywidualnych dążeń woli ogółu. Społeczeństwo nie może, czy tego chce, czy nie chce, kierować się regułami demokracji. Naród powinien podążać za absolutnym, najwyższym wodzem, czyli – rzecz jasna – Kim Ir Senem.

Ale bezwzględne posłuszeństwo Kim Ir Senowi nie wystarczało – przywódca chciał także miłości. Na jaskrawych muralach dzieci o różowych policzkach wpatrują się w niego z uwielbieniem. Kim Ir Sen uśmiecha się szeroko, odsłaniając białe zęby. W tle widać zabawki i rowery, bo wódz nie chciał być Stalinem, lecz świętym Mikołajem. Z miłymi dołeczkami w policzkach wyglądał bardziej dobrotliwie niż inni dyktatorzy. Pragnął, by widziano w nim ojca, a w tradycji konfucjańskiej ojcu należą się szacunek i

miłość. Chciał być wielbiony przez każdą północnokoreańską rodzinę. Konfucjański komunizm w tym wydaniu bliższy był tradycji japońskiej z jej deifikacją cesarza niż filozofii Karola Marksa.

Wszystkie dyktatury są pod pewnymi względami podobne. Sowiecki reżim Stalina i chiński Mao, rumuński Ceauşescu i Saddama Husajna w Iraku łączyła jednakowa oprawa: pomniki wodza na placach, jego portrety wiszące w każdym urzędzie, zegarki z tarczą ozdobioną podobizną dyktatora. Ale kult jednostki w Korei Północnej miał pewną cechę szczególną. Spośród tych, których odnajdujemy w ponurej galerii dwudziestowiecznych satrapów, Kim Ir Sen szczególnie umiejętnie wykorzystywał potęgę wiary. Dostrzegał moc, którą niesie religia. W czasach przedkomunistycznych, gdy społeczność chrześcijańska Pjongjangu tętniła życiem, a miasto nazywano „Jerozolimą Wschodu", jego wuj był pastorem. Po dojściu do władzy Kim Ir Sen pozamykał kościoły, zakazał czytania Biblii, wiernych zesłał do obozów i zawłaszczył na potrzeby własnego kultu chrześcijańską metaforykę i dogmaty wiary.

Spikerzy radiowi czy telewizyjni, wypowiadając jego imię oraz imię Kim Dzongila, wstrzymują oddech jak kaznodzieje zielonoświątkowi. Północnokoreańskie gazety pełne są opowieści o nadprzyrodzonych zjawiskach. Wzburzone fale miały się uspokajać, gdy żeglarze na tonących statkach śpiewali pieśni ku czci Kim Ir Sena. Gdy Kim Dzongil odwiedzał strefę zdemilitaryzowaną, na ziemię schodziła cudowna mgła, by osłonić go przed południowokoreańskimi snajperami. Dzięki niemu zakwitały drzewa i topniały śniegi. Jeśli Kim Ir Sen był Bogiem, to Kim Dzongil był Synem Bożym. Jego przyjście na świat, jak narodzenie Chrystusa, zwiastowała jasna gwiazda na firmamencie i piękna podwójna tęcza. Z niebios sfrunęła jaskółka, by śpiewem oznajmić, że narodził się „generał, który będzie panował nad światem".

Korea Północna prosi się o parodię. Śmiejemy się z nachalnej propagandy i łatwowierności ludzi. Musimy jednak pamiętać, że od urodzenia poddawano ich indoktrynacji w całodobowych żłobkach i przedszkolach przyzakładowych, że od przeszło pięćdziesięciu lat pieśni, filmy, gazety i plakaty deifikowały Kim Ir Sena, a kraj pozostawał szczelnie zamknięty, by nie przedostało się do niego nic, co mogłoby podważyć boski status wodza. Czy można było się temu oprzeć?

W 1972 roku z okazji sześćdziesiątych urodzin Kim Ir Sena, które w tradycji koreańskiej są ważną cezurą, Partia Pracy rozdawała znaczek z jego

podobizną. Wkrótce wszyscy obywatele musieli obowiązkowo wpinać go z lewej strony, nad sercem. U pani Song w mieszkaniu, tak jak u wszystkich, wisiał jego portret oprawiony w ramy. Rezerwowano dla niego całą ścianę, nie wolno było na niej wieszać niczego poza tym portretem, nawet zdjęć rodzinnych. Kim Ir Sen był wszystkim, uosabiał i zastępował najbliższych – dopiero w latach osiemdziesiątych obok jego obrazów zaczęto wieszać podobizny jego syna, mianowanego sekretarzem partii. Później pojawił się trzeci, wspólny portret ojca i syna. Północnokoreańska prasa lubiła zamieszczać opowieści „z życia wzięte" o ludziach, którzy zginęli, ratując te portrety z pożaru czy powodzi. Partia rozdawała wraz z obrazami kawałek białego materiału, który należało przechowywać w specjalnym pudełku pod nimi. Służył on wyłącznie do utrzymywania portretów w czystości. Zwłaszcza w porze deszczowej trzeba było dbać, by pod szkło nie dostała się wilgoć. Policyjne kontrole sprawdzały mniej więcej raz na miesiąc, czy obrazy są w odpowiednim stanie.

Pani Song pilnowała ich czystości nie ze strachu przed inspekcjami. W porannym pośpiechu i krzątaninie, gdy trzeba było zwinąć maty, przygotować dla wszystkich posiłki na dzień, zaprowadzić dzieci na czas do szkoły, codziennie znajdowała chwilę, żeby przetrzeć portrety. Zawsze ochoczo przypinała znaczek z Kim Ir Senem i, w odróżnieniu od niektórych kobiet, nie przejmowała się, że podziurawi jej ubranie albo zaplami je rdzą. Ale gdy pewnego dnia przebierała się w ostatniej chwili i wybiegła z domu, zapominając o nim, została zatrzymana przez kilkunastoletniego chłopca z opaską brygady porządkowej na ramieniu. Młodzieżowa straż obywatelska kontrolowała, czy przechodnie noszą znaczek. Przyłapanych bez niego za pierwszym razem kierowano zazwyczaj na dodatkowe szkolenia ideologiczne, wpisując im naganę do akt. Pani Song była jednak tak wstrząśnięta własną niedbałością, że młody aktywista udzielił jej tylko ustnego upomnienia.

Pani Song chciała kierować się w życiu naukami Kim Ir Sena, dobrze przyswojonymi podczas wielogodzinnych szkoleń w sali zakładowej. Zasłyszane tam prawdy lubiła przywoływać w codziennych rozmowach.

– Posłuszeństwo rodzicom to największa cnota rewolucjonisty – powtarzała dzieciom, gdy były niegrzeczne. Musiały też pamiętać, że wszystko zawdzięczają przywódcy narodu. Jak inne dzieci w Korei Północnej, zamiast własnych urodzin 15 kwietnia obchodziły urodziny Kim Ir Sena i 16 lutego urodziny Kim Dzongila. Były to święta państwowe i

często jedynie z ich okazji ludzie dostawali przydział na mięso. Później, gdy zaczął się kryzys energetyczny, w te dni włączano prąd. Na kilka dni przed urodzinami przywódców Partia Pracy rozdawała dzieciom po kilogramie słodyczy. W tych wspaniałych paczkach były ciasteczka, cukierki, czekoladki, guma do żucia. Wolno je było napocząć dopiero w dniu święta, i pani Song bezwzględnie to egzekwowała, choć nie wszystkie matki były tak gorliwe. Tego dnia jej dzieci gromadziły się przy portretach, by wyrazić wdzięczność przywódcom. Matka patrzyła z dumą, jak kłaniały się nisko i mówiły chórem: „Dziękujemy ci, drogi ojcze Kim Ir Senie”.

Po latach pani Song wspominała tamte czasy z nostalgią. Uważała, że spotkało ją szczęście. Chang-bo był dobrym i wiernym mężem. Nie bił ani jej, ani dzieci. Lubił wypić, ale zawsze robił to na wesoło – kiedy przy kieliszku opowiadał dowcipy, jego coraz okrąglejszy z latami brzuch trząsł się ze śmiechu. Tworzyli pogodną, pełną miłości rodzinę. Pani Song kochała trzy córki, syna, męża i bywało, że także teściową. I kochała Kim Ir Sena.

Z tego okresu pozostały jej drogie wspomnienia. Czasem przychodziła taka niedziela, gdy ani ona, ani mąż nie musieli iść do pracy, dzieci nie miały zajęć w szkole i rodzina mogła wspólnie spędzić cały dzień. W tamtych latach byli dwukrotnie na plaży, odległej o parę kilometrów od ich domu. Żadne z nich nie umiało pływać, ale spacerowali po piaszczystym brzegu i zbierali małże, które potem przyrządzili na kolację. Gdy jej syn miał jedenaście lat, któregoś dnia wybrała się z nim do miejskiego ogrodu zoologicznego. Była tam jako dziecko ze szkołą. Z wycieczki w dzieciństwie zapamiętała tygrysy, słonie, niedźwiedzie i wilka, ale po latach w zoo zostało tylko trochę ptaków. Więcej tam nie chodziła.

Problemy pojawiły się, gdy dzieci zaczęły dorastać. Z całej czwórki najtrudniejsza okazała się najstarsza córka. Oak-hee była podobna do pani Song jak dwie krople wody – mocnej budowy, pyzata, dorodna i ładna. Ale chodziła nadąsana i grymaśnie wydymała pełne usta. Nie miała łatwego charakteru. W odróżnieniu od łagodnej matki łatwo wpadała w złość i była wiecznie naburmuszona. Jako najstarsza córka pracującej kobiety, nieobecnej w domu od świtu do nocy, musiała przejąć znaczną część obowiązków domowych, a to bynajmniej nie sprawiało jej przyjemności. Inaczej niż pani Song, nie miała skłonności do poświęceń. Irytowały ją bzdury i nikomu niepotrzebne głupoty. Była nie tyle leniwa, ile zbuntowana. Odmawiała robienia rzeczy, które uważała za bezsensowne.

Narzekała na przymusowe dla północnokoreańskiej młodzieży patriotyczne „czyny społeczne”. Dzieci od dwunastego roku życia należały obowiązkowo do brygad wysyłanych na wieś do sadzenia i pielenia ryżu. Oak-hee nie cierpiała wiosny, bo musiała wtedy dźwigać wiadra z ziemią i rozpylać środki owadobójcze, które podrażniały jej oczy. Gdy jej rówieśnicy maszerowali z radosną pieśnią „Będziemy bronić socjalizmu”, milczała gniewnie.

Najgorsze przyszło, gdy w jej bloku trzeba było zbierać w ubikacjach „nocny nawóz”. W Korei Północnej, która borykała się z chronicznym niedostatkiem nawozów sztucznych i miała niewiele zwierząt hodowlanych, do nawożenia pól wykorzystywano ludzkie ekskrementy. Na każdej rodzinie spoczywał obowiązek dostarczenia co tydzień pełnego wiadra do oddalonego o kilometry magazynu. W zamian otrzymywało się bon żywnościowy. Ta śmierdząca powinność spadała najczęściej na starsze dzieci, więc Oak-hee spożytkowała swoją niemałą inwencję, żeby się wymigać. W gruncie rzeczy okazało się to łatwe. Ponieważ magazyn z wiadrami nie był strzeżony (bo w końcu któż by chciał kraść odchody), uznała, że zamiast męczyć się dźwiganiem, można wślizgnąć się do magazynu po cudzy kubeł, oddać go jako własny i dostać upragniony bon.

Po powrocie do domu z dumą opowiedziała o swojej sztuczce. Panią Song to oszustwo doprowadziło do furii. Zawsze wiedziała, że Oak-hee jest najbystrzejsza z jej dzieci – nauczyła się czytać, kiedy miała trzy lata, i ku radości bliskich recytowała z pamięci długie fragmenty pism Kim Ir Sena. Ale incydent z odchodami utwierdził matkę w obawach, że Oak-hee jest indywidualistką, której nie obchodzi dobro ogółu. Czy w społeczeństwie, gdzie wszyscy mają zgodnie maszerować, można przeżyć z takim usposobieniem?

Gdy Oak-hee ukończyła szkołę średnią, ojciec po znajomości załatwił jej pracę w wydziale propagandy przedsiębiorstwa budowlanego. Musiała pisać sprawozdania o przekraczaniu norm i niezwykłym postępie prac przy budowie dróg. Przedsiębiorstwo miało własny radiowęzeł w otrzymanej od wojska wysłużonej furgonetce oklejonej hasłami („Cały kraj pozostaje wierny zasadom *dżucze*”). Samochód jeździł po placach budowy, a Oak-hee przez skrzeczące głośniki czytała robotnikom referaty o wielkich osiągnięciach zakładu. Było to miłe zajęcie, przy którym nie trzeba było niczego dźwigać, i jak każda posada w propagandzie, dawało pewien prestiż.

Rodzice pragnęli zapewnić córce dobrą przyszłość, znajdując dla niej w partii odpowiedniego męża. Pani Song wierzyła, że będzie to ktoś dokładnie taki jak Chang-bo, więc kazała mu się rozglądać za zięciem będącym jego młodszą kopią. Podczas podróży służbowej do Musanu Chang-bo poznał w pociągu interesującego młodzieńca. Choi Yong-su pochodził z dobrej rodziny, mieszkającej w położonym na północ od Chongjinu mieście Rajin. Był cywilnym pracownikiem Koreańskiej Armii Ludowej, trębaczem w orkiestrze wojskowej. Posada w wojsku, poza tymi najniższymi, robiła w Korei Północnej wrażenie i zapewniała przyjęcie do partii. Chang-bo uznał, że młody człowiek jest obiecujący, i zaprosił go w odwiedziny.

Oak-hee i Yong-su pobrali się w 1988 roku: jak nakazywała północnokoreańska tradycja, wzięli ślub przed pomnikiem Kim Ir Sena – wódz w zastępstwie duchownych błogosławił symbolicznie wszystkim młodym parom. Tego dnia włożyli najlepsze ubrania – ona beżowy żakiet i czarne spodnie, on ciemny garnitur – i sztywno pozowali do wspólnych zdjęć na tle monumentalnej figury. Złożyli kwiaty u jej stóp, prosząc Kim Ir Sena o opiekę duchową nad ich związkiem, po czym udali się do mieszkania panny młodej, gdzie jej matka przygotowała ucztę weselną. Zgodnie z obyczajem w domu pana młodego odbywało się drugie przyjęcie, a każda ze stron chciała jak najlepiej wypaść w tej rywalizacji. Ze ślubem wiązały się wydatki, bo na przyjęcie zapraszano sąsiadów i znajomych z pracy, a rodzina panny młodej musiała ją wyposażyć w pościel, naczynia kuchenne, toaletkę z lustrem, a jeśli mogła sobie na to pozwolić, także w maszynę do szycia i inne artykuły gospodarstwa domowego. Pani Song nie czuła się pewnie: ponieważ rodzina Yong-su należała do wyższej klasy, za wszelka cenę chciała zrobić na niej jak najlepsze wrażenie. Na stołach uginających się od jedzenia podała więc ciastka ryżowe, rdzawce, gotowane ośmiornice, smażone tofu, kraby i przyrządzone na trzy sposoby kalmary. Była to najbardziej wystawna uczta w życiu ich rodziny, dobrze zwiastująca młodym.

Okazało się jednak, że Yong-su jest wielbicielem *neungju*, taniego trunku z kukurydzy produkowanego domowym sposobem. Po kilku szklaneczkach tracił cały swój artystyczny wdzięk i robił się nieprzyjemny. Swada, którą oczarował żonę, zaczęła w niej budzić lęk. Młodzi zamieszkali we własnym mieszkaniu w pobliżu dworca kolejowego, ale Oak-hee często uciekała do rodziców. Jednego dnia z podbitym okiem, innego z rozciętą wargą. Pół roku po ślubie Yong-su wdał się w awanturę w pracy i został

wyrzucony z orkiestry. Wysłano go do pracy w kopalniach rudy żelaza w Musanie. Stracił szanse na przyjęcie do partii, bo wniosek o członkostwo, pozytywnie zaopiniowany przez sekretarza, trzeba było złożyć przed trzydziestką. Bez przynależności do partii miał ograniczone możliwości zawodowe. Oak-hee musiała zrezygnować z pracy z powodu zagrożonej ciąży. Jeszcze nigdy nie była w tak trudnym położeniu.

Niemal równocześnie pani Song zaczęła mieć kłopoty z synem, który w odróżnieniu od Oak-hee, w dzieciństwie zachowywał się wzorowo. Nam-oak odziedziczył posturę po ojcu, był chłopcem dobrze zbudowanym i bardzo wysokim. Prawie nigdy nie podnosił głosu i rzadko się spierał. Bez sprzeciwu robił to, co kazali mu rodzice i starsze siostry. Oak-hee nie mogła się nadziwić, że to jej rodzony brat. „On jest taki grzeczny, że prawie go nie widać" – mawiała o nim. Nam-oak uczył się przeciętnie, ale miał talent do sportu. Najchętniej bawił się sam, niestrudzenie kopiąc piłkę o betonową ścianę domu. Gdy miał jedenaście lat, trener zmierzył mu ramiona i nogi, po czym skierował go do szkoły sportowej w Chongjinie. Na tym polegało komunistyczne podejście do sportu: to nie rodzice, lecz władze decydowały o przeniesieniu dziecka ze zwykłej szkoły i trenowaniu go na potrzeby kadry narodowej. Nam-oak tak świetnie sobie radził, że gdy miał czternaście lat, przeniesiono go do Pjongjangu, gdzie uczył się boksu.

Przez siedem następnych lat do domu jeździł dwa razy w roku na dwunastodniowe wakacje. Pani Song niemal go nie widywała. Nam-oak, inaczej niż córki, nigdy się przed nią nie wypłakiwał, ale z czasem zaczęła odnosić wrażenie, że stał się dla niej niemal całkowicie obcym człowiekiem. I nagle dotarła do niej niepokojąca pogłoska. Syn miał w Chongjinie dziewczynę, starszą o pięć lat. Gdy przyjeżdżał ze stolicy, często zatrzymywał się u niej. Było to skandaliczne z dwóch powodów: w Korei Północnej mężczyźni nie spotykają się ze starszymi od nich kobietami, a seks przedmałżeński jest stanowczo potępiany. Nam-oak mógł wylecieć ze szkoły i ze Związku Młodzieży Socjalistycznej, a to uniemożliwiłoby mu późniejsze przyjęcie do partii. Jako na jedynym synu spoczywał na nim obowiązek znalezienia sobie odpowiedniej żony i utrzymania ciągłości rodu. Pani Song i jej mąż próbowali z nim porozmawiać, ale w odpowiedzi na ich pytania zapadała krępująca cisza. Nam-oak coraz bardziej się od nich oddalał, zdarzało się, że w czasie wakacji nawet nie zaglądał do rodziców.

Potem Chang-bo wszedł w konflikt z prawem. Pewnego wieczoru oglądali z żoną i sąsiadami wiadomości. W ich budynku własny telewizor

miało tylko kilka rodzin. W 1989 roku odbiornik telewizyjny kosztował około stu siedemdziesięciu pięciu dolarów, co stanowiło równowartość trzymiesięcznej pensji, i można go było kupić jedynie za zgodą pracodawcy. Telewizor najczęściej dostawało się od władz w imieniu Kim Ir Sena w dowód uznania wyjątkowych zasług. Chang-bo zawdzięczał ten prezent pracy wywiadowczej ojca, który w czasie wojny koreańskiej infiltrował wrogie Południe. Ich odbiornik, choć wyprodukowany przez japońską firmę Hitachi, nazywał się po koreańsku Songnamu, czyli sosna. Telewizory i radioodbiorniki odbierają w Korei Północnej jedynie programy państwowe, ale radio i telewizja i tak były atrakcją. Oprócz mów Kim Ir Sena w dni powszednie nadawano wieczorem audycje sportowe, transmisje koncertów, spektakle teatru telewizji i filmy wyprodukowane w wytwórni Kim Dzongila. W weekendy wyświetlano czasem nawet filmy rosyjskie. Pani Song i jej mąż byli dumni ze swojego telewizora. Zwykle zostawiali otwarte drzwi od mieszkania, żeby na telewizję mógł wpaść któryś z sąsiadów. Był to wyraz ich prospołecznej postawy, będącej znakiem tamtych czasów.

Chang-bo nabawił się kłopotów za sprawą niewinnej audycji o fabryce kaloszy, potrzebnych w porze deszczowej. Kamera sfilmowała wydajną pracę przy taśmie, z której schodziły tysiące butów. Komentator rozwodził się nad wyjątkową jakością kaloszy i imponującymi wskaźnikami produkcyjnymi.

– Ciekawe – powiedział Chang-bo. – Tyle tego robią, a dla moich dzieci jakoś nie starcza – dodał ze śmiechem, zanim zdał sobie sprawę ze znaczenia własnych słów.

Pani Song nigdy nie doszła do tego, kto na niego doniósł. O tym, co powiedział jej mąż, dowiedział się wkrótce przewodniczący sąsiedzkiego *inminbanu,* który powiadomił Ministerstwo Ochrony Bezpieczeństwa Państwowego. Podległa mu policja polityczna ma rozbudowaną sieć informatorów. Jak wynika z relacji północnokoreańskich uciekinierów, na pięćdziesięciu mieszkańców kraju przypada przynajmniej jeden tajny współpracownik bezpieki – czym nie mogła się poszczycić nawet słynna enerdowska Stasi, której archiwa otwarto po zjednoczeniu Niemiec.

Szpiegowanie współobywateli jest w Korei Północnej swoistą rozrywką. Zajmowali się nim członkowie Związku Młodzieży Socjalistycznej, jak ten, który przyłapał panią Song bez obowiązkowego znaczka. Młodzi działacze pilnowali też, by ludzie nie ulegali zgubnym wpływom kapitalizmu – nie chodzili w dżinsach albo podkoszulkach z napisami w alfabecie łacińskim, a

chłopcy nie nosili długich włosów. Partia, która wielokrotnie przyjmowała w tych sprawach rezolucje, postanowiła, że dla mężczyzn dopuszczalna długość włosów wynosi pięć centymetrów, ale łysiejący mogą je zapuścić do siedmiu centymetrów. Za łamanie przepisów groziło aresztowanie przez regularne siły porządkowe. Ponadto ulice były patrolowane przez lotne jednostki policyjne *kyuch'aldae*, które mogły też bez nakazu wkraczać do mieszkań, by sprawdzić, czy ludzie przestrzegają limitów zużycia energii elektrycznej: czy nie używają żarówek o mocy wyższej niż czterdzieści watów, czy nie korzystają z elektrycznych kuchenek albo urządzeń do gotowania ryżu. Podczas takiego nalotu jeden z sąsiadów pani Song chciał ukryć kuchenkę pod kocem, i w domu wybuchł pożar. Policja często zjawiała się po północy, żeby skontrolować, czy w mieszkaniu nie przebywają osoby nieuprawnione. Goszczenie bez zgody władz zamiejscowego krewnego było poważnym wykroczeniem. Znacznie surowsze konsekwencje czekały przyłapanych kochanków. Ale pilnowaniem porządku zajmowali się nie tylko policjanci i członkowie organizacji ochotniczych. Obserwowanie, czy ktoś z otoczenia nie prowadzi działalności wywrotowej albo nie łamie przepisów, było obowiązkiem obywatelskim, wszyscy musieli zachowywać czujność. Ponieważ brak funduszy oraz przerwy w dostawach prądu uniemożliwiały inwigilację elektroniczną, służby bezpieczeństwa polegały na informatorach. W gazetach często opisywano dzieci, które heroicznie zadenuncjowały rodziców. Sąsiedzkie donosy o narzekaniu na władze były na porządku dziennym.

Przesłuchania Chang-bo trwały trzy dni. Śledczy chcieli na nim wymusić zeznania krzykiem i wyzwiskami, ale go nie bili – tak przynajmniej powiedział żonie. Zdołał wybrnąć, jak przyznał później, między innymi dzięki swojej elokwencji. Bronił się, mówiąc prawdę.

– Nikogo nie chciałem znieważyć. Powiedziałem tylko, że niestety nie udało mi się dostać kaloszy, to wszystko – twierdził stanowczo.

Przekonał ich. Z brzuszkiem i nieugiętym spojrzeniem budził zaufanie. Był uosobieniem partyjnego działacza. Postanowili więc nie wyciągać wobec niego konsekwencji i wypuścili go.

Ale jego przejścia się na tym nie skończyły, bo reprymenda, jaką dostał od żony po powrocie do domu, okazała się niemal tak surowa jak przesłuchanie na policji. W ich małżeństwie nie było dotąd takiej awantury. Pani Song miała pretensje nie tylko o to, że mąż obraził władze, lecz także o

to, że przez niego po raz pierwszy w życiu poczuła, czym jest lęk. Skoro zawsze zachowywała się bez zarzutu i żarliwie wierzyła władzom, nigdy nie przypuszczała, że jej także może coś grozić.

– Czemu wygadywałeś te bzdury przy sąsiadach? Czy ty sobie zdajesz sprawę, że nas wszystkich naraziłeś na niebezpieczeństwo? – napadła na niego z wściekłością.

Oboje wiedzieli, że mieli wielkie szczęście. Gdyby Chang-bo nie należał do partii i gdyby nie miał wysokiego statusu klasowego, ta sprawa nie uszłaby mu na sucho. Nie bez znaczenia było również to, że pani Song kilkakrotnie pełniła w ich budynku funkcję przewodniczącej *inminbanu* i zaskarbiła sobie zaufanie bezpieki. Gdyby tak niefrasobliwie jak Chang-bo postąpił ktoś bez jego koneksji, mogłoby się to łatwo skończyć obozem w górach. Słyszeli przecież, że za głupi żart ze wzrostu Kim Ir Sena pewien człowiek został tam zesłany dożywotnio. Pani Song osobiście znała z pracy kobietę, którą aresztowano za jakąś notatkę w dzienniku. Zupełnie jej wtedy nie współczuła. „Za zdradę chyba sobie na to zasłużyła” – uznała wtedy w duchu. Teraz zrobiło jej się przykro, że tak pomyślała.

Wydawało się, że sprawa kaloszy została zamknięta. Nauczony przykrym doświadczeniem Chang-bo zaczął bardziej uważać na to, co mówi, ale jego myśli wymknęły się spod kontroli. Do tej pory, gdy czasem nachodziły go jakieś wątpliwości, potrafił je w sobie stłumić. Teraz jednak zaczęło w nim kiełkować zwątpienie. Jako dziennikarz miał łatwiejszy dostęp do informacji niż zwykli śmiertelnicy. W stacji radiowej prowincji Hamgyong Północny, gdzie pracował, on i jego koledzy słuchali nieocenzurowanych wiadomości zagranicznych. Ich zadanie polegało na adaptowaniu tych doniesień na użytek słuchacza w kraju. Jeśli w kapitalistycznym świecie, a zwłaszcza w Korei Południowej, gdzie na przykład w 1988 roku odbywała się olimpiada, działo się coś dobrego, należało to pominąć. Nie żałowano za to czasu na informacje z zagranicy o strajkach, klęskach żywiołowych i katastrofach, rozruchach i morderstwach.

Chang-bo zajmował się gospodarką. Z notesem i magnetofonem jeździł w teren – w skolektywizowanych gospodarstwach rolnych, sklepach i fabrykach prowadził wywiady z kadrą kierowniczą. Po powrocie do redakcji, posługując się wiecznym piórem (maszyn do pisania nie było), przygotowywał audycje o sukcesach gospodarczych. Fakty przedstawiał zawsze w pozytywnym świetle, ale starał się, żeby przynajmniej miały jakiś związek z rzeczywistością. Jednak po zredagowaniu materiału przez

zwierzchników w Pjongjangu nie pozostawał w nim nawet cień prawdy. Chang-bo dobrze więc wiedział, że osiągnięcia gospodarcze Korei Północnej są wymysłem. I nic dziwnego, że z sarkazmem skwitował reportaż o kaloszach.

Miał zaufanego przyjaciela z radia, który podobnie jak on nabierał coraz większej pogardy dla reżimu. Siadywali razem przy butelce neungju produkcji pani Song i po paru kolejkach rozwiązywały im się języki.

– Kupa kłamców! – powiadał Chang-bo z przekonaniem, ale ściszonym głosem, pamiętając, że cienkie gipsowe ściany mają uszy.

– Banda oszustów.

– Syn jest jeszcze gorszy od ojca.

Przysłuchująca im się dyskretnie Oak-hee w milczeniu potakiwała głową. Kiedy ojciec ją spostrzegł, najpierw chciał się jej pozbyć. Ale w końcu dał spokój. Kazał jej tylko przysiąc, że dochowa tajemnicy, i otworzył się przed nią. Powiedział jej, że Kim Ir Sen, wbrew temu, co mówi, nie tyle zasłużył się w partyzantce antyjapońskiej, ile był sowiecką marionetką. Powiedział jej, że Korea Południowa jest jednym z najbogatszych krajów w Azji i że nawet zwykli robotnicy mają tam samochody. Gospodarka komunistyczna okazała się klęską. Chiny i Związek Radziecki zmierzają w stronę kapitalizmu. Chang-bo prowadził z córką wielogodzinne rozmowy, zawsze szeptem z obawy przed sąsiadami. I zawsze wtedy, kiedy wierzącej niezłomnie w komunizm pani Song nie było w domu.

Utopiona w czerni



[71] Dzielnica przemysłowa w Chongjinie

Gdy zaczynał się rok 1990, mur berliński leżał w gruzach, a jego pozostałości interesowały już tylko sprzedawców i kolekcjonerów pamiątek. Niemcy miały się wkrótce zjednoczyć, Związek Radziecki chwiał się w posadach. Amerykańscy turyści w Pekinie kupowali kiczowate zegarki z podobizną Mao Tse-tunga. Obalony dyktator Rumunii Nicolae Ceauşescu, którego nie przez przypadek łączyła bliska przyjaźń z Kim Ir Senem, został stracony w grudniu poprzedniego roku. Z piedestałów zrzucano pomniki Lenina. Komunistyczni aparatczycy na całym świecie zajadali się w McDonaldach big macami, popijanymi coca-colą. Ale w północnokoreańskiej samotni życie płynęło po staremu.

Tutejsza cenzura ostrożnie dawkowała doniesienia o upadku komunizmu i odpowiednio je naświetlała. Według „Rodong Sinmum" rozpadowi bloku komunistycznego miała być winna ludzka ułomność. (Prasa na Północy zawsze lubiła podkreślać genetyczną wyższość Koreańczyków). Mieszkańcy Europy Wschodniej i Chińczycy nie byli z

natury tak silni i zdyscyplinowani jak lud koreański. Zboczyli z jedynie słusznej drogi socjalizmu. Gdyby prowadził ich geniusz Kim Ir Sena, systemy komunistyczne pozostałyby nienaruszone i wciąż by kwitły. Wierna idei *dżucze* Korea Północna musi więc zachować niezależność i nie zwracając uwagi na to, co się dzieje za granicą, podążać własną drogą.

Pani Song zamykała więc oczy, by nie widzieć, że w kraju najwyraźniej dzieje się coś niepokojącego. Początkowo sygnały tych zmian były niemal niezauważalne. Mrugająca przez kilka sekund żarówka zaczynała gasnąć na minuty, potem na godziny, później na całe dni. Przerwy w dostawach elektryczności wydłużały się, prąd włączano na parę godzin kilka razy w tygodniu. Zaczęło też brakować bieżącej wody. Pani Song szybko nauczyła się, że gdy woda pojawi się w kranie, trzeba napełniać naczynia i wiadra. Ale nie starczało jej do mycia, bo bez prądu nie działała w budynku pompa elektryczna. Z plastikowymi pojemnikami chodziła więc do ulicznego ujęcia. Przynoszenie wody rano stało się jej codziennym obowiązkiem. Wyruszała po nią po zwinięciu mat i odkurzeniu portretów Kim Ir Sena. Chociaż w domu nie było już małych dzieci, jeszcze nigdy nie musiała wstawać tak wcześnie. Tramwaj na Drodze nr 1, którym jeździła do pracy, kursował rzadko i był tak zatłoczony, że ludzie czepiali się tylnych stopni wagonu. Pani Song nie lubiła walczyć o miejsce w nim z tłumem młodych mężczyzn, więc zazwyczaj szła do pracy pieszo. Zajmowało jej to godzinę.

Zakłady przemysłowe w Chongjinie zajmują trzynastokilometrowy pas wzdłuż brzegu morza, rozciągający się od dzielnicy Pohang na północy aż do Nanamu, dawnej japońskiej bazy wojskowej, w której stacjonował Szósty Korpus Wojsk Koreańskiej Armii Ludowej. Największe z nich to huty żelaza i stali, wytwórnia włókien syntetycznych, fabryki maszyn budowlanych i sprzętu górniczego oraz zakłady farmaceutyczne, produkujące między innymi lekarstwo z poroża jeleni. Pani Song pracowała w zakładach odzieżowych Chosun na północy. Jej fabryka, będąca oddziałem największego w kraju producenta ubrań, zatrudniała dwa tysiące ludzi – z wyjątkiem kadry zarządzającej i kierowców ciężarówek niemal same kobiety. Szyto w niej ubrania służbowe, które mieszkańcy KRLD noszą przez większość życia: mundurki szkolne, mundury dla pracowników handlu, konduktorów na kolei i, oczywiście, kombinezony dla robotników fabrycznych. Robiono je z winalonu, produkowanej wyłącznie w Korei Północnej sztywnej, błyszczącej tkaniny syntetycznej. Winalon, zwany materiałem *dżucze*, został wynaleziony przez koreańskiego naukowca w

1939 roku i jest dumą KRLD. Największym producentem tego włókna są zakłady w nadmorskim Hamhungu, leżącym o dwieście osiemdziesiąt kilometrów na południe od Chongjinu.

Przerwy w dostawach winalonu zaczęły się w 1988 roku. Pracownikom zakładu w Chongjinie mówiono, że winę za to ponosi Hamhung. Pani Song nigdy nie uzyskała jasnej odpowiedzi, czy brakowało tam antracytu wykorzystywanego do produkcji włókna, czy też tamtejsza fabryka miała przestoje z powodu niedoboru energii elektrycznej. Tak czy inaczej, bez winalonu jej zakład nie miał z czego szyć mundurów.

W oczekiwaniu na transporty materiału szwaczki całymi dniami zamiatały podłogi i czyściły maszyny. W fabryce zapanowała niepokojąca cisza. Zamiast niemilknącego terkotu maszyn słychać było jedynie szelest mioteł.

Aby kobiety nie marnowały czasu, dyrekcja kierowała je do zadań eufemistycznie nazywanych „specjalnymi”. W gruncie rzeczy sprowadzały się one do zbierania wszelkich odpadów, które można było sprzedać albo wymienić na żywność. Robotnice z szuflami i worami maszerowały na przykład wzdłuż torów kolejowych w poszukiwaniu psich odchodów, wykorzystywanych jako nawóz. W inne dni zbierały złom żelazny. Początkowo wysyłano do tych zajęć tylko szwaczki, później musiał w nich uczestniczyć także personel zakładowego przedszkola. Jego pracownice chodziły w teren na zmiany: połowa zostawała z dziećmi, reszta zbierała odpady.

„Choć droga jest wyboista, będziemy bronić naszej partii” – śpiewały przy pracy, bo kierownictwo dbało o ich morale.

Czasem wędrowały nad morze, by zbierać metalowe odpady ze ścieków odprowadzanych z wielkich fabryk. Pani Song nie lubiła zanurzać nóg – nawet wtedy, gdy z małymi dziećmi zbierała małże na plaży niedaleko miejskiego Parku Młodzieży. Jak większość ludzi z jej pokolenia nie umiała pływać. Chociaż woda była płytka, drżała. Z podwiniętymi do kolan nogawkami spodni brodziła w płóciennych pantoflach i jak poszukiwacz przesiewający złoto łowiła do kosza kawałki metalu. Pod koniec dnia sprawdzano, czy wszystkie brygady przyniosły wymagany urobek.

Kobiety próbowały znaleźć jakiś sposób, żeby wymigać się od tych przykrych zajęć. Nie miały odwagi zrezygnować z pracy, mimo że prawie im nie płacono. Niezatrudnieni nie dostawali bowiem kartek na żywność. Za nieusprawiedliwioną tygodniową nieobecność w pracy groziło więzienie.

Niektóre usprawiedliwiały swoją nieobecność kłopotami rodzinnymi albo przynosiły zwolnienia lekarskie. Przymykano na to oko. Przełożeni nie sprawdzali zbyt skrupulatnie tych zwolnień, bo kobiety i tak nie miały nic do roboty. Pani Song nigdy jednak nie uciekała się do żadnych sztuczek. Uważała to za niewłaściwe. W fabryce stawiała się punktualnie, jak zawsze. Ponieważ szwaczki nie przychodziły do pracy, pustoszało przedszkole. Kierownictwo próbowało wypełnić kobietom dni dodatkowymi wykładami o Kim Ir Senie, ale z powodu braku prądu w sali zakładowej często było zbyt ciemno, by prowadzić zajęcia. Po latach pracy przez piętnaście godzin dziennie pani Song mogła wreszcie trochę odpocząć. Ucinała sobie długie drzemki przy biurku: przykładała policzek do drewnianego blatu, rozmyślając nad tym, jak długo jeszcze to się będzie ciągnąć.

Któregoś dnia została razem z koleżankami wezwana do szefa. Pani Song szanowała swego przełożonego, który należał do partii i tak jak ona był żarliwym komunistą. Dotychczas zawsze zapewniał kobiety, że lada dzień nadejdzie dostawa z Hamhungu. Tym razem jednak odchrząknął i zaczął wyjaśniać z zażenowaniem, że w najbliższej przyszłości są niewielkie szanse na poprawę sytuacji. No cóż, może nie warto, żeby one – a były to najsumienniejsze pracownice, które jak pani Song wciąż przychodziły do fabryki – fatygowały się w dalszym ciągu.

– *Ajumma* – użył słowa „ciocie”, którym zwyczajowo zwracano się do zamężnych kobiet – powinnyście pomyśleć o innym sposobie na wyżywienie waszych rodzin.

Pani Song przeżyła wstrząs. Wprawdzie szef nie wspominał o prostytucji, ale mogło to tak zabrzmieć. Miał na myśli pracę na czarnym rynku.

Jak w każdym kraju komunistycznym, także w Korei Północnej istniał czarny rynek. Chociaż obowiązywał zakaz prywatnego handlu większością dóbr, przepisy zmieniały się często i ich nie przestrzegano. Kim Ir Sen dopuścił kiedyś uprawianie warzyw w przydomowych ogródkach i zezwolił na ich sprzedaż, więc na pustym placu w pobliżu bloków, gdzie mieszkała pani Song, powstał prowizoryczny bazar.

Na rozłożonych na ziemi brezentowych płachtach leżała kapusta i rzodkiew, czasem ktoś wyprzedawał stare ubrania, książki, wyszczerbione naczynia. Na bazarze wolno było handlować wyłącznie używanymi rzeczami, sprzedażą nowych artykułów zajmowały się państwowe sklepy.

Nielegalny był też bazarowy handel zbożem, za sprzedaż ryżu groziło więzienie.

Pani Song uważała, że na placu targowym panuje podejrzana atmosfera. Sprzedawczyniami były najczęściej starsze kobiety, jakieś babcie. Przykucnięte nad brudnymi warzywami, nachalnie nawoływały klientów. Wbrew obyczajom panującym w Korei Północnej niektóre z nich paliły fajki. Te stare *halmuni*, babcie, w pani Song budziły niesmak. Odrażająca wydawała jej się sama idea bazarowego handlu. Dla prawdziwego komunisty nie było tam miejsca!

Prawdziwy komunista po prostu nie robił zakupów. Dwudziesty wiek nie wydał kultury bardziej wrogiej konsumpcjonizmowi niż ta stworzona przez Kim Ir Sena. Wszędzie w Azji bazary pełne są ludzi i towarów. Wszędzie poza komunistyczną Koreą. Wybór produktów w najsłynniejszych północnokoreańskich sklepach: Domu Towarowym nr 1 oraz Domu Towarowym nr 2 w Pjongjangu, jest równie ekscytujący jak ich nazwy. Gdy zajrzałam do nich w 2005 roku, na parterze stały chińskie rowery, ale trudno mi było stwierdzić, czy są na sprzedaż, czy też wystawiono je na pokaz, z myślą o obcokrajowcach. Zagraniczni goście odwiedzający Pjongjang w latach dziewięćdziesiątych widywali w witrynach sklepowych plastikowe atrapy owoców i warzyw, leżące tam właśnie ze względu na turystów.

Obywatele Korei Północnej nie powinni chodzić na zakupy, bo w teorii wszystko, czego potrzebowali, zapewniały im władze w imieniu szczodrego Kim Ir Sena. Mieli więc dostawać corocznie po dwa komplety ubrań, jeden na lato, drugi na zimę. Odzież przydzielano w zakładach pracy lub w szkołach, często z okazji urodzin Wielkiego Wodza, co miało umacniać jego wizerunek dobrotliwego ojca. W zasadzie obowiązywał jeden rozdzielnik. Obuwie było z płótna albo tworzyw sztucznych, skórzane buty stanowiły luksus i mogli sobie na nie pozwolić jedynie ludzie mający dodatkowe źródła dochodu. Ubrania pochodziły z zakładów odzieżowych, takich jak te, w których pracowała pani Song. Ulubioną tkaniną był trudno poddający się farbowaniu winalon, więc gama kolorystyczna ubrań siłą rzeczy pozostawała ograniczona: pracownicy fizyczni chodzili w ciemnoburych ubraniach roboczych, pracownicy umysłowi nosili się na szaro lub czarno. Dzieciom, które do trzynastego roku życia należały obowiązkowo do pionierów, wiązano pod szyją czerwone chusty.

W Korei Północnej nie tylko nie robiło się zakupów, ale praktycznie nie używało się też pieniędzy. Pensje były tak niskie, że miały raczej wartość symboliczną. Pani Song zarabiała miesięcznie sześćdziesiąt cztery wony, co według oficjalnego kursu wymiany walut stanowiło równowartość dwudziestu ośmiu dolarów amerykańskich, ale za tę sumę nie można było nawet sprawić sobie sweterka ze sztucznego włókna. Pensja wystarczała na okazjonalne wyjście do kina, wizytę u fryzjera, przejazdy autobusem i gazety. Mężczyźni kupowali papierosy, kobiety kosmetyki do makijażu, którego, o dziwo, sobie nie żałowały. Dzięki czerwonej szmince wyglądały trochę jak gwiazdy filmowe z lat czterdziestych, a róż nadawał blask cerze, która po długiej zimie nabierała ziemistego odcienia. W Chongjinie każda dzielnica miała identyczne centrum handlowe. Koreanki z Północy dbają o wygląd: pani Song także wolała wyjść do pracy na czczo niż nieumalowana. Jej włosy kręciły się naturalnie, ale inne kobiety robiły sobie trwałą ondulację w przypominającym fabryczny taśmociąg salonie fryzjerskim, z rzędem foteli dla mężczyzn po jednej stronie i dla kobiet po drugiej. Fryzjerzy byli pracownikami Państwowego Przedsiębiorstwa Usługowego, któremu podlegały także punkty naprawy rowerów i zakłady szewskie.

W centrach handlowych mieściły się sklepy: spożywczy, papierniczy i odzieżowy. W Korei Północnej, inaczej niż w ZSRR, rzadko widywało się długie kolejki. Jeśli ktoś chciał kupić coś droższego, na przykład zegarek albo magnetofon, musiał uzyskać na to zgodę w miejscu pracy. Oprócz pieniędzy potrzebne było pozwolenie.

Największym osiągnięciem północnokoreańskiego systemu była dotowana żywność. Tak jak Herbert Hoover, który przyrzekł każdej amerykańskiej rodzinie kurczaka w garnku, tak Kim Ir Sen mówił o trzech miskach ryżu dziennie. Ryż, zwłaszcza biały, był jednak w Korei Północnej luksusem, a wspaniałomyślnego przyrzeczenia dotrzymano jedynie wobec elity. W ramach państwowego systemu dystrybucji żywności mieszkańcy KRLD dostawali natomiast mieszankę ziaren. Wielkość skrupulatnie odmierzanych racji zależała od pozycji zajmowanej przez obywatela i od wykonywanej przez niego pracy. Górnikom zatrudnionym pod ziemią przysługiwało dziewięćset gramów dziennie, a pracownikom fabryk, jak pani Song, siedemset. Racjonowano też inne produkty wchodzące w skład koreańskiej diety – na przykład sos sojowy, olej czy gęstą pastę z czerwonej fasoli zwaną gochujang. Z okazji świąt państwowych, jak urodziny Kimów, pojawiały się także wieprzowina albo suszone ryby.

Szczególne znaczenie miała jesienna dystrybucja kapusty na kimczi. Tę narodową potrawę Koreańczyków robi się ze sfermentowanej kapusty, która w tej postaci była w tradycyjnej diecie jedyną jarzyną jadaną w czasie długich zim. Kimczi jest tak nieodłącznie związane z kulturą kraju jak ryż. Komunistyczny reżim wiedział, że naród nie może się bez niego obejść. Każdy dorosły obywatel dostawał siedemdziesiąt kilo kapusty, dziecko pięćdziesiąt, więc rodzinie pani Song od czasu, gdy zamieszkała z nimi matka Chang-bo, przysługiwało w sumie czterysta dziesięć kilogramów. Kapustę przyprawioną dużą ilością czerwonej papryki zakwasza się w solance, czasem z dodatkiem pasty fasolowej albo drobnych krewetek. Pani Song robiła także kimczi z rzodkwi i rzepy. Na przygotowywaniu tego specjału spędzała całe tygodnie i przechowywała go w wysokich glinianych naczyniach. Mąż pomagał jej taszczyć je do piwnicy, gdzie każda rodzina miała swoją komórkę. Ponieważ kimczi trzeba trzymać w chłodzie, ale też chronić potrawę przed zamarznięciem, tradycyjnie naczynia zakopywało się w ogrodzie. W blokach mieszkalnych garnki zasypywano ziemią, którą ludzie znosili do piwnicy. Komórki z zapasami zamykało się na solidne kłódki. W Chongjinie grasowali złodzieje kimczi. Mimo prospołecznego nastawienia, nikt nie chciał się dzielić tą potrawą z obcymi.

Korea Północna z pewnością nie stała się rajem dla robotników, jak głosiła propaganda, ale nie sposób pominąć dokonań Kim Ir Sena. Po podziale półwyspu w 1945 roku przez pierwsze dwudziestolecie Północ była bogatsza od kapitalistycznego Południa. W latach sześćdziesiątych naukowcy koreańscy mówili o „cudzie gospodarczym” w ich kraju. Już samo wyżywienie ludności regionu o długiej historii głodu było sukcesem, tym bardziej że urodzajne tereny rolnicze znalazły się po drugiej stronie granicy. W zrujnowanym kraju, gdzie w czasie wojny została zniszczona niemal cała infrastruktura i około siedemdziesięciu procent mieszkań, Kim Ir Sen stworzył, jak się wydawało, wydolną, choć spartańską gospodarkę. Wszyscy mieli w co się ubrać i gdzie mieszkać. W 1949 roku Korea Północna jako pierwsze państwo w Azji ogłosiła niemal całkowite zwycięstwo nad analfabetyzmem. Odwiedzający ją w latach sześćdziesiątych zagraniczni dygnitarze, którzy często docierali tam pociągiem przez granicę z Chinami, opowiadali z podziwem, że mieszkańcom KRLD żyje się względnie dobrze. Rzeczywiście, tysiące Koreańczyków osiadłych w Chinach uciekło do Korei Północnej przed klęską głodu spowodowanego „wielkim skokiem” Mao Tse Tunga.

Północnokoreańskie domy zostały przykryte dachówką, a elektryczność dotarła w latach siedemdziesiątych w najdalsze zakątki kraju. Nawet Helen-Louise Hunter, nieskłonna do złudzeń analityczka CIA, której raporty z lat siedemdziesiątych dotyczące Korei Północnej zostały później odtajnione i opublikowane, przyznawała z niechęcią, że państwo Kim Ir Sena budzi podziw.

Wśród krajów komunistycznych KRLD wydawała się bliższa Jugosławii niż Angoli i dla całego bloku była przedmiotem dumy. Jej osiągnięcia, zwłaszcza w porównaniu z Koreą Południową, miały dowodzić, że komunizm sprawdza się w praktyce.

Ale jak to się miało do rzeczywistości? Rzekomy cud gospodarczy Korei Północnej okazał się w znacznej mierze iluzoryczny i sprowadzał się do nieuzasadnionego triumfalizmu propagandy. Władze nie podawały danych gospodarczych, przynajmniej danych wiarygodnych, za wszelką cenę oszukiwały przybyszów z zewnątrz i same przed sobą zakłamywały rzeczywistość. Dyrektorzy gospodarstw rolnych i zakładów przemysłowych notorycznie fałszowali statystyki dotyczące produkcji, bo bali się przyznać przed zwierzchnikami do prawdy. Powszechne, samonapędzające się kłamstwo sięgało samej góry, nie sposób więc wykluczyć, że nawet Kim Ir Sen nie dostrzegał skali problemów gospodarczych.

Wbrew buńczucznej retoryce *dżucze* i samowystarczalności ekonomicznej, Korea Północna była całkowicie uzależniona od pomocy sąsiadów. Kraj sprowadzał dotowaną ropę naftową, ryż, nawozy sztuczne, lekarstwa, maszyny przemysłowe, ciężarówki i samochody. Inkubatory i aparaturę rentgenowską importował z Czechosłowacji, architekci przyjeżdżali z NRD. Kim Ir Sen umiejętnie rozgrywał rywalizację sowiecko-chińską, by dostawać jak najwięcej od każdej ze stron. Niczym dawny władca udzielny domagał się hołdów od sąsiadów: Stalin osobiście wysłał mu opancerzoną limuzynę, Mao – luksusową salonkę.

W latach osiemdziesiątych problemy kraju miały zostać rozwiązane dzięki „gospodarskim wizytom”, w czasie których Kim Ir Sen albo Kim Dzongil, w coraz większym stopniu przejmujący obowiązki ojca, „udzielali wskazówek na miejscu”. Przywódcy byli ekspertami w każdej bez wyjątku dziedzinie, od geologii po rolnictwo. „Wskazówki, jakich udzielił w terenie Kim Dzongil, oraz jego gorące wsparcie, umożliwiają ogromny postęp w hodowli kóz i produkcji nabiału” – oznajmiła Koreańska Centralna Agencja Informacyjna po wizycie Ukochanego Przywódcy w gospodarstwie

hodowlanym pod Chongjinem. Kim Dzongil ogłaszał ni stąd, ni zowąd, że Korea Północna ma się przestawić z produkcji ryżu na uprawę ziemniaków, by dzień później zadeklarować, że trudności aprowizacyjne rozwiąże hodowla strusi. Kraj nie cierpiał na niedostatek idiotycznych pomysłów.

Ogromną część jego budżetu pochłaniała armia. Podczas gdy w państwach uprzemysłowionych wydatki na obronność stanowią około pięciu procent produktu krajowego brutto, w KRLD sięgały dwudziestu pięciu procent. Chociaż wojna zakończyła się w 1953 roku, niewielka Korea Północna miała pod bronią milionową armię, czwartą pod względem wielkości na świecie. Maszyna propagandowa podsycała histerię, nieustannie strasząc nadchodzącą inwazją imperialistyczną i podżegaczami wojennymi.

Namaszczony na następcę Kim Dzongil szybko zdobywał coraz wyższą pozycję w Biurze Politycznym, a w 1991 roku został zwierzchnikiem koreańskich sił zbrojnych. Kilka lat później obok tablic ze sloganami *dżucze* wszędzie pojawiły się plakaty propagujące hasło *songun*: „Najpierw wojsko", zgodnie z którym przewodnią siłą w kraju miała być Koreańska Armia Ludowa. Młodszy Kim dawno już wyrósł z zajmowania się kinem i zwrócił ku lepszym zabawkom: broni jądrowej i pociskom dalekiego zasięgu.

Od drugiej wojny światowej, zakończonej zbombardowaniem przez Amerykanów Hiroszimy, Kim Ir Sen marzył o uczynieniu KRLD potęgą nuklearną. W latach sześćdziesiątych Sowieci zbudowali w górach na północ od Pjongjangu ośrodek badań jądrowych Jongbion. Ale program nuklearny nabrał przyspieszenia dopiero za sprawą Kim Dzongila, który najwyraźniej wierzył, że dzięki zbrojeniom jądrowym kraj odzyska należny mu prestiż na arenie międzynarodowej, a on sam umocni swoją pozycję. Zamiast przebudowy przestarzałej infrastruktury i przemysłu Korea Północna finansowała kosztowne, tajne projekty zbrojeniowe[8], twierdząc, że potrzeba jej „straszaka nuklearnego", by zapobiec amerykańskiej agresji. W 1989 roku reaktory jądrowe fabryki w Jongbionie wzbogacały już pluton dla celów militarnych, a według szacunków CIA z początku lat dziewięćdziesiątych Korea Północna dysponowała zapasami potrzebnymi do budowy jednej lub dwóch bomb jądrowych. „Kim Dzongil nie przejmował się groźbą bankructwa kraju. Uważał, że utrzyma się przy władzy tylko dzięki pociskom i broni nuklearnej" – powiedział mi w 2006 roku Kim Dok-hong, zbiegły do Seulu były dygnitarz z Pjongjangu.

Dla Korei Północnej nastały wyjątkowo niesprzyjające czasy. Kim Dzongil zdawał sobie sprawę, że zimna wojna dobiegła końca, ale najwyraźniej nie pojmował, dlaczego dawnych komunistycznych protektorów Korei Północnej zaczęły bardziej obchodzić kwestie finansowe niż wspieranie jego anachronicznej dyktatury i ambicji nuklearnych. W Korei Południowej, będącej głównym rywalem KRLD, w latach siedemdziesiątych rozpoczął się skok gospodarczy, podczas gdy od początku następnego dziesięciolecia jej sąsiad na północy pogrążał się w stagnacji. Chiny i Związek Radziecki zapomniały o komunistycznej solidarności i wolały robić interesy z Hyundaiem czy Samsungiem niż z państwowymi przedsiębiorstwami północnokoreańskimi, niewywiązującymi się w terminie ze zobowiązań finansowych. W 1990 roku, tuż przed swoim rozpadem, ZSRR ku zgrozie Pjongjangu nawiązał stosunki dyplomatyczne z Koreą Południową. Chiny poszły w jego ślady dwa lata później.

Niewypłacalność Korei Północnej, której dług zagraniczny wzrósł na początku lat dziewięćdziesiątych do dziesięciu miliardów dolarów, budziła rosnące zniecierpliwienie Moskwy i Pekinu. Rosja zniosła preferencyjny, „przyjacielski” eksport do Korei Północnej, postanawiając, że Pjongjang będzie za jej towary płacił obowiązujące w handlu międzynarodowym ceny rynkowe. Chiny, które deklarowały wcześniej nierozerwalną przyjaźń z KRLD i zapewniały Korei Północnej trzy czwarte jej importu paliw i dwie trzecie żywności, żądały teraz za dostawy zapłaty z góry.

Kraj szybko wpadł w śmiercionośną spiralę. Bez taniej ropy naftowej i surowców stawały północnokoreańskie fabryki i kraj nie miał czego eksportować. Bez eksportu nie było twardej waluty, a bez niej jeszcze bardziej spadał import i zabrakło elektryczności. Pozbawione dostaw energii elektrycznej kopalnie nie mogły wydobywać węgla, bo pompy odprowadzające z nich wodę działały na prąd. Brak węgla pogłębiał deficyt energii elektrycznej, z powodu którego coraz bardziej spadała produkcja żywności. Bez prądu nie mogły się obyć nawet uspołecznione gospodarstwa rolne. Na nieurodzajnej koreańskiej ziemi wyżywienie dwudziestu trzech milionów ludzi zawsze było trudne, a rolnictwo mogło funkcjonować jedynie dzięki systemom melioracji, wymagającym energii elektrycznej, oraz nawozom sztucznym i środkom ochrony roślin, których fabryki stanęły z powodu braku paliwa i surowców. W Korei Północnej zaczęło brakować żywności, a głodujący ludzie nie mieli siły do pracy. Gospodarka znalazła się na równi pochyłej.

Korea Północna była (i kiedy w 2009 roku pisałam tę książkę, wciąż pozostawała) ostatnim zakątkiem na ziemi, gdzie niemal wszystkie grunty rolne należą do gospodarstw uspołecznionych. Państwo odbiera cały plon, po czym pewną jego część oddaje producentowi. Ale gdy na początku lat dziewięćdziesiątych spadały zbiory, rolnicy, także dotknięci głodem, zaczęli ukrywać część wyprodukowanej żywności – po kraju krążyły opowieści, że na wsi zawalają się dachy pod ciężarem ziarna chowanego pod okapami. Chłopi zaniedbywali także wspólne pola, pracując we własnych przydomowych „ogródkach warzywnych" albo na spłachetkach ziemi pozyskiwanych pod uprawy na zboczach gór. Kiedy jedzie się przez koreańską wieś, uderza kontrast między działkami przyzagrodowymi – na których pięknie rosną warzywa, wysoko pnie się fasola, pędy dyni płożą się przy ziemi – a skolektywizowanymi polami, gdzie karłowata kukurydza stoi w nierównych rzędach, posadzona w ramach patriotycznego obowiązku przez tak zwanych ochotników.

Kryzys najsilniej dotknął mieszkańców miast, pozbawionych dostępu do ziemi, którą można by spożytkować na własne potrzeby.

Pani Song od zamążpójścia chodziła regularnie co piętnaście dni z dwiema plastikowymi torbami do tego samego punktu rozdziału żywności. Nie było to daleko, punkt znajdował się między dwoma osiedlami bloków w jej dzielnicy. Nie miał nic wspólnego ze sklepem samoobsługowym, gdzie sięga się swobodnie po towar leżący na półkach; tutaj kobiety stały w długiej kolejce przed nieoznakowanym wejściem chronionym rozsuwanymi kratami. Chociaż wszystkie przychodziły zgodnie z harmonogramem – dla pani Song był to trzeci i osiemnasty dzień miesiąca – często trzeba było czekać godzinami. W nieogrzewanym, niewielkim pomieszczeniu o pomalowanych na biało cementowych ścianach przy stoliku zawalonym papierami siedziała ponura pracownica. Pani Song wręczała jej książeczkę kartkową, drobną sumę pieniędzy i zaświadczenie z zakładów odzieżowych, potwierdzające, że dopełniła obowiązku pracy. Urzędniczka podliczała wysokość przysługujących jej racji: po siedemset gramów dziennie dla niej i Chang-bo, po czterysta dla teściowej, ponieważ emeryci dostawali niższy przydział, i po pięćset gramów dziennie na każde z dzieci mieszkających w domu. Jeśli ktoś z rodziny wyjeżdżał, to odliczano racje przypadające na dni w podróży. Po sporządzeniu rachunków pracownica brała urzędową pieczątkę, uroczyście zanurzała ją w czerwonym tuszu i głośno przybijała stempel na pokwitowaniu w trzech egzemplarzach, z których jeden wręczała

pani Song. Na zapleczu, gdzie w ogromnych pojemnikach przechowywano ryż, kukurydzę, kaszę jęczmienną i mąkę, magazynierka odważała przydzielone racje i przesypywała je do plastikowych toreb klientki.

Zawartość tych toreb zawsze była niespodzianką, czasem Pani Song znajdowała w nich odrobinę więcej, kiedy indziej – odrobinę mniej. Po latach nie umiała powiedzieć, kiedy dokładnie jej racje zaczęły topnieć, czy było to w 1989, 1990 czy 1991 roku. Gdy wręczali jej torby, nie musiała do nich zaglądać, bo i tak wiedziała, że się rozczaruje. Były lżejsze niż kiedyś. Obcinanie przydziałów stało się regułą. W jednym miesiącu dostawała produkty na dwadzieścia pięć dni, w innym tylko na dziesięć. Wbrew przyrzeczeniom Kim Ir Sena ryż był w Korei Północnej towarem luksusowym. Coraz częściej przydzielano jedynie kukurydzę i jęczmień. Olej, który był zawsze rzadkością, zniknął całkowicie. Pani Song nie lubiła się skarżyć, ale nawet gdyby chciała, i tak nie mogłaby zaprotestować.

– Gdybym coś powiedziała, po prostu by po mnie przyszli – wyjaśniła.

Władze podawały różne powody tej sytuacji, od zupełnie absurdalnych po całkiem prawdopodobne. Mówiono ludziom, że w obliczu nadchodzącego zjednoczenia z Koreą Południową rząd robi zapasy żywności dla jej głodujących mas. Mówiono, że brakuje jedzenia, bo Stany Zjednoczone wprowadziły blokadę kraju. Nie była to prawda, ale w takie wyjaśnienie można było uwierzyć. Gdy w 1993 roku Korea Północna ogłosiła zamiar wycofania się z traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, prezydent Bill Clinton zagroził jej sankcjami. Kim Ir Sen, który szukał sposobu, by zrzucić z siebie winę, wskazywał na Stany Zjednoczone, dyżurnego w Korei Północnej kozła ofiarnego. „Ludność Korei cierpi od dawna wskutek blokady i sankcji nałożonych przez imperialistów amerykańskich” – pisał „Rodong Sinmun”.

Koreańczycy lubią o sobie mówić, że są twardzi – i tak jest w istocie. Aparat propagandowy rozpoczął kampanię, która miała podsycić dumę narodową. Przywoływano w niej apokryficzną w znacznej mierze historię z lat 1938–1939, kiedy to niewielki oddział partyzantki antyjapońskiej pod wodzą Kim Ir Sena „na dwudziestostopniowym mrozie, w zamieci śnieżnej, mimo głodu walczył pod czerwonym sztandarem z tysiącami wrogów”. Trudny Marsz stanie się później metaforą głodu[9]. „Rodong Sinmun” wzywał Koreańczyków, by pamięć o poświęceniach Kim Ir Sena umacniała ich w obliczu niedoborów żywności.

> Żadna siła na świecie nie powstrzyma ludu koreańskiego w jego dalszej drodze do zwycięstwa w rewolucyjnym duchu »Trudnego Marszu«, a KRLD na zawsze pozostanie potęgą.

Znoszenie głodu stało się obowiązkiem patriotycznym. Na plakatach w Pjongjangu pojawiło się nowe hasło: „Wystarczą nam dwa posiłki dziennie”. W telewizji pokazano dokument o mężczyźnie, któremu z przejedzenia ryżem pękł żołądek. Tak czy inaczej, niedobory żywności miały być przejściowe – gazety przytaczały wypowiedzi speców od rolnictwa, którzy zapowiadali ogromny urodzaj ryżu w następnym roku.

Na doniesienia prasy zagranicznej o brakach żywności północnokoreańska agencja informacyjna zareagowała oburzeniem:

> Mieszkańcy kraju nie znają ceny ryżu, bo państwo zaopatruje ich w tanią żywność. Taka jest rzeczywistość w północnej części Korei. Na naszej ziemi wszyscy żyją szczęśliwie i nie muszą się martwić o jedzenie.

Kwestionowanie tych sprzeczności i jawnych kłamstw byłoby niebezpieczne. Ludzie nie mieli wyboru. Nie mogli uciec z kraju, nie mogli obalić jego przywódców ani protestować. Żeby stawić czoło codzienności, przeciętny obywatel odpędzał natrętne myśli. Optymizm jest naturalną postawą ułatwiającą przetrwanie. Podobnie jak Żydzi niemieccy, którzy w pierwszych latach rządów Hitlera chcieli wierzyć, że gorzej być nie może, Koreańczycy oszukiwali samych siebie. Sądzili, że kryzys jest przejściowy. Że sytuacja zmieni się na lepsze. Pusty żołądek trudno oszukać, ale czasem to się udaje.

Kampanii propagandowej towarzyszyła wzmożona inwigilacja społeczeństwa. Im więcej jest powodów do skarg, tym bardziej trzeba pilnować, by nikt nie odważył się protestować.

Od wczesnych lat siedemdziesiątych pani Song pełniła okresowo funkcję *inminbanjang*, przewodniczącej wspólnoty sąsiedzkiej. Mieszkańcy co rok wybierali swojego lidera, najczęściej zamężną kobietę w średnim wieku. Pani Song, energiczna, dobrze zorganizowana, lojalna i obdarzona, jak to nazywają Koreańczycy, *nunji* – pojęcie to bliskie jest naszemu wyczuciu albo intuicji – dobrze nadawała się do tej roli. Ze wszystkimi była w dobrych stosunkach. Podlegało jej piętnaście rodzin, ona zaś musiała ustalić plan dyżurów przy zamiataniu chodników, strzyżeniu trawy przed blokiem, zbieraniu i wykorzystywaniu odpadów. Spoczywał na niej także obowiązek informowania o wszystkim, co wydało się jej podejrzane.

Pani Song współpracowała zawsze z tą samą osobą z Agencji Bezpieczeństwa Państwa. O kilka lat od niej starsza towarzyszka Kang była żoną działacza partyjnego, o którym mówiło się, że jest ustosunkowany w

Pjongjangu. Spotykały się co kilka miesięcy albo w delegaturze ministerstwa, albo u pani Song, gdzie przy szklaneczce domowej wódki kukurydzianej gospodyni składała sprawozdania dotyczące wspólnoty. Niewiele miała w nich do powiedzenia. W bloku nie działo się nic ciekawego. Nie licząc incydentu, gdy Chang-bo poskarżył się na brak kaloszy, sąsiedzi nie popełniali żadnych wykroczeń.

Ale z czasem towarzyszka Kang stała się bardziej natarczywa. Gdy zaczęła szwankować dystrybucja żywności, chciała się dowiedzieć, czy mieszkańcy narzekają na władze.

– Czy skarżą się na jedzenie? Co mówią? – dopytywała. Czekała na panią Song przed jej domem i złapała ją w drzwiach.

– Nic nie mówią – żachnęła się pani Song. Powiedziała prawdę. Istotnie, nie umknęło jej uwadze, że na jej widok ludzie przerywają rozmowy i zapada dziwne milczenie. Wszyscy wiedzieli, że na *inminbanjang* spoczywa obowiązek informowania bezpieki.

Towarzyszka Kang nie chciała dać za wygraną.

– Trzeba samemu zacząć od narzekań, spytać, dlaczego nie ma żywności, zobaczyć, jak zareagują – syknęła, rozglądając się, czy ktoś ich nie podsłuchuje na korytarzu.

Pani Song, żeby się uwolnić, skinęła głową bez przekonania. Nie miała zamiaru narzekać. Wiedziała, że wśród jej sąsiadów nie ma wywrotowców ani wrogów państwa. I była po prostu zbyt zmęczona, żeby zajmować się sprawami ideologicznymi.

Brak żywności wysysał z niej siły. Nieustannie łamała sobie głowę rachunkami, ale i tak nic jej się nie zgadzało. Próbowała znaleźć jakiś sposób, żeby wyżywić rodzinę. Jej zakłady odzieżowe stanęły całkowicie w 1991 roku i przez następny rok nie dostawała pieniędzy. Dawano jej jedynie kartki na żywność, ale od czasu, gdy zabrakło produktów w punkcie rozdziału, kartki stały się bezużyteczne. Dawniej za nadgodziny wynagradzano czasem jej męża olejem, herbatnikami, tytoniem czy alkoholem, ale teraz prawie się to nie zdarzało. Półki w państwowych sklepach opustoszały.

Po zamknięciu fabryki pani Song przezwyciężyła wewnętrzne opory wobec kupowania na czarnym rynku, gdzie wciąż jeszcze było jedzenie, czasem nawet ryż, ale w zaporowych cenach. Kilogram ryżu kosztował tam dwadzieścia pięć wonów, podczas gdy w punkcie dystrybucji płaciło się za niego mniej niż jedną dziesiątą wona.

Wciąż jednak wzdrygała się na myśl o znalezieniu sobie zajęcia na bazarze. Co by tam miała robić? Nie mogłaby sprzedawać warzyw, bo nie miała ogródka. Nie znała się na biznesie, umiała tylko posługiwać się liczydłami. Przy czwórce dzieci i po wydatkach związanych ze ślubem Oak-hee, pani Song nie miała żadnych oszczędności. Zaczęła się zastanawiać, czy mogłaby sprzedać jakieś rzeczy z domu. W myślach zrobiła przegląd. Orientalny obraz. Telewizor. Książki męża. Może maszynę do szycia?

W tym samym czasie tysiące ludzi biło się z podobnymi myślami. Co można sprzedać? Gdzie zdobyć coś do jedzenia?

Prawie cały Chongjin to betonowa dżungla. Bruk miejski wdarł się wszędzie z wyjątkiem górskich zboczy. Nie było lasu, gdzie można by zapolować na ptactwo albo znaleźć jagody. Dno morskie przy wąskiej plaży, gdzie pani Song z rodziną zbierała kiedyś małże, opadało tak gwałtownie, że z brzegu nie dawało się łowić ryb. Pod uprawy warzyw i ryżu nadawały się jedynie małe wysepki w Nanamie.

W poszukiwaniu żywności ludzie wyprawiali się coraz dalej od miasta. Częstym celem tych wędrówek były ogrody w okręgu Kyongsong. Do tamtejszych skolektywizowanych sadów gruszy, odległych o jakieś pięć kilometrów od centrum Chongjinu, w dni wolne ciągnęły całe rodziny. Ludzie udawali, że idą na wycieczkę, nikt nie chciał przyznać, że wygania go głód. Koreańskie gruszki – okrągłe, brunatne, wielkością dorównujące grejpfrutom, twarde i chrupiące jak jabłka – szły na eksport do Japonii. Czasem, kiedy owoce spadały z drzew za ogrodzenie sadu, zbierało się je bez trudu. Wśród zbieraczy było dużo dzieci. Gdy posiłki w szkołach stawały się coraz mniejsze, a potem je zlikwidowano, uczniowie uciekali z lekcji, żeby znaleźć coś do zjedzenia. Dzieciaki z łatwością prześlizgiwały się pod drucianą siatką. Młody mężczyzna, który w 1992 roku był dziesięcioletnim chłopcem, po latach opowiadał mi nie bez dumy, jak wskakiwał na tylny zderzak autobusu i jechał do ostatniego przystanku w Nanamie, skąd maszerował jeszcze godzinę. Poruszający się w pojedynkę chłopiec nie zwracał na siebie uwagi. Bez trudu przedostawał się pod ogrodzeniem do sadu i tam pakował pełną torbę gruszek. „Brałem, ile dało się unieść, i rozdawałem kolegom” – mówił.

Inni zachowali straszne wspomnienia z tych lat. Kim Ji-eun, która po niedawnym ukończeniu medycyny odbywała wtedy staż, wybrała się któregoś weekendu do sadów razem z rodzicami, zamężną siostrą, szwagrem i dwójką małych siostrzeńców. Do celu dotarli dopiero po

południu, bo przez większą część drogi musieli nieść dzieci. Przed nimi było tam dużo ludzi. Udało im się znaleźć na ziemi jedną lekko nadpsutą gruszkę. W domu ją ugotowali, po czym podzielili na pięć części: po kawałku dla każdego dziecka, dziadków i szwagra. Ji-eun z siostrą nie dostały ani odrobiny.

To było 9 września 1993 roku. Kim Ji-eun nigdy nie zapomni tej daty, bo tego dnia po raz pierwszy w życiu od rana do nocy nie miała niczego w ustach. Niewielu ludzi pamięta to tak dokładnie. Koniec pewnej epoki nie nadszedł z dnia na dzień. Zanim ludzie zrozumieli, że ich świat rozpadł się nieodwołalnie, minęły lata.

Wiktoriański romans



[91] Dom kultury w Kyonsongu

Mi-ran po raz pierwszy zwróciła uwagę na to, że mieszkańcy miasta wyprawiają się na wieś w poszukiwaniu jedzenia, gdy była w szkole średniej. Jeździła wtedy rowerem do Chongjinu, a oni jak nędzarze zakradali się z płóciennymi workami do sadów po obydwu stronach drogi. Niektórzy docierali jeszcze dalej, na pola kukurydzy, które na południe od jej wsi ciągnęły się kilometrami ku morzu. W górach niedaleko kopalni kaolinu, gdzie pracował jej ojciec, ludzie z miasta zbierali też drewno na opał. To wszystko ją zdumiewało, bo zawsze sądziła, że mieszkańcom Chongjinu powodzi się znacznie lepiej niż tym z Kyongsongu[10]. Przecież mają tam wyższe uczelnie i wielkie teatry, i restauracje, do których chodzą tylko członkowie partii i ich rodziny, a nie ktoś taki jak ona.

Kyongsong składał się z osad wiejskich i niewielkiego centrum przypominającego Chongjin w miniaturze, z nazbyt szeroką główną ulicą i monumentalnym pomnikiem z kamienia, upamiętniającym zwycięstwo Kim Ir Sena nad Japończykami w drugiej wojnie światowej. Oprócz kilku

zakładów ceramicznych, gdzie wykorzystywano kaolin wydobywany w kopalni, w której pracował ojciec Mi-ran, była tam duża fabryka podzespołów elektrycznych imienia Piątego Czerwca. Tego pamiętnego dnia w 1948 roku przybył tam z wizytą Kim Ir Sen, by na miejscu udzielić bezcennych wskazówek. Osada, w której mieszkała Mi-ran, nie była wsią w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale jej mieszkańcy mieli znacznie łatwiejszy dostęp do ziemi niż ci z miasta. Tereny nad morzem były płaskie, piaszczyste i stosunkowo żyzne, dalej od brzegu zaczynały się wznosić coraz wyżej, ku gęsto porośniętym sosnami górom. Wąskie pasma ziemi między harmonijkowymi domami ludzie wykorzystywali starannie pod uprawy czerwonej papryki, rzodkwi, kapusty i nawet tytoniu, bo skręty były tańsze od papierosów, a palili praktycznie wszyscy mężczyźni. Warzywa hodowano także w donicach stojących na płaskich dachach. Skala tych prywatnych upraw była niewielka i władze przymykały oko na ten proceder. Gdy w kraju zaczęło brakować żywności, przynajmniej na początku ludzie nie cierpieli tam głodu.

Kiedy pensja, którą ojciec Mi-ran przynosił z kopalni, zaczęła się kurczyć, by w końcu stopnieć do zera, utrzymaniem rodziny zajęła się matka. Nigdy nie przepadała za domowymi obowiązkami, ale jeśli chodzi o zarabianie, była zaradna. Brała do domu szycie, wyrabiała tofu, a nawet hodowała świnie, dla których jednak brakowało paszy. Największym jej sukcesem okazał się domowej roboty erzac lodów według własnego przepisu. Kupiła używaną zamrażarkę o nazwie Biegun Północny. Zamiast mleka czy śmietany, które były prawie nie do zdobycia, używała wody pozostałej po wyrobie tofu. Słodziła ją, zabarwiała czerwoną fasolą, rozlewała na tace z pojemniczkami do kostek lodu i zamrażała. Koreańczycy uwielbiają rozpieszczać dzieci i na smakołyki nie żałują im ostatniego grosza. Czasami matka Mi-ran z wózkiem pożyczonym od koleżanki chodziła od domu do domu ze swoimi specjałami. Jej lekceważenie ustanowień partii zakazujących prywatnej działalności biznesowej było przejawem nie tyle buntu, ile pragmatyzmu i braku zainteresowania sprawami ideologicznymi. Za pieniądze zarobione na sprzedaży wyrobów lodopodobnych kupowała na czarnym rynku kukurydzę i czasem ryż.

Głodu uniknął też cichy wielbiciel Mi-ran. Mieszkający w Japonii dziadkowie Jun-sanga ze strony ojca odwiedzali ich niemal co roku. Prom, którym podróżowali, zawijał do Chongjinu, a od początku lat

dziewięćdziesiątych – do leżącego jeszcze dalej na północ portu Wonsan. Rodzina Jun-sanga czekała na nich w komplecie na nabrzeżu. Przy powitaniu ściskali się i płakali, a *harabogi*, dziadek, korzystał wtedy ze sposobności, by wsunąć synowi do kieszeni grubą kopertę z pieniędzmi. Trzeba to było zrobić dyskretnie, bo gdyby ktoś zauważył, władze pobrałyby część przywiezionych jenów. W kopercie była czasem równowartość dwóch tysięcy dolarów. Koreańczycy w Japonii dobrze wiedzieli, że ich krewni w KRLD głodowaliby bez twardej waluty.

Rodzina Jun-sanga miała też na szczęście własny ogród. W tym skromnym królestwie warzywa rosły na równiutkich grządkach, o które dbał ojciec. Pochylał się nad sadzonkami z taką czułością, jakiej prawie nigdy nie okazywał swoim dzieciom. W kajeciku odnotowywał daty zasiewów, głębokość bruzd, dni, kiedy ziarna zaczynały kiełkować, i czas, w jakim warzywa rosły i dojrzewały. Matka Jun-sanga wciąż cieszyła się dobrze wyposażoną kuchnią, pełną sprzętów przywiezionych przez jej rodzinę z Japonii. Nożem ostrym jak brzytwa kroiła marchewkę i rzodkiew w wąskie słupki, na świeżo ugotowanym ryżu układała warstwy chrupiących jarzyn i wszystko zawijała w płaty suszonych wodorostów. W sąsiedztwie tylko oni jadali *kimbab*, koreański odpowiednik japońskiego *maki-sushi*, potrawę popularną na Południu kraju, lecz praktycznie nieznaną na Północy. Dzięki warzywom z ogródka i ryżowi kupowanemu na czarnym rynku odżywiali się lepiej niż inni, z wyjątkiem ścisłej elity partyjnej.

Jun-sang był największą dumą rodziny. Zaowocowały lata trudów: nauka do pierwszej w nocy, wstawanie o świcie, nieustanne gderanie ojca i rozbudzona potrzeba zaspokojenia ambicji rodzinnych. Został przyjęty na uczelnię w Pjongjangu, wprawdzie nie na Uniwersytet imienia Kim Ir Sena, bo na to nie pozwalał niski status rodziny, ale do szkoły, która kształciła naukowców i przy naborze studentów kierowała się przede wszystkim poziomem kandydatów. Korea Północna, pod względem technologicznym pozostająca daleko w tyle za Koreą Południową i Japonią, nie mogła już sobie pozwolić na marnowanie talentów. Jun-sang wolałby studiować literaturę, filozofię albo, gdyby tylko istniał taki kierunek, reżyserię filmową, ale ojciec zmusił go do wybrania nauk ścisłych, bo wiedział, że ktoś bez dobrego *songbun* inaczej nie dostanie się do stolicy.

Dla chłopaka z prowincji Hamgyong Północny przyjęcie na stołeczny Uniwersytet Technologiczny, najlepszą w kraju uczelnię techniczną, było ogromnym osiągnięciem. Oznaczało to również, że Jun-sang zostanie

zwolniony od służby wojskowej. Chłopak miał szansę poprawy rodzinnego *songbun* i otwierała się przed nim perspektywa przyjęcia do partii. Chociaż nurtowały go pewne wątpliwości polityczne – zaczynał się zastanawiać, dlaczego mieszkańcy NRD zburzyli mur berliński, skoro komunizm jest dobry – wiedział, że przynależność do partii i wykształcenie w stolicy mogą mu otworzyć drogę do awansu klasowego.

Jun-sang był z siebie dumny. Skromny z natury – przed otoczeniem nigdy nie popisywał się intelektem ani pieniędzmi – teraz, gdy przyjeżdżał z Pjongjangu do domu, czuł się jak powracający bohater. Studenci, tak jak żołnierze, mieli obowiązek noszenia mundurów także poza uczelnią. Jego strój składał się z zielonej dwurzędowej marynarki, spodni w tym samym kolorze, białej koszuli i krawata. Kolor munduru nawiązywał do słów Kim Ir Sena, który porównał młodzież do „góry okrywającej się zielenią”. Z nową wiarą w siebie Jun-sang znów zaczął myśleć o umówieniu się z Mi-ran. Od czasu, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w kinie, minęło pięć lat, ale nie potrafił o niej zapomnieć. Na uniwersytecie w Pjongjangu były dziewczyny, bystre i ładne, ale żadna nie zrobiła na nim wrażenia takiego jak ona.

Jun-sang zdążył ją trochę poznać. W szkole średniej zaprzyjaźnił się z jej siostrą Mi-sook. Dwa lata starsza od Mi-ran, o chłopięcym usposobieniu, grała w żeńskiej drużynie siatkówki. Spotykał ją często w sali gimnastycznej, gdzie ćwiczyli jego koledzy. Na lekcjach boksu zaprzyjaźnił się też z chłopcem, który był sąsiadem Mi-ran z harmonijkowego domu. Jun-sang miał więc pretekst, żeby tam przychodzić.

Rodzinie Mi-ran udało się zdobyć telewizor i, podobnie jak u pani Song, zawsze zostawiali otwarte drzwi dla sąsiadów. Któregoś dnia, gdy Jun-sang odwiedził przyjaciela, a kilka osób wybierało się na telewizję, wślizgnął się razem z nimi. Wszyscy oglądali program, lecz on popatrywał to w ekran, to na nią. Wyrosła na piękną dziewczynę. Przyglądał się jej, próbując dociec, co go tak urzekło w rysunku jej oczu i nosa, w jej ustach i włosach. Zastanawiał się także, czy warto zaryzykować i poprosić ją o spotkanie. Uznał, że tak.

Jun-sang postanowił to zrobić w czasie przerwy wiosennej na pierwszym roku, gdy przyjechał do domu z Pjongjangu. Czatował w centrum Kyongsongu, mając nadzieję, że spotka ją tam „przypadkowo” i będzie mógł do niej zagadać. Ostatniego dnia wakacji wypatrzył ją na targu, ale zanim zdążył do niej podejść, zauważył, że tuż za nią stoi jej matka.

Wkrótce potem zwierzył się ze swego pragnienia jej siostrze i Mi-sook zgodziła się mu pomóc. Podczas następnych wakacji Jun-sang wybrał się do nich w umówionym terminie. Mi-sook, która czekała na niego w progu, zawołała do Mi-ran:

– Chodź do nas, siostrzyczko. Poznasz mojego kolegę.

Mi-ran wystawiła głowę zza drzwi, ale z cichym okrzykiem zawstydzenia szybko się schowała.

– Chodź do nas, siostrzyczko, bo cię wyciągnę siłą – Mi-sook nie dawała za wygraną.

W końcu wyszła się z nim przywitać. Kiedy stanął z nią po raz pierwszy twarzą w twarz, poczuł, jak kropelki potu spływają na jego świeżo odprasowany kołnierzyk od munduru. Gdy zaczął mówić, usłyszał we własnym głosie drżenie. Skoro jednak było za późno, żeby się wycofać, nie schował głowy w piasek. Zdawkowa rozmowa nie wchodziła w rachubę, więc postanowił niczego nie ukrywać. Powiedział jej o wszystkim. Zaczął od tego, jak wypatrzył ją w kinie. Skończył, prosząc, by została jego dziewczyną.

– Studiuję. Powinienem ciężko pracować, ale nie mogę się skupić, bo myślę o tobie – wyrzucił z siebie.

Mi-ran stała w milczeniu. Wprawdzie nie uciekała wzrokiem, ale nie odzywała się ani słowem. Jun-sangowi pękała głowa, miał wrażenie, że za chwilę coś ją rozsadzi. Za wszelką cenę chciał skłonić dziewczynę do rozmowy.

– Nie zauważyłaś, że nie spuszczam z ciebie oka?

– Nie, nie miałam o tym pojęcia.

Czekał w nadziei, że jeszcze coś dopowie.

– Wiesz, to nie jest tak, że mi się nie podobasz – dorzuciła niejasno, używając podwójnego przeczenia, które w języku koreańskim brzmi bardzo niejednoznacznie. Choć nie był pewien, wydawało mu się, że to ostrożna, ale pozytywna odpowiedź. Przyrzekła, że o swojej decyzji napisze mu w liście. Mimo udawanej rezerwy, Mi-ran w gruncie rzeczy nie posiadała się z radości. Jej wielbiciel był przystojny, miły i stanowił świetną partię. Znała tylko kilku chłopców, którzy dostali się na uczelnie, ale żaden nie studiował w Pjongjangu. Jej zaskoczenie nie było szczere, bo zwróciła wcześniej uwagę na to, że Jun-sang czyha na kogoś w jej sąsiedztwie, i w głębi duszy miała nadzieję, że przychodzi tu ze względu na nią. Wielkie wrażenie zrobił na niej także jego zielony dwurzędowy mundur. Jun-sang wyglądał w nim

jak oficer marynarki. Chociaż nigdy nie chodziła na randki, instynkt podpowiadał jej, że powinna pokazać, że niełatwo ją zdobyć. Szukała więc najlepszego sposobu, by powiedzieć mu „tak”, ale okazać przy tym powściągliwość. Dlatego po kilku tygodniach wykaligrafowała do niego najstaranniej, jak umiała, list, który brzmiał dziwnie sztywno.

„Nie chcąc powodować smutku, który uniemożliwia Ci skoncentrowanie się na nauce, chwilowo przyjmuję Twoją propozycję” – napisała.

Przynajmniej na początku ich związek przybrał formę dziewiętnastowiecznego romansu epistolarnego. Mogli utrzymywać kontakt tylko listownie. W 1991 roku, gdy Korea Południowa stała się największym na świecie eksporterem telefonów komórkowych, w Korei Północnej jedynie nieliczni korzystali z telefonu. Gdyby Mi-ran chciała zadzwonić, musiałaby iść na pocztę. Ale nawet wysłanie listu nie było prostą sprawą. Brakowało papieru do pisania. Ludzie robili notatki na marginesach gazet. Wyrabiany z włókna kukurydzianego papier, który pojawiał się w państwowych sklepach, łatwo się kruszył, gdy naciskało się piórem. Mi-ran musiała ubłagać matkę o pieniądze na zakup kilku kartek papieru z importu. Pisanie na brudno byłoby zbyt drogie i nie wchodziło w rachubę. Listy między Chongjinem a odległym od niego o czterysta kilometrów Pjongjangiem szły często przez miesiąc.

Ich związek zaczął się, gdy Mi-ran była w ostatniej klasie szkoły średniej. Onieśmielało ją obycie jej chłopca z uniwersytetu. W stolicy Jun-sang mógł kupić elegancki papier. Miał wieczne pióro. Pisał listy na cztery strony, długie i potoczyste. Stopniowo odchodzili od sztywnych form, a ich korespondencja przeobraziła się w najprawdziwszy romans. Jun-sang nigdy nie oglądał filmów hollywoodzkich, ale jego rozbudzona wyobraźnia stworzyła typowe dla nich obrazy nowoczesnej miłości. W jego listach on i Mi-ran biegli ku sobie, a w tle niebo jarzyło się kolorem pomarańczy i różem. Cytował jej powieści, które czytał w Pjongjangu. Pisał wiersze miłosne. Na papierze nie było śladu dawnej niepewności, powstrzymującej go tak długo od działania.

Jun-sang wysyłał te listy do Mi-sook, która zatrudniła się w biurze, gdzie mogła otrzymywać korespondencję bez wiedzy rodziców. Mi-ran tylko jej zwierzyła się ze swojego romansu. Jun-sang nie zdradził się przed nikim. Oni sami nigdy nie rozmawiali o powodach, dla których utrzymują ten związek w tajemnicy, bo w Korei Północnej nie poruszało się otwarcie

kwestii płci i pochodzenia – a kwestionowanie własnego *songbun* byłoby w istocie równoznaczne z krytyką systemu. Ale ciążyła im niewypowiedziana prawda o nieczystej krwi Mi-ran. Oboje zdawali sobie sprawę, że ich ewentualny ślub mógłby zniweczyć szanse Jun-sanga na karierę i uniemożliwić wstąpienie do partii. Gdyby o ich związku dowiedział się jego ojciec, na pewno kazałby im zerwać. W społeczeństwie północnokoreańskim trzeba się wiązać z osobą o tym samym statusie. Jun-sang wiedział, że rodzice oczekują od niego, że w przyszłości poślubi kogoś ze środowiska koreańskich reemigrantów z Japonii. Ale na razie ojciec nie zgadzał się na żadne randkowanie.

– Najpierw masz skończyć studia. Nie wolno ci marnować czasu na uganianie się za dziewczynami – powtarzał.

W tym miejscu warto wspomnieć, że w Korei Północnej nie ma kultury randek. Wciąż jeszcze częste są tu małżeństwa aranżowane przez rodzinę albo sekretarzy partyjnych czy szefów. Parom nie wolno publicznie okazywać sobie uczuć, nie uchodzi nawet trzymanie się za ręce. Uciekinierzy z Korei Północnej twierdzą stanowczo, że nie ma tam seksu przedmałżeńskiego, a niezamężnym studentkom nie zdarzają się ciąże.

– To byłoby straszne, absolutnie nie do pomyślenia. Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić – powiedziała mi pewna uciekinierka, która sama była bezpruderyjna i, kiedy ją poznałam w Seulu, pracowała w przemyśle seksualnym. Rzecz jasna, w KRLD, inaczej niż w Korei Południowej czy Japonii, nie ma hoteli przeznaczonych do schadzek. W zwykłym hotelu nie można się zameldować bez zezwolenia na podróż, a para bez ślubu nie dostanie pokoju. Jak mówili mi ludzie z Chongjinu, słyszeli, że seks pozamałżeński uprawiało się nocą, w odludnych miejscach albo w parku, ale zastrzegali się, że nie znają nikogo, kto by się do tego przyznał.

Tradycyjną kulturę koreańską cechuje pruderia. W Seulu, gdzie uczennice noszą krótkie spódniczki w szkocką kratę, łatwo zapomnieć, że zaledwie przed stu laty przyzwoita Koreanka tak dokładnie zakrywała całe ciało, że mogłaby zadowolić talibów. Jak wynika z relacji Isabelli Bird, dziewiętnastowiecznej podróżniczki brytyjskiej, na wsi na północ od Pjongjangu kobiety nosiły w 1897 roku dziwaczne stroje przypominające burki. Były to, pisała, „monstrualne, wiklinowe konstrukcje do samej ziemi, podobne do naszych ogrodowych budek. Te niebywałe ubrania, wysokie na siedem stóp i mające pięć stóp w obwodzie, dokładnie zasłaniają ciało od stóp do głów”. Kobiety lepiej urodzone mogły wychodzić z domu jedynie o

określonych porach, kiedy na ulicach nie było mężczyzn. Bird, która wiele podróżowała również po krajach muzułmańskich, twierdziła, że Koreanki „pozostają bardzo ściśle odizolowane, być może szczelniej niż kobiety z innych narodów świata”.

Wiklinowe budki dawno zniknęły, ale przetrwały dawne postawy. System Kim Ir Sena pogodził tradycyjny konserwatyzm koreański z typową dla komunizmu tendencją do tłamszenia seksualności. Zamknął nie tylko burdele, lecz także domy *kisaeng*, gdzie rola kobiet w zabawianiu zamożnych mężczyzn nie była tak jednoznaczna. Producentów pornografii karano śmiercią. Choć Kim Ir Sen pozwalał sobie na ekscesy, a Kim Dzongil w młodości wiódł życie playboya, przyłapani na cudzołóstwie oficjele partyjni płacili utratą stanowisk.

Kim Ir Sen nie aprobował także wczesnych małżeństw i w 1971 roku wydał „instrukcję specjalną”, zgodnie z którą mężczyźni nie powinni się żenić przed trzydziestką, a kobiety wychodzić za mąż przed ukończeniem dwudziestu ośmiu lat[11]. Jak napisała jedna z gazet, „Ojczyzna i naród oczekują i wierzą, że młodzi ludzie pozostaną wierni pięknej tradycji, która pozwala na małżeństwo dopiero po spełnieniu obowiązków wobec kraju i narodu”. Nie była to jednak tradycja kraju, skoro w dawnej Korei za mąż wychodziły czternastoletnie dziewczyny. Wspomniany dekret miał podnieść morale armii, uwalniając odbywających służbę żołnierzy od niepokoju o utratę dziewczyn, oraz przeciwdziałać nadmiernemu przyrostowi naturalnemu. Mimo że w 1990 roku zniesiono te zakazy, związki między młodymi ludźmi, nawet te niewinne, wciąż budzą dezaprobatę.

Propaganda nawołuje, by kobiety nosiły „tradycyjne fryzury, dostosowane do socjalistycznego stylu życia oraz wymogów współczesności”. Koreanki w średnim wieku powinny strzyc się krótko i robić sobie trwałą, u kobiet niezamężnych dopuszczalne są dłuższe włosy, związane albo zaplecione w warkocz. Obywatelkom nie wolno zakładać spódnic przed kolano i bluzek bez rękawów. Co ciekawe, podobne reguły dotyczące uczesania i ubioru obowiązywały w Korei Południowej w latach siedemdziesiątych, w czasie dyktatury wojskowej generała Park Chung-hee. Jest to widomy znak, że Korea Północna zatrzymała się w czasie, podczas gdy u jej południowego sąsiada nastąpiły ogromne zmiany: różnice kulturowe dzielące te kraje ujawniają się najbardziej jaskrawo w podejściu do seksualności i stroju. Gdy kilka lat temu pojechałam do północnokoreańskiej enklawy turystycznej odwiedzanej przez gości z

Południa, hotelowy portier o mało nie zemdlał na widok młodej południowokoreańskiej turystki w dżinsach biodrówkach i krótkiej bluzeczce, odsłaniającej goły brzuch. Wielu uciekinierów z Północy mówiło mi, że po przyjeździe do Korei Południowej najbardziej zaskakiwał ich widok par całujących się w miejscach publicznych.

Jun-sang i Mi-ran zaczęli się więc spotykać w dogodnym czasie, gdy w kraju właśnie zabrakło światła. Absolutna ciemność, która panuje tam w nocy, jest czymś niewyobrażalnym dla przyzwyczajonego do elektryczności przybysza ze świata. Bez latarni i sygnalizacji ulicznej, bez oświetlonych okien i jasnych szpar pod drzwiami wszystko szczelnie spowija nieprzenikniona zasłona nocy. Tylko rozjarzony koniuszek papierosa wskazuje, że ktoś idzie ulicą.

Po kolacji Jun-sang wymyślał pretekst, żeby wyjść z domu. Mimo że miał dwadzieścia lat, studiował i był o głowę wyższy od ojca, wciąż się go panicznie bał.

– Idę zobaczyć się z kolegą! – wołał, wymieniając z imienia któregoś z przyjaciół ze szkoły średniej. Przyrzekał, że wróci na dziewiątą, choć świetnie wiedział, że raczej nie zjawi się przed północą, po czym wymykał się szybko, żeby ojciec nie zdążył go o nic zapytać.

Marsz do jej domu trwał pół godziny. Jun-sang szedł szybkim krokiem, choć był przygotowany, że prawdopodobnie będzie musiał długo czekać, zanim Mi-ran skończy pomagać matce w sprzątaniu po kolacji. Nie miał już pretekstu, by kręcić się pod jej domem, bo sąsiad, z którym zaprzyjaźnił się na lekcjach boksu, już tam nie mieszkał. Stał więc w ciemnościach zupełnie bez ruchu, czując bicie własnego serca.

W tych czasach nieliczne miejsca, gdzie można by się umawiać na randki, zostały zamknięte. Z braku elektryczności nie wyświetlano już filmów w okręgowym Domu Kultury w Kyongsongu. Zamknięto nieliczne czynne przed laty restauracje. W Parku Młodzieży niedaleko portu w centrum Chongjinu przetrwały łodzie wiosłowe i chylące się ku upadkowi wesołe miasteczko, ale przepisy dotyczące podróżowania były tak surowe, że nawet na wyprawę z przedmieść do centrum wymagano pozwolenia. Do parku w Kyongsongu przy stacji kolejowej Mi-ran i Jun-sang bali się chodzić, żeby nie natknąć się na kogoś, kto ich zna.

Pozostawały im więc długie spacery. Jedyna droga przecinająca wieś prowadziła w góry. Szli szybko, ale tak, by nie sprawiać wrażenia, że chcą przed czymś uciec. W milczeniu mijali wielki portret uśmiechniętego Kim

Ir Sena, tablice z hasłami: „Zrobimy wszystko, czego oczekuje Partia” i „Oddamy życie za Kim Dzongila”, oraz kolorowy billboard z żołnierzami trzymającymi bagnety, stojący tuż przed szerokim, wymalowanym w niebieskie kwiaty łukiem nad drogą. Na skraju wsi kończyły się slogany, a oni mogli odetchnąć z ulgą. Mieli rozszerzone źrenice, bo ich oczy przystosowały się do ciemności. Gałęzie starych drzew rosnących po obydwu stronach drogi tworzyły nad ich głowami splątany baldachim. W jasne noce przeświecały przez nie gwiazdy. Po kilku minutach, gdy droga zaczynała piąć się do góry, z jednej strony otwierała się dolina, z drugiej coraz bardziej stromo wznosiły się wzgórza. Na skalistych zboczach rosły kępy sosen i dzikie fioletowe kwiaty.

Po przecięciu strumyka z piaszczystymi brzegami droga ostro zakręcała w lewo, by doprowadzić ich do Onpho, uzdrowiska z gorącymi źródłami. Jest to jedyne miejsce w Korei, gdzie z piaszczystego podłoża tryskają wody alkaliczne o temperaturze sześćdziesięciu stopni Celsjusza, mające leczyć przeróżne schorzenia, od niestrawności po bezpłodność. Nad drogą, na zamkniętym terenie stała willa Kim Ir Sena, jedna z około trzydziestu rezydencji w malowniczych zakątkach kraju, utrzymywanych na jego potrzeby. Wojskowa straż pilnowała, by nikt się nie zapuszczał w stronę podjazdu. W pobliżu drogi głównej było też zamknięte sanatorium dla nomenklatury partyjnej. Uzdrowisko publiczne, z jego mocno podniszczonymi budynkami z cegły i betonu, z powodu zapaści gospodarczej prawie nie funkcjonowało. Założenie kurortu w 1946 roku upamiętnia mural z Kim Ir Senem w otoczeniu lekarzy, wyglądający tak, jakby nikt go nie odnawiał przez te wszystkie lata. Rozległy, bujnie zarośnięty teren sprawiał w nocy niesamowite wrażenie. Młoda para nie zwracała uwagi na scenerię. Radość, że są tutaj sami we dwoje, pozwalała im nawet zapomnieć o bólu nóg po wielokilometrowej wędrówce.

Ich rozmowy podczas tych spacerów były żywe i pochłaniające. W bezpośrednim kontakcie Jun-sang nie miał w sobie cienia romantycznej brawury, z jaką pisał listy. Miły i delikatny, po raz pierwszy ośmielił się wziąć Mi-ran za rękę po trzech latach. Uwodził ją opowieściami. Mówił jej o kolegach i o życiu w akademiku. Opisywał, jak studenci, podzieleni na bataliony, w zwartym szyku maszerują defiladowym krokiem na plac apelowy. Opowiadał jej o Pjongjangu, gdzie Mi-ran była tylko raz w życiu, na wycieczce szkolnej w podstawówce. Oglądała wtedy pomniki i zabytki. Stolica miała być kwintesencją nowoczesności – jak głosiła propaganda, jej

architektura była najwspanialsza na świecie i najśmielsza technologicznie. Jun-sang opisywał jej dwuwieżowy Hotel Koroyo z fantastyczną restauracją na najwyższym piętrze[12]. Nigdy do niego nie wchodził, ale podziwiał jego bryłę na tle nieba. Nie mógł się też napatrzeć na niedokończoną jeszcze stupięciopiętrową piramidę, która będzie ponoć najwyższą budowlą w Azji[13]. Mówił, że metro zostało wydrążone dziesiątki metrów pod ziemią, a jego stacje są ozdobione żyrandolami i pozłacanymi mozaikami z Kim Ir Senem.

W stołecznym sklepie dewizowym kupił jej za japońskie jeny klamerkę do włosów w kształcie motyla, wysadzaną kwadratowymi kryształkami górskimi. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką Mi-ran kiedykolwiek dostała, niezwykły i egzotyczny podarunek. Nigdy jej nie nosiła, bo nie chciała, żeby matka zaczęła o nią wypytywać. Trzymała ją w ukryciu, zawiniętą w bieliznę.

Dzięki jego opowieściom o Pjongjangu Mi-ran dowiedziała się troszkę o dalekim, uprzywilejowanym świecie. Słuchała ich jednak nie bez śladu zazdrości. Była w ostatniej klasie szkoły średniej i bała się, że będzie musiała na tym zakończyć edukację. Widziała, jak jej siostry, jedna po drugiej, ciężko przeżywały, gdy uświadamiały sobie, że z powodu pochodzenia ojca muszą zrezygnować z własnych ambicji. Jedna z nich musiała nawet dostać pozwolenie z kuratorium, żeby przystąpić do egzaminów wstępnych na studia. Z trzech sióstr tylko najstarsza dostała się na uczelnię, ale nawet jej, mimo że miała znakomity głos, nie przyjęto do szkoły muzycznej. Kształciła się na nauczycielkę wychowania fizycznego, ale zrezygnowała w połowie studiów, bo wyszła za mąż.

Mi-ran wyobraziła sobie nagle, co ją czeka. Uznała, że jest skazana na monotonię i brak perspektyw: jej przyszłość to praca w fabryce, małżeństwo (najprawdopodobniej z kimś takim jak ona), dzieci, starość i śmierć. Gdy Jun-sang rozwodził się o kolegach z akademika, ogarniało ją coraz większe przygnębienie. Ale on wyczuł jej smutek, zaczął drążyć, i w końcu powiedziała mu prawdę.

– Mam wrażenie, że moje życie nie ma sensu – wyrzuciła z siebie.

Wysłuchał jej z namysłem. Kilka tygodni później napisał do niej z Pjongjangu: „Nic nie jest przesądzone. Jeśli chcesz coś osiągnąć, to musisz uwierzyć w siebie. Wtedy będziesz mogła spełnić swoje marzenia”.

Mi-ran powie później, że to jego słowa zachęciły ją do działania. Kiedyś miała dobre stopnie, dopiero w szkole średniej opuściła się w nauce. Skoro i

tak nie miała perspektyw, nie widziała powodu, żeby się męczyć. Ale Jung-san rozbudził jej aspiracje. Zabrała się ostro do nauki. Żeby mieć na nią więcej czasu, poprosiła matkę o zwolnienie z obowiązków domowych. W szkole zgłosiła chęć przystąpienia do egzaminów kwalifikacyjnych na studia. Jeśli się nie dostanie na uczelnię, to nie będzie miała pretensji do siebie.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu przyjęto ją do kolegium nauczycielskiego. Z trzech uczelni pedagogicznych w Chongjinie najlepsze było Kolegium Nauczycielskie imienia Kim Dzong-suk, matki Kim Dzongila. Zadawała sobie pytanie, dlaczego, inaczej niż starszym siostrom, dopisało jej szczęście? Nie mogła wyjść ze zdumienia, tym bardziej że, choć uczyła się bardzo dobrze, nie była klasową prymuską. Obawiała się, że o przyjęcie na pierwszy rok będą walczyć kandydatki o lepszym pochodzeniu i równie dobrych, czy nawet wyższych ocenach.

Jesienią 1991 roku wyprowadziła się od rodziców i zamieszkała w akademiku. Jej kolegium znajdowało się w centrum dzielnicy Pohang, na tyłach muzeum i za parkiem, w którego głębi stał pomnik Kim Ir Sena.

Początkowo była zachwycona nowym miejscem. W nowoczesnym akademiku w czteroosobowych pokojach zamiast mat rozkładanych na ogrzewanej podłodze – ten koreański zwyczaj pozwalał trochę zaoszczędzić na ogrzewaniu – każda ze studentek miała własne łóżko. Ale gdy w zimie zaczęły się w Chongjinie silne mrozy, zrozumiała, dlaczego na uczelni znalazło się dla niej miejsce. W akademiku nie było ogrzewania. Mi-ran kładła się spać w palcie, grubych skarpetach i rękawiczkach. Kiedy się budziła, ręcznik, którym na noc owijała głowę, pokryty był szronem, bo zamarzała na nim para wodna z powietrza wydychanego przez sen. W łazience, gdzie dziewczyny prały podkłady menstruacyjne (nie było podpasek, zamożniejsze studentki używały gazy opatrunkowej, biedniejsze – taniej tkaniny syntetycznej) było tak zimno, że powieszone pranie w niespełna godzinę zamarzało na sztywno. Mi-ran nienawidziła poranków. Tak samo jak na uczelni Jun-sanga, studentki budzono o szóstej rano do paramilitarnego apelu, ale zamiast maszerować z podniesioną po żołniersku głową, trzęsąc się, biegły do łazienki, gdzie pod groteskowym baldachimem z zamarzniętych podkładów zwilżały twarze lodowatą wodą.

Jedzenie w stołówce było fatalne. W kraju zaczęła się kampania pod hasłem „Wystarczą dwa posiłki dziennie”, ale uczelnia poszła o krok dalej, wydając raz dziennie rzadką zupę z liści rzepy na osolonej wodzie. Czasami

dodawano do niej łyżkę ryżu i kukurydzy, gotowanych godzinami, by napęczniały. Studentki zaczęły chorować. Koleżance, z którą Mi-ran dzieliła pokój, z niedożywienia łuszczyła się twarz. Dziewczyna przerwała studia, a inne szły w jej ślady.

Mi-ran dzięki zapobiegliwej matce prawie nie odczuła wcześniej skutków kryzysu gospodarczego i dopiero wtedy przejrzała na oczy. Prosiła w domu, żeby jej dosyłano jedzenie, ale po roku nie mogła już wytrzymać. Ponieważ włożyła mnóstwo pracy, by dostać się na studia, nie chciała z nich rezygnować, ale wystarała się o zezwolenie uczelni na zamieszkanie poza akademikiem. W tygodniu sypiała na podłodze u krewnych mieszkających w Chongjinie, na weekendy szła do rodziców. Wcześniej nie uzyskałaby na to zgody, ale teraz administracja jej kolegium cieszyła się, że będzie o jedną osobę mniej do wyżywienia.

Jun-sangowi w stolicy żyło się lepiej. Wyżywienie studentów najbardziej elitarnych uczelni, przyszłych naukowców, którzy mieli wyprowadzić Koreę Północną z biedy, było dla władz priorytetem. Jego batalion maszerował więc do stołówki trzy razy dziennie, a w akademiku były ogrzewanie i prąd, by studenci mogli się uczyć po zmroku.

Jun-sang i Mi-ran widywali się, gdy on przyjeżdżał do domu na wakacje letnie i zimowe oraz przerwę wiosenną, w czasie której studenci pracowali przy opielaniu pól przed orką. Dawniej młodzież akademicka z Pjongjangu wykonywała ten obowiązek pod miastem, ale ze względu na kryzys żywnościowy zaczęto odsyłać studentów do domu, żeby karmiły ich matki. Jun-sang, który nie znosił dotąd „ochotniczej” pracy w polu, teraz odliczał dni do wyjazdu. Wyczekiwanie przerwy wydawało mu się czymś niezwykłym, skoro do tej pory całym jego światem były nauka i książki.

– Naprawdę gotów byłem zostawić wszystko i jechać do domu, żeby tylko się z nią zobaczyć. Po raz pierwszy w życiu zdałem sobie sprawę, czym są ludzkie emocje – opowiadał później o tym okresie.

Jesienią 1993 roku wychodziła za mąż jego siostra. Mimo że rodzice zapowiedzieli mu, że ma nie opuszczać zajęć, Jun-sang uznał to za znakomitą okazję, żeby swoim przyjazdem zrobić niespodziankę Mi-ran. Poprosił na uczelni o trzydniowe zwolnienie na podróż do domu. Pociągi z Pjongjangu na północ z powodu niedoborów energii elektrycznej jeździły rzadko i nieregularnie. Nawet jeśli udało się kupić bilet, to miejsca siedzące były przeznaczone jedynie dla oficjeli partyjnych. Na stacjach koczowały tłumy pasażerów. Ludzie siedzieli w ciemnościach, paląc papierosy, a gdy

wreszcie podstawiano pociąg, rzucali się w dzikim pędzie, szturmowali go przez wybite okna, szukali sobie miejsca na sprzęgach między wagonami.

Jun-sang nie dostał biletu, więc zaczął rozglądać się na dworcu za pociągiem towarowym. Po całym dniu wypatrzył skład skierowany na północ. Od kolejarza, któremu podarował trochę papierosów, dowiedział się, że pociąg jedzie do Chongjinu. Wdrapał się na węglarkę i osłonił twarz szalikiem, żeby chronić oczy. Była to jego pierwsza, ale nie ostatnia w życiu podróż pociągiem towarowym.

Wyskoczył na dworcu w Kyongsongu, gdzie skład zatrzymywał się przed stacją końcową w Chongjinie. Do wioski Mi-ran miał stamtąd niedaleko. Pobiegł prosto do niej. Był ranek, słońce już wzeszło wysoko, i choć dotąd spotykali się wieczorami, nie mógł się doczekać, żeby ją zobaczyć. Czuł, że nie wytrzymałby czekania do nocy. Była sobota, więc przypuszczał, że zastanie Mi-ran w domu. Zawsze spotykali się po kryjomu, ale teraz ruszył prosto do jej drzwi.

Otworzyła mu jej matka. Na jego widok wydała stłumiony okrzyk.

Twarz i ubranie miał czarne od węgla. Chociaż matka Mi-ran widywała Jun-sanga w czasach, gdy kolegował się z dzieciakami z sąsiedztwa, nie poznała go. Tak czy inaczej, Mi-ran nie było w domu.

– Wpadł tu do ciebie jakiś bardzo dziwny osobnik – powiedziała jej później. – Ty to masz znajomych.

Bywało, że ledwo udawało im się uniknąć zdemaskowania. Jego ojciec, który wcale nie ucieszył się z tego, że syn zrobił sobie przerwę na uczelni, nie dowierzał, że prawdziwym powodem jego przyjazdu jest ślub siostry. Gdy pewnego wieczoru matka Mi-ran wyszła z domu, a ojciec pracował na nocną zmianę, Jun-sang ośmielił się do nich przyjść. Ojciec wrócił jednak nieoczekiwanie i chłopak, zanim zdołał się wymknąć, musiał się schować.

Później Jun-sang i Mi-ran godzinami śmiali się z tych przygód. Nabieranie rodziców w gruncie rzeczy sprawiało im przyjemność. Swój romans utrzymywali w sekrecie nie tylko z konieczności, lecz także trochę dla zabawy. Tajemnica budziła miły dreszczyk, tworzenie wbrew obowiązującym konwencjom wspólnej sfery prywatności umacniało związek. Poza tym, ich bunt przeciwko obowiązującym regułom był stosunkowo niegroźny.

Zaczęli częściej się śmiać i jeszcze więcej rozmawiać. Po latach, gdy zapewnią sobie wygodną i bezpieczną egzystencję, będą wspominać ten

okres jako najszczęśliwszy w życiu. Pochłonięci sobą, nie zwracali większej uwagi na to, co się dzieje wokół nich.

Odchodzenie Boga



[109] Pomnik Kim Ir Sena w Chongjinie

W lipcu 1994 roku Mi-ran czekał jeszcze tylko jeden egzamin przed odebraniem dyplomu kolegium nauczycielskiego. Odbywała wtedy praktyki w śródmiejskim przedszkolu w Chongjinie. 9 lipca w południe, gdy dzieci rozeszły się w czasie przerwy do domów, żeby coś zjeść, zrobiła porządek na sali. Właśnie miała odpakować drugie śniadanie i dołączyć do pozostałych wychowawców w pokoju dla personelu, gdy usłyszała jakiś szybki tupot za drzwiami. Wyjrzała więc na korytarz: okazało się, że do przedszkola przybiegła jedna z dziewczynek. Włoski zebrane w koński ogon miała mokre od potu, z przejęcia nie mogła złapać oddechu i mówiła coś tak niewyraźnie, że nie sposób ją było zrozumieć.

– Nie żyje, nie żyje – zdołała wreszcie wykrztusić.

– O czym ty mówisz? – spytała jedna z wychowawczyń.

– Wielki Marszałek nie żyje!

Tytuł ten przysługiwał jedynie Kim Ir Senowi. Wszyscy byli wstrząśnięci, takich rzeczy nie wolno wygadywać nikomu, nawet dzieciom. Od przedszkola wpajano im, że żartowanie z przywódców jest zakazane. Wychowawczynie położyły małej ręce na ramionach i próbowały ją uspokoić. Wciąż brakowało jej tchu.

– Bluźnisz przeciw komunizmowi – zganiła ją jedna z przedszkolanek.

– Nie, nie, to prawda. Sama widziałam, w telewizji, jak byłam w domu.

Ale wychowawczynie nie chciały jej uwierzyć. Dobrze wiedziały, do jakich konfabulacji zdolne są pięciolatki. Poza tym wiadomości telewizyjne zaczynały się dopiero o siedemnastej. Zaniepokoiły się jednak na tyle, że nie tknąwszy posiłku, postanowiły to sprawdzić. W przedszkolu nie było radia ani telewizora, więc wyszły na ulicę. Zaaferowana dziewczynka zaprowadziła je kilka przecznic dalej, do swojego mieszkania. Gdy weszły na górę, zobaczyły, że przed telewizorem zebrał się tłum ludzi. Mi-ran próbowała jakoś się przecisnąć. Nic nie słyszała, ale twarze wokół niej były pobladłe i zapuchnięte. Ludzie wydali niski pomruk, który przerodził się w rytmiczne zawodzenie. Przez otwarte okna dobiegał przeciągły jęk z ulicy, wciąż jeszcze mokrej po gwałtownej burzy, która przeszła w nocy.

Mi-ran stała jak sparaliżowana. Nie mogła tego pojąć. Była wykształconą kobietą, pracowała jako praktykantka w przedszkolu, więc zdawała sobie sprawę, że życie ludzkie ma kres i wszyscy są śmiertelni. Ale dla niej Kim Ir Sen nie był zwyczajnym śmiertelnikiem. Skoro umarł Wielki Marszałek, wszystko jest możliwe.

Mieszkańcy Korei Północnej, wszyscy bez wyjątku, potrafią określić bardzo dokładnie, gdzie byli i co robili, gdy dotarła do nich wieść o śmierci Kim Ir Sena. Wieloletnie wywiady z nimi nauczyły mnie, że wystarczy zapytać, w jakich okolicznościach dowiedzieli się o „tym". To pytanie natychmiast budzi ożywienie nawet u najbardziej roztargnionych, zapominalskich czy wyjątkowo trudnych w rozmowie. Ludzie, którzy stłumili wiele traumatycznych wspomnień z lat dziewięćdziesiątych, ten dzień odtwarzają z poruszeniem i w najdrobniejszych szczegółach. Wstrząs sprawił bowiem, że zawieszone zostały mechanizmy zwyczajnej percepcji, że czas zatrzymał się w miejscu.

Rok, który poprzedził śmierć Kim Ir Sena, przyniósł krajowi największy zamęt od czasu wojny koreańskiej. Gospodarka była w zapaści, Chiny i Rosja flirtowały z wrogim Seulem, a Korea Północna została określona mianem „państwa zbójeckiego". Z inicjatywy nowo wybranego prezydenta Billa Clintona oenzetowska Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej zażądała od Korei, by umożliwiła zewnętrznym ekspertom inspekcję instalacji nuklearnych. W marcu 1993 roku KRLD ogłosiła zamiar wycofania się z traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i zadeklarowała kontynuację programu nuklearnego dla celów wojskowych, wywołując pierwszą od zakończenia zimnej wojny panikę wokół konfliktu atomowego. W następnym roku, gdy Korea Północna zaczęła pozyskiwać pluton w położonym siedemdziesiąt pięć kilometrów na północ od Pjongjangu ośrodku nuklearnym w Jongbionie, Pentagon przygotowywał plany uderzenia wyprzedzającego. W którymś momencie jeden z północnokoreańskich negocjatorów zagroził, że Seul „zamieni się w morze ognia".

W czerwcu 1994 roku niezapowiedzianą trzydniową wizytę w Pjongjangu złożył były prezydent USA Jimmy Carter. Dzięki jego naciskom Kim Ir Sen zadeklarował gotowość zamrożenia programu jądrowego w zamian za pomoc energetyczną. Carter doprowadził także do zaproszenia przez Pjongjang prezydenta Korei Południowej Kim Young-sama. Przełomowe spotkanie liderów obydwu krajów miało się odbyć 25 lipca 1994 roku.

6 lipca Kim Ir Sen pojechał z inspekcją do swojej górskiej rezydencji na północ od stolicy, gdzie zamierzał przyjąć południowokoreańskiego gościa. Przy tej okazji odwiedził pobliskie gospodarstwo rolne, gdzie udzielił słynnych „wskazówek na miejscu". Dzień był wyjątkowo upalny,

temperatura sięgała trzydziestu ośmiu stopni. Po kolacji Kim Ir Sen stracił przytomność wskutek rozległego zawału serca. Zmarł po kilku godzinach. Wiadomości o jego śmierci nie podawano przez półtorej doby. Chociaż od dwudziestu lat było wiadomo, że jego następcą będzie Kim Dzongil, Pjongjang musiał przygotować komunikat o pierwszym w komunistycznym świecie dziedzicznym przejęciu władzy.

Kim Ir Sen dożył osiemdziesięciu dwóch lat, znacznie przekraczając średnią długość życia mężczyzny w KRLD. Nie sposób było nie dostrzec na jego szyi dużego wola. Wszyscy – poza Koreańczykami z Północy – zdawali sobie sprawę, że życie dyktatora dobiega kresu, choć pogarszanie się jego stanu zdrowia utrzymywano w tajemnicy. Kim Ir Sen nie był jedynie ojcem narodu, jak Waszyngton czy Mao, lecz jego bogiem.

Pani Song szykowała w kuchni obiad dla siebie i męża. Jej fabryka została zamknięta. Chang-bo pracował krócej, ale jego rozgłośnia radiowa rzadko mu płaciła jakieś pieniądze. Siedział w dużym pokoju, czekając na wiadomości telewizyjne. Ponieważ doszły go słuchy, że po południu ma być transmitowany specjalny program informacyjny, sądził, że to z powodu toczących się rokowań nuklearnych. Przed miesiącem telewizja nadała takie wydanie specjalne wiadomości, gdy Korea Północna zapowiedziała zerwanie współpracy z Międzynarodową Agencją Energii Atomowej. Jako dziennikarz Chang-bo pilnie śledził zabiegi dyplomatyczne i zwroty w negocjacjach. Za to pani Song była tym wszystkim znużona. Miała poważniejsze problemy, zastanawiała się na przykład, jak by tu apetycznie podać po raz kolejny kaszkę kukurydzianą. Nagle usłyszała, że jej mąż pstryka palcami.

– Coś się stało, coś ważnego! – krzyknął.

Pani Song zajrzała przez kuchenne okienko do dużego pokoju. Zorientowała się od razu, że dzieje się coś dziwnego. Spiker telewizyjny nosił żałobny strój – czarny garnitur i krawat. Wytarła ręce ścierką i poszła do pokoju.

> Komitet Centralny Partii Pracy Korei, Centralna Komisja Wojskowa Partii, Komisja Obrony Narodowej, Demokratyczny Front na rzecz Zjednoczenia Ojczyzny oraz Najwyższe Zgromadzenie Ludowe KRLD z najgłębszym smutkiem zawiadamiają cały naród Korei Północnej, że Wielki Przywódca Towarzysz Kim Ir Sen, sekretarz generalny Komitetu Centralnego Partii Pracy Korei i prezydent Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej zmarł o godzinie drugiej rano wskutek nagłego ataku choroby.
>
> Nasz ukochany przywódca i ojciec, który całe życie poświęcił sprawie wyzwolenia ludu, do swych ostatnich chwil walcząc niestrudzenie i ze wszystkich sił o dobro ojczyzny, szczęście narodu, zjednoczenie kraju oraz wyzwolenie świata, pozostawił nas w najgłębszej żałobie.

Przed panią Song otworzyła się otchłań. Czuła, jak na wskroś przeszył ją prąd, jakby kat właśnie włączył swoją maszynerię. Tak się czuła tylko raz w życiu, gdy przed paru laty dowiedziała się, że nie żyje jej matka, ale tamtej śmierci się spodziewała. Nigdy nie słyszała, by Kim Ir Sen na coś chorował, zaledwie trzy tygodnie temu przyjmował jako potężny mąż stanu Jimmy'ego Cartera. To z pewnością nieprawda. Próbowała skupić się na tym, co mówi spiker. W dalszym ciągu poruszał ustami, ale wypowiadanych przez niego słów nie mogła zrozumieć. To było nie do pojęcia. Zaczęła krzyczeć.

– Jak mamy teraz żyć? Co z nami będzie bez naszego marszałka? – wyrzucała z siebie.

Mąż nie reagował. Pobladły, zastygł nieruchomo z niewidzącym spojrzeniem wbitym w jeden punkt. Pani Song z powodu przypływu adrenaliny nie mogła usiedzieć w miejscu. Zbiegła schodami na podwórko. Wielu sąsiadów już się tam zeszło. Klęczeli, dotykając głowami bruku. Ich przeszywające zawodzenie przypominało dźwięk syren.

Po ślubie Oak-hee, najstarsza córka pani Song, musiała zrezygnować z posady w wydziale propagandy przedsiębiorstwa budowlanego, ale często zatrudniano ją do ochotniczej pracy w dzielnicowym teatrze. Została przeszkolona na spikerkę i z radiowęzła na furgonetce wzywała robotników przez megafon do wykonywania norm produkcyjnych. Taki dobrze ustawiony, przekonujący głos nie powinien się marnować, więc gdy dzielnicowa policja poprosiła ją, by czytała narrację w sztuce nawołującej do wypełniania obywatelskich obowiązków, nie bardzo mogła odmówić. Musiała więc recytować z przejęciem: „Dla dobra naszej ojczyzny musimy zdemaskować szpiegów" albo „Do popełnionego przestępstwa trzeba się przyznać".

Gdy wyczerpana i głodna wlokła się po próbie do domu, zwróciła uwagę, że na ulicach jest pusto. W okolicy dworca, gdzie mieszkała z mężem, z którym się zeszli, i dwójką dzieci, zawsze było mnóstwo ludzi.

Weszła na górę i ku swemu zdziwieniu, bo mąż miał być w domu, zastała zamknięte drzwi. Z mieszkania obok dobiegał dźwięk włączonego telewizora. Uchyliła tam drzwi i zajrzała. W środku zebrali się sąsiedzi, a jej mąż siedział po turecku na podłodze. Miał zaczerwienione oczy, ale tym razem był trzeźwy.

– Co to? Wiadomości w południe? – spytała.

– Zamknij się i patrz! – warknął w odpowiedzi. Posłuchała, bojąc się jego wybuchu.

Wszyscy płakali – wszyscy oprócz niej. Poczuła kompletną pustkę: nie było w niej smutku ani radości, może odrobina irytacji. Myślała wyłącznie o tym, że burczy jej w brzuchu: „Kim Ir Sen może i umarł, ale ja żyję i muszę jeść”. Przysiadła cicho, żeby nie zwracać niczyjej uwagi, i po odczekaniu dla świętego spokoju dłuższej chwili podniosła się do wyjścia.

– No cóż, idę do nas zrobić coś do jedzenia – powiedziała mężowi.

Ten spiorunował ją wzrokiem. Chociaż Yong-su z powodu picia i awanturnictwa nie został przyjęty do partii, lubił dominować i decydować o wszystkim. Nieustannie pouczał i ganił. To on odkurzał w domu portrety ojca i syna. Oak-hee odmówiła. Teraz patrzył na żonę, której najwyraźniej nie poruszyła ta śmierć.

– Jesteś nieludzka – syknął do niej, gdy wychodziła.

Oak-hee przyszykowała sobie w domu obiad. Włączyła radio, żeby posłuchać przy jedzeniu. Już zaczęli w nim mówić o sukcesji.

> Nasza rewolucja odniesie zwycięstwo, poprowadzi nas bowiem nasz drogi towarzysz Kim Dzongil, jedyny prawowity następca Wielkiego Wodza.

Dopiero teraz, w samotności, zaczęła zdawać sobie sprawę z potworności tego wszystkiego. Jeśli były jakieś nadzieje, że po śmierci Kim Ir Sena coś może się zmienić, to teraz się rozwiały. Władza przeszła na jego syna. Nie będzie żadnej poprawy. W uszach dźwięczały jej słowa ojca: „Syn jest jeszcze gorszy”.

„Jeszcze bardziej się popierdoli”, pomyślała.

I dopiero teraz jej oczy napełniły się łzami: Oak-hee rozczuliła się nad własnym losem.

Kiedy umarł Kim Ir Sen, Kim Hyuck, chłopiec, który kradł gruszki z sadu, miał dwanaście lat. Chodził do pierwszej klasy szkoły średniej w Chongjinie. Tego ranka siedział w domu, bo bardzo mu się nie chciało iść na lekcje. Szkoły nienawidził z wielu powodów, choćby dlatego, że siedział tam głodny, bo w domu brakowało żywności, więc nie dostawał drugiego śniadania. Długo wyglądał przez okno, po czym postanowił wyjść, żeby najpierw zdobyć coś do jedzenia. Mógłby znowu pojechać do Kyongsongu i zakraść się do sadu albo na pole kukurydzy, mógłby spróbować ściągnąć coś ze straganu przy dworcu. Wczoraj i przedwczoraj był na wagarach. Bał się, że jeśli po tych nieobecnościach pokaże się w szkole, to nauczyciel

spuści mu lanie. Zresztą już był bardzo spóźniony, więc jeszcze zwolnił kroku, coraz bliższy tego, żeby zrobić w tył zwrot.

Gdy zobaczył, że jego koledzy wybiegają ze szkoły, bardzo się ucieszył. Powiedziano im, że mają wrócić do domu, żeby w południe wysłuchać specjalnego wydania wiadomości.

– Hurra! Nie ma szkoły! – krzyknął Hyuck i pobiegł z kolegami.

Ruszyli na targ. Mieli nadzieję, że na jakimś straganie uda im się coś wyżebrać albo ukraść. Ale tam wszystko pozamykano i nie było żywej duszy. W drodze powrotnej minęli ludzi, którzy płakali i mieli opuszczone głowy. Hyuck stracił ochotę do zabawy.

Jun-sang rozkoszował się leniwym porankiem w Pjongjangu. Leżał z książką na kolanach, czytanie w łóżku było w akademiku jego ulubioną rozrywką. W domu ojciec nie pozwalał mu czytać na leżąco, mówił, że od tego psuje się wzrok. Było jeszcze wcześnie, ale przez otwarte okno wdzierał się upał, więc Jun-sang miał na sobie tylko podkoszulek i spodenki. Miłe zajęcie przerwał mu jeden z kolegów z pokoju, który wpadł, żeby mu powiedzieć, że o dwunastej wszyscy zbierają się na placu apelowym, bo zostanie odczytany pilny komunikat.

Jun-sang wstał z ociąganiem i założył spodnie. Przypuszczał, jak wszyscy, że komunikat będzie dotyczył kryzysu nuklearnego. Musiał przyznać, że ogarnął go niepokój. Mimo wizyty Cartera uważał, że jego kraj dąży do konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi. Przed kilkoma miesiącami wszyscy studenci jego uniwersytetu musieli sobie zrobić nacięcie na palcu, by własną krwią podpisać przysięgę, że w razie wojny zgłoszą się na ochotnika do Koreańskiej Armii Ludowej. Rzecz jasna, wszyscy to zrobili, choć niektóre dziewczyny wzdragały się przed nacinaniem sobie palców. Jun-sang obawiał się, że przyjdzie mu przerwać studia, a może nawet oddać życie.

„A więc stało się, na pewno będzie wojna”, pomyślał w drodze na dziedziniec.

Prawie trzy tysiące studentów i pracowników uczelni ustawiło się na placu według roczników, wydziałów i akademików. W palącym słońcu pocili się w letnich mundurach z krótkimi rękawami. O dwunastej w południe z głośników dobiegł ich drżący od rozpaczy, grobowy kobiecy głos. Wysłużona aparatura trzeszczała i trudno było zrozumieć ten komunikat, ale Jun-sang wyłapał słowa „odszedł” i „choroba”, a gdy tłum wydał głuchy pomruk – wszystkiego się domyślił. Dookoła słychać było

jęki i westchnienia, ktoś zemdlał. Nie bardzo było wiadomo, jak należy się teraz zachować. Tysiące zgromadzonych ludzi ze spuszczonymi głowami usiadło na rozgrzanym asfalcie.

Jun-sang zrobił to, co wszyscy. Schylił głowę, by nikt nie widział zmieszania na jego twarzy, i wsłuchiwał się w szloch dobiegający w zgodnym rytmie ze wszystkich stron. Ukradkiem zerkał na pogrążonych w bólu kolegów. Wydało mu się dziwne, że tym razem nie płacze. Bardzo zawstydzało go to, że z kina wychodził często z oczami mokrymi od łez i że płakał nad powieściami. Młodszy brat lubił się z tego wyśmiewać, a ojciec powtarzał z niesmakiem, że jest „delikatny jak dziewczyna". Dla pewności potarł powieki. Jego oczy były suche. Nie płakał. Co się z nim dzieje? Dlaczego nie jest mu smutno z powodu tej śmierci? Czyżby nie kochał Kim Ir Sena?

Jun-sang miał dwadzieścia jeden lat i jako student w sposób naturalny zachowywał pewną rezerwę wobec wszelkich autorytetów, także wobec władz swego kraju. Był dumny z własnej dociekliwości i ze swojego sceptycyzmu. Nie uważał się jednak za wywrotowca ani za wroga państwa. Wierzył w komunizm lub przynajmniej uważał, że komunizm, mimo wszystkich niedociągnięć, jest bardziej sprawiedliwy i ludzki od kapitalizmu. Wyobrażał sobie, że w przyszłości wstąpi do partii i poświęci życie udoskonalaniu ojczyzny. Oczekiwano tego od wszystkich, którzy kończyli elitarne uczelnie.

Siedząc wśród łkających studentów, zatopił się w rozmyślaniach: skoro w odróżnieniu od niego wszyscy tak szczerze kochali Kim Ir Sena, to czy on do nich pasuje? Analizował chłodno własną reakcję, a raczej jej brak, lecz nagle ogarnął go lęk. W swojej obojętności jest osamotniony, kompletnie sam. Wydawało mu się dotąd, że ma na uczelni przyjaciół, ale teraz zrozumiał, że w ogóle nie zna swoich kolegów. I z pewnością oni go nie znają. Gdyby się na nim poznali, znalazłby się w niebezpieczeństwie.

Z chwilą, gdy sobie to uświadomił, zrozumiał także rzecz nie mniej istotną: cała jego przyszłość zależy od tego, czy potrafi zapłakać. Nie tylko kariera i przyjęcie do partii, ale przetrwanie, w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu. To sprawa życia lub śmierci. Jun-sanga ogarnęło przerażenie.

Przede wszystkim pochylił głowę jeszcze niżej, żeby nikt nie zobaczył jego oczu. Potem pomyślał, że jeśli przestanie mrugać, to oczy zaczerwienią się i zajdą łzami. Czuł się jak na zawodach w niemruganiu. Nie mrugaj.

Płacz. Nie mrugaj. Płacz. Powtarzał to sobie jak automat. I kiedy wyłączyło się myślenie, zwyciężyła fizjologia: nagle zaczął naprawdę płakać. Mechanicznie rzucił się na kolana i kołysząc się w przód i w tył, łkał jak wszyscy dokoła. Nikt nie zdoła go rozgryźć.

W parę godzin po południowym komunikacie, jak kraj długi i szeroki ludzie zaczęli się zbierać przy pomnikach Kim Ir Sena, by złożyć mu hołd. Wielki Wódz, według często przywoływanych szacunków, ma w Korei Północnej trzydzieści cztery tysiące posągów. Przy każdym z nich gromadziły się zrozpaczone tłumy. W żałobie nikt nie chciał być sam. Ludzie wylegali więc z domów i szli pod pomniki, gdzie w istocie było duchowe centrum każdego miasta.

W pięćsettysięcznym Chongjinie jest tylko jeden pomnik Kim Ir Sena, ośmiometrowa statua z brązu na placu Pohang. Tłum szczelnie wypełnił ten rozległy plac i sąsiadujący z nim od wschodu trawnik przed Muzeum Historii Rewolucji. Ludzki strumień zalał Drogę nr 1 na całej jej szerokości aż do Teatru Prowincji Hamgyong Północny i zbiegające się tam promieniście ulice. Gdyby spojrzeć z góry, ludzie wyglądaliby jak mrówki wędrujące zgodnie do celu.

Histeria i tłok stworzyły mordercze połączenie. Napierający tłum deptał starannie utrzymane żywopłoty, przewracał i tratował tych, którzy poruszali się wolniej. Pomruk dobiegający z placu przypominał odgłosy zamieszek ulicznych i w wilgotnym powietrzu niósł się daleko w miasto. Zrywające się co pewien czas gwałtowne ulewy nie łagodziły straszliwego upału. Nie wolno było nosić kapeluszy ani otwierać parasoli. Słońce prażyło gołe głowy, spoceni, zalani łzami ludzie ślizgali się na mokrych nawierzchniach. Wielu mdlało. Po pierwszym dniu policja, próbując zapanować nad tłumem, ogrodziła linami dojście do pomnika.

Przychodziły całe zakłady pracy i szkoły. Wszyscy nieśli kwiaty – najczęściej chryzantemy, które w tradycji azjatyckiej składa się zmarłym – a ci, którzy nie mogli sobie na nie pozwolić, własnoręcznie zerwane polne kwiaty. Ludzie czekali na swoją kolej w rzędach liczących od dziesięciu do dwudziestu pięciu osób, które jeden po drugim przepuszczano pod pomnik. Zbyt wyczerpanych, by ustać, towarzysze brali pod ręce. Żałobnicy zatrzymywali się prawie u stóp posągu, klękali, dotykali głową bruku, po czym pełni czci spoglądali w górę. Wysoko nad nimi stał Kim Ir Sen, jego postać przesłaniała wszystko: uniesiona głowa sięgała ponad wierzchołki wysokich na dwa piętra sosen, jego stopa z brązu była większa niż

pojedynczy człowiek. Dla składających mu hołd posąg był człowiekiem, przemawiali do niego bezpośrednio.

– *Abogi*, *Abogi* – łkała staruszka. Tym pełnym szacunku słowem Koreańczycy zwracają się do ojca lub do Boga.

– Czemu nas zostawiłeś tak niespodziewanie? – wtórował jej płaczący mężczyzna.

Czekający na swoją kolej kołysali się w bólu, uderzali w piersi, zastygali w tragicznych pozach, darli na sobie ubranie, zaciskali pięści w bezsilnym proteście. Mężczyźni lali łzy tak rzęsiście jak kobiety.

Ludzie prześcigali się w okazywaniu rozpaczy. Kto się zaniesie najgłośniejszym płaczem? Czyje łzy będą najgorętsze? Wzory czerpali z telewizji, gdzie godzinami pokazywano powszechną żałobę: dorosłych mężczyzn, którzy z policzkami mokrymi od łez walili czołami o drzewa, marynarzy na statkach, bijących głowami o maszty, pilotów łkających w kokpitach. Te niekończące się sceny przeplatano zdjęciami błyskawic i ulewy. Nadszedł Armagedon.

„Naród koreański pogrążył się w najgłębszej żałobie w ciągu pięciu tysięcy lat jego historii” – mówiła stołeczna telewizja.

Działająca na najwyższych obrotach machina propagandowa wymyślała coraz dziwniejsze historie o tym, że Kim Ir Sen w istocie wciąż żyje. Wkrótce po jego śmierci władze przystąpiły do budowy w całym kraju trzech tysięcy dwustu obelisków zwanych „Wieżami życia wiecznego”. Kim Ir Sen zachował pośmiertnie tytuł prezydenta. Film propagandowy wyprodukowany niedługo po jego odejściu głosił, że Kim Ir Sen może powrócić do życia, jeśli ludzie będą go szczerze opłakiwać.

> Gdy umarł Wielki Marszałek, z nieba zleciały się tysiące żurawi, by go unieść. Ale nie mogły tego uczynić, bowiem mieszkańcy Korei Północnej płakali, wołali i bili się w piersi, rwali włosy i kładli się na ziemię.

Spontaniczna zrazu żałoba stała się obowiązkiem patriotycznym. Przez dziesięć dni kobietom nie wolno było się malować ani czesać. Obowiązywał zakaz picia alkoholu, tańców, słuchania muzyki. Wspólnoty sąsiedzkie *inminban* miały śledzić, jak często mieszkańcy udają się pod pomnik, by złożyć zmarłemu hołd. Wszyscy znaleźli się pod obserwacją. Kontrolowano nie tylko działania, lecz także wyraz twarzy i ton głosu.

W czasie dziesięciodniowej żałoby Mi-ran musiała chodzić pod pomnik dwa razy dziennie, raz z przedszkolakami i raz tylko w gronie wychowawców. Znienawidziła to nie tylko dlatego, że żałoba stała się obowiązkiem. Bała się również, że dzieciaki zostaną stratowane w tłumie

albo wpadną w histerię. Jedna z jej podopiecznych, pięcioletnia dziewczynka, płakała tak głośno i tak ekspresyjnie wyrażała ból, że Mi-ran niepokoiła się, czy mała nie zemdleje. Po pewnym czasie zauważyła jednak, że dziecko pluje na rączki, by zmoczyć policzki śliną. Łzy pięciolatki okazały się sztuczne.

– Mama powiedziała mi, że jak się nie rozpłaczę, to znaczy, że jestem niedobra – przyznała dziewczynka.

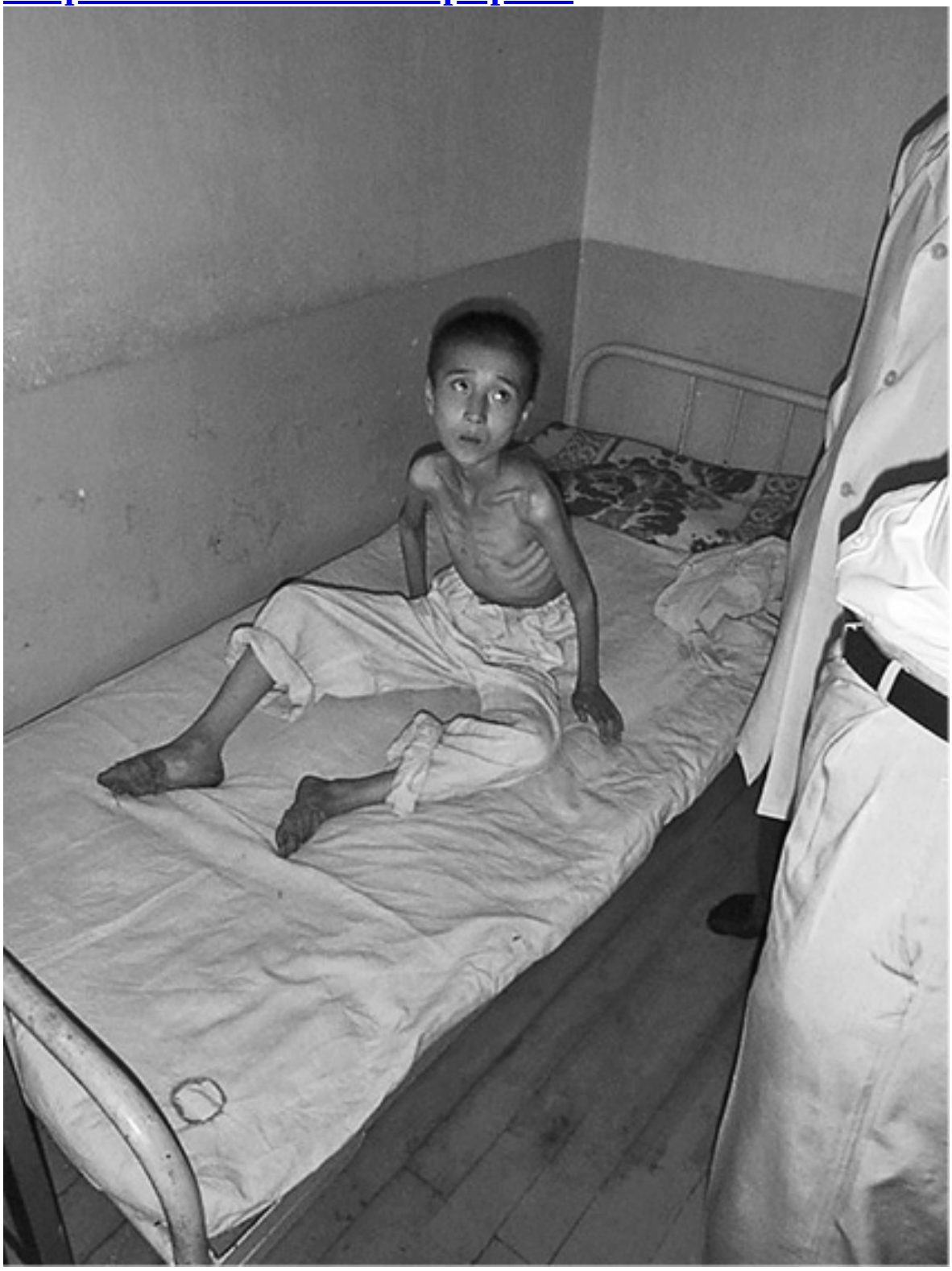
Pewna znana aktorka z Chongjinu nie potrafiła wycisnąć z siebie łez. Naraziło ją to na kłopoty nie tylko natury politycznej, lecz także zawodowej. „Na tym polega ta praca. Trzeba umieć płakać na zawołanie", Kim Hye-young wspominała po latach w Seulu.

Hyuck i jego koledzy szkolni często chodzili pod pomnik, bo po oddaniu czci dostawali lepkie ciasteczka ryżowe. Składali więc hołd, by natychmiast ustawić się w kolejce po nagrodę.

Czy wśród milionów Koreańczyków, którzy uczestniczyli w masowych uroczystościach żałobnych, wielu udawało ból? Czy szlochali z powodu śmierci Wielkiego Wodza, czy płakali nad sobą? A może płakali, bo tak robili wszyscy? Badacze zachowań zbiorowych, od historyków analizujących polowanie na czarownice w Salem po Charlesa Mackaya i jego klasyczną pracę *Niezwykłe złudzenia i szaleństwo tłumu*, stwierdzają, że histeria jest zaraźliwa. Gdy znajdziemy się w płaczącym tłumie, też zaczynamy płakać.

Nie ulega wątpliwości, że wielu ludzi szczerze przeżywało tę śmierć. W dniach żałoby wśród starszego pokolenia często zdarzały się ataki serca i udary – było ich tak wiele, że zaobserwowano w tym okresie wzrost wskaźnika śmiertelności. Nie brakowało też samobójstw z rozpaczy. Najczęściej ludzie zabijali się, skacząc z okien, bo środki nasenne były niedostępne, a broń mieli jedynie żołnierze. Inni głodzili się na śmierć. Tak postąpił ojciec Kim Ji-eun, pediatry w szpitalu miejskim w Chongjinie.

Kroplówka z dwóch butelek po piwie



[123] Chłopiec w szpitalu w Hamhungu

W okresie gdy umarł Kim Ir Sen, nieliczne karetki pogotowia w Chongjinie nie jeździły już z powodu braku benzyny, chorych noszono więc do szpitala na barana albo przywożono na drewnianych wózkach. Kim Ji-eun pracowała w niewielkim szpitalu dzielnicowym. Ponieważ był to najbliższy szpital od placu Pohang, skąd szło się do niego zaledwie kwadrans, przyjmował wielu ludzi, którzy zostali ranni lub zasłabli pod pomnikiem. Część pacjentów leżała na metalowych łóżkach ustawionych ciasno w pięcioosobowych pokojach, większość układano w mrocznych korytarzach na drewnianych ławach lub na podłodze. Rzadko włączano światło, bo energię elektryczną pochłaniała całodobowa iluminacja pomnika Kim Ir Sena. Szpital był przeciążony także dlatego, że na początku lata wzrosła zachorowalność na tyfus. Po śmierci Wielkiego Wodza zwiększyła się liczba udarów i zawałów. Na oddział pediatryczny rodzice przynosili dzieci, które zasłabły z odwodnienia spowodowanego płaczem w palącym słońcu. Niektóre z nich miały konwulsje. Doktor Kim, która dawniej pracowała od siódmej trzydzieści rano do ósmej wieczorem, od początku żałoby niemal nie opuszczała szpitala, nie licząc wyjść pod pomnik, żeby złożyć hołd. Nigdy jednak nie narzekała z powodu nadgodzin. Przysięgę lekarską traktowała niezwykle poważnie. Poza tym ciężka praca odrywała ją od rozmyślania o klęskach w życiu osobistym.

Dwudziestoośmioletnia doktor Kim należała do najmłodszych lekarzy w szpitalu i niewątpliwie była z nich najdrobniejsza. Przy wadze około czterdziestu kilogramów mierzyła na obcasach nie więcej niż metr pięćdziesiąt i wielu jej pacjentów z pediatrii niemal dorównywało jej wzrostem. Delikatne, czerwone, małe usta w kształcie kokardki i sercowaty zarys twarzy łatwo mogły zwieść, bo krucha była tylko z wyglądu. Być może stanowczość była w jej przypadku rodzajem mechanizmu obronnego, ale koledzy szybko nauczyli się, że nie wolno traktować jej protekcjonalnie. Nawet jeśli wydawała im się trochę przewrażliwiona, podziwiali jej poświęcenie. Doktor Kim zawsze była gotowa brać dodatkowe, niepłatne dyżury. Po godzinach pracowała w sekretariacie Partii Pracy. Sekretarz partii w szpitalu, jak w każdej północnokoreańskiej instytucji, dbał o prawomyślność ideologiczną załogi i decydował, kogo można przyjąć do organizacji. Chociaż w szpitalu tylko co czwartemu lekarzowi dawano tę szansę, doktor Kim nie wątpiła, że znajdzie się wśród wybranych. Partia chętniej przyjmowała kobiety, bo zwykle nie piły i uchodziły za bardziej posłuszne od mężczyzn. Poza tym doktor Kim kwalifikowała się na

przyszłego członka partii ze względu na zalety charakteru: była zdyscyplinowana i bezkompromisowa. Szczerze wierzyła w system, nikt w to nie wątpił, a przekonania te ojciec wpajał jej od najwcześniejszego dzieciństwa.

W wyniku stuleci migracji w obydwu kierunkach przez oddzielające Koreę od Chin graniczne rzeki Tumen i Yalu, w Mandżurii osiedliła się liczna mniejszość koreańska. Ojciec doktor Kim urodził się w Chinach, w koreańskojęzycznej wsi tuż przy granicy. Do Korei Północnej przeniósł się jako młody człowiek na początku lat sześćdziesiątych, gdy „wielki skok" Mao Tse Tunga spowodował głód, którego ofiarą padły miliony ludzi. Według jej ojca to nie Mao, lecz Kim Ir Sen urzeczywistniał idee komunizmu i tylko on mógł zapewnić prostym ludziom pracy równość i sprawiedliwość. Ojciec doktor Kim był robotnikiem budowlanym po sześciu latach szkoły, ale w KRLD, gdzie doceniono jego inteligencję i poświęcenie, został przyjęty do partii. W swoim zakładzie budowlanym pełnił funkcję sekretarza organizacji partyjnej do emerytury, na którą przeszedł przed kilku laty, po przebyciu lekkiego udaru. Ponieważ nie miał synów, ambicje przelał na córkę: chciał, by kontynuowała jego pracę dla partii i niezłomnie służyła ojczyźnie.

Przyszła doktor Kim była pełna zapału. Rozpierało ją szczęście, gdy jako siedmiolatka została przyjęta do pionierów i zawiązano jej na szyi czerwoną chustę. W wieku trzynastu lat wstąpiła do Związku Młodzieży Socjalistycznej i z dumą nosiła znaczek z Kim Ir Senem. Pasowanie na członka tej organizacji to powszechny w Korei Północnej obrzęd przejścia. Zaszczytu tego dostępuje się między trzynastym a piętnastym rokiem życia, w zależności od zachowania i wyników w nauce. Nad wiek rozwinięta, Kim Ji-eun wybijała się od początku szkoły podstawowej. Miała nienaganny charakter pisma, jako pierwsza zgłaszała się do odpowiedzi – zawsze była prymuską. W połowie szkoły średniej zwolniono ją z obowiązku jej ukończenia i skierowano na studia medyczne. Chociaż marzyła, by zostać nauczycielką albo dziennikarką, została wybrana do zawodu lekarza, co dla córki robotnika budowlanego było wielkim wyróżnieniem.

Studia na wydziale medycznym uniwersytetu w Chongjinie rozpoczęła, mając szesnaście lat, dwa lata wcześniej niż inni studenci, których dwie trzecie stanowiły kobiety. Wciąż wyglądała jak nastolatka, gdy po ukończeniu siedmioletnich studiów rozpoczynała staż lekarski w Szpitalu Ludowym nr 2, który był związany z wydziałem medycyny i cieszył się

szczególnym prestiżem w prowincji Hamgyong Północny. Nazywano go „szpitalem czeskim”, bo w latach sześćdziesiątych w ramach bratniej komunistycznej pomocy przyjechał tam zespół lekarzy z Czechosłowacji, który przywiózł inkubatory i aparaturę rentgenowską. Chociaż Czesi dawno wyjechali, a wysłużony sprzęt trzeba było podklejać taśmą, placówka zachowała renomę europejskiego szpitala. Po stażu doktor Kim została skierowana na specjalizację w zakresie medycyny ogólnej do mniejszego szpitala w dzielnicy Pohang, w której mieszkała.

Przychodziła tam o siódmej trzydzieści rano. Zgodnie z przepisami pracowała dwanaście godzin i miała pod opieką co najmniej trzydziestu dwóch pacjentów. Przedpołudnia zazwyczaj spędzała w szpitalu, potem wraz z zespołem wysyłano ją w teren. W białym fartuchu i czepku zakrywającym włosy przypominała trochę kucharkę pracującą w barze szybkiej obsługi. W ciężkiej torbie miała stetoskop, strzykawki, bandaże, tabletki na niestrawność i antybiotyki. Trzyosobowy zespół lekarski odwiedzał szkoły i dzielnice mieszkaniowe. Na kilka budynków mieszkalnych przypadał gabinet higienistyczny, współpracujący ze wspólnotą *inminban.*

– Wizyty lekarskie! Wizyty lekarskie! – wołanie odbijało się echem na podwórkach. Ludzie ustawiali się w kolejce do gabinetu, żeby lekarz obejrzał płaczące niemowlę, chorą rękę czy wysypkę, którą w oczekiwaniu na medyków próbowali od tygodni złagodzić domowymi sposobami.

Od lekarzy w Korei Północnej wymaga się bezinteresownej ofiarności. Ponieważ brakuje nowoczesnej aparatury prześwietleniowej, często muszą oni korzystać z prymitywnego sprzętu do rentgenofluorografii, którego obsługiwanie naraża ich na wysokie dawki promieniowania. Wielu lekarzy starszego pokolenia cierpi z tego powodu na zaćmę. Lekarze nie tylko oddają krew, lecz także pobiera się od nich kawałki skóry, wykorzystywane do przeszczepów przy leczeniu oparzeń. Doktor Kim, ze względu na bardzo niski wzrost i wagę, została zwolniona z tego ostatniego obowiązku, ale podobnie jak wszyscy koledzy musiała zbierać w górach rośliny lecznicze.

Samodzielne wytwarzanie leków należy w KRLD do zawodu lekarza. Ci, którzy mieszkają w cieplejszych częściach kraju, często uprawiają także bawełnę, by własnym sumptem produkować opatrunki. Rośliny lecznicze muszą zbierać osobiście. Zespół doktor Kim poświęcał na to po miesiącu wiosną i jesienią. Lekarze spali wtedy pod gołym niebem, myli się co kilka dni. Wyrobienia normy wymagano od wszystkich. Plon zanosili do

szpitalnej apteki, gdzie zioła ważono. Jeśli było ich za mało, lekarzy odsyłano z powrotem w teren. Często musieli wyprawiać się daleko w góry, bo miejsca łatwiej dostępne ogołacali zwykli zbieracze, którzy sprzedawali rośliny lecznicze albo zużywali je na własne potrzeby. Najcenniejszy był korzeń peonii, stosowany jako lek zwiotczający mięśnie oraz środek łagodzący zaburzenia nerwowe. Dziki pochrzyn miał skutecznie regulować cykl miesiączkowy, mniszek lekarski podawano na pobudzenie trawienia, imbir przeciwdziałał mdłościom. Atraktylodes, mający także szerokie zastosowanie w medycynie chińskiej, wzmacniał odporność i zastępował antybiotyki, jeśli były one niedostępne.

W północnokoreańskich szpitalach łączy się od lat leczenie ziołami z medycyną zachodnią. Zamiast leków przeciwbólowych lekarze ordynują bańki, by pobudzić krążenie w chorych organach. Stosuje się też chiński zabieg moksowania, czyli ogrzewania punktów na ciele rozżarzonym cygarem z liści moksy. Z powodu niedostatku środków anestezjologicznych przy prostych zabiegach chirurgicznych, jak wycięcie wyrostka robaczkowego, narkozę zastępuje akupunktura.

– Jeśli działa, to jest bardzo skuteczna – wyjaśniła mi później doktor Kim. A jeśli nie? Wtedy pacjentów trzeba przywiązywać do stołu operacyjnego, żeby się nie rzucali. Zazwyczaj Koreańczycy z Północy cierpliwie znoszą ból w czasie zabiegów. – Nie to, co tutaj, w Korei Południowej, gdzie ludzie podnoszą krzyk z powodu byle drobiazgu – dodała.

Mimo tych wszystkich bolączek system opieki zdrowotnej w KRLD był lepszy niż w czasach przedkomunistycznych. Prawo dostępu do „powszechnej, bezpłatnej opieki medycznej, mającej na celu ochronę zdrowia ludu pracującego” zostało wręcz wpisane do konstytucji. Tę powinność doktor Kim spełniała z dumą i satysfakcją, wierząc, że dobrze służy swoim pacjentom. Ale na początku lat dziewięćdziesiątych trudności, z którymi borykała się służba zdrowia, wyraźnie się nasiliły. Przestarzały sprzęt psuł się coraz bardziej, bo po sprywatyzowaniu fabryk w dawnym bloku wschodnim Korea Północna przestała importować części zamienne. Z powodu braku surowców i energii elektrycznej stanęły zakłady farmaceutyczne w Chongjinie. Brakowało środków na sprowadzanie leków z zagranicy. Torba lekarska, z którą doktor Kim chodziła na wizyty, stawała się coraz lżejsza, aż pozostał w niej tylko stetoskop. Mogła więc jedynie

wypisywać recepty w nadziei, że pacjent ma kogoś bliskiego w Chinach czy Japonii albo że stać go na to, by kupić lek na czarnym rynku.

W 1993 roku otwarcie dała wyraz niezadowoleniu i po raz pierwszy weszła w poważny konflikt z kierownictwem szpitala. Zajmowała się wtedy dwudziestosiedmioletnim pacjentem skazanym za prowadzenie prywatnej działalności biznesowej, które zakwalifikowano jako przestępstwo gospodarcze. Do szpitala trafił po trzyletnim pobycie w więzieniu, gdzie odsiadywał siedmioletni wyrok. Posiniaczony i ciężko niedożywiony miał sterczące żebra i ostre zapalenie oskrzeli. Doktor Kim uznała, że trzeba mu podać antybiotyk. Jej przełożony nie wyraził na to zgody.

– To przestępca – usłyszała. – Antybiotyki trzeba zachować dla innych.

– Przyjęliśmy go do szpitala – odpowiedziała z wściekłością. – Jest naszym pacjentem. Można go uratować. Bez pomocy umrze.

Uparta z natury doktor Kim nie zamierzała się poddać i walczyła przez kilka dni. Umierającemu pacjentowi odmówiono jednak leczenia i wypisano go ze szpitala. Dwa razy dziennie odwiedzała więc tego człowieka w domu, ale jego stan się pogarszał.

– Nie ma dla mnie nadziei – powtarzał przygnębiony. Wkrótce popełnił samobójstwo. Doktor Kim uważała, że ona i szpital ponoszą winę za tę śmierć. Skonfliktowana z szefem, poprosiła o przeniesienie na pediatrię, gdzie, jak sądziła, polityka ma mniejsze znaczenie.

W tym samym czasie w gruzach legło jej życie osobiste. W miłości, inaczej niż w sprawach zawodowych, nie miała szczęścia. Mężczyzn zniechęcały jej skłonność do pracoholizmu i perfekcjonizm. Rok po tym, jak rozpoczęła pracę w szpitalu, rzucił ją ukochany z okresu studiów. Przeżyła to bardzo ciężko. Poprosiła jedną z przyjaciółek o zaaranżowanie jakiejś znajomości i zaręczyła się już na drugiej randce. Dwudziestoszścioletni mąż był jej rówieśnikiem, ale po służbie wojskowej dopiero rozpoczynał studia. Doktor Kim uznała, że na razie będą żyć z jej pensji.

– Narazisz na szwank jego poczucie godności – ostrzegała ją matka. Małżeństwo lekarki ze studentem? – Mężczyzna nie lubi, jak kobieta zarabia więcej od niego.

Już w noc poślubną zrozumiała, że popełniła straszliwy błąd, ale ponieważ bardzo szybko zaszła w ciążę, nie mogła odejść od męża. Po urodzeniu synka odczekała kilka miesięcy, by wykarmić go piersią, po czym przeprowadziła się z powrotem do rodziców. Mały, zgodnie z koreańską

tradycją, która nakazywała, by w razie rozwodu opiekę nad dzieckiem przejęła rodzina ojca, został przy teściach.

Jeśli nawet małżeństwo rozpadło się dlatego, że to ona przynosiła do domu pieniądze, z czasem doktor Kim przestała zarabiać. Początkowo jej pensja wynosiła sto osiemdziesiąt sześć wonów miesięcznie (osiemdziesiąt dolarów według oficjalnego kursu wymiany walut) i była trzykrotnie wyższa od średniej krajowej. Z pensji tej utrzymywała męża i wspomagała rodziców na emeryturze oraz zamężną siostrę. Z czasem nie tylko przestała zarabiać, ale także dostawać przydziały na żywność. Właśnie w tym okresie przyszło jej zakradać się do sadu po gruszki i szukać jedzenia na wsi. Niekiedy, z poczuciem wstydu i upokorzenia, przyjmowała prezenty od pacjentów – torebkę makaronu albo kilka kolb kukurydzy. Wiedziała, że za rzekomo bezpłatną opiekę medyczną jej koledzy biorą łapówki, ale nie chciała pójść w ich ślady. Cierpiała więc głód.

Nadzieje obiecującej młodości zakończyły się zawodem, gdy doktor Kim miała dwadzieścia osiem lat. Po rozwodzie mieszkała u rodziców. Straciła prawo do opieki nad dzieckiem. Za coraz cięższą pracę dostawała coraz niższe wynagrodzenie. Była głodna i wyczerpana, niekochana i biedna.

Tak wyglądało jej życie w miesiącach poprzedzających śmierć Kim Ir Sena.

Jak większość Koreańczyków z Północy o jego śmierci dowiedziała się ze specjalnego wydania wiadomości w południe. Właśnie wróciła do szpitala po odprowadzeniu pacjenta chorego na tyfus do zakładu chorób zakaźnych. Lekarze, pozostały personel i pacjenci płakali przed jedynym odbiornikiem telewizyjnym w holu.

W drodze powrotnej do domu, która trwała czterdzieści minut – trzeba było obejść główny stadion miejski – łzy tak zalewały jej oczy, że ledwo widziała własne stopy. W mieszkaniu zastała śpiącego ojca. Usiadł, gdy usłyszał jej kroki.

– Co się stało? Ktoś umarł? – spytał z niepokojem. Wiedział, że córka bardzo się przejmuje pacjentami.

Doktor Kim osunęła się w jego ramiona. Tak bardzo nie płakała nawet wtedy, gdy rzucił ją chłopak, ani wtedy, gdy rozpadło się jej małżeństwo i odebrano jej dziecko, ani nawet kiedy jej ojciec dostał udaru. Los przynosi takie nieszczęścia, trzeba być na nie przygotowanym. Jako lekarka wiedziała, jak kruche jest ludzkie życie, i była oswojona z umieraniem,

nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że śmierć może dotknąć także samego Kim Ir Sena.

Podobne odczucia mieli jej koledzy, którzy w czasie nocnych dyżurów dzielili się w ciemnych korytarzach teoriami spiskowymi. Według jednej z nich Kim Ir Sena zamordowali amerykańscy podżegacze wojenni, by nie dopuścić do jego spotkania z prezydentem Korei Południowej Kim Young-samem. Propaganda północnokoreańska powtarzała przecież niestrudzenie, że do zjednoczenia Korei nie dopuszczają Stany Zjednoczone.

Pierwsze dni po śmierci Kim Ir Sena zlały się doktor Kim w jedno i zamazały. Szok i brak snu sprawiły, że z opóźnieniem zauważyła, co się dzieje w jej własnym domu. Od czasu, gdy ojciec z powodów zdrowotnych przeszedł na emeryturę, nie otrząsnął się z przygnębienia. Po odejściu Wielkiego Wodza przelała się czara goryczy. Nie wstawał z łóżka i odmawiał jedzenia.

– Skoro tak wielki człowiek może umrzeć, po co mam żyć, po co ktoś taki jak ja ma żyć i jeść? – powtarzał z płaczem.

Doktor Kim próbowała do niego przemówić. Przekonywała, krzyczała, groziła.

– Masz jeść, bo ja też nie wezmę niczego do ust i wszyscy pomrzemy – mówiła. Jej matka także zagroziła strajkiem głodowym. Doktor Kim sprowadziła ze szpitala sekretarza partii, żeby wpłynął na ojca. Próbowała utrzymywać go przy życiu kroplówkami.

Ojciec zaczął majaczyć. Na przemian wynosił Kim Ir Sena pod niebiosa i złorzeczył na niego. Jednego dnia tak kochał marszałka, że nie mógł bez niego żyć, by nazajutrz wyszeptać, że skoro umarł Kim Ir Sen, to znaczy, że cały system w Korei Północnej jest do niczego. Poprosił córkę, żeby przyniosła mu ze szpitala trochę papieru. Zebrał w sobie siły, siadł i napisał:

„Jako członek Partii Pracy wyrażam wolę, by po mojej śmierci dzieło mego życia kontynuowała najstarsza córka. Proszę ją wspierać w uczciwej i wiernej służbie partii”.

Poprosił doktor Kim, by złożyła ten list u sekretarza partii w szpitalu. Następnie wziął drugą kartkę papieru. Nazwiska i liczby, które na niej wynotował, przypominały skomplikowaną piramidę. Wyglądało to jak zapiski szaleńca. Doktor Kim uznała, że ojciec postradał zmysły.

W milczeniu dał jej znak, żeby usiadła przy nim. Mógł zdobyć się jedynie na szept.

– Mamy krewnych w Chinach, oni ci pomogą – powiedział.

To, co jej wyrysował, było drzewem genealogicznym. Doktor Kim przeżyła wstrząs. Czy to możliwe, że własny ojciec każe jej opuścić ojczyznę? Ojciec, który sam uciekł z Chin i który uczył ją bezgranicznej miłości do Kim Ir Sena? Czyżby jej ojciec był zdrajcą? W pierwszym odruchu doktor Kim chciała podrzeć te zapiski, nie umiała jednak zniszczyć testamentu ojca. Sięgnęła więc po małą, zamykaną na kluczyk, metalową kasetkę, jedną z ostatnich pamiątek z młodości.

Złożyła kartkę i zamknęła pudełko.

Jak nakazywała tradycja komunistyczna, datująca się od śmierci Włodzimierza Lenina w 1924 roku, zabalsamowane ciało Kim Ir Sena spoczęło w podziemnym mauzoleum. 19 i 20 lipca odbyła się dwudniowa oficjalna uroczystość pożegnalna. Według doniesień radia z Pjongjangu w pogrzebie uczestniczyły dwa miliony ludzi. Złożona na cadillacu trumna z ciałem Kim Ir Sena objeżdżała miasto, w ślad za nią kroczyła defilada wojskowa, przemarsz zamykała kawalkada limuzyn z wieńcami i portretami zmarłego. Procesja złożona ze stu pojazdów wyruszyła z placu Kim Ir Sena, przejechała obok uniwersytetu jego imienia, minęła jego trzydziestometrowy pomnik w centrum miasta, by dotrzeć do Łuku Rewolucji, powiększonej repliki paryskiego Łuku Triumfalnego. Uroczyste złożenie ciała odbyło się nazajutrz. W południe w całym kraju zawyły syreny, sygnał włączono w pociągach i na okrętach, ludzie na trzy minuty zamarli w bezruchu. Żałoba dobiegła końca. Kraj musiał wracać do pracy.

Doktor Kim mogła się w niej zapomnieć. Jej ojciec zmarł tydzień po Kim Ir Senie, nie czuła więc potrzeby, by wieczorem wracać do domu, i pracowała jeszcze dłużej. Fala upałów nie ustępowała, a to sprawiło, że zwiększona na początku lata zachorowalność na tyfus przerodziła się w epidemię. Chongjin, gdzie po wojnie koreańskiej pospiesznie odbudowano kanalizację, a nieoczyszczone ścieki odprowadzano do rzeczek, w których kobiety robiły pranie, zawsze był narażony na choroby zakaźne. Zagrożenie to wzrosło, gdy z powodu przerw w dostawach energii elektrycznej zabrakło wody w kranach. Prąd i bieżącą wodę włączano zazwyczaj na godzinę rano i godzinę wieczorem. Ludzie gromadzili jej zapasy w dużych baliach (tylko nieliczni mieli w mieszkaniach wanny), w których łatwo mnożyły się bakterie. Nie było mydła. Skuteczne na tyfus antybiotyki stały się w 1994 roku niemal całkowicie niedostępne.

Po upalnym lecie przyszła wyjątkowo sroga zima, temperatury w górach spadały do minus trzydziestu pięciu stopni. Gwałtowne ulewy następnego

lata zatopiły pola ryżowe. Władze skorzystały wtedy ze sposobności, by – zachowując twarz – po raz pierwszy przyznać publicznie, że z powodu klęsk żywiołowych w kraju wystąpiły niedobory żywności. We wrześniu 1995 roku Korea Północna zgodziła się na pomoc humanitarną ONZ i wpuściła do kraju jej przedstawicieli. Powiedziano im, że powódź spowodowała szkody w wysokości piętnastu miliardów dolarów, że jej skutki dotknęły pięć milionów dwieście tysięcy ludzi, że zniszczonych zostało ponad dziewięćdziesiąt sześć tysięcy domów, pięćset tysięcy ludzi pozostało bez dachu nad głową, a zniszczeniu uległo milion dziewięćset tysięcy ton zbiorów.

Doktor Kim obserwowała osobliwe objawy u swoich pacjentów na pediatrii. Leżące tam dzieci urodzone pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych były zdumiewająco małe, mniejsze nawet niż ona w ich wieku – ona, która w szkole podstawowej zawsze była najdrobniejsza w klasie. Ich wychudzone ramiona mogła z łatwością objąć dłonią. Miały słabe napięcie mięśniowe. Były to objawy wyniszczenia głodowego, przy którym organizm spala tkankę mięśniową. Dzieci cierpiały także na obstrukcję, z powodu której wiły się i krzyczały z bólu.

Przyczyną ich choroby była dieta. Zamiast warzyw kobiety zaczęły dodawać do zupy chwasty i trawę. Kukurydzę, która zastąpiła ryż jako podstawa wyżywienia, ludzie wzbogacali, jak mogli, dorzucając do ziarna liście, łuski, łodygi, kolby. O ile dorośli mogli to strawić, o tyle delikatny żołądek dziecka nie radził sobie z taką mieszanką. Lekarze w szpitalu rozmawiali o tym między sobą i udzielali matkom porad, które w istocie dotyczyły wyłącznie kuchni.

– Przed włożeniem do garnka trawę i korę trzeba starannie rozdrobnić i gotować bardzo długo, żeby zmiękły i zrobiły się zdatne do jedzenia – powtarzała im doktor Kim.

U starszych dzieci i dorosłych coraz częściej obserwowano także inne dziwne objawy. Rumień na dłoniach i obojczykach przypominał biżuterię, wokół oczu wyglądał jak okulary. Pelagra, związana z niedoborem niacyny w pożywieniu, zwana czasem „chorobą okularową”, nagminnie występuje u ludzi żywiących się wyłącznie kukurydzą.

Dzieci, które przychodziły do szpitala z przeziębieniem, kaszlem albo rozwolnieniem, często umierały. Z powodu ubogiej diety traciły odporność i jeśli nawet w szpitalu dostawały antybiotyki, to ich organizm nie miał siły, by pokonać infekcję. W najgorszym stanie były niemowlęta.

Niedożywionym matkom brakowało naturalnego pokarmu. Mieszanki dla niemowląt były niedostępne, rzadko pojawiało się mleko. Kiedyś matki, które nie mogły karmić piersią, podawały dzieciom rozwodniony kleik ryżowy, teraz większość z nich nie mogła sobie na to pozwolić.

Do szpitala trafiały też maluchy, u których poza ogólnym osłabieniem nie stwierdzano objawów choroby: blade, o sinawej, papierowej, nieelastycznej skórze. Niektóre, choć nie wszystkie, miały opuchnięte brzuszki.

– Nie wiem, co mu dolega, po prostu nie przestaje płakać – doktor Kim słyszała od matek.

Ze współczuciem kiwała tylko głową, bo rozpoznawała przyczyny tego stanu, ale brakło jej słów. Bo czy można powiedzieć matce, że dziecko potrzebuje lepszego odżywiania, skoro ona nie może mu go zapewnić?

Doktor Kim wypisywała więc tylko kwitek o przyjęciu dziecka do szpitala, wiedząc, że nie ma dla niego ratunku. W szpitalu też brakowało jedzenia. Kiedy była na obchodzie, jej mali pacjenci nie spuszczali z niej wzroku. Czuła go także na plecach, czuła, że wpatrują się w jej biały fartuch – chciała im pomóc, ale wiedziała, że nie może nic dla nich zrobić.

– Patrzyły na mnie oskarżycielsko. Nawet czterolatki czuły, że umierają i że nie jestem w stanie im pomóc – powiedziała mi po latach. – Mogłam tylko płakać razem z ich matkami już po wszystkim.

Doktor Kim zbyt krótko była lekarzem, by wytworzyć sobie pancerz ochronny. Cierpienie dzieci było jej cierpieniem. Zapytana po latach, czy pamięta któreś z dzieci zmarłych pod jej opieką, odpowiedziała krótko:

– Pamiętam je wszystkie.

Z upływem lat szpital zapewniał chorym coraz mniej. Nie było ogrzewania, bo kotłownia w piwnicy przestała funkcjonować z powodu braku węgla. Bez dostępu do bieżącej wody nie można było myć podłóg. Nawet za dnia w budynku panował taki mrok, że lekarze pisali sprawozdania, stojąc przy oknach. Pacjenci żywili się tym, co przynieśli, i przykrywali własnymi kocami. Na opatrunki cięło się pościel. Chociaż szpital wciąż jeszcze produkował płyn infuzyjny, nie było go do czego rozlewać. Chorzy dostarczali więc własne naczynia, często były to butelki po piwie Nakwon, czyli „Raj”, najpopularniejszym w Chongjinie gatunku piwa.

– Ci, którzy przynieśli jedną butelkę, dostawali jedną kroplówkę, ci, którzy przynieśli dwie, mieli dwie kroplówki – wyjaśniła doktor Kim. –

Trudno się do tego przyznać, ale tak to wyglądało.

W końcu szpital opustoszał. Rodziny przestały przyprowadzać chorych. Bo po co?

Śmierć Kim Ir Sena w gruncie rzeczy nie przyniosła w kraju większych zmian. Kim Dzongil przez dziesięć lat przygotowywał się stopniowo do przejęcia władzy. Pogłębiająca się od dawna niewydolność gospodarki prowadziła nieuchronnie do załamania. Ale Wielki Wódz umarł w odpowiedniej chwili, zanim doszło do katastrofy, będącej nieuchronnym skutkiem jego rządów. Gdyby żył dłużej, Koreańczycy z Północy nie mogliby wspominać z nostalgią względnego dobrobytu, jakim cieszyli się za jego czasów. Odejście Kim Ir Sena zbiegło się ze schyłkiem jego komunistycznej utopii.

W 1995 roku gospodarka Korei Północnej znalazła się w całkowitej zapaści. Dochód narodowy na głowę mieszkańca, który w 1991 roku wynosił 2460 dolarów, zmniejszył się do 719 dolarów, a wartość eksportu spadła z dwóch miliardów dolarów do ośmiuset milionów. Kryzys gospodarczy był widoczny gołym okiem, gospodarka obumierała powoli, niczym żywy organizm.

Wielkie fabryki przy nabrzeżu w Chongjinie wyglądały jak ogromna konstrukcja z zardzewiałego żelastwa, z kominami, które jak sztachety wyciągały się ku niebu. Wystarczyło na nie popatrzeć, żeby się o wszystkim przekonać. Dymiły zazwyczaj tylko nieliczne: jeden, dwa, najwyżej trzy. Widać było, jak zamiera tętno miasta. Bramy fabryczne, jeśli nie ukradli ich jeszcze złodzieje, którzy zdążyli już rozmontować i wynieść maszyny, stały zamknięte na łańcuchy i kłódki.

Na północ od dzielnicy przemysłowej fale spokojnie uderzały o puste pomosty portowe. Znikły japońskie i sowieckie frachtowce, które dawniej zawijały tu regularnie po stal wytapianą w miejscowych hutach. Pozostały tylko północnokoreańskie, pordzewiałe statki rybackie. Ogromne litery tworzące na urwisku nad portem napis KIM DZONGIL SŁOŃCEM DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO WIEKU także jakby się rozmazywały. Nieodmalowywane od lat czerwone napisy propagandowe przy drodze spłowiały różową szarością.

Chongjin, dawniej jedno z najbardziej zanieczyszczonych miast w całym kraju, nabierał surowego, majestatycznego piękna. Jesienią i zimą, kiedy w tej części Azji jest sucho, niebo było przejrzyste i niebieskie. Rozwiała się ostra woń siarki z zakładów metalurgicznych i ludzie znów mogli poczuć zapach morza. Latem pod cementowymi ścianami budynków

zakwitały malwy. Znikły także śmieci. Korea Północna nigdy nie produkowała ich dużo, bo w gospodarce niedoborów niewiele się marnowało, ale w czasach kryzysu nie było żadnych odpadów cywilizacyjnych. Wiatr nie unosił plastikowych toreb ani opakowań po cukierkach, przy nabrzeżu nie pływały puszki po napojach. Jeśli ktoś wyrzucił na chodnik niedopałek papierosa, to ktoś inny zaraz go podnosił, by zdobyć odrobinę tytoniu do skręta z papieru gazetowego.

Akordeon i tablica



[139] Lekcja gry na akordeonie, Pjongjang 2005

Z powodu śmierci Kim Ir Sena egzamin z muzyki, ostatni, jaki pozostał Mi-ran, przełożono, więc dyplom dostała dopiero jesienią 1994 roku. Czasy nie sprzyjały rozpoczynaniu kariery – ani nauczycielskiej, ani żadnej innej. Mi-ran chciała zamieszkać na stałe u rodziców, bo w Chongjinie całkowicie przestał funkcjonować system dystrybucji żywności. Wystąpiła więc o posadę nauczycielską w pobliżu domu. Dopisało jej szczęście: skierowano ją do pracy w przedszkolu niedaleko kopalni koło Seanggiryongu, gdzie pracował jej ojciec. Kopalnie powstały na jasnokawowych zboczach wzgórz, trzy kilometry na północ od Kyongsongu przy głównej drodze do Chongjinu. Rodzice cieszyli się, że córka sprowadziła się do nich, bo mogli dzięki temu zadbać o to, żeby była odżywiona. W Korei dorosłe dzieci, zwłaszcza niezamężne kobiety, często mieszkają z rodzicami. Mi-ran mogła pomóc w domu i dotrzymać towarzystwa ojcu, który w tym okresie prawie już nie chodził do pracy. Ich dwupokojowe mieszkanie w harmonijkowym domu opustoszało od czasu, gdy dwie starsze siostry wyszły za mąż, a brat podjął studia w kolegium nauczycielskim.

Przedszkole znajdowało się o czterdzieści pięć minut marszu od domu i wyglądało niemal identycznie jak to w Chongjinie, gdzie odbywała praktyki. Zajmowało parterowy budynek z betonu, który wyglądałby ponuro, gdyby na metalowym ogrodzeniu nie wisiały namalowane słoneczniki, a nad wejściem napis: „Jesteśmy szczęśliwi”. Na podwórku od frontu był wysłużony plac zabaw: huśtawka ze zdezelowanymi drewnianymi siedzeniami, zjeżdżalnia, drabinki. We wszystkich salach, jak w każdym przedszkolu, nad tablicą wisiały portrety ojca i syna: Kim Ir Sena i Kim Dzongila. Podniszczone dwuosobowe ławki miały obramowane metalem drewniane pulpity. Pod oknem piętrzył się stos zwiniętych mat, które rozkładano w porze spania. Na dużej półce w głębi sali stało tylko kilka książek – były to bardzo zużyte, ledwie nadające się do czytania fotokopie w różnych odcieniach szarości. Ponieważ w przedszkolu notorycznie brakowało książek i papieru, ambitne matki, które chciały, by ich dzieci uczyły się w domu, musiały im ręcznie przepisywać podręczniki.

Różnicę między placówkami najlepiej było widać po wychowankach. Tutejsze wiejskie dzieci były wyraźnie uboższe od rówieśników w mieście. Przedszkolaki nie nosiły mundurków i najczęściej przychodziły w strojach odziedziczonych po starszych dzieciach, a ponieważ pomieszczeń nie dogrzewano, miały na sobie wiele warstw. Mi-ran nie mogła się nadziwić tym nędznym łaszkom. Pomagała dzieciom przy rozbieraniu – ściągała z

nich warstwę po warstwie, aż odsłaniało się chude ciałko – a gdy ujmowała dłonią ich rączki, dziecięce paluszki zaciskały się w piąstki, małe jak orzechy. Pięcioletnie i sześcioletnie dzieci wyglądały według niej na trzy, cztery lata. Rodzice jej wychowanków w Chongjinie byli robotnikami i urzędnikami w fabrykach, tutaj przychodziły dzieci górników. Mi-ran zrozumiała, że mimo poważnych trudności zaopatrzeniowych w mieście, sytuacja górników była jeszcze gorsza. Dawniej za ciężką pracę przysługiwały im nieco wyższe racje żywnościowe niż innym robotnikom: dziewięćset gramów zamiast siedmiuset. Ponieważ okoliczne kopalnie kaolinu i węgla przez większość roku stały zamknięte, górnikom obcięto przydziały jedzenia. Mi-ran zaczęła przypuszczać, że część dzieci przychodzi do przedszkola z powodu darmowego posiłku w stołówce: cienkiej zupki z suszonych liści na osolonej wodzie, nieróżniącej się od tej, którą podawano jej w akademiku.

Mi-ran podchodziła jednak do swojej pracy z ogromnym entuzjazmem. Zawód nauczyciela – a więc przynależność do cieszącej się szacunkiem klasy wykształconej – oznaczał ogromny awans dla córki górnika, zwłaszcza że jej rodzina była naznaczona piętnem nieczystej krwi. Co rano z radością ubierała się w śnieżnobiałą bluzkę, którą na noc rozkładała pod matą, żeby się zaprasowała.

Zajęcia rozpoczynały się o ósmej rano. Mi-ran z pogodnym uśmiechem witała dzieci wchodzące do klasy. Kiedy wszystkie siedziały na swoich miejscach, wyjmowała akordeon. Umiejętności gry na akordeonie wymagano od wszystkich nauczycieli, a egzamin z tego przedmiotu zaliczyła jako ostatni przed dyplomem. O akordeonie powiadano, że jest „instrumentem ludowym”, bo łatwo można go zanieść na plac budowy albo na pole, gdzie ludzie ciężko pracują w czynie społecznym i gdzie nic nie działa na nich bardziej mobilizująco niż przygrywany na harmonii raźny marsz. W przedszkolach i szkołach nauczyciele śpiewali melodyjną piosenkę *Nie mamy czego zazdrościć światu*, którą północnokoreańskie dzieci znają tak dobrze, jak dzieci w Anglii *Twinkle, Twinkle, Little Star*.

Mi-ran śpiewała ją, kiedy była mała, i znała na pamięć jej słowa:

Ojcze nasz, nie mamy czego zazdrościć światu.
Nad naszym domem czuwa Partia Pracy.
Wszyscy jesteśmy sobie braćmi i siostrami.
Nawet gdy uderzy na nas morze ognia, drogie dzieci, niczego się nie bójmy,
Nasz ojciec jest z nami.
Nie mamy czego zazdrościć światu.

Inaczej niż jej siostrze Mi-hee, natura poskąpiła Mi-ran muzycznego talentu – nawet głęboko w niej zadurzony Jun-sang wzdrygał się, gdy zaczynała śpiewać. Ale mali słuchacze byli mniej wybredni. Jej popisy wokalne wywoływały w nich najprawdziwszy zachwyt. Dzieci ją uwielbiały i potrafiły docenić jej zapał. Mi-ran zawsze żałowała, że z powodu niewielkiej różnicy wieku, jaka dzieliła ją z bratem, był on dla niej raczej rywalem niż małym braciszkiem, którym można by rządzić i którego można by pouczać. Kochała swoją pracę. Nie zastanawiała się nad tym, czy to, czego uczy dzieci, jest słuszne. Nie przychodziło jej do głowy, że można je wychowywać inaczej.

W 1977 roku Kim Ir Sen napisał w *Tezach o wychowaniu socjalistycznym*: „Staranna edukacja polityczna i ideologiczna stanowi niezbędną podstawę, dzięki której naród odnosić będzie sukcesy w nauce, technice i kulturze fizycznej". Ponieważ podopieczni Mi-ran nie umieli jeszcze samodzielnie poznawać przebogatego dorobku Wielkiego Wodza, czytała im głośno fragmenty jego dzieł (Kim Ir Sen napisał kilkanaście książek, Kim Dzongil był równie płodnym autorem). Przedszkolaki miały powtarzać po niej chórem najważniejsze zdania. Śliczne dziecko recytujące wysokim głosikiem myśli Kim Ir Sena nieodmiennie rozczula, rozśmiesza i budzi aprobatę dorosłych. Po szkoleniu ideologicznym przechodziło się do innych przedmiotów, ale Drogi Wódz towarzyszył dzieciom we wszystkich dziedzinach. Miłości do niego i nienawiści do wrogów nauczano na lekcjach matematyki, przedmiotów ścisłych, czytania, śpiewu i rysunków. Oto przykłady zadań rachunkowych z podręcznika dla pierwszoklasistów[14]:

„Ośmiu chłopców i dziewięć dziewczynek śpiewa pieśni na cześć Kim Ir Sena. Ile dzieci śpiewa te pieśni?"

„Dziewczynka jest łączniczką naszych oddziałów partyzanckich walczących z okupantem japońskim. Meldunki przenosi w koszyku, w którym ma pięć jabłek. Zatrzymuje ją japoński żołnierz i kradnie jej z koszyka dwa jabłka. Ile jabłek zostało dziewczynce w koszyku?"

„Trzej żołnierze Koreańskiej Armii Ludowej zabili trzydziestu żołnierzy amerykańskich. Jeśli każdy z nich zabił tylu samo żołnierzy, ilu Amerykanów zabił jeden żołnierz koreański?"

Wierszyk *Dokąd idziemy?* znalazł się w podręczniku języka koreańskiego dla uczniów pierwszej klasy, wydanym w 2003 roku:

Gdzie byliśmy?
Byliśmy w lesie.
Dokąd idziemy?

Idziemy na wzgórza.
Po co tam idziemy?
Idziemy tam, żeby zabić japońskich żołnierzy.

Na lekcji śpiewu dzieci uczyły się piosenki *Zastrzelimy jankeskich zbirów*:

Amerykańskie zbiry to nasz wróg,
Bo chcą podbić nasz piękny kraj.
Zrobię własnoręcznie karabin
I wystrzelam ich, buch, buch, buch.

W czytankach roiło się od dzieci bitych, dźganych bagnetami, palonych, polewanych kwasem i wrzucanych do studni przez złoczyńców wszelkiej maści: misjonarzy chrześcijańskich, japońskich morderców albo imperialistycznych bandytów z Ameryki. W jednej z opowiastek amerykańscy żołnierze skopali na śmierć małego chłopca, który nie chciał czyścić im butów. Amerykanie mieli na rysunkach haczykowate nosy, jak Żydzi z antysemickich karykatur w hitlerowskich Niemczech.

Mi-ran wiele się nasłuchała o amerykańskich okrucieństwach w czasie wojny koreańskiej, ale nie wiedziała, czy wierzyć w te historie. Matka opowiadała jej o wysokich i przystojnych Amerykanach, którzy często przejeżdżali przez ich wioskę.

– Zawsze biegliśmy za nimi – powiedziała.

– Jak to biegliście za nimi? Nie uciekaliście?

– Nie, oni dawali nam gumę do żucia – wyjaśniła jej matka.

– To znaczy, że nie chcieli was zabić? – Mi-ran dopytywała z niedowierzaniem.

W przedszkolnym programie historii była wycieczka. We wszystkich większych szkołach podstawowych znajdowała się specjalna sala poświęcona nauczaniu o Wielkim Wodzu, zwana Instytutem Badawczym Kim Ir Sena. Dzieci z górniczego przedszkola szły do największej podstawówki w Kyongsongu, by zwiedzić tę salę. Znajdowała się ona w nowym skrzydle budynku, była jasna, czysta i lepiej ogrzewana od innych. Kontrole partyjne sprawdzały co pewien czas, czy woźni utrzymują w niej nienaganny porządek. Sala przypominała kaplicę. Nawet przedszkolaki wiedziały, że nie wolno tam chichotać, przepychać się ani szeptać. Zdejmowały buty i grzecznie ustawiały się w rzędzie. Kolejno podchodziły do portretu Kim Ir Sena i trzy razy kłaniały mu się nisko, mówiąc: „Dziękuję Ci, Ojcze”.

W szklanej gablotce stojącej na środku sali wystawiano makietę Mangyongdae, wioski na przedmieściach Pjongjangu, w której urodził się

Kim Ir Sen. Dzieci oglądały przez szybę malutkie, kryte strzechą chatki i dowiadywały się, że wódz przyszedł na świat w ubogiej rodzinie o tradycjach patriotyczno-rewolucyjnych. Mówiono im również, że 1 marca 1919 roku, gdy wybuchło powstanie antyjapońskie, Kim Ir Sen – nieważne, że miał wtedy siedem lat – wykrzykiwał hasła przeciwko okupantowi, że od dziecka pogardzał bogatymi posiadaczami ziemskimi i działał w duchu komunizmu. Kiedy miał trzynaście lat, opuścił dom rodzinny, by walczyć z Japończykami o wolność swojego narodu. Jego czyny zbrojne zostały upamiętnione na zdobiących ściany obrazach olejnych. Według oficjalnej północnokoreańskiej wersji historii kraj zdobył wolność niemal wyłącznie dzięki Kim Ir Senowi. Pomijano w niej to, że ojciec narodu przebywał w Związku Radzieckim, a do władzy doszedł dzięki Stalinowi.

Pośmiertny kult Kim Ir Sena przerósł nawet celebrę, która otaczała go za życia. Pjongjang wprowadził zmianę w kalendarzu. Lat nie liczono już od narodzin Chrystusa; nowa era koreańska zaczynała się w 1912 roku, kiedy przyszedł na świat Wielki Wódz. Rok 1996 był więc 84 rokiem Dżucze. Kim Ir Senowi nadano pośmiertny tytuł „wiecznego prezydenta”, sprawującego duchowe rządy nad krajem, a jego ciało spoczęło w klimatyzowanym mauzoleum pod Wieżą Wiecznego Życia. Kim Dzongil objął stanowisko sekretarza generalnego Partii Pracy oraz najwyższy urząd państwowy przewodniczącego Narodowej Komisji Obrony. Młody Kim, mimo że został faktycznym przywódcą kraju, nie przyjął jednak tytułu prezydenta. Dawał w ten sposób wyraz synowskiej czci, lecz równocześnie sprawował władzę niejako w imieniu autentycznie wielbionego i znacznie od niego popularniejszego ojca. Do 1996 roku Kim Dzongil nie chciał, by stawiano mu pomniki, nie zachęcał do malowania swoich portretów i unikał wystąpień publicznych, lecz później zaczęło się to zmieniać. W 1996 roku Ministerstwo Oświaty zarządziło, by w szkołach na terenie całego kraju powstały Instytuty Badawcze Kim Dzongila. Nie różniły się one od tych poświęconych jego ojcu, tyle tylko, że miejsce skromnej wsi Mangyongdae zajął w nich model góry Pektusan, wulkanicznego szczytu przy granicy z Chinami, nad którym pojawiła się podwójna tęcza, zwiastująca narodziny młodszego Kima. Wybór góry Pektusan nie był przypadkowy, to tutaj bowiem ze związku boga i niedźwiedzicy narodził się mityczny Tangun, praprzodek Koreańczyków, który w 2333 roku przed naszą erą miał założyć pierwsze królestwo koreańskie Choson. Bez znaczenia był fakt, potwierdzony w dokumentach sowieckich, że Kim Dzongil urodził się pod

syberyjskim Chabarowskiem w okresie, gdy jego ojciec służył w Armii Czerwonej.

Wymyślanie historii i tworzenie mitów nie było w Korei Północnej trudne, ale powstawaniu izb pamięci w 1996 roku towarzyszyły poważne problemy techniczne. Sale poświęcone Kim Dzongilowi miały być nie gorsze od instytutów jego ojca. Ponieważ stały fabryki, brakowało jednak materiałów budowlanych: cegieł, cementu, szkła, a nawet drewna. Po zamknięciu huty szkła w Chongjinie najtrudniej było zdobyć szyby. Rozbite okna zakrywało się deskami albo plastikową folią. Jedynym miejscem w kraju, gdzie wciąż produkowano szkło, były zakłady w Nampo, portowym mieście nad Morzem Żółtym, ale szkoły nie miały pieniędzy na zakup szyb. Podstawówka w Kyongsongu postanowiła przezwyciężyć ten problem. Zdecydowano, że uczniowie i nauczyciele zbiorą kaolinowe wyroby ceramiczne, z których słynął ich region. Ceramikę zawiezie się do Nampo i wymieni na wydobywaną tam sól, która zostanie następnie sprzedana z zyskiem, a za zdobyte w ten sposób fundusze kupi się szyby. Plan nie był prosty, ale nikt nie miał lepszego pomysłu. W ramach ogólnonarodowej kampanii kazano przecież szkole wybudować z własnych środków salę Kim Dzongila. Dyrekcja zwróciła się więc do nauczycieli i rodziców, by wzięli udział w wyprawie do Nampo. Została o to poproszona także Mi-ran, kobieta energiczna, zaradna i nade wszystko godna zaufania.

Gdy Mi-ran dowiedziała się o czekającej ją podróży, zaczęła od razu obmyślać własny plan. Ukradkiem przyjrzała się mapie kolejowej. Zgadzało się: wszystkie pociągi do Nampo, leżącego po przeciwnej stronie Półwyspu Koreańskiego, na południowy zachód od Pjongjangu, muszą jechać przez stolicę. Tam najprawdopodobniej zatrzymują się na wielkim dworcu na przedmieściach, w pobliżu którego wybudowano stołeczne uczelnie. A więc znajdzie się zaledwie parę kilometrów od akademika Jun-sanga!

Po śmierci Kim Ir Sena jeszcze trudniej było im utrzymywać kontakt. Dawno minął ten dziwny etap ich znajomości, kiedy radości ze spotkań towarzyszyło poczucie skrępowania – teraz czuli się swobodnie w swoim towarzystwie i umieli cieszyć się przyjaźnią. Ale listy, które dawniej szły tygodniami, ostatnio dochodziły po miesiącach albo w ogóle nie docierały. Ludzie podejrzewali, że kolejarze palą przesyłki pocztowe, żeby ogrzać się w czasie srogiej zimy.

Jun-sang rzadziej też przyjeżdżał do domu. Mi-ran męczyło wieczne czekanie na niego, bierne siedzenie u rodziców w nadziei, że zapuka do

drzwi, że pojawi się z nieoczekiwaną wizytą lub choćby przyśle list, dając jej znak, że o niej myśli. Bezczynność nie leżała w jej naturze. Gdyby nie trudności z otrzymaniem zezwolenia na podróż do Pjongjangu, sama przejęłaby inicjatywę i pojechała do niego. Władze jednak dbały o to, by stolica pozostała miastem reprezentacyjnym, nie chciały więc wpuszczać tam przyjezdnych z prowincji. W sąsiedztwie Mi-ran mieszkała rodzina, którą zmuszono do wyprowadzki z Pjongjangu, bo jeden z synów był karłem. Zwykli ludzie mogli tam jeździć wyłącznie w zorganizowanych grupach, ze swoim zakładem pracy albo ze szkołą. Mi-ran była w stolicy tylko raz, z wycieczką klasową. Nie uzyskałaby zgody na wyjazd indywidualny. Ale czy ktoś powstrzyma ją przed wyjściem z pociągu na dworcu?

Pojechali w pięć osób: dwoje rodziców, dyrektorka szkoły, koleżanka nauczycielka i ona. Z powodu złego stanu torów jazda do Nampo trwała trzy dni. Gdy pociąg zatrzymywał się i znowu mozolnie ruszał w drogę, Mi-ran w milczeniu wyglądała przez okno, rozmyślając, jak oddzielić się od grupy. Jej towarzysze podróży szybko zauważyli, że zwykle najżywsza w tym gronie młoda nauczycielka straciła chęć do rozmowy i zamknęła się w sobie.

– No cóż, mam kłopoty rodzinne – wykręciła się, gdy ją zapytali. I wtedy też wpadła na pewien pomysł, jedno kłamstwo zrodziło następne. Powie im, że w drodze powrotnej na dworcu w Pjongjangu będzie na nią czekać krewna. Wróci do Chongjinu sama, złapie następny pociąg. Nie powinni dopytywać, bo to pilna sprawa osobista.

Jej współtowarzysze pokiwali ze zrozumieniem głowami i zakłopotani odwrócili wzrok, by nie patrzeć, jak wysiada z pociągu. Sądzili, że zatrzymała się w Pjongjangu, by poprosić zamożniejszą krewną o wsparcie finansowe. To przemawiało do ich wyobraźni. W Chongjinie wszyscy, a zwłaszcza nauczyciele, byli bez pieniędzy. Nie dostawali pensji od ponad roku.

Gdy pociąg do Chongjinu oddalał się, stała bez ruchu na peronie. Na wielkim dworcu panował mrok, przez dach prawie nie przedostawało się światło, powietrze było gęste od spalin z lokomotyw. Mi-ran nigdy nie podróżowała samotnie. Była niemal bez pieniędzy i nie miała wymaganych zezwoleń. W jej papierach stało czarno na białym, że w Pjongjangu jest jedynie przejazdem. Rozejrzała się wokoło: tłum pasażerów, który wysiadł z pociągu, kierował się do jedynego wyjścia, obstawionego przez policję.

Tutaj kontrolowano ludzi znacznie dokładniej niż w Chongjinie. Zupełnie tego nie przewidziała. Jeśli ją przyłapią na próbie prześlizgnięcia się bez papierów, to na pewno zostanie aresztowana. Mogą ją zesłać do obozu pracy. W najlepszym razie straci pracę, a jej rodzina, i tak cierpiąca z powodu niskiego statusu klasowego, pogrąży się jeszcze bardziej.

Ruszyła wolno, rozglądając się w oparach dymu za jakimś innym wyjściem. Kiedy odwróciła głowę, dostrzegła, że przypatruje się jej mężczyzna w mundurze. Nie przerywając marszu, ponownie zerknęła w jego stronę. Nie spuszczał z niej oka. Po chwili zauważyła, że idzie za nią. Dopiero kiedy podszedł i do niej zagadał, zrozumiała, że wpatruje się w nią dlatego, że mu się spodobała. I dopiero wtedy spostrzegła, że nie nosi policyjnego munduru, lecz kolejarski. Był mniej więcej jej rówieśnikiem, o sympatycznej i budzącej zaufanie twarzy. Zwierzyła mu się ze swojego kłopotu, nie wspominając tylko o chłopaku.

– Niedaleko stąd mieszka mój starszy brat – zdenerwowana, brzmiała przekonująco. – Chciałabym go odwiedzić, ale zapomniałam dokumentów. Czy oni dokładnie kontrolują papiery?

Kolejarz dał się nabrać na historyjkę o damie w opałach. Wśród skrzyń z paczkami przeprowadził ją do niestrzeżonego wyjścia towarowego. Potem spytał, czy zechciałaby się z nim umówić. Na skrawku papieru zapisała mu fałszywe imię i adres. Miała wyrzuty sumienia. Przez całe życie nie nakłamała tyle, co tego dnia.

Przy głównej bramie uniwersytetu student pilnujący wejścia popatrzył na nią podejrzliwie. Powiedział, że pójdzie poszukać Jun-sanga, i kazał jej czekać w budce dla strażników. Choć niechętnie, Mi-ran musiała go posłuchać. Próbowała trzymać fason, mimo że czuła na sobie ciekawskie spojrzenia z dziedzińca za bramą. Nie chciała, żeby wyglądało na to, że się wdzięczy, więc świadomie powstrzymała się przed poprawianiem włosów i wygładzaniem bluzki, która w upale kleiła jej się do skóry. Kończyło się lato i chociaż słońce chowało się już za budynkami uczelni, wciąż było gorąco. Patrzyła, jak studenci, trzymając się cienia, idą na kolację. Na teoretycznie koedukacyjnym uniwersytecie technologicznym studentki mieszkały w położonym daleko od bramy żeńskim akademiku i było ich tak niewiele, że wciąż stanowiły niecodzienny widok. Jakiś student wsadził głowę do budki i zaczął się z nią przekomarzać:

– To naprawdę jest twój brat? A przypadkiem nie chłopak?

Gdy wreszcie wypatrzyła na dziedzińcu Jun-sanga, było już prawie ciemno. W podkoszulku i spodenkach gimnastycznych prowadził rower – najwyraźniej nie spodziewał się gościa. Z tyłu za nim zapaliła się latarnia, ale jego twarz pozostawała w mroku i nie widać było, jaką ma minę. Gdy zbliżał się do niej, widziała tylko zarys jego kości policzkowych, a potem, kiedy ją zobaczył, wyraz kompletnego zaskoczenia. Oburącz trzymał kierownicę – więc żadne uściski nie wchodziły w rachubę – ale nie miała wątpliwości, że jest jej widokiem zachwycony.

Roześmiał się:

– Nie, nie, nie, to niemożliwe.

Odpowiedziała mu z uśmiechem:

– Tak się składa, że akurat byłam w pobliżu.

Mi-ran i Jun-sang wyszli z kampusu z udawaną obojętnością, takim samym wystudiowanym krokiem, jakim ruszali spod jej domu. Mi-ran słyszała, jak za jej plecami paru studentów gwiżdże, ale żadne z nich nie przystanęło ani nie odwróciło głowy; musieli zachować zimną krew. Plotki o nich, rozgłaszane na uniwersytecie, mogłyby w końcu dotrzeć do jego rodziców albo nawet do jej domu. Jun-sang prowadził między nimi rower, ale gdy tylko znikli z zasięgu wzroku, Mi-ran przysiadła na bagażniku z nogami spuszczonymi skromnie na jedną stronę, a on zaczął pedałować. Gdy tak jechali po ciemku, jej gołe ramię dotykało jego pleców. Jeszcze nigdy nie pozwolili sobie na taką bliskość fizyczną.

Jun-sang podziwiał jej odwagę. Jego rodzina dotąd nie zdobyła pozwolenia na podróż do stolicy, żeby go odwiedzić. Kiedy przed godziną koledzy powiedzieli mu, że przy bramie czeka na niego młodsza siostra, uznał, że to jakaś pomyłka. Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że może się tu zjawić Mi-ran. Zawsze chciał zrozumieć, dlaczego tak mu zawróciła w głowie, i teraz sobie to uświadomił: ona umie zaskoczyć i sprawić niespodziankę. Z jednej strony wydawała się bardzo dziewczęca, naiwna i głupsza od niego, z drugiej – potrafiła zdobyć się na odwagę, żeby wyciąć taki numer. Dlatego, napomniał się w duchu, pod żadnym pozorem nie wolno mu jej nie doceniać. Tego wieczora czekała go jeszcze jedna niespodzianka: gdy siedzieli na ławce pod drzewem z nisko opadającymi gałęziami, Mi-ran nie zaprotestowała, kiedy położył rękę na jej ramieniu. Zrobił to, żeby ją ogrzać, bo leciutki chłód nocy przypominał o zbliżającej się jesieni. Był przekonany, że strąci jego dłoń, ale tego nie zrobiła, więc usadowili się wygodnie, tuż koło siebie.

Noc płynęła im szybko. Rozmawiali, ale w pewnej chwili wspólne tematy się wyczerpały, więc podnieśli się i maszerowali tak długo, aż rozbolały ich nogi. I wtedy znów znaleźli sobie miejsce, żeby usiąść. W tym czasie nawet w Pjongjangu nie działały już uliczne latarnie i żadne nastrojowe światła nie wydostawały się z domów. Tak jak kiedyś, mogli ukryć się w ciemnościach. Kiedy oczy do nich przywykną, można dostrzec kontury człowieka, który jest bardzo blisko, ale inni pozostają niewidoczni i tylko czasem słychać czyjeś kroki albo strzępki cudzych rozmów. Mi-ran i Jun-sanga otaczał kokon, życie płynęło obok nich, nie naruszając tej osłony.

Zmęczenie Mi-ran dało o sobie znać po północy. W podróży prawie nie spała. Jun-sang sięgnął do kieszeni, by sprawdzić, czy starczy mu pieniędzy na wynajęcie pokoju w hotelu przy dworcu kolejowym. Zapewnił ją, że portier nie zauważy, że ona nie ma wymaganych dokumentów, jeśli mu się troszkę zapłaci. Będzie się mogła porządnie wyspać przed podróżą do domu. Jun-sang nie miał zdrożnych intencji; w swojej niewinności nie pomyślał nawet, że pokój hotelowy może służyć czemuś innemu.

– Nie, nie, muszę wracać do domu – zaprotestowała. Złamała już tyle przepisów i konwenansów, że nie chciała jeszcze naruszać tabu zakazującego młodej kobiecie pobytu w hotelu.

Ruszyli więc na dworzec, a między nimi znów znalazł się rower. Chociaż było już dobrze po północy, przy stacji panował duży ruch. Pociągi nie kursowały według rozkładu, więc ludzie przyzwyczaili się czekać na nie przez całą noc. Niedaleko dworca kobieta paliła drewnem pod niewielką kuchnią, na której stał spory kociołek z deanjang chigae, ostrą zupą z soi. Przysiedli koło siebie na jakiejś desce, żeby zjeść. Mi-ran przyjęła od niego w podarunku na drogę paczkę herbatników i butelkę wody. W pociągu, który ruszył o piątej rano, gdy zaczynało świtać, od razu usnęła.

Po powrocie jej euforia szybko wyparowała. Gdy opadła adrenalina związana z przygodą, Mi-ran poczuła wyczerpanie i niepokój. Trudności, które musiała pokonać, by zatrzymać się w Pjongjangu, uświadomiły jej, że ten romans nie ma przyszłości. Nie wiedziała, kiedy znowu zobaczy Jun-sanga. Jego pochłaniało życie na uczelni, ona wciąż mieszkała w domu, z rodziną. Choć Korea Północna jest niewielkim krajem, miała wrażenie, że Pjongjang leży na księżycu.

Była także przygnębiona tym, co zobaczyła w podróży. Z Chongjinu wyjechała po raz pierwszy od lat i mimo zaaferowania własną sprawą nie

mogła nie dostrzec wszechobecnej biedy. Widziała dzieci w łachmanach, niewiele starsze od jej podopiecznych, żebrzące na stacjach o jedzenie.

Ostatnią noc w Nampo, już po zakupie szyb, spędziła ze swoimi towarzyszami podróży przy dworcu. Na dworze było ciepło, a oni nie mogli sobie pozwolić na hotel. Na małym, trawiastym skwerku naprzeciwko stacji, będącym w gruncie rzeczy ulicznym rondem z drzewem rosnącym pośrodku, ludzie leżeli pokotem na kartonach i matach. Mi-ran, ułożywszy się w miarę wygodnie, zapadła w drzemkę, ale po chwili się ocknęła. Zobaczyła wtedy grupkę cicho rozmawiających ludzi, którzy stali nad jakimś skulonym pod drzewem człowiekiem, pogrążonym w głębokim śnie. Ale on nie spał. Był martwy.

Później przyjechał drewniany wóz, ciągnięty przez wołu. Ludzie stojący nad zmarłym podnieśli go za ręce i nogi i ułożyli na wozie. Zanim ciało z głuchym odgłosem spoczęło na deskach, Mi-ran zdążyła na nie szybko zerknąć. To był młody mężczyzna, może nawet przed dwudziestką, jeszcze bez śladu zarostu. Gdy uniesiono jego nogi, rozpięła mu się koszula, odsłaniając nagą pierś i sterczące żebra. Był straszliwie wychudzony, Mi-ran nigdy nie widziała tak chudego człowieka, ale też po raz pierwszy w życiu oglądała zwłoki. Wzdrygnęła się i znowu zapadła w drzemkę.

Zastanawiała się później, co mu się stało. Czy to możliwe, że umarł z głodu? Chociaż nikt nie jadał do syta i nawet władze przyznały, że wskutek powodzi, która nawiedziła kraj poprzedniego lata, brakuje żywności, Mi-ran nie słyszała, by w Korei Północnej ktokolwiek umierał z głodu. To się zdarzało w Afryce czy w Chinach. Starsi ludzie opowiadali o Chińczykach, którzy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych masowo umierali z powodu zgubnej polityki gospodarczej Mao. „Jakie to szczęście, że my mamy Kim Ir Sena” – mówili.

Mi-ran żałowała, że nie spytała Jun-sanga o to, co się dzieje w kraju – nie wspomniała mu o tamtym incydencie, bo nie chciała zepsuć tych paru godzin, jakie mieli dla siebie – ale teraz, po powrocie do domu, zaczęła dostrzegać rzeczy, na które wcześniej nie zwracała uwagi. Kiedy zaczynała pracę w przedszkolu pod Kyongsongiem, od razu zauważyła, że dzieci są drobne. Teraz wydało jej się, że stają się coraz mniejsze, jakby czas się cofał, jakby oglądała film wyświetlany od końca. Każde dziecko musiało przynosić z domu trochę drewna, którym palono w piecu w piwnicy, ale wiele maluchów przychodziło do przedszkola z pustymi rękami. Miały nieproporcjonalnie duże głowy, wychudzone szyjki, wystające żebra i klatki

piersiowe, a w pasie były tak cienkie, że mogła je objąć dłońmi. Niektórym zaczynały puchnąć brzuszki. Teraz wszystko stawało się dla niej jasne. Widziała kiedyś na zdjęciu spuchnięty brzuch u ofiary głodu w Somalii; nie znała terminów medycznych, ale przypomniała sobie z zajęć o żywieniu, że jest to spowodowane poważnym niedoborem białka. Mi-ran zauważyła również, że czarne włosy dzieci jaśnieją, nabierając odcienia miedzi.

Z powodu braku żywności zamknięto przedszkolną stołówkę. Dzieci miały przynosić jedzenie z domu, ale wiele z nich nie przynosiło niczego. Gdy tylko jedno lub dwoje nie miało co jeść, Mi-ran dokarmiała je, biorąc po łyżeczce od tych, które coś przyniosły. Ale przeciwko temu szybko zaprotestowali rodzice.

– W domu nie starcza jedzenia i nie możemy się dzielić – poskarżyła się jedna z matek.

Do Mi-ran doszły słuchy, że przedszkole być może dostanie przydział herbatników i mleka w proszku od zagranicznej organizacji humanitarnej. Jej delegacja odwiedziła pobliską szkołę: przyprowadzono wtedy do niej najlepiej ubrane przedszkolaki, naprawiono drogę, wysprzątano budynek i boisko. Ale zagraniczna pomoc nie nadchodziła. Nauczycielom przydzielono za to kawałek ziemi, na której kazano im uprawiać kukurydzę. Później jej kolby łuskało się skrupulatnie i długo gotowało ziarno, które pęczniało jak popcorn. Taki posiłek wprawdzie pomagał dzieciom oszukać głód, ale nie był wystarczająco kaloryczny i nie zaspokajał ich potrzeb odżywczych.

Wychowawcom nie wolno było nikogo wyróżniać, ale Mi-ran miała swoją ulubienicę. Dziewczynka nazywała się Hye-ryung (Szlachetna Życzliwość), miała sześć lat i była klasową pięknością. U żadnego dziecka Mi-ran nie widziała tak długich rzęs i okrągłych, lśniących oczu. Początkowo dziewczynka była żywa i chętna do nauki, należała do dzieci, które napawały Mi-ran zachwytem, bo wpatrywały się w nią z uwielbieniem i spijały z jej ust każde słowo. Ale teraz Hye-ryung stała się osowiała i czasem zasypiała na zajęciach.

– Obudź się, obudź! – Mi-ran zawołała któregoś dnia, widząc, że dziewczynka usnęła, położywszy główkę na drewnianym pulpicie.

Delikatnie wzięła ją pod brodę i uniosła twarzyczkę. Mała patrzyła nieprzytomnie, jej oczy zwęziły się do szparek, miała opuchnięte powieki i szorstkie, nieprzyjemne w dotyku włosy.

Kilka dni później przestała przychodzić do przedszkola. Mi-ran znała z sąsiedztwa jej rodzinę, więc chciała tam zajrzeć, żeby zapytać o małą. Nie umiała się jednak na to zdobyć. Bo niby po co? Wiedziała świetnie, na co cierpi dziewczynka, i nie mogła jej pomóc.

Hye-ryung nie była wyjątkiem. Inne przedszkolaki także zasypiały na zajęciach. W czasie przerw, gdy pozostałe dzieci bawiły się na podwórkowych drabinkach i huśtawkach, te nie wychodziły na zewnątrz, lecz spały z głowami na pulpitach albo wyciągały się na matach.

Kolejność zawsze była taka sama: najpierw rodzina nie była w stanie dostarczać drewna na opał, następnie dziecko przestawało przynosić jedzenie, potem zaczynało pokładać się na zajęciach i spać na przerwach, wreszcie bez wyjaśnienia znikało z przedszkola. W ciągu trzech lat liczba przedszkolaków spadła z pięćdziesięciu do piętnastu.

Co się stało z tymi dziećmi? Mi-ran nie drążyła tego zbyt głęboko, bo bała się, że usłyszy odpowiedź, której usłyszeć nie chciała.

Z Jun-sangiem następnym razem spotkała się w zimie. Teraz to on zrobił jej niespodziankę. Przyjechał wcześniej na ferie. Nie chcąc narażać się na spotkanie z jej rodzicami, nie zajrzał do niej do domu, lecz wpadł do przedszkola. Dzieci już wyszły, ona została dłużej, by posprzątać salę.

Nie było tam zwykłych krzeseł, więc przysiadła w dziecięcej ławce z pulpitem, na którym jej ulubienica tak łatwo składała głowę i zasypiała. Opowiedziała Jun-sangowi, co się dzieje z przedszkolakami. Próbował dodać jej otuchy.

– Nic na to nie poradzisz – powiedział. – Nikt nie może im pomóc. Nie powinnaś się tym zadręczać.

Rozmowa się nie kleiła, chcieli ominąć niewygodną prawdę. Żadne z nich nie cierpiało głodu. To, czego jego ojciec nie wyhodował w przydomowym ogrodzie, rodzice kupowali za japońskie jeny na czarnym rynku. Mi-ran, o dziwo, jadała teraz lepiej niż kilka lat wcześniej w akademiku. W czasie szalejącego kryzysu gospodarczego niski status rodziny nie odgrywał już tak wielkiego znaczenia. Jej śliczna najstarsza siostra wydała się bardzo dobrze za mąż: uroda okazała się ważniejsza niż złe pochodzenie klasowe. Jej mąż, który był wojskowym, dzięki znajomościom pomagał całej rodzinie. Matka znajdowała wciąż nowe sposoby zarobkowania. Gdy zabrakło prądu, nie mogła już korzystać z zamrażarki i robić lodów z mleka sojowego, ale chwytała się innych zajęć: hodowała świnie, wyrabiała tofu, mieliła kukurydzę.

Dziesięć lat później, gdy Mi-ran sama została matką i po ciąży próbowała na aerobiku zrzucić zbędne kilogramy, ten okres życia nie dawał jej spokoju. Często zadręczała się tym, co wtedy zrobiła i czego nie zrobiła, by pomóc swoim podopiecznym. Jak mogła tak dobrze jadać, kiedy inni głodowali?

Wiadomo, że jedna śmierć jest tragedią, tysiąc – statystyką. Dotyczyło to także Mi-ran. Ale nie zdawała sobie sprawy, że jej zobojętnienie jest postawą nabytą i umożliwiającą przetrwanie. Żeby przeżyć lata dziewięćdziesiąte w Korei, trzeba było stłumić w sobie odruch dzielenia się jedzeniem. Żeby nie zwariować, trzeba było nauczyć się obojętności. Z czasem Mi-ran przyzwyczaiła się omijać zmarłych leżących na ulicy i nie myśleć o tym zbyt wiele. Obok niej pięcioletnie dziecko było bliskie śmierci, ale ona nie uważała, że trzeba mu pomóc. Skoro nie była gotowa podzielić się jedzeniem ze swoją ulubioną podopieczną, to przecież nie mogła pomagać komuś całkowicie obcemu.

Najpierw umierają ludzie dobrzy



[157] Plakat propagandowy o Trudnym Marszu

Mówi się, że ludzie wychowani w krajach komunistycznych nie umieją sobie radzić, bo liczą na pomoc państwa. Ale w czasie głodu w Korei Północnej tak nie było. Koreańczycy nie czekali biernie na śmierć. Kiedy upadł system dystrybucji żywności, musieli wykazywać ogromną inwencję w zdobywaniu jedzenia. Z tego, co było pod ręką, robili potrzaski i wnyki do łapania drobnych zwierząt, na balkonach wieszali siatki na wróble. Uczyli się przerabiać na pokarm niejadalne gatunki roślin. Sięgnęli do pamięci zbiorowej o dawnych klęskach głodu i w strategiach przetrwania naśladowali przodków. Nauczyli się zastępować mąkę drobno zmieloną słodką miazgą wydobywaną spod kory sosnowej. Ze zmiażdżonych żołędzi robili galaretowatą masę, która niemal rozpływała się w ustach.

Odrzucili zbędną dumę i niepotrzebny wstyd. W odchodach zwierząt hodowlanych szukali niestrawionych resztek kukurydzy. Dokerzy nauczyli się zdrapywać maź z podłóg magazynów portowych, w których

przechowywano produkty żywnościowe, i po jej wysuszeniu oddzielać ziarenka ryżu i inne jadalne składniki.

Ludzie przekopywali plaże w poszukiwaniu skorupiaków i zbierali do wiaderek wodorosty. Kiedy w 1995 roku władze zaczęły grodzić wybrzeże morskie (rzekomo w ramach ochrony przed szpiegami, ale w rzeczywistości raczej po to, by uniemożliwić ludziom połowy, bo rybołówstwo miało pozostać w gestii przedsiębiorstw państwowych), Koreańczycy wyruszyli na niestrzeżone urwiska, skąd długimi, przemyślnie podwiązanymi grabiami wyławiali wodorosty z morza.

Nikt im nie mówił, co mają robić – władze nie chciały się przyznać do rozmiarów klęski – byli pozostawieni sami sobie. Kobiety wymieniały się przepisami. Radziły, by kukurydzę mielić w całości, razem z kolbą, łodygą, łuskami, liśćmi, i niczego nie wyrzucać. Mieszanka nie jest pożywna, ale pozwala oszukać głód. Kluski gotować długo, przynajmniej przez godzinę, aż napęcznieją i będzie się wydawało, że jest ich więcej. Do zupy zamiast warzyw należy dorzucić trochę trawy. Ciastka robi się ze sproszkowanej kory sosnowej.

Zdobywanie i przygotowywanie pożywienia pochłaniało bez reszty. Ludzie budzili się wcześnie, by zdobyć coś na śniadanie, a po jego zjedzeniu natychmiast zaczynali myśleć o tym, jak znaleźć coś na kolację. Posiłek w środku dnia należał do luksusów przeszłości. W dzień spało się, by zaoszczędzić energię.

Ale w końcu ludzie opadali z sił.

Po zamknięciu zakładów odzieżowych pani Song nie wiedziała, co ze sobą począć. Jako dobra komunistka czuła odruchową niechęć do wszystkiego, co trąciło kapitalizmem. Jej ukochany marszałek Kim Ir Sen nawoływał wielokrotnie, by socjaliści „strzegli się przed zatrutymi wpływami kapitalizmu i rewizjonizmu ”. Pani Song lubiła cytować tę właśnie myśl.

Ale od śmierci Wielkiego Wodza nikt w ich rodzinie nie otrzymywał pensji, nawet jej mąż, który należał do partii i miał prestiżową pracę w rozgłośni radiowej. Chang-bo nie dostawał już nawet wina i papierosów, którymi zwyczajowo obdarowywano dziennikarzy. Pani Song zdawała sobie sprawę, że przyszła pora, by zapomnieć o skrupułach i zacząć jakoś zarabiać. Ale jak?

Nie miała zadatków na przedsiębiorcę. Skończyła pięćdziesiąt lat i oprócz posługiwania się liczydłami nie rozwinęła żadnych umiejętności

potrzebnych w biznesie. Kiedy jednak poskarżyła się najbliższym na ten brak predyspozycji, ci przypomnieli jej, że jest utalentowaną kucharką. W czasach, gdy można było dostać produkty, lubiła gotować, a Chang-bo lubił jeść. Jej repertuar był dość ograniczony, bo w Korei Północnej nie znano obcej kuchni, ale jak na kraj, który kojarzy się nam z głodem, miejscowa sztuka kulinarna jest zaskakująco wyrafinowana. (W istocie wielu restauratorów południowokoreańskich pochodzi z Północy). Tutaj gotuje się z inwencją, wykorzystując takie produkty, jak dziko rosnące gąski sosnówki i wodorosty. Ryż, jęczmień czy kukurydzę wzbogaca się tym, co o danej porze roku jest świeże i dostępne, i przyprawia pastami z czerwonej fasoli i chilli. Naengmyon, specjalność kuchni Pjongjangu, to potrawa z długich klusek gryczanych w kwaskowatym bulionie, podawana na zimno w przeróżnych wariantach, z dodatkiem jajek na twardo, ogórków albo gruszek. Gdy pani Song nie miała czasu, używała do niej kupnego makaronu, a jeśli tylko mogła, to robiła go sama. Wybór produktów dostępnych w państwowym systemie dystrybucji był skromny, ale wystarczało ich na twigim – warzywa smażone w cieście naleśnikowym, chrupiące i delikatne. Na urodziny męża szykowała deok, kleisty deser z ryżu. Umiała też robić domową wódkę z kukurydzy, a jej kimczi, chwaliły się córki, było najlepsze w całej dzielnicy.

Rodzina namówiła ją więc, by działalność biznesową rozpoczęła w kuchni, najlepiej od robienia tofu, które w ciężkich czasach dobrze się sprawdza jako źródło białka. W kuchni koreańskiej ma wiele zastosowań, jest dodawane do zup i duszonych jarzyn, smaży się je albo marynuje. Pani Song podawała tofu zamiast ryby, smażone z czerwoną papryką w oleju. Żeby zdobyć pieniądze na zakup soi, zaczęli wyprzedawać dobytek. Najpierw pozbyli się telewizora, z którego byli tak dumni – japoński odbiornik zdobyty dzięki temu, że ojciec Chang-bo w czasie wojny koreańskiej służył w wywiadzie.

Wyrabianie tofu, choć pracochłonne, nie jest trudne. Ziarna soi trzeba namoczyć, zmielić i odcedzić. Płyn otrzymywany z miazgi gotuje się i zakwasza, by się ściął, a następnie odciska się jak ser. Pani Song uznała, że wodnistą ciecz i łuski soi pozostające po jego wytworzeniu warto spożytkować, więc zajęła się także hodowlą świń. Kupione na bazarze prosiaki trzymała w zamkniętej na solidną kłódkę komórce w podwórzu.

Przez parę miesięcy biznes się kręcił. Mała kuchnia w mieszkaniu pani Song zamieniła się w fabryczkę tofu, na ogniu stały garnki z miazgą sojową,

a Chang-bo kosztował wszystkiego z przyjemnością. Prosiaki rosły na sojowych resztkach i trawie, którą pani Song podrzucała im z rana. Ale coraz trudniej było o drewno i węgiel, by palić pod kuchnią. Prąd pojawiał się tylko na parę godzin w tygodniu, kiedy wolno było włączyć jedynie sześćdziesięciowatową żarówkę, telewizor albo radio.

Bez opału potrzebnego w kuchni pani Song nie mogła gotować soi i wyrabiać tofu, więc nie miała także czym karmić świń. Godzinami zbierała dla nich trawę.

– Posłuchaj, my też możemy się żywić zielskiem – rzuciła półżartem mężowi. Ale po namyśle dodała poważnie: – Jeśli to nie szkodzi świniom, to i my się tym nie potrujemy.

Chociaż kiedyś mieli się za smakoszy, przeszli na restrykcyjną dietę. W poszukiwaniu jadalnych roślin i trawy pani Song z nożem kuchennym i koszem wyprawiała się na północny zachód od centrum miasta, na teren, który nie został jeszcze zalany betonem. Gdy poszło się wyżej, w góry, można było czasem znaleźć mlecz albo inne smakołyki, jadane nawet w lepszych czasach. Niekiedy trafiały się zgniłe liście kapusty wyrzuconej przez chłopa. Pani Song zbierała to wszystko i w domu dodawała do kupionych produktów. Mogła sobie pozwolić na tani gatunek mączki kukurydzianej, robionej z łupin i kolb. Jeśli nie było jej stać nawet na nią, to wybierała jeszcze tańszy proszek z miazgi sosnowej, często z domieszką trocin.

Talent kulinarny na nic się nie zdawał, bo i tak smakowało to obrzydliwie. Pani Song musiała w nieskończoność siekać trawę i ugniatać korę, żeby zrobić z nich strawną pulpę. Nie dawało się z niej sformować niczego, co przypominałoby prawdziwe jedzenie, żadnych klusek ani ciasta. W najlepszym razie wychodziła pozbawiona zapachu, bezkształtna papka. Jedyną przyprawą była sól. Na odrobinę czosnku albo papryki, która może zabiłaby ohydny smak jedzenia, pani Song nie mogła sobie pozwolić. Oleju nie można było zdobyć za żadną cenę, a w kuchni trudno było całkowicie się bez niego obejść. Pewnego razu szwagierka jej siostry poczęstowała ją papką z fasoli i całej kukurydzy. Mimo że pani Song była głodna, nie mogła tego przełknąć. Kawałeczki kolb, gorzkie i suche jak gałązki z ptasiego gniazda, stawały jej w gardle. Zakrztusiła się, zaczerwieniła jak burak, po czym to wypluła. Było jej wstyd.

Jedynym produktem zwierzęcym, jaki miała w ustach przez rok po śmierci Kim Ir Sena, były żaby. Jej bracia złapali je na wsi, szwagierka

udusiła w sosie sojowym, drobno posiekała i podała z kluskami. Według pani Song smakowały wybornie. Skosztowała ich po raz pierwszy w życiu, bo dawniej Koreańczycy nie jadali żab. Niestety taka okazja już się nie powtórzyła. W 1995 roku praktycznie cała populacja żab w Korei Północnej została wytrzebiona.

Do połowy tego roku pani Song i jej mąż zdążyli już wyprzedać i wymienić na jedzenie większość wartościowych przedmiotów. Po telewizorze przyszła kolej na japoński rower, ich jedyny środek transportu, następnie na maszynę do szycia, na której pani Song szyła ubrania, zegarek Chang-bo i orientalny obraz, podarowany im w prezencie ślubnym. Sprzedali większość ubrań, a potem także drewnianą szafę. Dwupokojowe mieszkanie, w którym kiedyś ich rodzina ledwie mogła się pomieścić z rzeczami, zrobiło się puste. Na gołych ścianach nie zostało nic poza portretami Kim Ir Sena i Kim Dzongila. Teraz mogli już sprzedać tylko samo mieszkanie.

Był to osobliwy pomysł. Mieszkańcy Korei Północnej nie są właścicielami mieszkań, mają jedynie prawo ich użytkowania. Ale gdy głód zmusił ludzi do opuszczania domów, powstał nielegalny obrót nieruchomościami, urzędników zaś opłacano, żeby przymykali oko na te transakcje. Pani Song została przedstawiona kobiecie, której mąż pracował przy wyrębie lasów w Rosji, więc mieli dochody pozwalające na zakup lepszego lokum.

Pani Song mieszkała w samym sercu miasta, w doskonałej lokalizacji, pożądanej zwłaszcza od czasu, gdy przestały kursować trolejbusy. Żyli tam z Chang-bo od ponad dwudziestu lat i mieli wielu przyjaciół – to, że pani Song jako wieloletnia przewodnicząca wspólnoty *inminban* nie narobiła sobie wrogów, świadczyło o zaletach jej charakteru. Obydwoje z mężem uznali, że nie potrzebują tak dużej przestrzeni. W domu zostali już tylko oni i matka Chang-bo. Wszystkie córki wyszły za mąż. Syn wyprowadził się do starszej od siebie partnerki, której pani Song nie akceptowała. Uważała, że to wstyd, ale za to miała do wykarmienia o jedną osobę mniej.

Za swoje mieszkanie dostali dziesięć tysięcy wonów, co było równowartością około trzech tysięcy dolarów według oficjalnego kursu wymiany. Zamieszkali w jednym pokoju, a pani Song postanowiła zainwestować pieniądze w nowe przedsięwzięcie: handel ryżem.

Ryż jest podstawą koreańskiej diety – słowo *bap* oznacza ryż albo posiłek. W Chongjinie po 1995 roku był on dostępny jedynie na czarnym

rynku. W prowincji Hamgyong Północny ryżu nie można uprawiać z powodu surowego klimatu i górzystego ukształtowania terenu. Udawało się to tylko na błotnistej wysepce w pobliżu Namamu, resztę przywożono do Chongjinu pociągami albo ciężarówkami, co dodatkowo podnosiło jego ceny, zwłaszcza że drogi i linie kolejowe były w fatalnym stanie. Pani Song postanowiła więc wyprawić się po ryż na południe, gdzie był tańszy, i przywieźć go pociągiem do domu. Handel ryżem i wszelkim zbożem był surowo karany (władze łatwiej tolerowały sprzedaż warzyw i mięsa), ale skoro inni się nim trudnili, pani Song uznała, że też się tym zajmie. Trochę zarobi, trochę zachowa dla siebie i męża. Na samą myśl pociekła jej ślinka. Porządnej miski ryżu nie widzieli od 1994 roku. Kukurydza była o połowę tańsza.

Pani Song wyjechała z Chongjinu z dziesięcioma tysiącami wonów, które schowała w bieliźnie pod grubymi warstwami zimowego ubrania. Pojechała pociągiem do prowincji Pyongan Południowy, gdzie kupiła dwieście kilo ryżu. Rankiem 25 listopada 1995 roku wyruszyła w drogę powrotną. Podróż pociągiem trwała niecałą dobę. Worki z ryżem pani Song ukryła pod swoją kuszetką, bo dzięki znajomościom męża zdobyła miejsce do spania w trzecim wagonie – dwa pierwsze były zarezerwowane dla oficjeli partyjnych i oficerów wojska. Takie właśnie okazje pozwalały jej docenić to, że cieszy się uprzywilejowaną pozycją społeczną. Gdy pociąg wchodził w zakręt, widziała tylne wagony, w których podróżowali na stojąco ludzie pozbawieni koneksji. W straszliwym tłoku pasażerowie zbili się w zwartą masę. Jechali też na dachach. O wpół do dziewiątej rano zsunęła się z kuszetki i wdała się w pogawędkę o marnym stanie torów ze współpasażerami z przedziału: żołnierzem, młodą kobietą i starszą panią. Pociąg przez całą noc to zatrzymywał się gwałtownie, to ruszał nieoczekiwanie, i trzęsło w nim tak bardzo, że nie mogli zjeść śniadania. W rwanym rytmie *staccato* szybko wyrzucali słowa, by zdążyć je wypowiedzieć przed kolejnym szarpnięciem. Nagle panią Song rzuciło tak mocno, że upadła i z całej siły uderzyła w coś, co dotąd było chyba podłogą. Leżała na boku, z lewym policzkiem przyciśniętym do czegoś zimnego – jak się okazało, do metalowej ramy okiennej. Wykolejony wagon przewrócił się na bok.

Z tyłu dobiegały krzyki. Pociąg zamienił się w pogiętą kupę metalu. W zatłoczonych tylnych wagonach, prawie doszczętnie zmiażdżonych, zginęła większość pasażerów. Przednie wagony dla elity prawie nie ucierpiały.

Chodziły słuchy, że katastrofa kolejowa pod Sinpo, dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południe od Chongjinu, pochłonęła około siedmiuset ofiar śmiertelnych, ale ich liczba nie została ujawniona, bo w Korei Północnej władze zazwyczaj nie informują o takich tragediach.

Pani Song wyszła z tego z rozciętym policzkiem, poranioną nogą i obrażeniami pleców. Przygniotły ją bagaże, ale uszła z życiem, prawdopodobnie dzięki temu, że jechała w zamkniętym przedziale. Do domu wróciła cztery dni później. Zawsze uważała, że dopisuje jej szczęście – bo od urodzenia życzliwą troską otaczał ją Kim Ir Sen i miała kochającą rodzinę – a teraz, kiedy przeżyła katastrofę kolejową, była o tym jeszcze bardziej przekonana. Z bólu nie mogła się poruszać, i po przyjeździe do Chongjinu trzeba było ją nieść, ale gdy na peronie dostrzegła męża i syna, z którym od miesięcy nie zamieniła słowa, znowu poczuła, że los jej sprzyja. To, że przepadła większość ryżu, nie miało znaczenia.

Jej obrażenia okazały się poważniejsze, niż sądziła. Ze swojego stanu zdała sobie sprawę dopiero, gdy opadła z niej euforia. Lekarz, który ją obejrzał, dał jej środki przeciwbólowe i kazał przez trzy miesiące nie podnosić się z łóżka. Ale ona go nie posłuchała. Ktoś w jej rodzinie musiał przecież zdobywać jedzenie.

W czasie klęsk głodowych ludzie umierają nie tylko z zagłodzenia. Często zabija ich coś innego. Przy chronicznym niedożywieniu tracą odporność, nie mogą zwalczyć infekcji, padają ofiarą gruźlicy czy tyfusu. Osłabiony organizm nie przyswaja antybiotyków, nawet jeśli są one dostępne, i uleczalne choroby zbierają śmiertelne żniwo. Z powodu zaburzeń metabolicznych częstsze są także udary i ataki serca. Ludzie umierają również na niestrawność po zjedzeniu produktów zastępczych. Niedożywienie jest podstępnym zabójcą, który często przechodzi niezauważony, ponieważ statystyka beznamiętnie odnotowuje tylko wyższą umieralność wśród dzieci albo krótszą średnią życia. Wskaźniki te są jedynie poszlaką wskazującą na głód.

Zabójca działa zawsze według tego samego scenariusza. Najpierw uderza w najsłabszych – w dzieci poniżej piątego roku życia. Zapadają one na przeziębienia, które przeradzają się w zapalenie płuc, i na biegunki kończące się czerwonką. Dziecko umiera, zanim rodzice zdążą choćby pomyśleć o znalezieniu dla niego pomocy. Następnie morderca zwraca się ku ludziom najstarszym: zaczyna od tych po siedemdziesiątce, by kolejno mierzyć w sześćdziesięcio- i pięćdziesięciolatków. W tym wieku ludzie

umierają, ale dlaczego tak często? Potem głód dziesiątkuje tych w sile wieku. Mężczyźni mają mniej tkanki tłuszczowej, więc giną szybciej od kobiet. Śmierć zagraża zwłaszcza silnym i wysportowanym z powodu ich wysokiego zapotrzebowania energetycznego.

Do tego zabójca z bezinteresownym okrucieństwem uderza w ludzi najbardziej przyzwoitych, tych, którzy nigdy nie ukradną jedzenia, nie skłamią, nie oszukają, nie złamią prawa, nie zdradzą przyjaciół. O tym zjawisku pisał Primo Levi, zwracając uwagę, że ani on, ani inni ocalali z Auschwitz nie chcieli się widywać po wojnie, bo każdy z nich zrobił coś, czego się wstydził.

Gdy pani Song po dekadzie opowiadała o latach głodu w Chongjinie i o tych, którzy nie przeżyli tego okresu, stwierdziła:

– Jako pierwsi umierali ludzie prości, dobrzy i pokorni.

W jej rodzinie pierwszą ofiarą była teściowa. Zamieszkała z nimi niedługo po ich ślubie, bo według koreańskiej tradycji obowiązek opieki nad rodzicami spoczywa na najstarszym synu. W praktyce ciężar ten dźwigają rzecz jasna synowe, więc ich stosunki z teściowymi często są napięte. Matka Chang-bo w początkowym okresie jego małżeństwa, zwłaszcza kiedy pani Song urodziła kolejno trzy córki, krytykowała ją bezlitośnie. Po przyjściu na świat wnuka trochę złagodniała, ale synowa wciąż starała się, jak mogła, by ją sobie zjednać.

W Korei najgłodniejszą porą roku jest wiosna, bo na przednówku kończą się zapasy z poprzedniego roku, a na nowe zbiory trzeba poczekać. Ten rok był dla pani Song wyjątkowo ciężki, bo nie wydobrzała jeszcze po katastrofie kolejowej sprzed paru miesięcy. Jej siedemdziesięciotrzyletnia teściowa była w mocno zaawansowanym wieku, zważywszy na średnią długość życia w Korei, i łatwo można by powiedzieć, że „przyszedł na nią czas”. Pani Song jest jednak przekonana, że krzepka staruszka żyłaby jeszcze wiele lat, gdyby można ją było odpowiednio odżywiać. Pani Song nie mogła pracować ani wyprawiać się w góry, więc dodawała do zupy zielsko i trawę, które zbierała w pobliżu domu. Z teściowej pozostały tylko skóra i kości, a rumień w okolicy oczu świadczył, że cierpi na pelagrę. W maju 1996 roku matka Chang-bo dostała ostrych bólów brzucha i biegunki. Zmarła po kilku dniach.

Pani Song zawiodła: Koreanka nie może bardziej zawieść swoich najbliższych. Smutek po śmierci teściowej był dla niej tym bardziej dojmujący, że jesienna kampania propagandowa wzywała obywateli do

ciężkiej pracy w trudnych czasach. Mężczyzna z plakatów przez megafon nawoływał ludzi, by „na spotkanie z nowym stuleciem kroczyli w duchu zwycięskiego Trudnego Marszu”, a za nim szli: żołnierz w hełmie, górnik z kilofem, inteligent w okularach z ulotką w dłoni, rolniczka w chustce i generał, który niósł czerwony sztandar. Jak donosiła państwowa agencja prasowa, nawet Kim Dzongil jadał skromne posiłki z ziemniaków.

Gdy pani Song i Chango-bo zostali tylko we dwoje, postanowili przenieść się do jeszcze mniejszego lokum. Był to nędzny pokoik z gołym cementem na podłodze i odrapanymi ścianami z gipsu, tak cienkimi, że pani Song nie mogła nawet powiesić obowiązkowych portretów ojca i syna. Zawinęła je więc starannie i postawiła w kącie. Z dobytku prawie im nic nie zostało. Pani Song sprzedała wszystkie książki Chang-bo oprócz dzieł Kim Ir Sena i Kim Dzongila, którymi nie wolno było handlować. Sprzedała swoje ukochane naczynia na kimczi. Niczego nie potrzebowali poza dwiema parami pałeczek, dwiema łyżkami, kilkoma miskami i garnkami.

Chang-bo odszedł z rozgłośni radiowej i podjął pracę w radiostacji kolejowej, gdzie mu nie płacono, ale przyrzekano, że będzie miał pierwszeństwo przy najbliższym rozdziale żywności. Jednak przydziałowego jedzenia jak nie było, tak nie było. W ciągu kilku miesięcy pani Song i jej mąż wydali resztkę pieniędzy, jaka im pozostała ze sprzedaży poprzedniego mieszkania. Ich najstarsza córka Oak-hee od czasu do czasu przynosiła rodzicom ze swojego domu torebkę kukurydzy, ale musiała uważać, żeby jej na tym nie przyłapał mąż, który łatwo wpadał w gniew i zbiłby ją za „podkradanie jedzenia”. Jego rodzina miała pieniądze, ale nie przejmowała się losem teściów syna.

Pani Song wciąż nie mogła chodzić w góry, wstawała więc coraz wcześniej, o szóstej, potem o piątej rano, w nadziei, że znajdzie młodziutkie, wypuszczone w nocy pędy chwastów i traw, które będą miększe i łatwiejsze do strawienia. Rozgotowywała je razem z korą i soliła, po czym dodawała do tej papki parę łyżek mączki kukurydzianej.

Bardziej od głodu dawało jej się we znaki wyczerpanie. Po posiłku łyżka z brzękiem wypadała jej z dłoni na metalową miskę. Pani Song osuwała się w ubraniu na posłanie na podłodze i zapadła w głęboki sen. Budziła się, wiedziona wolą przeżycia, która, choć było jeszcze ciemno, kazała jej znowu wyruszyć na poszukiwanie jedzenia. Na nic innego nie miała siły. Przestała czesać swoje kręcone włosy, z których kiedyś była bardzo dumna, przestała prać ubranie. Schudła tak bardzo, że ostatnia para

spodni, jaka jej została, zsuwała jej się z bioder. Miewała wizje, że umarła i unosi się znad pustego naczynia, które kiedyś było jej ciałem.

Ale Chang-bo podupadł na zdrowiu znacznie poważniej. Jak na Koreańczyka był potężny, w najlepszych czasach ważył prawie dziewięćdziesiąt kilogramów. Jeszcze przed kilku laty lekarz mówił mu, że powinien schudnąć, i radził, by w tym celu zaczął palić. Jego pokaźny kiedyś brzuch, który nosił z dumą, bo otyłość jest w Korei Północnej symbolem statusu, obwisł teraz jak pusty worek. Łuszcząca się skóra świadczyła o ostrej egzemie. Gdy zaczęła opadać mu żuchwa i przestał mówić wyraźnie, pani Song zaprowadziła go do lekarza w szpitalu kolejowym, gdzie stwierdzono, że jej mąż przebył lekki udar. Po tym epizodzie trudno mu było pracować. Nie mógł się skupić, skarżył się na zaburzenia wzroku. Nie był w stanie utrzymać w ręku wiecznego pióra.

Chang-bo przestał podnosić się z łóżka, czy raczej z kołder, które służyły im za posłanie. Nogi spuchły mu jak balony, a pani Song rozpoznała w tych obrzękach objaw choroby głodowej. Mąż nieustannie mówił o jedzeniu. Opowiadał o zupach z tofu, którymi w dzieciństwie karmiła go matka, i o smakowitym krabie z imbirem, którego niedługo po ślubie przyszykowała mu pani Song. Miał niezwykłą pamięć do potraw ugotowanych przez żonę przed kilkudziesięciu laty. Wspominając wspólne posiłki, stawał się sentymentalny, wręcz romantyczny. Brał w dłonie jej rękę, a oczy zachodziły mu mgłą.

– Kochanie, chodźmy do porządnej restauracji. Musimy się napić dobrego wina.

Tego ranka Pani Song jeszcze nie wstała z posłania. Od trzech dni niczego nie jedli. Spojrzała na męża z przerażeniem: Chang-bo miał halucynacje.

Wybiegła z domu i nie zważając na ból pleców, rzuciła się pędem na bazar. Nie cofnie się przed niczym, będzie kraść i żebrać, żeby tylko zdobyć coś do jedzenia dla męża. Jej starsza siostra sprzedawała tam makaron. Też była niedożywiona, jej skóra łuszczyła się jak skóra Chang-bo, więc pani Song nie prosiła jej dotąd o pomoc, ale teraz była w rozpaczy i siostra, rzecz jasna, nie mogła jej odmówić.

– Zapłacę ci – przyrzekła, po czym ruszyła biegiem do domu, adrenalina dodawała jej sił.

Chang-bo leżał skulony pod kocem po swojej stronie posłania. Pani Song głośno zawołała go po imieniu. Gdy nie reagował, odwróciła go, co

nie było trudne, bo tak bardzo stracił na wadze. Miał całkowicie sztywne kończyny.

Pani Song, wołając o pomoc, uciskała mu klatkę piersiową, ale wiedziała, że jest za późno.

Po śmierci Chang-bo z panią Song zamieszkał ich syn Noam-oak. Gdy związał się ze starszą od siebie kobietą, zerwał z rodziną. Prawdę mówiąc, stosunki pani Song z jedynym synem nie układały się od czasu, gdy ten był nastolatkiem. Nie chodziło o to, że chłopak otwarcie się buntował, ale matce trudno było przełamać jego uparte milczenie. Teraz, w obliczu straszliwej tragedii, wydało jej się nieistotne, że syn żyje bez ślubu ze starszą partnerką. Najważniejsze było to, że pani Song i Noam-oak potrzebowali siebie nawzajem. Pani Song została sama, rodzina jego dziewczyny radziła sobie jeszcze gorzej niż ona, u nich w domu w ogóle nie było co jeść.

Przez całą młodość Noam-oak trenował boks, ale warunki w jego szkole sportowej tak się pogorszyły, że którejś zimy chłopak przyjechał do domu z odmrożonym uchem. Wrócił do Chongjinu, gdzie dostał pracę na dworcu kolejowym dzięki znajomościom rodzinnym jeszcze z czasów wojny koreańskiej, w czasie której ojciec pani Song zginął w amerykańskim bombardowaniu. Ale tak samo jak w przypadku Chang-bo, dyrekcja kolei nie płaciła mu pensji i przyrzekała przydział żywności, gdy tylko ruszy jej dystrybucja.

Syn pani Song, młodzieniec silny i w dobrej kondycji, był bardzo podobny do Chang-bo – skóra zdarta z ojca – ale bardziej od niego wysportowany i umięśniony, i jeszcze wyższy. Żeby utrzymać się przy życiu, jego organizm potrzebował dużo energii. Kiedy pozbył się resztek tkanki tłuszczowej, Noam-oak wyglądał jak chudy, muskularny maratończyk, ale później, wraz z utratą mięśni, coraz bardziej przypominał trupa. Gdy w czasie surowej zimy na przełomie 1997 i 1998 roku zaczęły się bardzo silne mrozy, złapał przeziębienie, które rozwinęło się w zapalenie płuc. Chociaż tak bardzo stracił na wadze, był zbyt ciężki, by matka dodźwigała go do szpitala. Ponieważ już nie jeździły karetki, pani Song poszła tam sama, by powiedzieć, co mu dolega. Lekarz wypisał jej receptę na penicylinę, ale na bazarze zobaczyła, że lek kosztuje pięćdziesiąt wonów, tyle co kilogram kukurydzy.

Wybrała kukurydzę.

Noam-oak zmarł w marcu 1998 roku, gdy nie było przy nim nikogo. Pani Song poszła wtedy na bazar, żeby zdobyć coś do jedzenia. Został

pochowany na widocznym z jej domu wzgórzu nad miastem, obok Chang-bo. Dyrekcja kolei załatwiła mu trumnę, tak jak wcześniej jego ojcu.

Szacuje się, że do końca 1998 roku w Korei Północnej zmarło z głodu od sześciuset tysięcy do dwóch milionów ludzi, czyli dziesięć procent ludności. W Chongjinie, gdzie żywności zabrakło najwcześniej, śmierć pochłonęła do dwudziestu procent mieszkańców. Ich liczby nie sposób podać dokładnie, bo szpitale w Korei Północnej nie wymieniają głodu jako przyczyny śmierci.

W latach 1999–2005 KRLD dostała pomoc żywnościową wartą dwa miliardy dwieście milionów dolarów. Ale reżim, choć zależało mu na zagranicznej żywności, nie chciał wpuszczać cudzoziemców z organizacji humanitarnych. Początkowo mogły one działać wyłącznie w Pjongjangu i w starannie wybranych, zadbanych miejscowościach. Kiedy ich pracownikom zezwalano na wyjście z biur i hoteli, ludziom źle ubranym nie wolno było pokazywać się na ulicach, w szkołach i sierocińcach cudzoziemców witały najlepiej odżywione dzieci. Władze prosiły o zwiększenie pomocy, ukrywając jednocześnie przed światem najbardziej potrzebujących. Mieszkającym w Pjongjangu pracownikom organizacji pomocowych nie pozwalano nawet na naukę koreańskiego.

W 1997 roku nielicznych przedstawicieli organizacji humanitarnych wpuszczono do Chongjinu, ale na miejscu spotkały ich restrykcje jeszcze surowsze niż w stolicy. Jak zanotowała w swoim dzienniku pracownica francuskiej Action Contre La Faim (Akcja przeciw Głodowi), nie wolno jej było opuszczać hotelu Chonmason w pobliżu portu, rzekomo, żeby nie wpadła pod samochód. Organizacja wycofała się wkrótce z Korei, bo – jak uznali jej wysłannicy – nie można było stwierdzić, czy pomoc trafia do potrzebujących. Z kraju wycofali się także Lekarze bez Granic. Od 1998 roku do portu w Chongjinie zawijały statki z ziarnem podarowanym przez Światowy Program Żywnościowy ONZ, które na miejscu rozładowywano do ciężarówek wojskowych. Część żywności dotarła do sierocińców i przedszkoli, ale większość trafiała do magazynów armii albo na czarny rynek. Zanim ta agenda oenzetowska stworzyła w Korei Północnej zadowalający system monitoringu, minęło dziesięć lat. Największa fala głodu zaczęła opadać przed końcem 1998 roku nie dzięki istotnej poprawie zaopatrzenia, lecz – jak to później ujęła pani Song – dlatego, że pozostało mniej ludzi do wyżywienia.

– Ci wszyscy, którzy mieli umrzeć, już zmarli.

Matki wynalazku



[173] Prowizoryczna jadłodajnia w Chongjinie

Pani Song nie było na pogrzebie syna. Rozpacz, głód i stres narastający od kilku lat doprowadziły ją do zapaści psychicznej i fizycznej. Nie umiała wrócić tam, gdzie umarł Nam-oak.

– Zostawiłam go samego, samego – powtarzała z płaczem. Nie brała niczego do ust. Snuła się po ulicach, aż zasłabła.

Szukały jej córki i to one znalazły ją leżącą w zaroślach niedaleko domu, nieprzytomną z głodu i wychłodzenia. Był koniec marca, ale w nocy temperatury spadały na tyle, że chłód mógł łatwo zabić niedożywionego człowieka. Córki były wstrząśnięte jej widokiem. Pani Song, która zawsze była dumna ze swojej gęstej, kręconej fryzury, miała brudne, potargane włosy i ubłocone ubranie. Zaniosły matkę do domu, średnia córka rozebrała ją i wykąpała jak dziecko. I rzeczywiście, pięćdziesięciodwuletnia pani Song była tak wychudzona, że ważyła niewiele więcej niż ośmioletni synek Oak-hee. Siostry złożyły się i kupiły dla matki torbę klusek. Po piętnastu

dniach odżywiania pani Song odzyskała na tyle władze umysłowe, że przypomniała sobie, co się stało, i na powrót wpadła w rozpacz po potwornej stracie.

W ciągu trzech lat trzykrotnie przeżywała śmierć najbliższych – najpierw, w 1996 roku teściowej, rok później Chang-bo, teraz syna. Pani Song straciła wszystko, także Ukochanego Marszałka, którego odejście wciąż opłakiwała tak samo jak męża i syna.

Wreszcie zebrała się na odwagę, by wrócić do siebie, tam, gdzie – jak sądziła – popełniła zbrodnię. Uważała, że za śmierć najbliższych ponosi całkowitą odpowiedzialność. W drodze do domu popatrzyła na gołe wzgórze, by zobaczyć proste deski na świeżych grobach; mąż średniej córki oznaczył w ten sposób mogiły jej męża i syna na tym zboczu. Okazało się, że drzwi do jej klitki są szeroko otwarte. Wychodząc, zabiła je gwoździem, bo nie miała kłódki, ale ktoś zdołał dostać się do środka. Najpierw wsunęła głowę, by upewnić się, że nikogo tam nie ma. Izba była pusta. Bez ludzi i kompletnie ogołocona. Nie pozostało śladu po pogiętym garnku, w którym gotowała papki, po tanich metalowych miskach, z których jadali, po pałeczkach i kocu, którym jej syn był owinięty przed śmiercią. Złodziej zabrał nawet szkło z portretów Kim Ir Sena i Kim Dzongila, ale zostawił ich podobizny.

Pani Song wyszła stamtąd, nie zamknąwszy nawet za sobą drzwi. Nie pozostało jej nic, co można by jej było odebrać, poza życiem, ale ono przestało się liczyć. Nie mogła pojąć, dlaczego jeszcze żyje. Postanowiła iść przed siebie, aż padnie gdzieś w trawie. Chciała się położyć i umrzeć. Ale z jakichś powodów nie umarła. Zabrała się do kolejnego biznesu.

Była to osobliwość związana z klęską głodu: właśnie gdy wszystko sięgnęło dna, gdy umierały setki tysięcy ludzi, narodził się nieznany wcześniej duch przedsiębiorczości. Po upadku socjalistycznego systemu dystrybucji żywności powstała luka dla biznesu prywatnego. Nie każdy mógł iść w góry, by zbierać jagody i wydrapywać sosnową miazgę – ludzie musieli gdzieś kupować żywność i ktoś musiał ją dostarczać.

Działalność ta była surowo zabroniona. Kim Dzongil zwalczał prywatną przedsiębiorczość jeszcze bardziej stanowczo niż jego ojciec. „W społeczeństwie socjalistycznym nawet problemy wyżywienia należy rozwiązywać metodami socjalistycznymi. Bazary i handlarze budzą w ludziach egoizm” – stwierdził w przemówieniu z 1996 roku, jednym z nielicznych, w których wspominał o kryzysie żywnościowym. Na bazarach

nie wolno było sprzedawać żywności, z wyjątkiem warzyw wyhodowanych w przydomowych ogródkach. Za handel ryżem i innymi zbożami wymierzano surowe kary. Był on nie tylko nielegalny, lecz także uważany przez Koreańczyków z Północy za niemoralny. W ich pojęciu był to bowiem cios wymierzony w samo serce komunizmu. Wszelka prywatna działalność biznesowa stanowiła „przestępstwo gospodarcze", za które groził obóz pracy, a w przypadku oskarżenia o korupcję – nawet kara śmierci.

Ale ludzie, którzy nie mieli zmysłu przedsiębiorczości, skazywali się na pewną śmierć. Człowiek, żeby utrzymać się przy życiu, potrzebuje średnio przynajmniej pięciuset kalorii dziennie, ci zaś, których dieta ograniczała się do tego, co znaleźli w lesie, nie mogli przetrwać dłużej niż trzy miesiące. Zagrożenie śmiercią zmusiło do działania ludzi niechętnych kapitalizmowi, takich jak pani Song.

Klęska, jaką zakończyła się dla niej próba handlowania ryżem, nauczyła ją, by nie podejmować żadnych inicjatyw wymagających podróżowania i znacznych inwestycji. Gotowanie było jedyną umiejętnością, którą mogła sprzedawać na rynku. Z powodu braku drewna gotować było jednak coraz trudniej. Okoliczne wzgórza zostały ogołocone, najbliższe drzewa rosły za daleko od miasta.

Po namyśle pani Song uznała, że zajmie się produkcją ciasteczek. Piekły się zaledwie dziesięć minut, a niewielka wiązka drewna starczała na cztery blachy. Ich wyrób był łatwiejszy od wypiekania chleba. Głodnym, spieszącym się ludziom służyły za szybki posiłek.

Do wypiekania ciasteczek przyłączyła się Yong-hee, najmłodsza córka pani Song, która była świeżo po rozwodzie. Jej małżeństwo rozpadło się zaledwie trzy miesiące po ślubie, gdy Yong-hee odkryła, że jej mąż jest uzależniony od hazardu. To ona pożyczyła skądś trochę pieniędzy na zakup metalowego złomu i znalazła bezrobotnego spawacza zwolnionego z huty, u którego zamówiła piec. Był to w gruncie rzeczy sześcian podzielony na dwie części: w dolnej paliło się drewnem, ciasteczka piekły się na górze. Robotnik zrobił im także blachę do wypieków. Pani Song i Yong-hee obeszły bazary w mieście, by się przyjrzeć, jak działa ten interes. Na pomysł produkowania wypieków wpadło wiele kobiet, więc pani Song na pewien czas zatrudniła się u jednej z nich, by przypatrzeć się jej pracy. Kupowała też ciasteczka u innych, kosztowała je i porównywała. Gdy któreś jej smakowało, próbowała naśladować przepis.

Ale wszystko to na niewiele się zdało. Początkowo wypieki pani Song nie nadawały się na sprzedaż; nikt, nawet najmniej wymagający klient by ich nie kupił. Obie z córką nie pozwalały, żeby cokolwiek się zmarnowało, i zjadały nieudane ciasteczka. W końcu pani Song doszła do wniosku, że trzeba dodawać więcej cukru i więcej zaczynu oraz trochę mleka. Rozwałkowane ciasto kroiła w prostokąty – wychodziły jej niezbyt słodkie herbatniki nadające się na lekkostrawną przekąskę.

Pani Song zabierała się do pieczenia o piątej rano. Konkurencja była silna, więc jej ciasteczka musiały być świeże. Nie miała wózka ani nawet skrzynki, z których by mogła je sprzedawać, więc układała wypieki w plastikowej misce, którą owijała w płachtę i jak dziecko zarzucała na plecy, by powędrować na ruchliwą ulicę, gdzie przechodziło dużo ludzi i nie było zbyt wielu handlarek. Trzymała się okolic bazarów i rozległego skweru naprzeciwko dworca. Wciąż dokuczał jej ból pleców, więc z trudem siadała po turecku na chodniku i ustawiała miskę z ciasteczkami na kolanach.

Od czasu katastrofy kolejowej doskwierał jej ból, więc starała się o nim nie myśleć, nawołując przechodniów z takim samym przekonaniem, z jakim jako przewodnicząca wspólnoty *inminban* wzywała kiedyś sąsiadów, by dla dobra ojczyzny segregowali śmieci i zbierali nocne zanieczyszczenia.

– *Gwaja sassayo!* – Kupcie ciasteczka! Po koreańsku brzmiało to melodyjnie.

Pani Song zachęcała do kupowania jej wyrobów z wrodzonym talentem. Przyciągała ludzi serdecznością: jeśli mieli kupić ciasteczko, to równie dobrze mogli to zrobić u niej, jak i u dziesiątek innych sprzedawczyń. Po czternastogodzinnym dniu pracy zostawało jej w kieszeni około stu wonów, czyli pięćdziesiąt centów, i zwykle parę torebek różnych produktów, które dostawała w zamian za wypieki – na przykład trochę czerwonej papryki albo bryłek węgla. Utarg wystarczał jej, by kupić jedzenie na kolację i składniki do produkcji na następny dzień. Do domu wracała wyczerpana, zapadała w sen i budziła się po paru godzinach, żeby zaczynać od nowa. Tyle tylko, że już nie kładła się głodna.

Podobnych zajęć chwytały się tysiące kobiet w średnim wieku. Pracowały na własny rachunek. Nie miały warsztatów ani sklepików; nie przyszło im do głowy, żeby otwierać kioski, wszechobecne w czasie rosyjskiej pierestrojki. O biznesie wiedziały tyle, ile je nauczono: że wszelka inicjatywa prywatna to egoizm. Ale głód i rozpacz zmusiły je do zmiany myślenia o wolnym rynku, kazały im oduczyć się tego, co przez

całe życie wpajała im propaganda. Przekonały się o korzyściach handlu wymiennego: młodzi ludzie, którym w odróżnieniu od pani Song starczało sił, by pójść wysoko w góry po drzewo, przynosili jej opał, ona dawała im w zamian wypieki. Jeśli się miało drabinę, to można było ściągać miedziany drut z przewodów elektrycznych (nie groziło już porażenie prądem) i wymieniać go na żywność. Jeśli dysponowało się kluczem do nieczynnej fabryki, to wyniesione stamtąd maszyny, okna czy podłogi można było wykorzystać gdzie indziej.

Czy chodziło o blachę do pieczenia, czy o taczki, wszystko trzeba było robić na zamówienie i ręcznie, bo praktycznie cały przemysł stał. Kobiety kroiły skrawki materiału, topiły resztki znalezionej gumy i własnym sumptem produkowały tenisówki. Ze starych kółek, drewnianych drzwi i drutu klecono wózki do transportu towarów z bazaru do domu.

Ludzie zajęli się samokształceniem. Pewien prosty górnik, który znalazł podręcznik medycyny wschodniej, ślęczał nad nim, by nauczyć się gatunków roślin leczniczych rosnących w górach otaczających Chongjin. W rezultacie rozpoznawał je nie gorzej od lekarzy, ale przyzwyczajony do pracy fizycznej, był od nich znacznie lepszy w zbieraniu.

Lekarze także znaleźli sposoby zarobkowania. Nie mieli dostępu do lekarstw, ale w szpitalu albo w domu mogli przeprowadzać proste zabiegi. Najbardziej lukratywne były aborcje, bez specjalnego pozwolenia formalnie nielegalne, ale mimo to będące powszechną metodą kontroli urodzeń. Jeśli nawet kobiety zachodziły w ciążę – głód powodował zarówno spadek popędu seksualnego, jak i płodności – ludzie nie decydowali się na dzieci, bo nie mogliby ich wyżywić. Kiedy przed laty Oak-hee zaprowadziła swoją przyjaciółkę na aborcję, kosztowało to czterysta wonów, równowartość ośmiu kilogramów ryżu, ale teraz cena zabiegu odpowiadała zaledwie wartości wiaderka węgla.

Doktor Kim nie była chirurgiem. Dla niej narzędziem przetrwania było pióro, którym wypisywała zwolnienia lekarskie. Chociaż zakłady nie płaciły pensji, za nieusprawiedliwioną nieobecność w pracy groził miesiąc aresztu. A ludzie potrzebowali czasu, żeby zdobywać żywność i opał. Odwdzięczali się doktor Kim drobnymi prezentami jedzeniowymi z tego, co udało im się zdobyć. Wzdrygała się, bo wypisując te zwolnienia, sprzeniewierzała się przysiędze lekarskiej i przysięgom składanym ojczyźnie, ale z drugiej strony wiedziała, że w ten sposób pomaga przeżyć i swoim pacjentom, i sobie.

Przedsiębiorcza matka Mi-ran zajęła się nowym, dobrze prosperującym biznesem. Dzięki znajomościom najstarszej córki dostała pozwolenie na prowadzenie usług młynarskich. Inaczej niż przy produkcji lodów i tofu, która upadła z powodu braku prądu, żarna obsługiwało się ręcznie. Jej mąż, który robił stolarkę w kopalnianych sztolniach, zbudował jej drewnianą wiatę, sąsiedzi pomogli przy kładzeniu dachu. Brał w tym udział nawet Jun-sang, który akurat wtedy przyjechał na wakacje do domu. Ludzie kilometrami szli z workami kukurydzy do młyna. Wiedzieli, że można oszczędzić, gdy kupi się kukurydzę w całości i samemu zdecyduje, ile jej zmielić, czy mielić ją z kolbami, łodygami, liśćmi i plewami i czy może dorzucić do niej trochę trocin. Mieszanka była niestrawna, jeśli się jej nie starło na proch, więc na usługi młynarskie istniało duże zapotrzebowanie.

Gdy ludzie nie mieli już niczego na sprzedaż, sprzedawali siebie. Chociaż Kim Ir Sen zamknął domy *kisaeng*, prostytucja nie dała się wyrugować do końca, lecz zeszła do głębokiego podziemia. Uprawiano ją wyłącznie w mieszkaniach prywatnych, gdzie spotkania były aranżowane indywidualnie. Głód nie tylko sprawił, że wróciła na ulice, lecz także stworzył nową klasę prostytutek – często młodych mężatek, rozpaczliwie potrzebujących pożywienia dla dzieci. Bywało, że za usługę brały jedynie torebkę makaronu czy kilka słodkich ziemniaków. Spotykały się z klientami na skwerze przed głównym dworcem kolejowym w Chongjinie. Ponieważ ludzie czekali godzinami na pociągi, w okolicach stacji było bardzo tłoczno. Prostytutki poruszały się w tłumie jak wśród gości na przyjęciu. Nie wyróżniały się strojem, bo policja aresztowała kobiety, które nosiły krótkie spódnice, zbyt wycięte czy zbyt obcisłe bluzki, niebieskie dżinsy albo rzucającą się w oczy biżuterię. Prostytutki poprzestawały więc na odrobinie czerwonej szminki i rzucaniu zapraszających spojrzeń przechodzącym mężczyznom.

Oak-hee mieszkała naprzeciwko dworca, gdzie pracował jej mąż. Ilekroć spotykała te kobiety, powstrzymywała odruchową ciekawość i zawstydzona spuszczała wzrok. Ale jedna z nich zdołała nawiązać z nią kontakt wzrokowy i Oak-hee wydawało się czasem, że się do niej leciutko uśmiecha. Była odrobinę lepiej ubrana od innych, śmielsza i w jakiś sposób wydawała się bardziej profesjonalna.

Któregoś dnia, gdy Oak-hee wychodziła z budynku, natknęła się na nią przy samym wejściu, jakby ta kobieta czekała specjalnie na nią.

– Posłuchaj, moja droga – zaczęła poufale. – Mój brat właśnie przyjechał do miasta i chcemy porozmawiać na osobności. Może miałabyś dla nas jakiś pokoik?

Ruchem głowy wskazała stojącego z tyłu mężczyznę, który niepewnie przestępował z nogi na nogę i odwracał wzrok. W sprawach seksu Oak-hee była pruderyjna, ale miała smykałkę do interesów. Mąż wyszedł do pracy. Dzieci do szkoły. Prostytutka wynajęła pokój na godzinę i zapłaciła jej pięćdziesiąt wonów. Została stałą klientką i nie tylko płaciła Oak-hee, lecz także przynosiła cukierki dla dzieci.

Było to, rzecz jasna, absolutnie niedozwolone, ale przecież tyle rzeczy odbywało się wtedy nielegalnie. Przestępstwem było przyjęcie wynagrodzenia za jakąkolwiek usługę, niezależnie od tego, czy chodziło o seks, czy o naprawę roweru. Ale kto by się tym jeszcze przejmował? Bez kombinowania nie dało się przeżyć.

Większość interesów załatwiano na targach z produktami wiejskimi. Nawet w najlepszych komunistycznych czasach Kim Ir Sen niechętnie tolerował bazary, na których wolno było sprzedawać wyłącznie żywność pochodzącą z „działek przydomowych”. Kiedy dzieci były małe, pani Song chodziła na niezabudowaną parcelę w pobliżu domu po jajka, będące zdrowym przysmakiem na śniadanie. W zależności od pory roku widywała tam suszącą się na słońcu czerwoną paprykę, kapustę albo suszone ryby. Ludzie często przynosili na bazar używane ubrania, buty i naczynia kuchenne, ale sprzedaż nowych rzeczy była zakazana i prowadziły ją wyłącznie sklepy państwowe.

W latach dziewięćdziesiątych, gdy wokół Chongjinu coraz bardziej zaciskała się pętla głodu, na bazarach, o dziwo, przybywało jedzenia. Kapusta, rzodkiew, sałata, pomidory, szczypior, ziemniaki – to wszystko można było tam kupić. Warzywa pochodziły z poletek uprawianych nielegalnie w górach. Chłopi zrozumieli, że najłatwiej będzie im przeżyć, jeśli pozyskają dla siebie kawałek ziemi w górach, na terenach, które dawniej uważali za zbyt niedostępne, by nadawały się pod uprawę. Prywatne działki starannie pielęgnowano, warzywa rosły tam na równiutkich grządkach, pięły się podwiązana do tyczek fasola i kabaczki przy kratkach, podczas gdy pola w gospodarstwach kolektywnych były zaniedbane.

Nagle pojawił się także biały ryż, mnóstwo białego ryżu w wielkich, czterdziestokilowych workach z nadrukami w alfabecie łacińskim (UN, WFP,

EU), oenzetowskim wieńcem z gałązek oliwnych i flagą amerykańską, dobrze znaną każdemu mieszkańcowi KRLD z plakatów propagandowych, gdzie zawsze była albo skrwawiona, albo pokłuta bagnetami.

Dlaczego na workach z ryżem widnieje flaga najbardziej znienawidzonego wroga Korei Północnej? Ktoś powiedział pani Song, że armia północnokoreańska zdobyła ryż na amerykańskich podżegaczach wojennych. Któregoś dnia pani Song widziała, jak z portu wyjeżdżał konwój ciężarówek wyładowanych tymi workami. Chociaż ciężarówki miały cywilne tablice rejestracyjne, wiadomo było, że należą do wojska, bo tylko wojsko miało benzynę, i pani Song wreszcie zrozumiała, że rozwożą żywność z darów i że ktoś z wojska sprzedaje ją z zyskiem na bazarach.

Nieważne, skąd pochodził ten ryż, ludzie w Chongjinie cieszyli się na jego widok, bo od lat brakowało go w punktach rozdziału żywności.

Za każdym razem, gdy pani Song szła na bazar, coś nowego wprawiało ją tam w zdumienie. Gruszki. Winogrona. Banany. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni widziała banany, chyba jakieś dwadzieścia lat temu, gdy Chang-bo przyniósł kilka dzieciom. Któregoś dnia zobaczyła pomarańcze, prawdziwe pomarańcze! Pani Song nigdy ich nie próbowała, znała je tylko ze zdjęć. Innego dnia zaciekawił ją cętkowany, żółtobrązowy owoc z zielonymi kolczastymi liśćmi na górze.

– Co to takiego? – spytała koleżankę i dowiedziała się, że to ananas.

Na bazarach pojawiło się także mnóstwo artykułów przemysłowych, tak tanich, że mogli sobie na nie pozwolić nawet zwykli ludzie. Do Korei Północnej płynęły produkty z Chin, przeżywających boom gospodarczy zapoczątkowany reformami Deng Xiaopinga z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Z Chin pochodziły więc papier do pisania, długopisy i ołówki, pachnące szampony, grzebienie, nożyczki do paznokci, maszynki do golenia, baterie, zapalniczki, parasolki, samochodziki dla dzieci, skarpetki. Korea Północna tak dawno przestała cokolwiek produkować, że zwykłe rzeczy wydawały się czymś nadzwyczajnym.

Zachwycały też ubrania w nieznanych kolorach z obcego świata. Różowy, żółty, pomarańczowy, turkusowy – żywością barw stroje nęciły nie mniej niż sprzedawane na rynku owoce tropikalne, a materiały, z jakich je uszyto, były delikatniejsze i miększe od tych, które kiedyś produkowano w kraju. Czasem te eleganckie ubrania miały odcięte metki. Sprzedawcy mówili szeptem, że pochodzą z *areh dongae* – „wioski poniżej”, jak

eufemistycznie nazywano Koreę Południową. I ludzie drogo płacili za rzeczy z wrogiego kraju.

Ilekroć pani Song tam zaglądała, miała wrażenie, że bazar się rozrasta. Zamiast staruszek, które dawniej kucały przy brezentowych plandekach, pojawiły się setki skrzynek i wózków z towarami. Sprzedawcy wykładali je na stolikach i w gablotkach, otwierali też parasole, by chronić artykuły przed słońcem.

Główny bazar w Chongjinie powstał na terenach dawnej dzielnicy przemysłowej nad rzeką Sunam, odcinającą port od lądu i płynącą przez centrum miasta. Położony na tyłach zrujnowanej fabryki włókien sztucznych bazar Sunam miał się wkrótce stać największym placem targowym w Korei Północnej. Nie różnił się od innych bazarów azjatyckich: w osobnych alejkach sprzedawano tam produkty żywnościowe, artykuły metalowe, garnki i naczynia kuchenne, kosmetyki, buty, ubrania. Kim Dzongil zalegalizował bazary bardzo późno, dopiero w 2002 roku. Ale władze Chongjinu pogodziły się z rzeczywistością kilka lat wcześniej i już wtedy zaczęły regulować dziki handel. Zarząd bazaru pobierał od sprzedawców placowe w wysokości siedemdziesięciu wonów dziennie, co odpowiadało cenie kilograma ryżu. Ci, którzy nie mogli sobie na to pozwolić, rozkładali kramiki w sąsiedztwie targowiska, rozciągającego się teraz aż po stromy brzeg rzeki. Cukierniczy biznes pani Song nigdy nie rozwinął się na tyle, by stać ją było na własną budkę. Nie chciała płacić placowego. Wraz z innymi handlarzami zadomowiła się na obrzeżach bazaru, w położonej na zachód od portu dzielnicy Syngpyeon, gdzie także zamieszkała, gdy udało jej się zgromadzić trochę oszczędności.

Bazary przyciągały też jak magnes wszelkiego rodzaju usługi. Przy pobielonym murze, pod którym rozpleniły się malwy, stał rząd prymitywnych drewnianych wózków. Ich właściciele zazwyczaj spali na nich w oczekiwaniu na klientów chcących przewieźć kupiony towar. W Chongjinie nie było taksówek ani nawet popularnych w Chinach riksz rowerowych (władze północnokoreańskie uznały, że ten środek transportu narusza ludzką godność), ale tę próżnię wypełnili tragarze. Fryzjerzy, wyszkoleni w państwowym przedsiębiorstwie, które dawniej monopolizowało wszelką działalność usługową, zakładali przenośne kramiki. Ich całym wyposażeniem były para nożyczek i lusterko. Z fryzjerami często wdawali się w kłótnie właściciele pobliskich straganów z żywnością, którym przeszkadzały włosy fruwające na wietrze. Strzyżenie

odbywało się szybko, fryzjer jednym okiem spoglądał, by nie zranić klienta w ucho, drugim zerkał, czy nie idzie policja, która ludziom przyłapanym na prywatnej robocie konfiskowała narzędzia. Ale i tak można było zarobić. Kobiety, którym z głodu burczało w brzuchu, wysupływały ostatniego wona na trwałą ondulację.

Niedaleko bazaru, w okolicach dworca kolejowego powstały jadłodajnie, gdzie stołem była deska położona na cegłach, krzesłem – wiadro odwrócone do góry dnem. Klienci jedli pospiesznie łyżkami gorącą zupę albo kluski z metalowych miseczek. Kucharze uwijali się nad cylindrycznymi palnikami, nie większymi niż puszki z farbą, w których ogień podsycały staromodne miechy. Niczym niezwykłym nie był widok kucharki pracującej z niemowlęciem przytroczonym do pleców.

Wśród handlarzy znaczną większość stanowiły kobiety. W tradycji koreańskiej praca na bazarze miała niski status i pozostawała wyłącznie domeną kobiet. Nie uległo to zmianie także w latach dziewięćdziesiątych, mimo rozkwitu bazarowego handlu w tym okresie. Mężczyźni musieli pilnować swoich posad, bo zatrudnienie decydowało o całym życiu, ale kobiety okazały się na rynku pracy na tyle zbędne, że mogły sobie szukać także dodatkowego zajęcia. Joo Sung-ha, uciekinier z Chongjinu, który w Seulu został dziennikarzem, powiedział mi, że jego zdaniem Kim Dzongil przyzwalał po cichu na pracę kobiet w sektorze prywatnym.

– Gdyby *ajumma* [zamężne kobiety] nie mogły pracować, wybuchłaby rewolucja – wyjaśnił – bo ich rodziny nie mogłyby przeżyć.

Nowa gospodarka przybierała więc coraz bardziej kobiece oblicze. Mężczyźni trwali na posadach państwowych, gdzie nie dostawali pieniędzy, a kobiety zaczęły zarabiać.

– Mężczyźni warci są tyle, co psy pilnujące domu – szeptały między sobą mężatki. Wyższe zarobki kobiet nie mogły dokonać rewolucji w istniejącej od tysięcy lat kulturze patriarchalnej, ale zapewniły Koreankom pewną niezależność.

Obserwator z zewnątrz mógłby odnieść wrażenie, że Chongjin się nie zmienił. Nad szerokimi, pustymi asfaltowymi jezdniami górowały szare fasady stalinowskich budynków. Na ulicach wciąż wszechobecne były wyblakłe czerwone napisy propagandowe, głoszące wielkość Kim Dzongila i zwycięstwo partii. Miasto zatrzymało się w czasie, tak jakby zegary odmierzające historię świata stanęły tam w latach siedemdziesiątych. Ale pani Song trochę poznała życie. Świat, w którym przyszło jej żyć, stanął na

głowie. Wszystko przewróciło się do góry nogami. To nie mężczyźni, lecz kobiety miały pieniądze. Bazary pękały od żywności, przeciętny Koreańczyk z Północy w życiu nie widział tyle jedzenia, ale ludzie nadal ginęli z głodu. Umierali członkowie Partii Pracy, a bogacili się ci, którzy niczego nigdy nie zrobili dla ojczyzny.

– *Donbultrae*, pasożyty – pani Song mruczała pod nosem.

Dawniej miała wrażenie, że wszyscy wokół niej są mniej więcej równi w biedzie, i to poczucie przynosiło jej ulgę. Teraz widziała, jak bogaci bogacą się jeszcze bardziej, a biedni biednieją. Ludzie, którzy przed dziesięcioma laty uchodziliby za przestępców gospodarczych, dziś paradowali w skórzanych butach i nowych ubraniach. Inni cierpieli głód, choć pracowali w pełnym wymiarze. Inflacja wymknęła się spod kontroli. Kilogram ryżu pod koniec 1998 roku kosztował dwieście wonów. Nawet gdy ludzie znów zaczęli dostawać pensje, przeciętny urzędnik albo nauczyciel za miesięczne zarobki mógł dla swojej rodziny kupić jedzenie najwyżej na dwa, trzy dni. Żebrzące dzieci rzucały się na ziarenka ryżu i kukurydzy, które wypadały z worków.

Znała dziewięcioletniego chłopca imieniem Song-chol. Przychodził na bazar z ojcem, szorstkim człowiekiem zwanym przez handlarzy „panem Gruszką", bo sprzedawał gruszki. Ale jego interes nie szedł najlepiej i pan Gruszka miał kłopoty z wykarmieniem rodziny.

– Sam poszukaj sobie czegoś do zjedzenia, jak inni chłopcy – pan Gruszka powiedział synkowi któregoś dnia.

Song-chol był posłusznym dzieckiem. Podszedł do straganu, gdzie mężczyźni popijali alkohol, zagryzając mięsem krabów. Po powrocie skarżył się ojcu, że boli go brzuch. Najadł się leżących na ziemi zepsutych odpadków. Zmarł na ostre zatrucie pokarmowe, zanim ojciec zdążył wyskrobać ostatniego wona na tragarza, który zaniósłby małego do szpitala.

Nie było prawie dnia, żeby pani Song nie widziała umierających albo zmarłych. Mimo tragedii we własnej rodzinie, nie umiała się przyzwyczaić do wszechobecności śmierci. Kiedyś, gdy skończył się dzień, poszła na stację kolejową, by znaleźć klientów na resztkę niesprzedanych ciasteczek. Plac przed dworcem sprzątali robotnicy. Minęło ją paru mężczyzn, którzy ciągnęli drewniany wózek. Pani Song spojrzała, zaciekawiona. Na wózku leżała sterta ciał – ludzie, którzy tej doby zmarli na dworcu. Sterczały ich wychudłe kończyny. Z podskakującego na chodniku wózka wystawała głowa. Pani Song popatrzyła: to była głowa mężczyzny około czterdziestki.

Miał przymknięte oczy. Jeszcze nie umarł, ale był tak bliski śmierci, że trzeba go było wywieźć.

Pani Song nie mogła nie myśleć o ukochanym mężu i synu. Miała jednak mnóstwo szczęścia, bo oni przynajmniej zmarli w domu, we własnym łóżku i można ich było normalnie pochować.

Zbłąkane jaskółki



[187] Północnokoreańscy chłopcy na bazarze

Pani Song, która często bywała w okolicach dworca kolejowego w Chongjinie, zapewne natknęła się na chłopca w ciemnoniebieskim kombinezonie robotniczym, o wiele na niego za dużym, z krokiem na wysokości kolan. Miał zmierzwioną i zawszoną czuprynę, nogi owinięte plastikowymi torebkami zamiast butów. Trudno byłoby odgadnąć jego wiek; miał czternaście lat, ale ledwie dorównywał wzrostem amerykańskiemu ośmiolatkowi.

Gdyby pani Song miała przy sobie resztkę swoich wypieków, prawdopodobnie dałaby mu ciasteczko. Jeżeli nie, to przeszłaby obok, nie zwracając na niego szczególnej uwagi. Ten chłopiec niczym się nie wyróżniał spośród setek dzieci włóczących się w pobliżu dworca. Koreańczycy z Północy nazywali je *kochebi*, „zbłąkane jaskółki” – ich rodzice zmarli lub odeszli w poszukiwaniu jedzenia. Pozostawione same sobie, szukając resztek, zbijały się na dworcu w stada, jak gołębie. W kraju,

gdzie dawniej w ogóle nie słyszano o bezdomności, były dziwnym zjawiskiem.

Kim Hyuck był chudy, ale silny i sprytny. Gdy kupiło się na dworcu coś do zjedzenia, umiał to wyrwać z ręki i natychmiast połknąć. Sprzedawcy zamykali szczelnie wiaderka z żywnością, by nikt niepowołany do nich nie sięgał, ale w chwili gdy zdejmowali pokrywkę, dzieciaki potrafiły przewrócić pojemnik i złapać coś z ziemi. Umiejętności tych nauczyły się bardzo wcześnie i doskonaliły je przez całe głodowe dzieciństwo. Bez nich nie zdołałyby przetrwać.

Przykład Hyucka, który stracił dom i zamieszkał na dworcu, obrazował degradację uprzywilejowanej w Korei Północnej klasy podstawowej. Chłopiec urodził się w 1982 roku w prawomyślnej rodzinie komunistycznej. Jego ojciec służył wcześniej w elitarnej jednostce wywiadu wojskowego, infiltrującej Koreę Południową. W nagrodę został przyjęty do partii i zatrudniony w przedsiębiorstwie wojskowym, zajmującym się dewizowym eksportem ryb i cennych gąsek sosnówek. Mieszkali w dzielnicy Sunam, niedaleko fabryki włókien sztucznych, w której pracowała matka Hyucka. Jako dwumiesięczne niemowlę znalazł się w przyfabrycznym żłobku, podobnie jak inne dzieci zatrudnionych tam matek.

Nieszczęścia w życiu małego zaczęły się, gdy jego matka zmarła nagle na atak serca. Miał wtedy trzy lata. Jej twarzy prawie nie pamiętał, jego najwcześniejszym, wyraźnym wspomnieniem był zapach kadzidła na pogrzebie. Ojciec szybko ożenił się po raz drugi. Między Hyuckiem i jego o trzy lata starszym bratem Cheolem a macochą wybuchały konflikty, często o jedzenie.

Chłopcy byli niesforni, trudni – i wiecznie głodni. Uważali, że macocha lepiej karmi swoją córkę, ich przyrodnią siostrę. Wykradali z kuchni kolby kukurydzy i wymieniali je na bazarze na kluski. Kiedy macocha zamknęła jedzenie, podwędzili jej koc i też go przehandlowali.

Hyuck zaczął kraść poza domem, kiedy miał dziesięć lat. Porwał wtedy ze straganu lepkie, nadziewane fasolą ciastko ryżowe i uciekł. Udało mu się, bo biegł szybciej od handlarki. Ciastko okazało się tak słodkie i pyszne, że wrócił po jeszcze jedno.

Z posterunku policyjnego odebrał go ojciec. Hyuck spuścił głowę ze wstydu, do oczu napłynęły mu łzy. Ojciec zbił go w domu skórzanym paskiem tak, że nogi małego były czerwone od razów.

– Moi synowie nie będą złodziejami. Lepiej głodować niż kraść! – krzyczał z wściekłością.

Hyuck był innego zdania. Kradł i wbrew ojcu wymykał się z domu, by znaleźć coś do jedzenia. Wyprawiał się na południe od Chongjinu, do okręgu Kyonsong, gdzie znajdowały się kopalnie węgla. Dalej, za kopalniami, zaczynały się sady. Hyuck i jego koledzy jeździli tam na tylnych zderzakach autobusów. W latach dziewięćdziesiątych wyprawiał się już tam regularnie. Kiedy kończyły się gruszki, chłopcy kradli kukurydzę. Raz Hyuck został złapany, ale ponieważ był mały, strażnicy tylko go postraszyli i puścili wolno. W złodziejstwie nie miał zahamowań. Nawet w okresie żałoby po Kim Ir Senie próbował ściągać ciasteczka ryżowe, rozdawane ludziom pod wielkim pomnikiem z brązu.

Oburzało to jego ojca, który jednak nie miał synowi niczego do zaoferowania. W domu brakowało jedzenia, więc macocha z córką wyprowadziła się do swoich rodziców. Ojciec Hyucka po zmianie pracy został sekretarzem partii w zakładzie dla chorych psychicznie. Swoich synów umieścił w pokoju, w którym wcześniej mieszkali opiekunowie. Małemu podobało się w tym domu, lubił zwłaszcza rozmawiać z pensjonariuszami. Też dokuczała im samotność i traktowali go poważnie, nie jak dzieciaka. Tam jednak także brakowało jedzenia. Mimo że ojciec, jako sekretarz partii, był ważniejszy od dyrektora, nie dostawał większych racji. Dzięki znajomościom załatwił synom miejsca w sierocińcu.

Podobnie jak w innych krajach komunistycznych, w północnokoreańskich domach dziecka mieszkały nie tylko sieroty, lecz także dzieci, nad którymi rodzice nie mogli sprawować opieki. Sierocińce miały zapewnić wychowankom dach nad głową, wikt i opierunek oraz naukę szkolną. O miejsce w nich nie było łatwo.

Sierociniec nr 24 Donsong znajdował się w Onsongu, okręgowym miasteczku na północnych krańcach prowincji, blisko granicy z Chinami. Ojciec zawiózł tam synów pociągiem w pierwszym tygodniu września, żeby zdążyli na początek roku szkolnego. Jedenastoletni Hyuck zaczynał ostatnią klasę podstawówki, jego czternastoletni brat był w szkole średniej. Jechali sześć godzin na stojąco w strasznym ścisku. Podróż upłynęła im w ponurym milczeniu.

– Jesteście braćmi i macie trzymać się razem. Nie dawajcie sobą pomiatać – powiedział im ojciec w chwilę po podpisaniu dokumentów przyjęcia do sierocińca.

Gdy odchodził, Hyuck po raz pierwszy zauważył, że jego ojciec bardzo się postarzał. Kiedyś wydawał mu się wysoki i przystojny, teraz był wychudzony, zgarbiony, posiwiały.

Początkowo chłopcy nie chodzili głodni, stołówka karmiła ich przyzwoicie. Jesienią, po zbiorach, nie brakowało żywności. Byli zachwyceni, że codziennie dostają miskę ryżu. Choć mieszano go z kukurydzą, jęczmieniem lub innymi tańszymi zbożami, tak dobrze nie jadali od lat. Wiosną odkryli drzewa morelowe rosnące w przydomowym ogrodzie. Mogli zbierać ich owoce i najeść się do syta.

Ale następnej zimy obcięto racje żywnościowe. Zamiast ryżu dzieci dostawały kluski z kukurydzy w osolonej zupie. W pierwszych trzech miesiącach 1996 roku w ich sierocińcu zmarło dwadzieścioro siedmioro wychowanków. Hyuck z bratem wagarowali, by szukać czegoś do jedzenia w miasteczku. Ale tam było niewiele lepiej. W Onsongu zaprzyjaźnił się z chłopcem w jego wieku, który po śmierci rodziców mieszkał z sześcioletnią siostrą. Sąsiedzi przynosili im czasem miski z papką, ale poza tym dzieci musiały wyżywić się same.

Jedzenie zdobywali wspólnie, z bratem i nowym kolegą. Hyuck miał długie, silne ręce i mimo krótkich nóg dobrze się wspinał. Z ostrym nożem w ręku wdrapywał się na sosny, by po ścięciu zewnętrznej kory dostać się do miększych warstw. Żółtą, słodkawą miazgę łatwo się żuło, a on czasem zjadał ją od razu, jeszcze na drzewie. To samo robili inni, ale Hyuck wdrapywał się wyżej, tam, gdzie kora była jeszcze nienaruszona.

– Jesteś zwinny jak małpa – mówił z podziwem kolega.

Hyuck zaczął polować. Łapał szczury, myszy, żaby i kijanki. Kiedy zabrakło żab, łowił koniki polne i świerszcze. Kiedy był mały, jego koledzy w Chongjinie łapali i jedli świerszcze nad rzeką Sunam, ale jego napawało to obrzydzeniem. Teraz już nie był taki wybredny. Robił też ze sznurka pułapki na wróble, którym na przynętę wieszał kolbę kukurydzy. Oskubywał je z piórek i piekł na rożnie. Próbował też zastawiać się z miską i sznurkiem na gołębie, ale okazało się, że ptaki są mądre i nie dają się złapać.

Inaczej niż psy. Kiedyś przyplątał się do niego mały, przyjazny piesek, który machając ogonem, poszedł za nim na podwórko do kolegi. Hyuck zamknął furtkę i razem z przyjacielem złapali psa i wrzucili go do kubła z wodą, na którym położyli pokrywę. Zwierzę, zanim się utopiło, walczyło przez dziesięć minut. Obdarli je ze skóry i upiekli. W tradycyjnej kuchni

koreańskiej jadało się psy, ale Hyuck lubił zwierzęta i było mu przykro, choć nie na tyle, żeby tego nie powtórzyć – lecz w połowie 1996 roku zabrakło też psów.

W dalszym ciągu kradł. Razem z bratem przedostawali się przez ogrodzenia do prywatnych ogrodów, gdzie wykopywali naczynia z kimczi. Wyjadali je na miejscu, rękoma, prosto z garnków.

Przez cały czas Hyuck pamiętał słowa ojca: „Lepiej głodować niż kraść”.

I w myślach odpowiadał mu: „Martwy bohater to nie bohater”.

Hyuck tęsknił za domem. Tęsknił do ojca i do brata, który po skończeniu szesnastu lat, czyli po osiągnięciu pełnoletniości w świetle prawa, musiał opuścić sierociniec. Hyuck zawsze na nim polegał, a Cheol przez całe dzikie, niespokojne dzieciństwo bronił go z oddaniem. Brat odziedziczył po ojcu potężną posturę. Gdy zabrakło Cheola, Hyuck był regularnie bity. Któregoś dnia przy ścinaniu kory natknął się na bandę dzieciaków z Onsongu. Te z miasteczka często wszczynały bójki z wychowankami sierocińca, których (słusznie) oskarżały o kradzieże jedzenia. W pierwszej chwili Hyuck pomyślał, że cisnęły w niego wiadrem z wodą, ale zobaczył, że nogi spłynęły mu krwią. Dostał siekierą w udo. Kiedy tylko rana się zagoiła, postanowił wymknąć się na stację kolejową i wrócić do Chongjinu.

Po przyjeździe z trudem poznał swoje miasto. Chongjin wyglądał jak wymarły. Wszystko było w opłakanym stanie, rozpadało się i sypało. Sklepy pozamykano, nie kursowały trolejbusy przy dworcu. Ruszył do domu biegnącą równolegle do morza Drogą nr 1. Gdy przeszedł most nad rzeką, zobaczył las kominów fabrycznych przy nabrzeżu. Z żadnego nie leciał dym. Za mostem skręcił z głównej arterii w stronę fabryki włókien sztucznych, w której kiedyś pracowała jego matka. Bramę wejściową zamknięto na kłódkę, budynek był splądrowany. Złodzieje wynieśli stamtąd wszystkie maszyny. Robiło się ciemno, Hyuck, który dotarł już do swojej dzielnicy, zaczął się gubić. Wydawało mu się, że w bezksiężycową noc znalazł się w obcym miejscu. Znane w dzieciństwie punkty orientacyjne rozpłynęły się w ciemnościach.

Wreszcie odnalazł swój blok. Otworzył drzwi wejściowe, wszedł na nieoświetloną klatkę schodową, po czym zaczął iść na górę, licząc piętra. Miał wrażenie, że budynek jest opustoszały, bo panowała w nim głęboka cisza i tylko z góry dobiegał płacz niemowlęcia. Zaczął się zastanawiać, czy

trafił do właściwego domu. Jego mieszkanie znajdowało się na siódmym, przedostatnim piętrze. Kiedy tam dotarł, zobaczył pod drzwiami smugę światła – może z lampy naftowej – i serce zabiło mu nadzieją.

Zapukał. Drzwi otworzyła młoda, ładna kobieta z niemowlęciem na ręku. Zaprosiła go do środka. Okazało się, że prawie przed rokiem kupili z mężem od jego ojca to mieszkanie. Ten nie zostawił im swojego adresu, ale poprosił: „Jeśli będzie mnie szukał któryś z synów, to proszę mu powiedzieć, żeby poszedł na dworzec".

Dworzec w Chongjinie. To tam szli ci, którym nic nie zostało i którzy nie mieli gdzie się podziać. Nie oznaczało to jednak, że się poddali, kładąc się przy drodze. Ruch pociągów dawał ludziom złudne poczucie sensu i nadzieję wbrew wszelkim przeciwnościom. Można było pomarzyć, że w przyjeżdżającym pociągu znajdzie się coś do jedzenia albo że pociąg, który odjeżdża, jedzie w lepsze miejsce i że wystarczy do niego wskoczyć. Chongjin jest dużym węzłem kolejowym, w którym przecinają się poprowadzone wzdłuż wybrzeża linie północ–południe z połączeniami z zachodem kraju i granicą chińską. Ludzie jeździli do Chongjinu w nadziei na znalezienie żywności, bo w innych miastach, jak Hamhung, Gilju czy Kimchaeku, sytuacja była jeszcze gorsza. Ludzie przemieszczali się. Jeszcze się nie poddali.

Gigantyczny, granitowy budynek dworcowy miał rząd wąskich okien, sięgających drugiego piętra, a nad nimi ogromny portret Kim Ir Sena, rozmiarami odpowiadający wielkości budynku. Wiszący pod portretem zegar z kamienną tarczą czasami pokazywał właściwą godzinę. Powietrze w środku było gęste od spalin i dymu papierosowego.

Ludzie czekali na siedząco. Jeśli nie mieli siły siedzieć, to rozciągali się na podłodze w poczekalni i ciemnych korytarzach. Hyuck błądził w tłumie, szukając mężczyzny o sprężystym chodzie i długich nogach jego ojca. W nadziei, że trafi na znajomą twarz, pochylał się nad leżącymi. Na dworcu zamieszkało wielu jego dawnych sąsiadów, ale żaden nie umiał mu niczego powiedzieć o ojcu czy bracie. Hyuck, który nie miał dokąd pójść, wypatrzył sobie miejsce za ciężką, wysuwaną barierą z żelaza. Wciągnął brzuch, prześlizgnął się pod nią i, zwinąwszy się w kłębek, zapadł w niespokojny sen. Rano znalazł kran, w którym była woda, więc opłukał twarz, ale wszy nie udało mu się pozbyć.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na niezwykłe poczucie, jakie mieli bezdomni w Korei Północnej. Był to przecież kraj, który stworzył

najbardziej drobiazgowe systemy kontrolowania obywateli. Każdy miał adres, pod którym mieszkał, oraz miejsce pracy – bez nich nie dostawało się przydziałowej żywności. Człowiek, który opuszczał dom, nie jadł. Ludzie bali się odwiedzać krewnych w innym mieście bez pozwolenia podróży. Nawet goście, którzy chcieli przenocować tylko raz, mieli obowiązek powiadomić o tym *inminban*, a wspólnota mieszkaniowa przekazywała policji ich dane osobowe, numery dokumentu identyfikacyjnego i zezwolenia na podróż oraz informacje o celu wizyty. Nocą policja regularnie kontrolowała, czy mieszkańcy nie przyjmują niepowołanych gości. Obywatele mieli obowiązek noszenia przy sobie dowodów osobistych, dwunastostronicowych książeczek o rozmiarach paszportu, które wzorem sowieckich „paszportów wewnętrznych" zawierały mnóstwo danych dotyczących właściciela.

Wszystko to się zmieniło, gdy nastał głód. Kiedy skończyły się przydziały żywności, nie było powodu, by trzymać się miejsca zamieszkania. Skoro bierne czekanie oznaczało śmierć głodową, żadne groźby reżimu nie mogły powstrzymać ludzi przed opuszczaniem domów. Mieszkańcy Korei Północnej po raz pierwszy przemieszczali się bezkarnie po kraju.

Wśród bezdomnych nieproporcjonalnie wysoki był odsetek dzieci i nastolatków. Bywało, że rodzice je opuścili, ponieważ wyruszyli na poszukiwanie pracy czy jedzenia. Była także inna, dziwniejsza przyczyna tego zjawiska. W obliczu głodu północnokoreańscy rodzice dokonywali w rodzinach okrutnej selekcji: żeby utrzymać przy życiu najmłodszych, odmawiali jedzenia sobie i często także swoim starym rodzicom. Strategia ta skutkowała ogromnym wzrostem liczby sierot, bo z całych rodzin pozostawały przy życiu jedynie dzieci.

W dworcowym tłumie nie brakowało więc *kochebi*, zbłąkanych jaskółek. Dzieciaki, podobnie jak Hyuck, nosiły za duże, wiszące na nich, ciemnoniebieskie kombinezony robocze. Pozostały one w nadmiarze po zamknięciu fabryk, więc władze rozdawały je czasem za darmo. Był to tak zwany ubiór popularny. Dzieci zazwyczaj nie miały butów. Ostatnią parę szybko wymieniały na jedzenie, a nogi owijały plastikowymi torebkami. Często cierpiały więc na odmrożenia stóp.

Pierwsze lata, gdy zaczęło brakować żywności, dzieciaki z dworca przetrwały dzięki żebraninie, ale z czasem było ich coraz więcej, ubywało zaś ludzi, którzy mogliby podzielić się jedzeniem. W Korei Północnej

powiada się, że bez pełnego żołądka nie ma miłosierdzia – nie sposób karmić cudzych dzieci, kiedy własne nie mają co jeść.

Gdy nie można było przeżyć z żebraniny, dzieci zbierały wyrzucone resztki, które jakoś dawało się zjeść. Kiedy nie znajdowały odpadów nadających się do zjedzenia, zbierały niedopałki papierosów i z resztek tytoniu i papieru gazetowego robiły sobie skręty. Niemal wszystkie dzieci paliły, żeby oszukać głód.

Hyuck przyłączał się czasem do band młodocianych złodziei. Chongjin zawsze słynął z przestępczości ulicznej, a w ciężkich czasach zjawisko to jeszcze się nasiliło. Nastąpił naturalny podział pracy między starszymi, silniejszymi i szybszymi, a małymi dziećmi, które w razie złapania były mniej narażone na pobicie czy aresztowanie. Więksi wywracali na straganach pojemniki z żywnością, a gdy wściekła handlarka rzucała się za nimi w pogoń, młodsze dzieciaki zbierały jedzenie z ziemi.

Zorganizowane grupy zasadzały się także na wolno jadące pociągi i ciężarówki ze zbożem, by ostrym narzędziem przedziurawiać przewożone worki. Dzieciaki zbierały wszystko, co z nich wypadło. Kolej najęła w końcu uzbrojonych strażników, którzy mieli strzelać do złodziei tak, by ich zabić.

Życie było pełne niebezpieczeństw. Dzieciaki nie mogły spać spokojnie, bo bały się, że ktoś, może ich kolega z bandy, okradnie je z tych niewielu rzeczy, które im zostały. Krążyły też dziwne opowieści o dorosłych polujących na dzieci. I nie chodziło im tylko o seks, lecz także o jedzenie. Hyuck słyszał, że podawano dzieciom środki usypiające i zabijano je na mięso. Na tyłach dworca, przy torach handlarze sprzedawali zupę i kluski gotowane na małych kuchenkach i mówiło się, że szare skrawki w bulionie pochodzą z ludzkiego mięsa.

Czy były to miejskie legendy, czy nie, po bazarach krążyły opowieści o kanibalizmie. Pani Song nasłuchała się tych historii od pewnej gadatliwej *ajumma*.

– Pod żadnym pozorem nie wolno kupować mięsa z nieznanego źródła – przestrzegała ponuro. Utrzymywała, że poznała kogoś, kto jadł ludzkie mięso i twierdził, że jest pyszne.

– Gdy się nie wie, można by przysiąc, że to wieprzowina albo wołowina – szepnęła wstrząśniętej pani Song.

Opowiadano sobie coraz bardziej przerażające historie. Pewien ojciec, który oszalał z głodu, miał zjeść własne dziecko. Handlarkę z bazaru

aresztowano podobno za sprzedawanie zupy na ludzkich kościach. Z moich rozmów z uciekinierami wynika, że odnotowano przynajmniej dwa przypadki aresztowania i stracenia winnych kanibalizmu, jeden w Chongjinie, drugi w Sinuiju. Nie wydaje się jednak, by występował on równie często jak w Chinach, gdzie w latach 1958–1962 głód zabił trzydzieści milionów ludzi.

Nawet jeśli nie grozili im ludożercy i brutalni przestępcy, to dzieci nie mogły przetrwać długo na ulicy. Młodsze rzadko żyły dłużej niż kilka miesięcy. Oak-hee, najstarsza córka pani Song, która mieszkała na pierwszym piętrze w budynku naprzeciwko dworca, codziennie mijała je w drodze do domu.

– Ci malcy nie dożyją jutra – powtarzała sobie w duchu, po części, by usprawiedliwić się z tego, że przechodzi obok, nie udzielając pomocy.

Większość uchodźców z Chongjinu opowiadała mi o ciałach zbieranych masowo przy dworcu i w pociągach. Robotnica fabryczna, która w 1997 roku jechała pociągiem z Gilju do Chongjinu, wspominała, że w jej przedziale zmarł człowiek. Był to emerytowany wojskowy, w zesztywniałej dłoni ściskał legitymację partyjną. Według mojej rozmówczyni ta śmierć nie wywarła najmniejszego wrażenia na współpasażerach. Kobieta przypuszcza, że ciało usunięto, gdy ludzie wysiedli w Chongjinie.

Sprzątacze, którzy regularnie obchodzili cały dworzec, ładowali zmarłych na drewniane wózki. Przyglądali się skulonym postaciom w poczekalni i na placu przed budynkiem, szczególną uwagę zwracając na tych, którzy przez całą dobę nie zmienili pozycji. Według Hyucka bywały dnie, że wywożono z dworca trzydzieści ciał. Zmarłych trudno było zidentyfikować, bo często okradano ich nie tylko z ubrania i butów, lecz także z dokumentów. Ponieważ bliscy zmarłych najprawdopodobniej nie żyli albo rozproszyli się, ciała chowano w masowych grobach. Było to pogwałceniem tradycji konfucjańskiej, według której od miejsca pochówku przodka zależą dobrobyt i szczęście jego bliskich.

Zbiorowe grzebanie zmarłych niedaleko granicy z Chinami widzieli kilkakrotnie przedstawiciele południowokoreańskiej organizacji buddyjskiej Good Friends. Świadkiem takiego pochówku był także Andrew S. Natsios, wysłannik amerykańskiej organizacji pomocy humanitarnej. Jak opisuje ten ostatni, ciała owinięte białymi prześcieradłami z tworzyw sztucznych składano w dużym dole w pobliżu cmentarza. Po złożeniu zmarłych

pracownicy stanęli nad dołem z pochylonymi głowami; była to, przypuszcza Natsios, medytacja albo cicha modlitwa.

Hyuck uważa, że jego ojciec został pochowany w którejś ze zbiorowych mogił. Znajomy, spotkany po latach, powiedział mu, że w zimie 1994 roku jego ojciec przez pewien czas mieszkał na dworcu i w 1995 roku trafił do szpitala. Człowiek, któremu poczucie godności nakazywało, by niezależnie od okoliczności nie kraść, padał zwykle jako pierwszy ofiarą głodu.

Gdy Hyuck stracił nadzieję na odnalezienie ojca, nie miał już powodu, by trwać na dworcu w Chongjinie. Zaczął jeździć koleją. Nie było to trudne. Pociągi poruszały się wolno i często zatrzymywały się w polu. Chłopiec doganiał skład, chwytał się zwinnie sprzęgów między wagonami i dźwigał w górę. W straszliwie zatłoczonych pociągach policjanci z trudem przeciskali się do kontroli pozwoleń podróży i biletów. Hyuck, który i tak nie lubił zamkniętych pomieszczeń, wdrapywał się na dach. Wagony, lekko zaokrąglone na górze, miały pośrodku niewielkie wgłębienie, gdzie można się było bezpiecznie ułożyć, nie ryzykując porażenia prądem z trakcji nad głową. Kołysany ruchem pociągu, leżał tam godzinami na plecach, wpatrzony w chmury.

Początkowo jeździł tylko na peryferie Chongjinu. Wyskakiwał w Kyonsongu, gdzie jako dziecko podbierał kukurydzę i gruszki. Teraz trudniej było kraść, bo pól pilnowali uzbrojeni strażnicy, chłopiec zaczął więc wyprawiać się coraz dalej. Dotarł do sierocińca w Onsongu, ale nie było tam wcale lepiej niż w Chongjinie. Piękne kiedyś, okoliczne drzewa zostały doszczętnie odarte z kory. Zapamiętał, że kilka kilometrów od sierocińca, za widocznymi z jego okien niewysokimi wzgórzami, ciągnęła się po horyzont szara, wąska smuga wody: rzeka Tumen. I że podobno na jej drugim brzegu drzewa miały korę, a upraw kukurydzy nie chronili uzbrojeni strażnicy.

To miejsce zwano Chinami.

Liczącą tysiąc czterysta kilometrów długości granicę między Chinami i Koreą Północną wyznaczają koryta dwóch rzek, których źródła wypływają ze zboczy wygasłego wulkanu, zwanego przez Koreańczyków górą Pektusan, a przez Chińczyków – Changbai[15]. Słynne przejście rzeki Yalu przez armię chińską zapoczątkowało antyamerykańską ofensywę w czasie wojny koreańskiej. Dzisiaj na Yalu, zwłaszcza u jej ujścia do Morza Żółtego, odbywa się znaczna część oficjalnej wymiany gospodarczej między Chinami a KRLD. Rzeka Tumen, w porównaniu z Yalu, jest płytkim,

wolno płynącym strumieniem. Biegnie meandrycznie ku północy, wyznaczając północno-wschodnią granicę Korei, jej ujście znajduje się na południowy zachód od Władywostoku. Tumen nawet w porze deszczowej jest wąski i łatwo pokonać go wpław.

Chłopcom z sierocińca nie wolno było bawić się w pobliżu rzeki. Nad jej brzegiem rozciągał się zamknięty teren wojskowy. Jeśli bawiąc się przy którymś z wpadających do niej strumieni, podpływali za blisko Tumenu, to przeganiała ich straż graniczna. Na jego płaskich, piaszczystych, pozbawionych roślinności brzegach nie sposób było się ukryć. Ale na niezamieszkałych terenach znajdujących się o godzinę marszu na południe od Onsongu rzekę porastały krzaki i wysoka trawa. Po zmroku łatwo było się tam przemknąć, bo posterunki graniczne były rozstawione stosunkowo rzadko. Strażnicy pełnili wartę po dwóch, żeby jeden z nich mógł się zdrzemnąć, ale po pierwszej w nocy często obydwaj zasypiali.

Hyuck po raz pierwszy przekroczył Tumen w końcu 1997 roku. W porze suchej, przy niskim stanie wody, brzegi rzeki spotykały się prawie na wyciągnięcie ręki. Ale po wejściu do lodowatej wody chłopca niemal ścięło z nóg. Choć sięgała mu nie wyżej niż do piersi, znosił go prąd. Gdy w końcu zdołał się wydostać na drugi brzeg, ubranie zamarzło na nim jak zbroja.

Hyuck wcześniej nie interesował się Chinami i myślał, że jako państwo komunistyczne są równie biedne jak Korea. Na pierwszy rzut oka nie widział żadnej różnicy, ale kiedy oddalił się trochę od rzeki, zobaczył ciągnące się kilometrami pola kukurydzy. Szopy przy krytych dachówką domkach z czerwonej cegły wypełniała po dach łuskana kukurydza, w ogródkach pięły się przy kratach pędy dyni i fasoli. Dotarł do małego miasteczka. Było tam więcej życia, niż sobie wyobrażał, taksówki, skutery, riksze rowerowe, dwujęzyczne napisy po chińsku i koreańsku. Z radością stwierdził, że wielu tutejszych mieszkańców ma chińskie obywatelstwo, ale pochodzi z Korei i mówi jego językiem. Od razu, nie tylko po jego nędznym ubiorze, rozpoznali w nim Koreańczyka z Północy. Miał piętnaście lat, ale mierzył tylko sto trzydzieści siedem centymetrów, a jego nieproporcjonalnie duża głowa świadczyła o chronicznym niedożywieniu. U dzieci, które przez dłuższy czas głodują, normalne rozmiary osiąga jedynie głowa, kończyny się nie rozwijają.

Na bazarze spotkał sprzedawcę używanych naczyń, ozdób i staroci. Mężczyzna spytał Hyucka, czy mógłby przywieźć z Korei Północnej stare

żelazka ogrzewane węglem. Niemal w każdej północnokoreańskiej rodzinie zachowało się takie żelazko, ale prawie nikt ich nie używał, zwłaszcza, że noszono ubrania wyłącznie z tkanin syntetycznych. Hyuck skupywał je za bezcen i odsprzedawał w Chinach za równowartość dziesięciu dolarów od sztuki. Takich sum nie widywał w życiu. Za zarobione pieniądze kupował w swoim kraju także inne artykuły na sprzedaż. Naczynia, biżuterię, obrazy, nefryty. Przywoził *podegi*, tradycyjne chusty, w których Koreanki nosiły niemowlęta. W takiej płachcie przytroczonej do pleców mógł pomieścić więcej towarów niż w plecaku.

Hyuck zaczął regularnie kursować przez granicę. Znał miejsca, gdzie strażnicy byli leniwi, skorumpowani albo mniej czujni. Wiedział, że do rzeki trzeba wchodzić bez ubrania. Nauczył się utrzymywać równowagę w wodzie, niosąc wysoko nad głową ubranie i towar (dla bezpieczeństwa szczelnie owinięte w plastik). W Chinach nigdy nie zatrzymywał się dłużej, ostrzeżono go bowiem, że miejscowa policja deportowała złapanych po tej stronie rzeki Koreańczyków z Północy.

Przestał kraść. Jeśli chciał zjeść miskę klusek, to mógł sobie na nie pozwolić z własnych pieniędzy. Kupił sobie spodnie, podkoszulek, niebieską kurtkę i adidasy, żeby w Chinach nie wyglądać jak uchodźca. Chciał wyjść na prostą, przejąć kontrolę nad swoim życiem. Skupowanie towarów i ich sprzedaż dla zysku były nielegalne, a przekraczanie granicy bez dokumentów stanowiło poważne przestępstwo. Po ukończeniu szesnastu lat Hyuck stał się pełnoletni i w razie wpadki nie mógł liczyć na złagodzenie kary.

Uroki chaosu



[201] Przed defiladą w Pjongjangu

Jak Inuici, których język rozróżnia wiele rodzajów śniegu, Koreańczycy z Północy wieloma nazwami określają więzienie. Za drobne przestępstwo, na przykład za nieobecność w pracy, grozi osadzenie w *jibkuyslo*, areszcie policyjnej Agencji Bezpieczeństwa Państwa, albo miesiąc lub dwa obozu pracy *rodong danryendae*, którego więźniowie są kierowani do ciężkich robót, na przykład brukarskich.

Najgorszą sławę mają *kwanliso* – „ośrodki kontroli i zarządzania". W istocie jest to wielki archipelag obozów pracy w górach na północy kraju. Według szacunków wywiadu satelitarnego przebywa w nich nawet dwieście tysięcy ludzi. Kim Ir Sen wkrótce po przejęciu władzy stworzył obozy wzorowane na sowieckim Gułagu, do których zsyłał potencjalnych przeciwników: rywali politycznych, dzieci właścicieli ziemskich i kolaborantów japońskich, duchownych chrześcijańskich. Ludzi przyłapanych na czytaniu zagranicznej prasy. Mężczyznę, który po kilku kieliszkach zażartował ze wzrostu Kim Dzongila. „Obraza autorytetu przywódców" to najcięższe z „przestępstw antypaństwowych". Pewna

kobieta z fabryki, w której pracowała pani Song, została zesłana za niewłaściwą politycznie notatkę w dzienniku. Moi północnokoreańscy rozmówcy wspominają szeptem o znajomych lub ludziach znanych im ze słyszenia, których zabrano w środku nocy i o których słuch zaginął. Pobyt w *kwanliso* jest dożywotni. Najczęściej trafiają tam również dzieci, rodzice i rodzeństwo przestępcy, piętnem „nieczystej krwi” naznaczone są bowiem trzy pokolenia. Współmałżonków, jako osoby niespokrewnione, zwykle nie zsyła się do obozu, lecz zmusza do rozwodu. O tym, co dzieje się w *kwanliso*, wiadomo niewiele, bardzo rzadko bowiem ktoś stamtąd wychodzi, by opowiedzieć o swoich losach.

Istnieją także obozy pracy zwane *kyohwaso*, czyli „ośrodki oświatowe”, które mają rzekomo resocjalizować więźniów. Nie zamyka się w nich „zbrodniarzy” politycznych, lecz ludzi, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, przemycali towary czy po prostu zajmowali się prywatnym biznesem. W odróżnieniu od obozów dla więźniów politycznych, przynajmniej w teorii można było z nich wyjść, jeśli człowiekowi udało się przeżyć.

Kim Hyuck został aresztowany niedługo po swoich szesnastych urodzinach. Zatrzymał się u przyjaciela w Onsongu, niedaleko sierocińca; zawsze łapał się na tym, że go tam ciągnie, to miejsce było mu bowiem najbliższe i najbardziej kojarzyło się z domem. Właśnie wrócił z kolejnej wyprawy do Chin – jak się okazało, było ich o jedną za dużo, bo tym razem na jego trop wpadła policja.

Tego dnia czekał, aż trochę osłabnie sierpniowy skwar, żeby narąbać drzewa. Około czwartej po południu wyszedł na podwórze za domem. Zauważył, że obserwuje go jakiś mężczyzna, po chwili zobaczył drugiego. Nie nosili mundurów, ale po ich wzroku zorientował się, że przyszli po niego. Z siekierą w dłoni powoli obszedł chałupę, myśląc, że uda mu się uciec. Ale od frontu też stała obstawa. W sumie było ich chyba ośmiu. Nie próbując się wyrwać, Hyuck zabrał się do rąbania drzewa, jakby uderzenia siekiery miały mu pomóc zapanować nad strachem i łomotaniem serca.

Tajniacy zabrali go do budynku urzędowego w centrum Onsongu. Okazało się, że są z Bowibu, służby bezpieczeństwa zajmującej się przestępstwami politycznymi. Sprawa okazała się poważniejsza, niż sądził. Kiedy był za rzeką, narysował mapkę jakimś chińskim handlarzom, którzy chcieli się przekraść przez granicę. Według artykułu 52. kodeksu karnego Korei Północnej kwalifikowało się to jako „zdrada ojczyzny”, a „każdy

obywatel Republiki, który ucieka za granicę albo przechodzi na stronę wroga, w tym zwraca się o azyl w ambasadzie obcego państwa […] albo udziela pomocy organizacjom lub obywatelom wrogiego państwa jako tłumacz albo przewodnik lub udziela im wsparcia moralnego albo materialnego […] podlega karze śmierci”.

Bezpieka szybko zmusiła go do zeznań za pomocą kanciastej drewnianej pałki. Bili go po plecach, ramionach, nogach, w stopy i dłonie – wszędzie z wyjątkiem głowy, bo nie chcieli, żeby stracił przytomność. Pod ciosami kulił się w pozycji embrionalnej. W budynku biurowym nie było aresztu. Przetrzymywali go w malutkim pomieszczeniu, gdzie nie było miejsca, żeby się położyć, a gdy skatowany opierał się ścianę, nie mógł wytrzymać z bólu. W nocy nie mógł zasnąć, ale za dnia, nawet w czasie bicia, wydawało mu się, że zapada w sen albo w nicość. Hyuck nie miał pojęcia, co z nim zrobią. Choć życie nie oszczędzało mu przygód i nieszczęść, do aresztu trafił tylko raz, kiedy jako dziesięcioletni chłopak ukradł ryżowe ciastko. Dotychczas wychodził cało z tarapatów. Teraz potraktowali go jak groźnego, pełnoletniego przestępcę. Czuł, że jest w potrzasku, że go złamano i pozbawiono godności. W czasie przesłuchań mówił. Powiedziałby swoim prześladowcom wszystko, co chcieliby usłyszeć, ale oni pytali go tylko o tych chińskich handlarzy, a Hyuck po prostu nie miał pojęcia, gdzie ich szukać.

Po paru miesiącach przeniesiono go do zwykłego więzienia okręgowego, gdzie znowu zaczęło się bicie.

Hyuck nie miał procesu, ale bezpieka zrezygnowała ostatecznie z oskarżenia go o zdradę, bo nie chciała ponieść odpowiedzialności za to, że nie potrafi złapać chińskich handlarzy. Został więc oskarżony o nielegalne przekroczenie granicy państwowej. Za to poważne przestępstwo skazano go na trzy lata obozu pracy.

Kyohwaso nr 12 znajduje się na obrzeżach przygranicznego miasteczka Hoeryong, leżącego około sześćdziesięciu kilometrów na południe od Onsongu. Skutego kajdankami Hyucka odeskortowano tam pociągiem. Na stacji docelowej spotkał innych więźniów. Związani razem grubymi sznurami przemaszerowali przez miasteczko do obozu w górach. Przed nowo przybyłymi otworzyła się z warkotem silnika ciężka, żelazna brama. Nad nią wisiały cytaty z Kim Ir Sena. Hyuck był zbyt przerażony, by unieść wzrok i je przeczytać.

Najpierw zaprowadzono go do przychodni, gdzie został zmierzony i zważony. W obozie nie było strojów więziennych, wszyscy chodzili we własnych ubraniach. Jeśli koszula miała kołnierzyk, to go odcinano, bo był on symbolem wysokiego statusu, więc więźniowi obozu pracy nie przystoiło go nosić. Odbierano też odzież w jaskrawych kolorach. Strażnicy skonfiskowali Hyuckowi niebieską kurtkę, którą kupił w Chinach, a jeden z więźniów zabrał mu adidasy.

Według niego w obozie przebywało około półtora tysiąca mężczyzn, wszyscy starsi od niego. Hyuck, znacznie od nich drobniejszy, wcale nie był z nich najsłabszy. Agenci bezpieki żywili go nadspodziewanie dobrze – przetrzymywali niewielu więźniów, więc kupowali im kluski na bazarze. W czasie pierwszej kolacji Hyuck zrozumiał, dlaczego starsi więźniowie są tacy wychudzeni, dlaczego kości ramieniowe sterczą im tak, że koszule wiszą na nich jak na wieszakach. Strażnik wydawał im coś, co nazywano pulpetami ryżowymi, choć składało się głównie z kukurydzy, łusek, kolb i liści. Taki pulpet, nie większy od piłki tenisowej, mieścił się Hyuckowi w dłoni. To była kolacja. Czasem dostawali dodatkowo kilka ziaren fasoli.

Więźniowie pracowali od siódmej rano do zachodu słońca. Obóz był prawdziwym ośrodkiem przemysłowym, prowadził wyrąb lasu, miał cegielnię, kopalnię i pola uprawne. Obozy produkowały wszystko, od mebli po rowery. Hyucka przydzielono do brygady drwali. Z powodu bardzo niskiego wzrostu nie skierowano go do pracy fizycznej. Miał zapisywać, ile drewna narąbał każdy z więźniów, a także odnotowywać przerwy na odpoczynek. Nie uważał, by dopisało mu szczęście. Wiedział przecież, że mężczyzn o dziesięć lat od niego starszych do niczego nie zmusi.

– Jeśli dostaną karę, to ciebie czeka to samo – warknął strażnik, przydzielając mu to zajęcie. – Jak któryś z nich będzie próbował ucieczki, zostanie rozstrzelany. A ty razem z nim.

Jeden z więźniów, ale nie z brygady Hyucka, podjął taką próbę. Udało mu się oddzielić od grupy i wymknąć do lasu. Ale teren obozu otaczało ogrodzenie, wysokie na trzy metry i zwieńczone zwojami ostrego jak brzytwa drutu kolczastego. Ten człowiek całą noc biegał po lesie, by w końcu poprosić o litość przy bramie. I rzeczywiście, w imię „ojcowskiej łaskawości naszego przywódcy” darowano mu życie.

Więźniowie przerywali pracę jedynie na posiłki, sen i szkolenia ideologiczne. Z okazji Nowego Roku musieli nauczyć się na pamięć, słowo w słowo, orędzia Kim Dzongila. „W nadchodzącym roku nasz naród

przyspieszy dotychczasowe tempo rozwoju ojczyzny, zgodnie z jej żywotnymi interesami w dziedzinie ideologii, obronności, nauki i techniki”.

Sypiali na gołej podłodze z betonu w pięćdziesięcioosobowych pomieszczeniach. Ponieważ brakowało koców, więźniowie układali się jak najbliżej siebie, żeby było im cieplej. Czasem jeden koc przypadał na dziesięciu. Wieczorem mężczyźni nie byli w stanie mówić ze zmęczenia, ale przed snem wzajemnie masowali sobie obolałe plecy. Często kładli się na waleta, bo wtedy łatwiej mieścili się pod kocem i mogli pocierać stopami plecy towarzyszy.

Hyuck początkowo bał się współwięźniów nie mniej niż strażników. Myślał, że to zatwardziali, brutalni przestępcy, obawiał się przemocy seksualnej. Tymczasem głód powodował także obniżenie libido. W obozie prawie nie było praktyk seksualnych i rzadko dochodziło do bójek. Nie licząc mężczyzny, który ukradł Hyuckowi buty, więźniowie byli znacznie mniej groźni od dzieciaków z dworca. Większość siedziała za „przestępstwa gospodarcze”, złapano ich na granicy albo na bazarze. Jeśli byli wśród nich złodzieje, to siedzieli jedynie za kradzieże jedzenia. Jeden z nich, czterdziestoletni, pracował w skolektywizowanej hodowli bydła. Jego zbrodnia polegała na tym, że nie powiadomił władz o narodzinach martwego cielęcia i zabrał je, by nakarmić żonę i dwójkę małych dzieci. Skazano go za to na dziesięć lat obozu. Hyuck poznał go, gdy ten człowiek odsiedział już pięć lat. Często sypiali pod jednym kocem i wtedy Hyuck kładł głowę na jego ramieniu. Był to łagodny, cichy mężczyzna, ale nienawidził go jeden ze starszych strażników. Dwukrotnie przyjechała do niego w odwiedziny żona z dziećmi, ale nie wpuszczono jej na widzenie i nie pozwolono zostawić dla niego paczki, te przywileje przysługiwały tylko wybranym więźniom.

Ten człowiek umarł z głodu. Po prostu się nie obudził, miał cichą śmierć we śnie. Ludzie często umierali w nocy. Ci, którzy leżeli najbliżej, zazwyczaj mogli się zorientować, bo umierający się moczył, a na jego ustach pojawiały się małe bąbelki śliny. Z usunięciem ciała najczęściej nikt się nie fatygował do rana.

– Taki a taki nie żyje – mówił rzeczowo któryś z więźniów, po czym powiadamiano strażnika.

Ciała kremowano na górze, na której więźniowie wyrąbywali las. Rodzin nie informowano o śmierci bliskich, dowiadywały się o niej, gdy

przyjeżdżały na widzenie. Tylko w pomieszczeniu, w którym spał Hyuck, tygodniowo umierało dwóch, trzech więźniów.

– Nikt nie jest świadom, że wkrótce umrze. Wszyscy myślą, że uda im się przetrwać, że zobaczą się z rodziną, to przychodzi niespodziewanie – powiedział Hyuck po latach, gdy zamieszkał w Seulu. Niedawno wrócił z podróży do Warszawy, gdzie na konferencji praw człowieka mówił o swoich przeżyciach. Potem, gdy zwiedzał Auschwitz, dostrzegł pewne cechy wspólne obozów. W jego łagrze nie było komór gazowych – więźniów zbyt słabych, żeby pracować, przenoszono do innego więzienia. Chociaż zdarzały się egzekucje i bicie, represje polegały przede wszystkim na pozbawianiu jedzenia. Reżim wolał eliminować swoich przeciwników, głodząc ich na śmierć.

Chociaż relacji Hyucka o życiu w Kyohwaso nr 12 nie sposób potwierdzić, nie ma podstaw, by kwestionować jej prawdziwość. Opisywane przez niego szczegóły są zgodne ze świadectwami innych uciekinierów z Korei Północnej, zarówno byłych więźniów, jak i strażników.

Hyuck wyszedł z obozu w lipcu 2000 roku. Wliczając okres spędzony w policyjnym areszcie, z orzeczonego wyroku trzech lat więzienia odsiedział dwadzieścia miesięcy. Jak mu oznajmiono, został zwolniony przedterminowo z okazji nadchodzącej rocznicy powstania Partii Pracy. Hyuck uważa, że wypuszczono go z powodu napływu nowych więźniów, dla których brakowało miejsca. Reżim północnokoreański miał poważniejszych wrogów niż on.

„Problem dotyczący zaopatrzenia w żywność powoduje anarchię” – stwierdził Kim Dzongil w przemówieniu wygłoszonym na Uniwersytecie imienia Kim Ir Sena w grudniu 1996 roku. Powiedział w nim również, że rozwój prywatnego handlu i bazarów doprowadzą Koreańską Partię Pracy do „kryzysu i upadku […], o czym świadczą niedawne wydarzenia w Polsce i Czechosłowacji”. Jak wszystkim dyktatorom, znana mu była banalna prawda, że w absolutystycznym reżimie władza jest niepodzielna. Wszystko, co dobre, musi pochodzić wyłącznie z jej nadania. Nie zamierzał więc tolerować, by ludzie samodzielnie zdobywali jedzenie czy z własnych środków kupowali ryż. „Gdyby ludzie mieli na własną rękę rozwiązywać problem żywnościowy, zwiększyłaby się jedynie liczba bazarów i sprzedawców produktów rolnych. Ponadto spowodowałoby to wzrost egoizmu ludzkiego i mogłoby zniszczyć bazę klasową naszej partii. Proces

ten dobrze odzwierciedlają przemiany, jakie zaszły ostatnio w Polsce i Czechosłowacji”.

Gdy niedobory żywności przestały się nasilać, Kim Dzongil uznał, że w czasie kryzysu był zbyt liberalny i przyszła pora, by przykręcić śrubę. Więzienia zaczęły pękać w szwach od napływu nowych przestępców: przekupniów, handlarzy, przemytników oraz naukowców i techników przeszkolonych w Związku Sowieckim albo Europie Wschodniej, czyli w dawnych krajach komunistycznych, które zdradziły ideały. Reżim represjonował wszystkich, którzy mogli być zagrożeniem dla dawnego *status quo*.

Kim Dzongil uszczelnił także liczącą tysiąc czterysta kilometrów długości granicę z Chinami. Nad płytką rzeką Tumen, tam, gdzie przekraczał ją Hyuck, wzmocniono straż graniczną. Korea Północna wezwała też władze chińskie do wzmożonych poszukiwań i deportacji uciekinierów. Tajna policja chińska zaczęła patrolować bazary i miejsca, gdzie Koreańczycy z Północy zaopatrywali się w żywność. Chiny wpuściły też na swoje terytorium północnokoreańskich agentów, którzy czasem udawali zbiegów.

Ludzi, którzy przeprawiali się przez granicę jedynie po to, by zdobyć jedzenie, karano kilkumiesięcznym więzieniem, przyłapanych na handlu albo na kontaktach z południowokoreańskimi misjonarzami wysyłano do obozów pracy.

Ofiarą zaostrzenia kursu padły nawet bezdomne dzieci. Kim Dzongil zdawał sobie sprawę, że system nie przetrwa, jeśli obywatele, niezależnie od wieku, będą bez pozwolenia jeździć pociągami i przekradać się do Chin. 27 września 1997 roku zadekretował więc utworzenie „dziewięćset dwudziestu siedmiu ośrodków” dla bezdomnych. W placówkach tych nie było ogrzewania, brakowało jedzenia i urządzeń sanitarnych. Bezdomni od początku wiedzieli, że w rzeczywistości są to więzienia, i za wszelką cenę próbowali ukryć się przed policją.

W Chongjinie wszystko to przebiegało szczególnie dramatycznie. Stolica regionu, który od czasów dynastii Chosun był schronieniem dla uciekinierów, dysydentów i nieprzystosowanych, po raz kolejny stała się problemem dla politycznego centrum. Prowincję Hamgyong Północny odcięto od dostaw żywności wcześniej niż inne obszary Korei Północnej. Jak twierdzą niektórzy, Kim Dzongil uczynił to celowo, by ukarać ją za nieposłuszeństwo. Poziom niedożywienia w Chongjinie był najwyższy w

kraju, może z wyjątkiem Hamhungu. Ale właśnie dlatego szybciej niż w innych miastach rozwinął się tam czarny rynek.

– Czemu oni nie dadzą nam po prostu żyć? – utyskiwały przekupki z bazaru.

– Nikt już nie słucha władz – powiedział mi przed kilku laty młody mężczyzna z Chongjinu.

Żadne północnokoreańskie miasto nie pozwoliło sobie na tak znaczne odstępstwa od linii partii jak Chongjin. Tutejszy bazar w dzielnicy Sunam był w 2005 roku największy w kraju, a z wyborem dostępnych na nim towarów nie mógł się równać Pjongjang. Sprzedawano na nim ananasy, kiwi, pomarańcze, banany, niemieckie piwo i rosyjską wódkę. Spod lady można tam było kupić pirackie płyty DVD z hollywoodzkimi filmami. Otwarcie handlowano ryżem i kukurydzą z worków, które bez wątpienia trafiły do Korei Północnej jako pomoc humanitarna. Jawnie sprzedawano też seks. Prostytutki z przydworcowych okolic nie kryły swoich intencji. W porównaniu z purytańskim Pjongjangiem Chongjin był Dzikim Zachodem.

Kim Dzongil nie zamierzał tolerować odstępstw od twardego kursu partii w trzecim co do wielkości mieście Korei Północnej. Chociaż tamtejsze huty i zakłady metalurgiczne, fabryki włókien sztucznych i przemysł maszynowy wciąż stały z powodu braku paliw, zamierzał je uruchomić, bo miały podstawowe znaczenie dla gospodarki kraju. Chongjin, z powodu bliskości Japonii, najpotężniejszego po Stanach Zjednoczonych wroga Korei Północnej, miał też duże znaczenie militarne. Wzdłuż wybrzeża na południe od miasta zbudowano wymierzone w Japonię liczne instalacje wojskowe, w tym bazę rakietową Musudan-ri, z której w 1998 roku wystrzelono próbnie pociski dalekiego zasięgu.

Rok po śmierci ojca Kim Dzongil rozpoczął czystkę w Szóstej Armii stacjonującej w Chongjinie. W skład wojsk lądowych liczącej milion żołnierzy Koreańskiej Armii Ludowej wchodzi dwadzieścia korpusów (armii). Jednym z nich była Szósta Armia, skoszarowana w centrum Nanamu, w dzielnicy na południe od centrum miasta i na północ od kopalni węgla. Pewnej nocy ludzie usłyszeli głuchy warkot dziesiątków ciężarówek i czołgów, a powietrze wypełniło się gryzącymi wyziewami spalin. Z miasta wyjeżdżał cały korpus: trzy tysiące żołnierzy w czołgach, ciężarówkach, pojazdach opancerzonych. Konwoje dotarły do stacji w Nanamie, skąd wolno i ze straszliwym hałasem wyjechały na zryte drogi wyjazdowe. Przerażeni ludzie nie podnosili się z mat, żeby wyjrzeć z domów.

Ani „Rodong Sinmun”, ani radio i telewizja nie wspominały o tym słowem. Nie można było uzyskać informacji z pierwszej ręki, ponieważ żołnierze Koreańskiej Armii Ludowej odbywają swoją dziesięcioletnią służbę z dala od rodzinnych miejscowości, pozbawieni kontaktu z bliskimi.

Brakowało potwierdzonych Wiadomości, więc zrodziły się plotki. Czy armia szykuje się do spodziewanej od dawna wojny z amerykańskimi zbirami? Czy na kraj napadła Korea Południowa? Czy to przewrót? Szybko rozeszły się także słuchy, że oficerom Szóstej Armii udaremniono plany przejęcia kontroli nad portem w Chongjinie, jednocześnie zaś współuczestnicy spisku w Pjongjangu mieli jakoby przeprowadzić zamach na życie Kim Dzongila[16].

Doktor Kim usłyszała od swojego pacjenta w szpitalu, że spiskowcy zostali opłaceni przez bogatych biznesmenów chińskich.

W przedszkolu wychowawczynie z zapartym tchem słuchały w stołówce kucharki, która twierdziła, że ma informacje z pierwszej ręki od krewnego, który brał udział w spisku. Dowiedziała się od niego, że za wszystkim stał prezydent Korei Południowej Kim Young-sam.

Jedna z nauczycielek mówiła, że na własne oczy widziała, jak jej sąsiadkę, która była spokrewniona z jednym ze spiskowców, aresztowano wraz z trzymiesięcznym niemowlęciem z powodu nieczystej krwi. Ciężarówka przyjechała po nich w środku nocy.

– Niemowlę, jak martwy przedmiot, rzucili na tył samochodu – powiedziała szeptem. Obraz dziecka wrzuconego do samochodu tak wstrząsnął Mi-ran, że prześladował ją przez lata na jawie i we śnie.

Tak czy inaczej, Szósta Armia została przegrupowana, a na jej miejsce ściągnięto później do miasta Dziewiątą Armię z Wonsanu. Trwało to wiele miesięcy. Prawdziwe przyczyny przegrupowania do dziś pozostają tajemnicą.

Analitycy wywiadu raczej nie wierzą w próbę przewrotu. Z Korei Północnej przez lata napływały doniesienia o próbach puczów, buntów i zamachów – ale żadne z nich nie zostały potwierdzone. Najbardziej prawdopodobne wydaje się wyjaśnienie, że Kim Dzongil rozwiązał Szóstą Armię, by przejąć kontrolę nad jej interesami. Wojsko prowadziło w Korei Północnej liczne przedsiębiorstwa handlowe, które eksportowały wszystko, od grzybów i suszonych kalmarów po amfetaminę i heroinę – produkcja narkotyków jest ważnym źródłem dochodów walutowych reżimu. Przyjmuje się, że armia brała udział w kradzieży ryżu przysyłanego w

darach i sprzedawała go na czarnym rynku w Chongjinie i innych miastach. W Szóstej Armii przypuszczalnie szalała korupcja, a jej dowódcy, którzy jak szefowie mafijnych rodzin dzielili się zyskami, zostali ukarani przez szefa wszystkich szefów. Jak zeznał wojskowy, który w 1998 roku zbiegł do Korei Południowej, oficerowie Szóstego Korpusu Armijnego Koreańskiej Armii Ludowej czerpali dochody ze sprzedaży maku uprawianego w kolektywnych gospodarstwach rolnych na przedmieściach Chongjinu.

Niedługo po czystce w wojsku w mieście doszło do jeszcze dziwniejszych wydarzeń. Do Chongjinu zaczęły przyjeżdżać z Pjongjangu tak zwane *groupa,* specjalne zespoły prokuratorskie do walki z korupcją w przemyśle. Na pierwszy ogień poszły największe w kraju zakłady metalurgiczne: Huta Żelaza i Stali imienia Kimchaeka, w której w latach dziewięćdziesiątych stanęła większość produkcji; z jej dziesięciu kominów czynne były dwa. W zarządzie huty znaleźli się ludzie, którzy zorganizowali wśród pracowników zbiórkę złomu, wymienianego na żywność za chińską granicą. Potem zaczęto także rozmontowywać maszyny i sprzedawać ich części na granicy. Zarobione w ten sposób pieniądze przynajmniej częściowo przeznaczano na zakup żywności dla pracowników huty.

Około dziesięciu osób z kierownictwa zakładu zostało rozstrzelanych. Egzekucje przeprowadzone przez Agencję Bezpieczeństwa Państwa odbyły się na podmokłej łące nad potokiem Suseon, poniżej bazaru Sunam.

Potem prokuratorzy zajęli się mniej spektakularnymi sprawami. Rozstrzeliwano ludzi, którzy kradli miedziany drut ze słupów telefonicznych, by kupić jedzenie, rozstrzeliwano złodziei kóz, kukurydzy, cieląt i sprzedawców ryżu na czarnym rynku. W obwieszczeniach, które w 1997 roku pojawiły się w Chongjinie i innych miastach, przestrzegano, że kradzież, gromadzenie zapasów, a nawet handel zbożem to „przestępstwa przeciwko socjalizmowi”, za które grozi kara śmierci.

Zgodnie z zapisami kodeksu karnego na śmierć skazywano w KRLD winnych morderstwa z premedytacją, zdrady, terroryzmu, „działalności antypaństwowej” oraz „działalności przeciwko narodowi”, ale pojęcia te były tak nieprecyzyjne, że mogły oznaczać każdy czyn uznany za sprzeczny z interesem partii. Uciekinierzy z KRLD, którzy znaleźli się w Korei Południowej, mówili, że w latach dziewięćdziesiątych odbywały się egzekucje winnych cudzołóstwa, prostytucji, uchylania się od aresztu i zakłócania porządku publicznego. W Onsongu, przygranicznym miasteczku,

gdzie w sierocińcu przez pewien czas mieszkał Hyuck, podobno stracono czterech uczniów przyłapanych na bieganiu nago po pijanemu.

Dawniej w Korei Północnej panowały porządek i asceza, a wszystko było przewidywalne. Jeśli zdarzały się zabójstwa, to najczęściej dochodziło do nich w bójkach albo na tle zazdrości. Kradzieże nie były częste, bo nikt nie miał wielkiego majątku. Ludzie znali obowiązujące reguły i wiedzieli, czego im robić nie wolno. Teraz reguły się zmieniały – i w życiu zapanował zatrważający chaos.

Żaby w studni



[215] Student w największej bibliotece w Korei Północnej, Pjongjang

Jun-sang widział egzekucję publiczną któregoś lata, gdy przyjechał na wakacje do domu. Przez całe dni zapowiadano ją przez głośniki z samochodów objeżdżających okolicę. Do drzwi pukali przewodniczący wspólnot *inminbam*, by powiadomić mieszkańców, że oczekuje się ich obecności. Jun-sang nie chciał oglądać takiego spektaklu. Nie znosił krwi, nie mógł patrzeć na cierpienie człowieka czy zwierzęcia. Kiedy miał dwanaście lat, ojciec zmusił go, żeby zarżnął kurczaka. Jun-sangowi trzęsły się ręce, gdy trzymał ptaka za szyję.

– Chcesz wyrosnąć na mężczyznę, a tak się mazgaisz? – zbeształ go ojciec. Jun-sang posłusznie uderzył więc tasakiem, bo bardziej bał się szyderstw ojca niż bezgłowego ptaka, ale tego dnia odmówił zjedzenia kolacji. Patrzenie na śmierć człowieka wydawało mu się nie do pomyślenia. Przyrzekł sobie, że nie pójdzie na egzekucję. Ale gdy nadszedł wyznaczony dzień i sąsiedzi ruszyli tłumnie, żeby ją obejrzeć, nie wiedzieć czemu, poszedł z nimi.

Egzekucja miała się odbyć na piaszczystym brzegu strumienia niedaleko gorących źródeł, gdzie chodzili z Mi-ran na nocne spacery. Zebrało się tam

już jakieś trzysta osób, dzieci przepychały się do przodu. Chłopcy ze szkoły lubili się ścigać, kto zbierze najwięcej łusek po egzekucji publicznej. Jun-sang torował sobie drogę łokciami, żeby lepiej widzieć.

Polanę przy strumieniu bezpieka zamieniła w prowizoryczny trybunał ze stołami dla oskarżycieli i dwoma ogromnymi głośnikami. Mężczyzna był oskarżony o ściąganie na handel miedzianego drutu ze słupów elektrycznych.

– Kradzież własności państwowej spowodowała poważne szkody i była celowo wymierzona przeciw naszemu systemowi społecznemu. Był to akt zdrady leżący w interesie wrogów socjalistycznego państwa – przeczytał oskarżyciel, a jego głos grzmiał przez skrzeczące głośniki.

Następnie przemówił człowiek występujący w roli adwokata, który jednak nie bronił oskarżonego.

– Potwierdzam prawdziwość wymienionych zarzutów – powiedział.

– Niniejszym orzekam karę śmierci i postanawiam o natychmiastowym wykonaniu wyroku – oznajmił trzeci mężczyzna.

Skazanego przywiązano do drewnianego słupa trzema sznurami: na wysokości oczu, klatki piersiowej i nóg. Pluton egzekucyjny będzie przestrzeliwał te sznury, oddając kolejno po trzy kule w głowę, piersi i nogi – w sumie dziewięć wystrzałów. Najpierw opadnie głowa, potem osunie się tułów, na koniec zegną się nogi. Porządnie i skutecznie. Będzie wyglądało, że skazaniec, umierając, kłania się, jakby prosił o wybaczenie.

W tłumie rozległy się szepty. Jun-sang, który uważał, że kara śmierci za pospolitą kradzież jest zbyt surowa, najwyraźniej nie był w tym odosobniony. Linie elektryczne i tak były nieczynne. Tych parę metrów skradzionego drutu miedzianego mężczyzna mógł wymienić najwyżej na kilka torebek ryżu.

– Szkoda go, ma młodszą siostrę – Jun-sang dosłyszał czyjeś słowa.

– Dwie siostry – dodał ktoś inny.

Domyślał się, że rodzice skazanego nie żyją. Najwyraźniej ten człowiek nie znał nikogo wpływowego, kto by się za nim wstawił. Przypuszczalnie ma też niskie pochodzenie klasowe. Może jest synem górnika, jak dzieci w przedszkolu, gdzie pracuje Mi-ran.

Gdy Jun-sang zastanawiał się nad tym wszystkim, rozległy się strzały.

Głowa. Piersi. Nogi.

Głowa została rozerwana niczym balon z wodą. Na ziemię polała się krew, jej struga niemal dotknęła nóg zgromadzonych ludzi. Jun-sangowi

wydawało się, że zaraz zwymiotuje. Odwrócił się i przepychając się łokciami, wydostał się z tłumu. Ruszył do domu.

Podróże do Chongjinu zwykle wiązały się dla niego z przykrymi odkryciami dotyczącymi własnego kraju. Na uniwersytecie był odizolowany od tego, co najgorsze. Wystarczało mu jedzenia, wieczorami zwykle był prąd. Studenci elitarnych uczelni w Pjongjangu należeli do najbardziej uprzywilejowanych ludzi w uprzywilejowanym mieście. Ale gdy Jun-sang wychodził spod uniwersyteckiego klosza, zderzenie z rzeczywistością było bardzo nieprzyjemne.

Miejsca, skąd zachował miłe wspomnienia, pozamykano bez wyjątku, nieczynne były restauracje, w których bywał jako dziecko, i kino, gdzie po raz pierwszy zobaczył Mi-ran. Elektryczność włączano jedynie z okazji świąt, takich jak urodziny Kim Ir Sena i Kim Dzongila.

Wieczory spędzał po ciemku w domu, słuchając narzekań rodziców. Zamożny dziadek z Tokio zmarł, a reszta tamtejszej rodziny okazała się mniej szczodra wobec ubogich krewnych. Matce do tego stopnia dokuczał reumatyzm, że nie mogła chodzić na targ ani szyć na ukochanej maszynie przywiezionej z Japonii.

Co wieczór powtarzało się to samo. Ojciec siedział z żarzącym się w ciemnościach papierosem. Zaciągał się dymem, głośno wzdychał, po czym zasypywał syna złymi nowinami.

– Wiesz, kto umarł? A pamiętasz...

Ojciec wymieniał nazwiska nauczycieli Jun-sanga ze szkoły średniej. Matematyk. Pan od chińskiego. Nauczycielka koreańskiego , która dzieliła z Jun-sangiem miłość do kina i pożyczała mu numery pisma „Literatura Filmowa”, poświęconego kinematografii Europy Wschodniej i roli filmu w walce z imperializmem. Ci ludzie, inteligenci po pięćdziesiątce, gdy szkoła przestała wypłacać im pensje, nagle odkryli, że nie mają żadnych umiejętności, które można by sprzedać. Kiedyś Jun-sang przy okazji pobytów w domu lubił wpadać do dawnych nauczycieli, a oni zawsze cieszyli się na widok ucznia, który odniósł tak wielki sukces. Ale teraz nie chciał się już widywać z nikim, kogo znał z czasów szkolnych. Miał dosyć opowieści o śmierci.

Umierali nie tylko ludzie starsi. Od matki dowiedział się, że z głodu zmarli jego koledzy z klasy, chłopcy, którzy nie dostali się na studia i musieli pójść do wojska. Jun-sang stracił z nimi kontakt, ale zakładał optymistycznie, że mimo trudnych czasów wszystko u nich w porządku, bo

– jak sądził – aprowizację żołnierzy traktowano priorytetowo. Przecież sam Kim Dzongil ogłosił doktrynę *songun* z hasłem „najpierw armia”. Od dzieci w szkołach wymagano poświęceń, by silne wojsko mogło je obronić przed bombami amerykańskich zbrodniarzy.

Jun-sang zaczął dostrzegać prawdę. W okolicach Chongjinu włóczyli się rozwydrzeni żołnierze: wychudzeni, w za szerokich mundurach, które musieli mocno ściągać pasami ze sztucznej skóry. Z niedożywienia mieli ziemistą cerę, wielu z nich mierzyło ledwie metr pięćdziesiąt. (Na początku lat dziewięćdziesiątych północnokoreańska armia musiała zrezygnować z wymogu, by rekrut mierzył metr sześćdziesiąt, bo młode pokolenie było niższe od poprzednich). Żołnierze schodzili nocami z posterunków i plądrowali ogrody, wykopywali naczynia z kimczi i kradli warzywa.

W jego dzielnicy większość rodzin postawiła wokół swoich domów solidne ogrodzenia, nie zważając na przepis, który określał, że płot nie może być wyższy niż półtora metra, żeby policja mogła zajrzeć do środka. Ale rabusie i tak trzykrotnie odwiedzili ogród Jun-sanga. Zabrali czosnek, ziemniaki, kapustę. Ojciec prowadził skrupulatnie dziennik ogrodnika, w którym zapisywał, jakie wysiał nasiona i jak długo dojrzewają rośliny.

– Mogliby chociaż poczekać, aż wyrosną – lamentował.

Matka rozpaczała po kradzieży jednego z jej psów. Hodowała szczeniaki rasy *jindo* od czasów, gdy Jun-sang był dzieckiem. Na punkcie swoich psów miała bzika, tylko ona przygotowywała im jedzenie. Rozpisywała się o nich w listach do syna. Nie mogła pogodzić się z myślą, że jej pupil został najprawdopodobniej zjedzony.

W gruncie rzeczy rodzina Jun-sanga miała szczęście, że ofiarą napadu padł tylko pies. Domy reemigrantów z Japonii uchodziły za zamożne – często więc były łupione. W ich miejscowości podczas nieudolnego napadu rabunkowego została zamordowana cała rodzina. Jun-sang i jego najbliżsi jeszcze nigdy nie musieli się tak pilnować. Szybko zjadali kolację, mając nadzieję, że wysoki płot wokół domu ochroni ich przed wzrokiem sąsiadów, którzy nie powinni widzieć, że nie brakuje im jedzenia.

Jun-sang zaczął sobie zdawać sprawę z narastającego w nim rozczarowania systemem w chwili, gdy nie zdołał szczerze zapłakać po śmierci Kim Ir Sena. Wszystko, co widział, słyszał i czytał, oddalało go od politycznej prawomyślności. Zmieniał się także pod wpływem doświadczeń na uczelni. Po raz pierwszy w życiu zetknął się tam z nowymi ideami.

Jako dziecko Jun-sang czytał wszystko, co wpadło mu w ręce – powieści, książki filozoficzne, historyczne i z nauk ścisłych, a nawet przemówienia Kim Ir Sena. Księgarnia w jego miasteczku sprzedawała opowiadania o okrutnych Amerykanach, o służalczych i tchórzliwych Koreańczykach z Południa i o bohaterstwie tych z Północy. Czasem można było w niej znaleźć powieści rosyjskie, Tołstoja albo Maksyma Gorkiego. Bibliotekę jego szkoły zaopatrywał Wydział Materiałów i Pomocy Naukowych, ojciec zgromadził spory zbiór książek z historii Grecji i Rzymu. Jun-sang z upodobaniem czytał o bohaterach starożytności – uwielbiał Hannibala, który skutecznie walczył z Rzymianami i, żeby nie wpaść w ręce wroga, popełnił samobójstwo, wypijając truciznę.

W Pjongjangu chciał już jednak czytać o nowszych czasach. Na zapleczu biblioteki uniwersyteckiej był niewielki zbiór koreańskich przekładów literatury zachodniej. Mogli z niego korzystać tylko najlepsi studenci. Na szczytach władzy ktoś uznał, że kraj potrzebuje elity intelektualnej, która pozna literaturę Zachodu. Na stronach tytułowych tych książek nie podawano nazwy wydawnictwa, ale Jun-sang słyszał pogłoski, że opublikował je Inmin Daehakseup Dang, Wielki Narodowy Dom Studiów, czyli wzorcowa biblioteka narodowa na placu Kim Ir Sena. W zbiorze tym znajdowały się nawet książki amerykańskie.

Jun-sang szczególnie lubił *Przeminęło z wiatrem*. Melodramatyzm tej powieści był bliski stylistycznie prozie koreańskiej. Uderzały go podobieństwa między wojną secesyjną a wojną koreańską. Był zdumiony, że naród może okazać taką zaciekłość w bratobójczej walce – to zaś dowodziło, że Amerykanom, tak samo jak Koreańczykom, nieobce są namiętności. Uznał, że los sprzyjał tym pierwszym, ponieważ, w odróżnieniu od Koreańczyków, utrzymali jedność narodową. Podziwiał też bohaterkę, bo Scarlett O’Hara wykazała się wielkim hartem ducha. Trochę przypominała mu dzielne heroiny kinematografii północnokoreańskiej, które niezłomnie walczyły o swoją ziemię, ale Scarlett była indywidualistką, a tę cechę rodzima literatura odrzucała. No i przede wszystkim, północnokoreańskie bohaterki nie wdawały się w romanse.

Na miarę jego kraju była to nieobyczajna książka. Jun-sang chciał jak najwięcej czytać. Pochłaniał wszystko, co tylko dało się wypożyczyć, od *Gniewu aniołów* Sidneya Sheldona po *Sto lat samotności* Márqueza. Przeczytał nawet *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi*, klasyczny poradnik psychologiczny z lat trzydziestych, autorstwa Dale’a Carnegie. Ta

książka wstrząsnęła nim, bo wcześniej nie miał pojęcia o zachodnim podejściu do biznesu. Nie mógł uwierzyć, że Carnegie każe czytelnikom uczyć się cieszyć ludźmi, kochać ich i szanować.

Jak to możliwe, że coś takiego wymyślił amerykański kapitalizm? – to pytanie nie dawało Jun-sangowi spokoju. Czyżby nie wszyscy kapitaliści byli sobie wrogami? Czyżby nie zawsze kierowali się prawem dżungli: zabijaj albo zginiesz?

Pożyczał też książki od kolegów. Na jego elitarnej uczelni wielu studentów miało krewnych u władzy, którzy wyjeżdżali służbowo za granicę, skąd przywozili książki i czasopisma. Publikacje w języku koreańskim ukazywały się w chińskiej prefekturze Yanbian, zamieszkanej przez liczną mniejszość koreańską. Jeden z kolegów pożyczył Jun-sangowi szkolną broszurę dotyczącą wychowania seksualnego, wydaną przez chińskie władze oświatowe. Ta publikacja też otworzyła mu oczy! Jun-sang, który był po dwudziestce, uświadomił sobie, że on i jego nieżonaci rówieśnicy mniej wiedzą o seksie od przeciętnego ucznia chińskiej szkoły. Bo niby skąd miałby wiedzieć, że kobiety miesiączkują? A to wyjaśniało tak wiele.

Z nie mniejszym zdumieniem przeczytał przemówienie wygłoszone na zjeździe chińskiej partii komunistycznej, krytyczne wobec Mao i jego rewolucji kulturalnej. Przyjdzie taki dzień, pomyślał sobie, że Koreańska Partia Pracy[17] zdobędzie się na krytykę Kim Ir Sena.

Któregoś dnia podszedł do niego kolega, z którym czasem wymieniali się lekturami. Student rozejrzał się niespokojnie, po czym dyskretnie przekazał mu książkę.

– To jest dobre – szepnął. – Warto, żebyś przeczytał.

Była to niewielka publikacja o reformie gospodarki, wydana przez rząd rosyjski. Ojciec kolegi zdobył ją na wystawie książek w ambasadzie Rosji w Pjongjangu. Napisano ją prawdopodobnie na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy Rosja wprowadzała reformy wolnorynkowe. Jun-sang zorientował się od razu, że ma w rękach rzecz niebezpieczną – jeśli obywatel Korei Północnej dostał publikację zagraniczną, to miał obowiązek odniesienia jej na policję. Gdyby się wydało, że ma tę książkę, jemu, koledze i jego ojcu groziłyby poważne kłopoty. Jun-sang natychmiast schował ją w zamykanej szafce na ubrania. W akademiku, w czteroosobowym pokoju, w którym sypiali na dwóch piętrowych łóżkach, niełatwo było o prywatność. Książkę czytał więc z latarką pod kołdrą.

> We wczesnych stadiach kapitalizm oznaczał nieludzką rywalizację w zakresie produkcji dóbr i maksymalizacji zysku. Nie istniały takie pojęcia, jak sprawiedliwy podział czy godziwe warunki życia robotnika. Rozwojowi gospodarczemu towarzyszyły burzliwe konflikty. […] Ale nowoczesny kapitalizm przeszedł istotną ewolucję i skorygował swoje wcześniejsze błędy. Na przykład, prawa antymonopolowe regulują produkcję, ale państwo nie jest właścicielem środków produkcji.

Książka opisywała systemy zabezpieczeń społecznych i wyjaśniała pojęcie bezpieczeństwa socjalnego. Stwierdzono w niej również, że gospodarki socjalistyczne na świecie upadły z powodu niewydolności. Jun-sang łapał się na milczącym potakiwaniu przy lekturze.

W 1996 roku Jun-sang otrzymał dyplom uniwersytecki. Postanowił nie wracać do Chongjinu i podjął pracę naukową na uczelni. Teraz, dorosły w pełnym tego słowa znaczeniu, miał prawo wyprowadzić się z akademika. Skorzystał z niego i zamieszkał w wynajętym pokoju. Jego lokum było nędzne, brudne, marnie umeblowane, ale Jun-sang lubił swoich gospodarzy – starsze małżeństwo. Oboje byli niedosłyszący i niedowidzący, co bardzo sprzyjało realizacji jego planu.

Gdy zamieszkał w samodzielnym pokoju, za ostatnie pieniądze, jakie zostały mu po dziadku, kupił telewizor Sony. Zgodnie z prawem zarejestrował go w urzędzie kontroli radiotelekomunikacyjnej. Ponieważ Korea Północna przestała produkować telewizory, te importowane urząd nastawiał na odbiór stacji państwowych, blokując w nich regulatory strojenia – tak podrasowany sprzęt nie odbierał programów zagranicznych. Ludzie żartowali, że są jak „żaby w studni”, dla których świat zewnętrzny sprowadza się do jasnego koła nad głową. Ale ci z inwencją techniczną potrafili sobie radzić. Z radiem było to proste: wystarczyło otworzyć odbiornik, wymontować blokadę regulatora częstotliwości, zastąpić ją gumowym paskiem i połączyć z gałką, tak żeby można nią było swobodnie obracać. Nastrojenie telewizora wymagało nieco większej wiedzy.

Centralna Agencja Bezpieczeństwa Nauki i Technolgii Komunikacyjnej[18] zaklejała przyciski nastrojonego odbiornika opieczętowanym papierem. Żeby nie naruszyć pieczęci, Jun-sang używał do ich przyciskania długiej, cienkiej igły do szycia. Antenę własnej konstrukcji umieścił na podwórku, dokąd z jego pokoju wychodziło się tylnymi drzwiami. W nocy, kiedy wszyscy spali, wypróbowywał ją i obracał tak długo, aż udało mu się złapać to, czego szukał: telewizję południowokoreańską.

Telewizor włączał jedynie późną nocą, kiedy najlepiej docierał sygnał z nadajników zza strefy zdemilitaryzowanej. Czekał, aż jego gospodarze usną

i przez cienkie ściany usłyszy ich chrapanie. W wyposażeniu telewizora nie było słuchawek, więc głośność ustawiał na najniższym poziomie. Musiał siedzieć skulony z uchem przy głośniku i w tej niewygodnej pozycji wytrzymywał, dopóki nie zdrętwiały mu nogi i kark. Telewizji bardziej słuchał, niż ją oglądał, zawsze z najwyższą czujnością. Wiadomo było, że urząd telekomunikacyjny składa niespodziewane wizyty o dziwnych porach. Sąsiad mieszkający parę drzwi dalej trzymał psy. Gdy rozlegało się szczekanie, Jun-sang natychmiast przełączał odbiornik na kanał telewizji państwowej i wybiegał na podwórko, żeby ukryć antenę.

Do niego też inspektorzy przyszli na kontrolę. Jeden z nich, o przenikliwym spojrzeniu, zauważył, że papierowe pieczęcie zostały zamocowane taśmą samoprzylepną. Jun-sang zakleił je, żeby zakryć ślad po igle.

– Po co ta taśma? – spytał.

Jun-sangowi zaczęło walić serce. Słyszał o kimś, kogo za oglądanie południowokoreańskiej telewizji zabrano do obozu razem z całą rodziną. Jego znajomy, podejrzewany jedynie o słuchanie południowokoreańskiego radia, został poddany rocznemu śledztwu, w czasie którego ani razu nie widział światła słonecznego. Wyszedł śmiertelnie blady, w stanie załamania nerwowego.

– Och, przykleiłem ją po to, żeby osłonić pieczęć – odpowiedział, siląc się na obojętność.

Kontroler skrzywił się, ale dał za wygraną.

Jun-sang, który o włos uniknął nieszczęścia, wiedział, że powinien zachowywać większą ostrożność, jednak głód codziennych informacji był silniejszy. Chłopak przyzwyczaił się do słuchania ich na bieżąco. Telewizja była dla niego źródłem wiedzy nie tylko o świecie zewnętrznym, lecz także o własnym kraju.

Były to rzeczy niebywałe – i choć zgadzały się z jego przypuszczeniami, dotychczas nie mógł ich potwierdzić. Teraz sam słyszał prezydenta Billa Clintona, który powiedział, że Stany Zjednoczone zaproponowały jego krajowi dostawy ropy naftowej i pomoc energetyczną, ale Korea Północna wolała budować broń nuklearną i rakiety. Dowiedział się, że Stany Zjednoczone w ramach pomocy humanitarnej dostarczyły KRLD setki tysięcy ton ryżu.

Członkowie delegacji amerykańskiego Kongresu powiedzieli na konferencji prasowej, że w Korei Północnej zmarły z głodu dwa miliony

ludzi. Jak oceniają organizacje broniące praw człowieka, w obozach przebywa dwieście tysięcy więźniów, a KRLD bije światowe rekordy w łamaniu tych praw.

W 2000 roku telewizja południowokoreańska podała, że prezydent kraju Kim De Dzung wybiera się do Pjongjangu na historyczne spotkanie z Kim Dzongilem. W relacji o tym spotkaniu znalazła się migawka z pogawędki przywódców i słychać było mówiącego Kim Dzongila. Jun-sang nigdy dotąd nie słyszał głosu Drogiego Przywódcy, bo w radiu i telewizji północnokoreańskiej jego słowa zawsze odczytywali spikerzy, z charakterystycznym drżeniem i w natchnieniu. Współtworzyło to wokół niego aurę tajemniczości.

– Czy podobają się panu nasze zabytki? – Jun-sang usłyszał, jak Drogi Przywódca zadaje to pytanie głosem, który brzmiał staro, metalicznie i arcyludzko.

„Potwierdziło się wreszcie, że to człowiek” – pomyślał Jun-sang.

Telewizja południowokoreańska była jak lustro, w które patrzymy po raz pierwszy w życiu, by stwierdzić, że wyglądamy nieładnie. Mieszkańcom Korei Północnej mówiono zawsze, że ich kraj jest najwspanialszy na świecie, podczas gdy cały świat utożsamiał go z żałosnym i zbankrutowanym reżimem. Jun-sang wiedział, że ludzie głodują, wiedział, że są zamykani w obozach pracy – ale nie miał pojęcia, że jest ich tak wielu. Czyżby doniesienia telewizji południowokoreańskiej były przesadzone, podobnie jak propaganda w jego kraju?

Podróże koleją do domu przywodziły Jun-sangowi na myśl opisy piekieł z buddyjskich ksiąg. Pociągi były straszliwie zatłoczone i nie można było się przecisnąć do ubikacji. Ludzie oddawali mocz przez okna albo załatwiali się w czasie postojów w polu, ale bywało, że nie mogli wytrzymać i siusiali w wagonie. Wzdłuż wolno jadących składów biegły bezdomne, żebrzące dzieci, które często domagały się jedzenia krzykiem i próbowały dostać się do środka przez wybite okna. Pociągi miały ogromne opóźnienia, bo w górach na północ od Pjongjangu psuły się przy próbach wjazdu na zbocza. Pewnego razu, w środku zimy, z powodu awarii Jun-sang przesiedział dwa dni w unieruchomionym wagonie, do którego przez wybite okna wpadał lodowaty wiatr. Zdążył wtedy dobrze poznać współpasażerów – kobietę jadącą z trzytygodniowym niemowlęciem i młodego mężczyznę, który spóźnił się na własny ślub. Skombinowali wspólnie metalowy kubeł, w

którym rozpalili ogień i nie zgasili go, choć konduktor kilka razy kazał im to zrobić. Gdyby posłuchali, mogliby zamarznąć na śmierć.

W 1998 roku, gdy gospodarka północnokoreańska była w największej zapaści, Jun-sang utknął w miasteczku położonym w prowincji Hamgyong Południowy, gdzie miał się przesiąść z pociągu jadącego na wschód do pociągu jadącego wzdłuż wybrzeża na północ. Tory podmyło, podróżni mokli na peronie w rzęsistym deszczu. Kilkoro bezdomnych dzieci *kochebi* zrobiło pokaz, żeby dostać parę groszy na jedzenie. Jedne popisywały się czarodziejskimi sztuczkami, inne tańczyły, siedmio- czy ośmioletni chłopiec śpiewał. Jego drobna postać tonęła w dużym kombinezonie robotniczym, ale głos miał donośny – głos dorosłego człowieka. Śpiewał z ogromnym uczuciem, zacisnąwszy powieki, a jego pieśń niosła się po peronie.

Uri Abogi, ojcze nasz, nie mamy czego zazdrościć światu
Nad naszym domem czuwa Partia Pracy
Wszyscy jesteśmy sobie braćmi i siostrami
Nawet gdy uderzy na nas morze ognia, drogie dzieci, niczego się nie bójmy
Nasz ojciec jest z nami
Nie mamy czego zazdrościć.

Jun-sang znał na pamięć tę piosenkę z dzieciństwa, tyle że jej słowa zostały uwspółcześnione. Zamiast „Nasz ojciec, Kim Ir Sen”, chłopiec śpiewał „Kim Dzongil”. Nie mieściło mu się w głowie, że to nieszczęsne małe dziecko śpiewa pieśń pochwalną na cześć opiekuńczego ojca, choć wszystko wskazuje, że ten ojciec je zdradził. Chłopiec stał na peronie, ociekał wodą, był brudny i z pewnością głodny.

Jun-sang dał mu dziesięć wonów, była to hojna zapłata za występ uliczny. Zdobył się na ten gest nie tyle ze współczucia, ile z wdzięczności, bo za sprawą małego przejrzał na oczy.

Później Jun-sang będzie mówił, że dzięki temu chłopcu przekroczył pewną granicę. Upewnił się, że nie wierzy. Doznał olśnienia, podobnie jak człowiek, który nagle sobie uświadamia, że jest ateistą. W swojej niewierze poczuł się osamotniony. Był inny niż wszyscy. Odkryty znienacka sekret o sobie nie da mu spokoju.

Początkowo sądził, że to jasne poczucie niewiary całkowicie odmieni jego życie. W gruncie rzeczy jednak wszystko toczyło się po dawnemu. W dalszym ciągu musiał udawać posłuszeństwo. W sobotnie poranki pojawiał się punktualnie na szkoleniach ideologicznych na uniwersytecie. Sekretarz partii, który monotonnie nadawał o spuściźnie Kim Ir Sena, przypominał mu automat. W zimie, kiedy w sali wykładowej nie było ogrzewania, wykładowcy starali się jak najszybciej skończyć zajęcia. Jun-sang często

przypatrywał się ukradkiem ludziom siedzącym na sali. Audytorium liczyło zwykle około pięciuset osób, w większości doktorantów i młodych pracowników naukowych. W czasie wykładu dla rozgrzewki poruszali stopami i przysiadali na dłoniach. Ale ich twarze były nieruchome i pozbawione wyrazu, nieobecne twarze manekinów z witryny sklepowej.

Nagle zdał sobie sprawę, że na jego twarzy też maluje się pustka. Przypuszczalnie nie jest więc wyjątkiem, inni myślą o tym wykładzie dokładnie to samo.

„Oni też wiedzą! Oni wszyscy to wiedzą!" – chciał krzyknąć. Miał co do tego całkowitą pewność. To są przecież najlepsze młode umysły narodu. „Każdy, komu nie brak piątej klepki, widzi, że dzieje się źle".

Jun-sang zrozumiał, że w braku wiary nie jest samotny. Był wręcz przekonany, że potrafi rozpoznać swoistą formę milczącego porozumienia, bardzo subtelną, niewymagającą nawet mrugnięcia czy skinienia głową. Pewna studentka jego uczelni zdobyła sławę dzięki pełnym uwielbienia dla Ukochanego Przywódcy zapiskom w dzienniku. Pisali o niej w „Rodong Sinmun", dziewczyna dostała też nagrodę za prawomyślność. Ale studenci nabijali się z niej bezlitośnie. Mieli ją za fanatyczkę, skoro jednak nie mogli tego powiedzieć otwarcie, robili sobie z niej żarty.

– Kim jest ten szczęściarz, którego zechcesz poślubić? – pytali. To było wszystko, na co sobie mogli pozwolić.

Północnokoreańscy studenci i intelektualiści, w odróżnieniu od swoich kolegów w innych krajach komunistycznych, nie ośmielili się protestować otwarcie. W KRLD nie było Praskiej Wiosny ani placu Tiananmen. Represyjność reżimu uniemożliwiała stworzenie zalążków ruchu sprzeciwu. Wszelka działalność dysydencka skończyłaby się straszliwymi konsekwencjami nie tylko dla protestującego, lecz także dla jego najbliższej rodziny i dalszych krewnych. W systemie, gdzie piętnem nieczystej krwi naznaczone były trzy pokolenia, kara spotkałaby rodziców, dziadków, braci, siostry, bratanków, siostrzeńców, kuzynów.

– Wielu ludzi czuło, że w walce z tym potwornym systemem gotowi są, jeśli trzeba, oddać życie, ale problem polega na tym, że kara spotkałaby także innych. Ich rodzinom zgotowano by piekło – powiedział mi jeden z uciekinierów.

Nie można było stworzyć klubu czytelniczego ani zorganizować dyskusji politycznej. Jakakolwiek swobodna wymiana poglądów prowadziłaby nieuchronnie na zakazane obszary. W każdej trzy- czy

czteroosobowej grupie z pewnością był donosiciel współpracujący z tajnymi służbami. Jun-sang podejrzewał o to swojego najbliższego kolegę ze szkoły średniej. Chłopak był najlepszym uczniem, lepszym nawet od niego, ale nie mógł studiować w stolicy, bo po przebytym w dzieciństwie polio został kaleką. Gdy Jun-sang przyjeżdżał z Pjongjangu, kolega narzekał głośno na władze i oczekiwał jego reakcji. Nienaturalna napastliwość w jego tonie kazała Jun-sangowi mieć się na baczności. Zaczął go unikać.

Powtarzał sobie w duchu: dopóki żyjesz w Korei Północnej, nie rozmawiaj o polityce. Ani z najlepszym przyjacielem, ani z nauczycielami i rodzicami, ani z dziewczyną. Z Mi-ran nigdy nie dzielił się tym, co myśli o reżimie. Nie powiedział jej, że ogląda południowokoreańską telewizję i czyta broszury o kapitalizmie. I nie wspomniał jej ani słowem, że zaczyna marzyć o ucieczce.

Rzeka



[231] Tumen widziany z chińskiego brzegu

Im mniej w ich związku było zwierzeń, tym większe powstawało w nim napięcie.

Kiedyś Jun-sang i Mi-ran rozmawiali godzinami o kolegach szkolnych, znajomych, o swoich rodzinach. Podczas nocnych wędrówek ze szczegółami opowiadał jej fabuły filmów i mówił o książkach. Recytował wiersze. Kochał jej naturalną ciekawość i to, że w odróżnieniu od jego ambitnych kolegów z uczelni, umiała bez skrępowania przyznać, że czegoś nie wie. Przyjemność, jaką sprawiało mu czytanie, była tym większa, że o lekturach miał później opowiedzieć Mi-ran. W czasie długich miesięcy rozłąki przechowywał najciekawsze książki i zapamiętywał je dla niej, marząc o jej oczach błyszczących z zachwytu i głośnym śmiechu bez skromnego zasłaniania ust. Ale teraz nie mógł się z nią podzielić tymi wszystkimi myślami, od których kłębiło mu się w głowie.

Nie dlatego, że jej nie ufał – czuł, że jest najbliższym mu człowiekiem, nie licząc rodziny. Była dla niego tym ważniejsza, że jego drogi z dawnymi

przyjaciółmi się rozeszły. Ale czy gdyby jej o wszystkim powiedział, wyniknęłoby z tego coś dobrego? Skoro jego to zasmucało, to gdyby się z tego zwierzył, tylko by ją unieszczęśliwił. Gdyby wiedziała, jak bogaci są Koreańczycy z Południa, to czy w dalszym ciągu mogłaby uczyć głodne dzieci hymnów pochwalnych na cześć Kim Dzongila? Po co jej wiedza o kapitalistycznych reformach w Chinach czy Rosji? Niepokoił się o Mi-ran. Ze swoim niedobrym pochodzeniem klasowym musiała zachowywać szczególną ostrożność. Jedno jej niebaczne słowo wystarczy, żeby ją zesłać. Kiedy rozmawiali o przedszkolu i głodujących wychowankach, posługiwali się takimi eufemizmami, jak „sytuacja” i „Trudny Marsz”. Większa dosłowność sprowadziłaby ich na grząski grunt, bo musieliby powiedzieć, kto ponosi za to winę.

Nie poruszali także spraw osobistych. Jun-sang przypuszczał, że decyzja o rozpoczęciu pracy naukowej w Pjongjangu, którą podjął po skończeniu studiów w 1997 roku, zraniła Mi-ran. Podróże koleją stały się koszmarem, poczta funkcjonowała fatalnie i coraz trudniej było utrzymać związek. Na miejscu też nie było im łatwo się umówić. Nie mieli telefonów i nie chcieli zostawiać wiadomości u rodziny. Żeby cokolwiek zaplanować, Jun-sang musiał złapać Mi-ran poza domem albo odwiedzać ją w przedszkolu. Kiedyś godzinami przedzierał się w oślepiającej zamieci wzdłuż torów kolejowych, a gdy ze zgrabiałymi rękami dotarł wreszcie do przedszkola, dowiedział się, że wzięła na ten dzień wolne.

Widywali się dwa razy do roku – w czasie wakacji letnich i ferii zimowych. Po długiej rozłące musieli na nowo oswajać się ze sobą. Mi-ran zmieniała się. Od dawna nie miała już śmiałej, krótko obciętej fryzury, jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Teraz, ze spiętymi włosami do ramion, nosiła się jak wszystkie młode Koreanki. Zauważył też ze zdziwieniem, że zaczęła się malować.

Sedno sprawy leżało w tym, że oboje byli już dorośli w pełnym tego słowa znaczeniu: on miał dwadzieścia siedem lat, ona dwadzieścia pięć. Narzucające się pytanie o ich przyszłość pozostawało otwarte.

Temat ten pojawił się kiedyś nieoczekiwanie. Tego dnia Mi-ran była na przyjęciu weselnym swojej koleżanki z klasy. Po kolacji spotkali się z Jun-sangiem na tyłach jej domu i poszli do gorących źródeł. Wieczór był jasny, w uzdrowisku nie było żywej duszy. Spacerowali ścieżką pod drzewami, minęli sztuczny wodospad i lśniący staw. Usiedli na ulubionej ławce, patrzyli na księżyc i góry.

Mi-ran opowiadała mu o weselu i o nowym mężu przyjaciółki.

– Nie rozumiem, czemu ludzie pobierają się tak młodo – wtrącił Jun-sang. Ostatnio czytał klasyczną poezję koreańską i z szerokiego repertuaru, jaki pozostał mu w głowie, wybrał wiersz o niedoli panny młodej.

> Czy tygrys czający się na nas w górach byłby groźniejszy od teściowej?
>
> Czy można znaleźć bardziej lodowaty szron, zimniejszy od teścia?
>
> Strączki fasoli, nawet gdy je rozdepczemy, nie spojrzą na nas z taką pretensją, jak młodsi bracia naszego męża.
>
> Nie, nawet najostrzejszy pieprz nie jest tak gorzki jak życie mężatki.

Jun-sang uważał, że ten wiersz jest komiczny. Mi-ran roześmiała się, ale z rezerwą. Zastanawiał się, czy wzięła te słowa do siebie.

Jun-sang rzeczywiście nie zastanawiał się nad małżeństwem albo przynajmniej próbował te myśli tłumić. Nie wyobrażał sobie jednak małżeństwa z kimś innym, choć poślubienie Mi-ran przekreśliłoby jego szanse na przyjęcie do partii. Nie będąc członkiem partii, raczej nie mógłby liczyć na stałą posadę na którejś z uczelni w Pjongjangu. Tak to wyglądało w tym systemie. Ale gdyby, może razem z nią, wyjechał z Korei Północnej? Albo gdyby upadł reżim? Wiedział z oglądanej po nocach telewizji, że Korea Północna jest ostatnim krajem komunistycznym, który przetrwał na świecie, być może poza Kubą. Skoro po upadku muru berlińskiego doszło do zjednoczenia Niemiec, trzeba mieć nadzieję, że Koree też się kiedyś połączą. Ilekroć mijał na ulicy ciało, które obsiadły muchy, albo spotykał jeszcze jedno brudne dziecko na skraju śmierci, czuł, że ten system musi wkrótce się skończyć. Oboje żyli, jakby wokół toczyła się wojna, przytłoczeni wszechobecną tragedią. Jak miał myśleć o małżeństwie, skoro w tych warunkach nie wiadomo było nawet, co przyniesie najbliższy tydzień?

Nagle ogarnął go smutek: żal nad sobą, nad Mi-ran i nad ich nieszczęśliwym życiem. Nie chciał jej urazić tym wierszem. I pragnąc ją przede wszystkim pocieszyć, zrobił coś, na co dotychczas się nie odważył: pochylił się nad nią i ją pocałował.

Swego rodzaju, ale to był pocałunek. Musnął zaledwie wargami jej policzek i zatrzymał się, nie dotknąwszy jej ust, ale w kontakcie fizycznym nigdy nie posunęli się tak daleko. Znali się od trzynastu lat, spotykali od dziewięciu – i tylko trzymali się za ręce.

Mi-ran wyglądała na zaskoczoną. Chyba się nie gniewała, była jedynie spłoszona. Gwałtownie podniosła się z ławki i poprosiła go gestem, żeby

także wstał.

– Chodź – powiedziała. – Przejdźmy się jeszcze.

Mi-ran zbił z tropu ten pocałunek. Chociaż jej pojęcie o seksie było bardzo mgliste, wiedziała, że pocałunek może prowadzić tam, dokąd pójść nie chciała. Dochodziły ją słuchy o dziewczynach, które spały z mężczyznami, i o straszliwych tego konsekwencjach. Antykoncepcja nie istniała, można było jedynie przeprowadzić aborcję, zabieg drogi i niebezpieczny.

W odróżnieniu od swojego marzycielskiego chłopaka, Mi-ran bardzo dużo rozmyślała o małżeństwie. Z jej trzech sióstr dwie wyszły za mąż i miały dzieci, koleżanki ze szkoły średniej zaręczały się. Nie mogła nie zastanawiać się poważnie nad własną przyszłością. Nie wierzyła, by Jun-sang kiedyś się z nią ożenił.

Jej sytuacja niewątpliwie się poprawiła. W latach dziewięćdziesiątych Kim Dzongil musiał zająć się poważniejszymi wrogami niż rodziny tych, którzy przed pięćdziesięcioma laty walczyli po niewłaściwej stronie w wojnie koreańskiej. Jej piętno traciło moc, jak blizna z dzieciństwa, która znika z upływem lat. Nawet w świetle północnokoreańskiego prawa nieczysta krew zmywała się po odejściu trzech pokoleń. Mi-ran i jej młodszy brat dostali się do kolegiów nauczycielskich. W przypadku najstarszej siostry uroda okazała się ważniejsza od złego pochodzenia klasowego: wyszła dobrze za mąż za cywilnego pracownika armii i zamieszkała z nim na zamkniętym terenie wojskowym, jednym z nielicznych miejsc w okolicach, gdzie nie zniszczono lasu. Siostra przynosiła im cenne gąski sosnówki, które wymieniali na inne produkty żywnościowe.

Mi-ran musiała się jednak pogodzić z pewnymi ograniczeniami. Wątpiła na przykład, by ktoś z jej rodziny dostał zgodę na zamieszkanie w Pjongjangu. Gdyby wyszła za Jun-sanga, w najlepszym razie mogliby się osiedlić w Chongjinie. Dla niego byłoby to poświęcenie, które ją obciążyłoby poczuciem winy. Gdy spoglądała na bladego chłopca, patrzącego poważnie zza okularów, które sprawiła mu uczelnia, ogarniał ją niepokój o jego ewentualną przyszłość w Chongjinie. Mógłby skończyć jak jego mentorzy, głodujący inteligenci, którzy znają na pamięć Tołstoja, ale w sprawach praktycznych są całkowicie bezradni.

Do tego dochodził jeszcze problem z jego rodzicami. Nie poznała ich, ale wiele o nich słyszała. Gdyby Jun-sang chciał się z nią ożenić, na pewno

by zaprotestowali. Ojciec może szantażowałby go samobójstwem, matka udawałaby chorobę. Jun-sang jest przede wszystkim posłusznym synem. Nie sprzeciwi się woli rodziców.

Zresztą reemigranci z Japonii zwykle zawierają małżeństwa między sobą. Rodzice znajdą Jun-sangowi dziewczynę z japońskimi pieniędzmi albo sam pozna na uniwersytecie jakąś zdolną i wykształconą koleżankę. Jej romantyczny chłopak, który recytuje wiersze, należy po prostu do innej sfery. Trzeba się pogodzić z faktami, upominała się w duchu.

Próbowała wyobrazić sobie życie bez niego. Zwyczajne. Takie, w którym nie ma miejsca na poezję. Wyszłaby za robotnika z fabryki albo górnika, jak jej ojciec. Dzieci. Do końca życia tkwiłaby w osadzie górniczej albo w najlepszym razie w Chongjinie. Poczuła, że stoi przed ścianą.

Praca w przedszkolu stała się dla niej udręką. Spośród pięćdziesięciorga wychowanków w klasie pozostało piętnaścioro. Do zdewastowanego budynku Mi-ran wchodziła co rano ze ściśniętym sercem, bo po odejściu tylu dzieci w przedszkolu panowało przygnębienie. Dzieciaki nie śmiały się jak kiedyś. Nie miały siły skupić się na zajęciach, a wychowawcy i nauczyciele nie przejmowali się pracą, skoro rok po śmierci Kim Ir Sena przestali dostawać pensje. Gdy Mi-ran spytała dyrektorkę, kiedy mogą się spodziewać wypłaty, ta tylko zachichotała.

– Chyba jak połączymy się z Koreą Południową – zażartowała.

Mi-ran zastanawiała się nad zmianą zawodu. Może mogłaby znaleźć jakieś zajęcie na bazarze albo zatrudnić się w którymś z zakładów odzieżowych. Tyle ją kosztowało trudu, żeby dostać się na studia, być nauczycielką, awansować w hierarchii społecznej. Teraz czuła, że to wszystko na nic.

Mi-ran bardzo niepokoiła się też o ojca. Miał grubo po sześćdziesiątce, a ona odnosiła wrażenie, że niknie w oczach. Kiedyś muskularny, Tae-woo zgarbił się i wychudł. Jej matkę, dumną, że potrafi wykarmić rodzinę, napełniało to wstydem. Ojciec całymi dniami snuł się po domu, czasem zaczynał jakąś robotę, zabierał się do naprawy stołu czy szafy, ale zapominał o niej i nigdy jej nie kończył. Milczący kiedyś, teraz mówił nieustannie, jeśli ktoś akurat był w domu, albo przemawiał do siebie. Opowiadał o rzeczach przemilczanych niemal przez pół wieku. Wspominał dzieciństwo w prowincji Chungchong Południowy i swoje śliczne siostry. Z dumą mówił o ojcu i o jakimś dawnym przodku, który był *yangban*, szlachetnie urodzony. Jego zaczerwienione oczy napełniały się wtedy łzami.

Na weselu trzeciej córki zrobił coś, czego jego najbliżsi nigdy nie widzieli: upił się.

Ojciec Mi-ran jako abstynent był w swoim pokoleniu wyjątkiem wśród Koreańczyków z Północy. Odmawiał picia przede wszystkim z ostrożności. W latach sześćdziesiątych widział, czym rozmowy po pijanemu kończyły się dla jego kolegów, też byłych południowokoreańskich jeńców wojennych. Na weselu poczuł jednak, że teraz, po tylu latach nie musi mieć się aż tak bardzo na baczności. Przyjęcie odbywało się u nich w domu. Matka Mi-ran podała wódkę kukurydzianą własnej roboty. Tae-woo opróżnił szybko trzy kolejki mocnego trunku. Jeszcze przy gościach, nie zważając na nic, zaśpiewał sentymentalną południowokoreańską piosenkę, którą pamiętał jeszcze z dzieciństwa.

> Kiedyś trzymałem za rękę moją matkę.
> Ale później sięgałem po owoce i ciasto.
> Och, jak mi brakuje ręki mojej matki.

Ojciec Mi-ran umarł w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat w 1997 roku. Nie było jej wtedy w domu, ale był przy nim jej brat. Powiedział potem siostrom, że słowo „matka” było ostatnim, jakie wypowiedział ich ojciec.

W ostatnich miesiącach przed śmiercią Tae-woo zaczął mówić jaśniej o swojej rodzinie. Nalegał, by jego jedyny syn zapamiętał imiona przodków zapisane w rejestrze rodowym[19], księgach dokumentujących genealogię koreańskich rodzin. Ojciec też nie miał braci, więc ciągłość rodu musiał zapewnić jego syn.

Tae-woo miał jeszcze jedno życzenie, trudniejsze do spełnienia. Chciał, żeby o jego śmierci powiadomić rodzinę w Korei Południowej. Prośba ta brzmiała jak rojenia umierającego.

Od wojny koreańskiej upłynęło prawie pół wieku, a z Południem nie było łączności pocztowej ani telefonicznej. Rozdzielone rodziny nie mogły też kontaktować się za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. (Do pierwszych, starannie zaaranżowanych spotkań rodzin rozdzielonych w czasie wojny doszło dopiero po 2000 roku). Mi-ran i jej rodzeństwo zakładali, że pokolenie ich dziadków z Południa dawno wymarło, ale nie wykluczali, że żyją jeszcze siostry ojca. Byli jednak przekonani, że nawiązanie z nimi kontaktu jest absolutnie niemożliwe.

Rok po śmierci ojca do domu przybiegła siostra Mi-ran, So-hee. Z emocji miała rumieńce i brakowało jej tchu. Właśnie rozmawiała z kolegą, który przyznał się, że często przechodzi przez granicę z Chinami. Powiedział jej, że zna ludzi, którzy mogliby im pomóc w odnalezieniu

rodziny ojca. W Chinach, przekonywał So-hee, żeby zadzwonić do Korei Południowej, wystarczy podnieść słuchawkę.

Spytał, czy chcą spróbować.

Początkowo Mi-ran i So-hee były podejrzliwe. Nie wolno ufać nikomu spoza rodziny. Właśnie w taki sposób bezpieka zastawiała pułapki na ludzi.

Zastanawiały się nad tym przez kilka dni, by w końcu jednak uwierzyć, że kolega jest uczciwy. Ma krewnych w Chinach i zna całą siatkę ludzi, którzy im pomogą. Jego znajomy zawiezie je ciężarówką na granicę; pewien strażnik wskaże im miejsce, gdzie mają przekroczyć rzekę, i przekupi odpowiednich ludzi, żeby mogły wrócić. W Chinach zatrzymają się bezpiecznie u kuzyna kolegi, który ma dom tuż przy granicy. Mi-ran i So-hee postanowiły, że pojadą we dwie na parę dni. W ten plan wtajemniczyły tylko jedną osobę – siostrę, która niedawno wyszła za mąż. Mimo że kazały jej przysiąc, że nikomu nie zdradzi ani słowa, siostra nie umiała trzymać języka za zębami. Wygadała się matce, a ta powiedziała stanowczo: „Nie”.

– Niezamężne dziewczęta nie mogą same jechać do Chin.

Krążyły pogłoski o gwałtach i porwaniach Koreanek z Północy, o zmuszaniu ich do prostytucji albo zabijaniu na organy. Matka Mi-ran nie zamierzała ustąpić.

Zebrali się więc w gronie najbliższych, żeby przedyskutować sprawę. Brat Mi-ran uważał, że jako głowa rodziny powinien jechać sam. Na to matka też nie zamierzała się zgodzić. Brat miał tylko dwadzieścia dwa lata, był jej oczkiem w głowie, jej jedynym synem.

Wreszcie doszli do porozumienia. Pojadą w czwórkę: Mi-ran, So-hee, ich brat oraz matka. Będzie to wyprawa rodzinna. Siostra, która niedawno wyszła za mąż, nie chciała jechać, najstarszej, mieszkającej z mężem i dziećmi na terenie wojskowym, bali się o tej eskapadzie powiedzieć, bo na pewno by tego nie zaaprobowała.

Najbliższych Mi-ran nigdy nie cechowała ideologiczna żarliwość – matka podśmiewała się z kobiet, które codziennie odkurzają portrety przywódców – ale też nigdy nie sprzeciwiali się władzom. Najodważniejszy z nich, jak się okazało później, był brat Mi-ran, Sok-ju, który w najgłębszej tajemnicy przed rodziną słuchał po nocach przez słuchawki południowokoreańskiego radia. Pozostali niezbyt się interesowali bieżącymi wydarzeniami; byli zbyt zajęci, by myśleć o polityce.

W porównaniu z innymi rodzina Mi-ran doskonale radziła sobie w czasach kryzysu. Matka w dalszym ciągu zajmowała się przemiałem

kukurydzy. Nie głodowali, nie mieli zatargów z prawem. Nie było więc szczególnego powodu, który zmuszałby ich do wyjazdu z Korei Północnej. Ale z chwilą, gdy pojawiła się możliwość przekroczenia granicy, a oni zaczęli o tym myśleć praktycznie, wszystko nabrało przyspieszenia: gdy uzgodnili dokładny plan, klamka zapadła i nie można się było wycofać. Życzenie umierającego było nakazem, z powodu którego postanowili przejść przez granicę.

Jechali do Chin, żeby spróbować nawiązać kontakt z krewnymi ojca w Korei Południowej. Nie wiedzieli, czy zdołają ich odnaleźć, a jeśli tak, to czy tamci się z tego ucieszą. Nie ośmielali się nawet myśleć o wyjeździe na Południe.

Plan wyprawy zrodził się w ciągu paru tygodni. W harmonijkowym domu o papierowych ścianach musieli zachowywać wszelkie pozory normalności przed wścibskimi sąsiadami. Udawali więc, że panuje u nich zwykły spokój i nie dzieje się nic szczególnego. Dlatego nie mogli niczego sprzedać, żeby zdobyć pieniądze na podróż. Nie mogli zabić okien deskami, żeby zabezpieczyć dom.

Mi-ran musiała przed wyjazdem koniecznie załatwić pewną sprawę. W przeddzień wieczorem wyjęła ostrożnie z szuflady na ubrania starannie schowane zawiniątko. Były tam wszystkie listy od Jun-sanga i podarunki od niego. Swój największy skarb, spinkę do włosów wysadzaną kryształkami górskimi, postanowiła zostawić. Listy trzeba było zniszczyć. Zanim je wyrzuciła, podarła każdy z nich na drobne kawałki. Nie chciała dopuścić, by ktoś się dowiedział, że przez dziesięć lat żyli z Jun-sangiem zauroczeni sobą. Poza jego bratem i dwiema z jej sióstr, nikt o tym romansie nie wiedział. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, trzeba było strzec tej tajemnicy.

Powtarzała sobie, że wyjeżdżają na krótko, żeby zatelefonować, ale w głębi duszy wiedziała, że może już nigdy nie wrócić – niezależnie od tego, czy południowokoreańscy krewni zechcą ich przyjąć. Ktoś doniesie o ich wyjeździe i zostaną uznani za zdrajców. „Dzięki naszej partii zdobyła wykształcenie, ale zdradziła ojczyznę” – niemal słyszała głos sekretarza organizacji partyjnej. Nie chciała w żaden sposób zaszkodzić Jun-sangowi. Jej wyjazd nie może zaważyć na jego życiu. Znajdzie sobie odpowiednią żonę, wstąpi do partii, zostanie naukowcem i do końca życia będzie mieszkał w Pjongjangu.

„Wybaczy mi i mnie zrozumie – powtarzała sobie. Tak będzie dla niego najlepiej”.

Nazajutrz rano wyszła z plecaczkiem przewieszonym przez ramię. Wsiadła na rower i jak zwykle pomachała na pożegnanie matce i bratu. Żeby nie zwracać niczyjej uwagi, postanowili wychodzić z domu w pojedynkę. Tego dnia matka zajrzy jeszcze do sąsiadów i powie im, że na tydzień czy dwa przenosi się do zamężnej córki, żeby pomóc jej przy dziecku. To trochę opóźni chwilę, w której o ich zniknięciu dowie się policja.

Spotkali się w Chongjinie, gdzie mieszkała siostra Mi-ran. We dwie ruszyły pieszo, żeby zobaczyć się z kierowcą, który zawiezie ich ciężarówką do granicy chińskiej. Mi-ran ogarnął nienaturalny spokój, czuła, że działa mechanicznie, jak automat. Robiła to, co do niej należało, i nie myślała o konsekwencjach. Ale kiedy szła z So-hee, spojrzała na drugą stronę ulicy i serce w niej zamarło.

Zobaczyła idącego z przeciwka Jun-sanga, a przynajmniej tak jej się wydawało. Miała doskonały wzrok i mogła przysiąc, że to on, choć dzieliła ich sześciopasmowa ulica i był październik, kiedy Jun-sang nigdy nie opuszczał uczelni. W pierwszym odruchu chciała przebiec przez jezdnię, żeby go uściskać, czego, rzecz jasna, nie wolno jej było robić publicznie, ale miała mu tyle do powiedzenia. Chciała, żeby wiedział – że o nim myśli, że z całego serca życzy mu wszystkiego najlepszego i że chce mu podziękować za to, że ją zachęcił do zdawania na studia. Powiedziałaby, że jest mu wdzięczna za jego entuzjazm i wiarę, które dodały jej odwagi, by zrobić to wszystko, czego dokonała dotąd, a także do tego, co zamierza zrobić teraz. Przykro jej, jeśli przez chwilę będzie czuł się zraniony, ale... Zatrzymała się. Z chwilą, gdy te słowa ułożyły jej się w głowie, zrozumiała, że wyrzuci z siebie wszystko i nie zdoła dochować tajemnicy. Naraziłaby na niebezpieczeństwo nie tylko swoją rodzinę, lecz także Jun-sanga.

Szła swoją stroną ulicy, zerkając co chwila przez ramię, aż człowiek, który był albo nie był Jun-sangiem, zniknął jej z oczu.

*

Drogę do Musanu, górniczego miasta, gdzie po wojnie koreańskiej został zesłany do przymusowej pracy ojciec Mi-ran, odbyli w milczeniu na pace ciężarówki. Musan, w którym stały kopalnie i fabryki, wyglądał jak wymarły. Ale wbrew pozorom, w mieście kwitł przemyt. Tumen w tych okolicach był bardzo wąski i Musan, obok Hoyerongu i Onsongu, stał się ośrodkiem przerzutowym w nielegalnym ruchu przez granicę. Była to chyba jedyna rozwijająca się WKRLD gałąź gospodarki. Kierowca, który wiózł Mi-

ran, specjalizował się w przywożeniu na granicę ludzi bez paszportów i zezwoleń podróży. Z powodu kontroli dokumentów w pociągach jazda koleją nie wchodziła w rachubę.

Na pierwszy rzut oka nikt by nie podejrzewał, że rodzina Mi-ran zamierza uciec. Ponieważ nie chcieli, żeby po żałosnym ubraniu rozpoznano w nich za granicą Koreańczyków z Północy, najlepsze stroje ukryli pod codziennym ubraniem. Zatrzymani po drodze, powiedzieli, że jadą do Musanu na wesele rodzinne i właśnie dlatego ubrali się elegancko. Mieli przy sobie niewiele bagażu, w sam raz na krótką podróż. Zabrali kilka fotografii rodzinnych i trochę specjałów, z których słynął Chongjin: suszone ryby, kalmary i kraby. Produktów tych nie wieźli na własne potrzeby, lecz po to, by wręczyć je jako łapówkę. Po drodze do odległego o osiemdziesiąt kilometrów Musanu sprawdzano ich dwukrotnie. Jeszcze kilka lat wcześniej podróż bez zezwolenia była wykluczona, ale w 1998 roku prawie wszystko można już było kupić w zamian za jedzenie.

Granicę przekroczyli zgodnie ze starannie przygotowanym planem: w bezksiężycową noc, w porze, gdy strażnicy najprawdopodobniej zapadli w sen. Przez rzekę przeprawiali się na obrzeżu Musanu, gdzie posterunki graniczne były rozstawione co dwieście metrów. Po chińskiej stronie „na odbiór paczki”, która miała nadejść po północy, czekał w umówionym miejscu przewodnik.

Mi-ran przeprawiała się w pojedynkę. Tak jak zostało ustalone, matka, brat i siostra przeszli wcześniej. Było bezpieczniej, gdy rodziny się rozdzielały. Człowiek złapany samotnie brzmiał bardziej przekonująco, gdy tłumaczył, że przeszedł przez granicę, żeby zdobyć coś do jedzenia. Przy odrobinie szczęścia można było wtedy dostać łagodny wyrok, około roku w obozie pracy. Gdyby wpadła cała rodzina, sądzono by ich za ucieczkę z premedytacją, za którą groziła znacznie surowsza kara. Ale Mi-ran nie wiedziała tego wszystkiego, bo nie znała zbiegów. Ze wszystkich sił próbowała więc odpędzić najgorsze myśli.

Przewodnik wyprowadził ją z Musanu na ciągnącą się równolegle do rzeki polną drogę. Gdy doszli do pola kukurydzy, zostawił ją samą. Na odchodnym pokazał jej ręką, że po przejściu przez pole dotrze do rzeki.

– Masz iść prosto, prosto przed siebie – powiedział.

Jej nienaturalny spokój szybko zniknął. Drżała ze strachu i zimna. Było październikowe babie lato, kiedy dni są ciepłe, ale po zmierzchu zapada jesienny chłód. Na gałęziach pozostały resztki liści. Wśród gołych drzew

łatwo można ją było wypatrzyć. Kukurydza została dawno zebrana, suche łodygi trzeszczały pod stopami, choć Mi-ran starała się iść jak najciszej. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje i lada chwila pochwyci za kark.

W kompletnej ciemności niełatwo trzymać się wskazówek i iść prosto przed siebie. Tędy czy tędy? – nie wiedziała. I gdzie jest rzeka? Chyba powinna już do niej dojść? Ogarnął ją strach, że się zgubiła.

I nagle niemal wpadła na mur. Wyrósł jej na drodze, był znacznie od niej wyższy i na tyle, na ile widziała w ciemności, ciągnął się w obydwie strony. Z jasnego betonu, jak mur więzienny albo wokół terenów wojskowych. Czyżby wpadła w pułapkę? Była pewna, że zabłądziła. Musi się stąd wydostać. Szybko.

Ruszyła wzdłuż muru, dotykając po omacku jego górnej krawędzi. Stawał się coraz niższy, w końcu zdołała się na niego wspiąć. Teraz zrozumiała. To był mur oporowy na brzegu rzeki. Zeskoczyła do wody.

Jesień jest w Korei sucha i poziom rzeki był wtedy bardzo niski, woda sięgała jej ledwie do kolan, ale była tak zimna, że Mi-ran straciła czucie w nogach. W nasiąkniętych tenisówkach jej stopy stały się ciężkie jak ołów. Zapomniała o tym, że kazali jej podwinąć nogawki spodni. Ugrzęzła w mule. Zdołała podnieść jedną nogę, potem drugą. Krok za krokiem posuwała się wolno do przodu, myśląc tylko o tym, żeby się nie poślizgnąć i nie upaść. „Prosto, prosto przed siebie” – powtarzała słowa przewodnika.

Nagle zrobiło się płyciej, woda sięgała jej już tylko do kostek. Przemoczona, wydrapała się na brzeg i próbowała rozejrzeć. Dotarła do Chin, ale w ciemnościach nic nie było widać. Nie było tu żywej duszy. Zaschło jej w gardle, ale gdyby nawet mogła wydobyć z siebie głos, bałaby się wołać.

Ogarnęła ją prawdziwa panika. Odwróciła się, by popatrzeć na Koreę. Zobaczyła biały mur, który ją zmylił. Za nim były pole kukurydzy i droga, przy której rozstała się z przewodnikiem. Gdyby udało jej się odnaleźć tę drogę, mogłaby wrócić do Musanu. Tam złapałaby pociąg do Chongjinu i jutro dojechałaby do domu. Wróciłaby do pracy. Jun-sang nigdy by się nie dowiedział, że prawie uciekła. Wszystko toczyłoby się po staremu.

Szelest wśród drzew wyrwał ją z rozmyślań. Usłyszała męski głos.

– *Nuna, nuna*.

„Starsza siostro” – wołał jej brat.

Wyciągnęła do niego rękę, i na zawsze opuściła Koreę Północną.

Epifanie



[245] Bloki w Chongjinie

Gdy Jun-sang studiował w Pjongjangu, jego kontakty z najbliższymi oraz znajomymi w rodzinnych stronach zależały wyłącznie od kaprysów poczty. Regularnie korespondował z Mi-ran i jeszcze kilkoma osobami. Matka nie żałowała mu wiadomości o psach. Ojciec apelował, żeby więcej pracował: „Przez wzgląd na Kim Ir Sena i Partię Pracy, której tak wiele zawdzięczasz", kończył swoje listy na użytek cenzorów, którzy, był o tym przekonany, je przeczytają. W czasie srogich zim, gdy kolejarze podobno palili dla rozgrzewki przesyłki pocztowe, Jun-sang czasem całymi miesiącami nie dostawał korespondencji. Dlatego nie martwił się, że na kilka jego listów do Mi-ran nie było odpowiedzi. Tak minął październik i listopad, ale w grudniu Jun-sang zaczął się niepokoić.

Po przyjeździe do domu na ferie zimowe chciał, siląc się na obojętność, spytać brata, czy ją ostatnio widział. Ale brat uprzedził to pytanie.

– Ona wyjechała! – rzucił.

– Jak to wyjechała? Dokąd? – Jun-sang nie wierzył własnym uszom. Nie miał pojęcia, że Mi-ran planuje jakąś podróż. Przecież zawsze zwierzała mu się ze wszystkiego. Chociaż wydawało mu się, że w jej listach z ostatniego lata wyczuwa pewien chłód, przypuszczał, że jest urażona jego zwlekaniem

z decyzją o małżeństwie. Do głowy by mu nie przyszło, że może gdzieś wyjechać bez słowa. Przycisnął więc brata, żeby coś z niego wyciągnąć.

– Wyjechali całą rodziną, podobno do Korei Południowej. – To wszystko, czego się dowiedział.

Postanowił rozejrzeć się w jej sąsiedztwie. Za pierwszym razem krążył wokół jej domu, ale nie miał odwagi podejść bliżej. Dostał skurczu żołądka, łomotało mu serce i pulsowała szyja. Wrócił po paru dniach. Ukrył się za ogrodzeniem, tam, gdzie przez wszystkie lata czekał na nią, aż wyjdzie z domu na sekretne spotkanie. Teraz przekonał się na własne oczy: do ich mieszkania wprowadzili się nowi ludzie.

Wracał pod jej dom w czasie tych ferii i później, gdy przyjeżdżał do rodziny. Nie po to, żeby się czegoś dowiedzieć – krążyły o nich tylko niepotwierdzone plotki – lecz po to, by odbywać pokutę. Ale z niego idiota. Nienawidził siebie. Był niezdolnym do podjęcia decyzji mędrkiem, ważył każdy krok, aż zrobiło się za późno. Wyjechała, bo tak długo zwlekał z oświadczynami. Prawdę mówiąc, chciał jej zaproponować, żeby razem z nim uciekła do Korei Południowej, ale nie starczyło mu odwagi. Wydawało mu się, że to on jest silniejszy w ich związku – jako mężczyzna, starszy od niej dwa lata, z dyplomem uniwersyteckim. Przywoził jej wiersze z Pjongjangu i opowiadał o książkach i filmach, o których nigdy nie słyszała. Ale jak się okazało, to ona była odważna, a on stchórzył. Choć nie miał żadnego potwierdzenia, w głębi duszy czuł, że Mi-ran jest w Korei Południowej.

„Cholera, zrobiła to przede mną” – pomyślał.

W istocie zrobiła to jako jedna z pierwszych.

Przez blisko półwiecze, które upłynęło od końca wojny koreańskiej do ucieczki Mi-ran w październiku 1998 roku, z Korei Północnej zbiegły na Południe zaledwie dziewięćset dwadzieścia trzy osoby. Znikoma liczba, gdy weźmie się pod uwagę, że z NRD uciekało do Niemiec Zachodnich średnio dwadzieścia jeden tysięcy ludzi rocznie.

Wśród północnokoreańskich zbiegów przeważali dyplomaci i wyjeżdżający za granicę oficjele. Hwang Jang-yop, czołowy ideolog systemu, dygnitarz i jeden z nauczycieli Kim Dzongila, poprosił o azyl w ambasadzie południowokoreańskiej w Pekinie w drodze powrotnej z podróży służbowej. Czasem przez strefę zdemilitaryzowaną uciekali pojedynczy żołnierze północnokoreańscy. Do Korei Południowej udało się także dopłynąć garstce rybaków.

Reżim robił wszystko, by uniemożliwić ucieczkę. Na początku lat dziewięćdziesiątych w Chongjinie i innych miastach nadmorskich ogrodzono plaże, by ludzie nie próbowali przedostawać się do Japonii przez morze. Obywatelom KRLD nigdy nie towarzyszyły w podróżach służbowych żony ani dzieci, rodziny zostawały w kraju jako zakładnicy. Uciekinierzy musieli potem żyć ze świadomością, że za ich wolność najbliżsi zapłacili dożywotnim zesłaniem do obozu pracy.

Zmiany przyszły pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Przeobrażenia gospodarcze w Chinach i głód sprawiły, że wzrosła liczba ucieczek z Korei Północnej. Ludzie oglądali ze swojego brzegu rzeki błyszczące nowością samochody, które mknęły po drugiej stronie Tumenu. Na własne oczy widzieli, że życie w Chinach wygląda nęcąco.

Ci sami ludzie, którzy pomogli Mi-ran przeprawić się przez granicę, szybko rozwinęli interes. Opracowali nowe drogi ucieczki przez Tumen, wiedzieli, w którym miejscu rzeka jest najwęższa, i potrafili przekupywać patrole graniczne. Uciekinierzy, którzy nie umieli pływać, mogli zapłacić, żeby ich przeniesiono. Zbiegów przybywało w postępie geometrycznym. Szacuje się, że do 2001 roku granicę chińską przekroczyło sto tysięcy Koreańczyków z Północy, z których nieliczni zdołali później uciec do Korei Południowej.

Ruch przez granicę odbywał się w obie strony. Koreańczycy przekradali się do Chin, stamtąd zaś płynęły do KRLD towary: nie tylko żywność i ubrania, lecz także książki, radioodbiorniki, prasa, nawet egzemplarze Biblii, nielegalnej w Korei Północnej. Produkowane w Chinach pirackie płyty DVD były małe i niedrogie. Przemytnik mógł jednorazowo przenieść ich tysiąc, opłacając strażników papierosami. Chińskie odtwarzacze DVD kosztowały niewiele ponad dwadzieścia dolarów i na Północy mogli sobie na nie pozwolić ludzie zajmujący się prywatnym biznesem. Bardzo dobrze sprzedawały się *Titanic*, *Con Air – lot skazańców* i *Świadek*. Ale jeszcze większym popytem cieszyły się filmy i ckliwe opery mydlane z Korei Południowej. Północnokoreańscy widzowie sitcomów z Południa, pokazujących jakoby życie klas pracujących, ze szczególną uwagą przyglądali się sprzętom kuchennym i ubraniom bohaterów. Zwykli mieszkańcy KRLD po raz pierwszy mogli oglądać produkcje we własnym języku, wolne od wtrętów o Kim Ir Senie czy Kim Dzongilu. Dostawali jakiś obraz innego świata (choć niewątpliwie wyidealizowany, jak z reklamy).

Reżim północnokoreański twierdził, że Stany Zjednoczone i Korea Południowa celowo zalewają KRLD książkami i filmami, w ramach tajnego planu obalenia systemu. Handlarzy płyt aresztowano i czasem karano śmiercią za zdradę. Aparatczycy partyjni wygłaszali mowy, w których przestrzegali ludność przed obcymi wpływami:

> Nasi wrogowie posługują się specjalnie spreparowanymi materiałami, które mają upiększyć świat imperializmu i propagować absolutne zepsucie burżuazyjnego świata. Gdybyśmy ulegli ich szkodliwemu oddziaływaniu, utracilibyśmy ducha rewolucyjnego i świadomość klasową, a nasze uwielbienie dla Marszałka [Kim Ir Sena] zostałoby wystawione na próbę.

W Korei Północnej wiedza była jednak przede wszystkim przekazywana z ust do ust, w mniejszym stopniu czerpano ją bezpośrednio z zagranicznych książek, gazet czy filmów. Ci, którzy nie mieli do nich dostępu, dowiadywali się o świecie od innych ludzi. Krążyły fantastyczne opowieści o dobrobycie i poziomie technologicznym w sąsiednich krajach. Powiadano więc, że Korea Południowa zbudowała nowoczesny samochód, który uruchamiał się dopiero, gdy zainstalowany w nim alkomat wykazał trzeźwość kierowcy (nieprawda), a w Chinach zwykły chłop jest tak bogaty, że trzy razy dziennie jada biały ryż (prawda).

Pewien północnokoreański żołnierz wspominał później, jak kolega pokazał mu z dumą amerykański obcinacz do paznokci. Żołnierz wypróbował ten przyrząd, podziwiając błyszczące ostrza, i nie mógł się nadziwić jego prostocie. Po chwili jednak zamarł: skoro Korea Północna nie potrafi wyprodukować takiego obcinacza do paznokci, to czy może dorównać Ameryce w sprawach zbrojeniowych?

Student z KRLD opowiadał natomiast o wrażeniu, jakie wywarła na nim fotografia strajkującego Koreańczyka z Południa, którą zobaczył w reżimowej gazecie. To zdjęcie miało ilustrować kapitalistyczny wyzysk, ale chłopak zwrócił uwagę, że „prześladowany” robotnik nosi bluzę z zamkiem błyskawicznym, a z kieszeni wystaje mu długopis. W jego kraju luksusem było i jedno, i drugie.

Gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych pewien wysoki rangą pracownik urzędu morskiego wypłynął statkiem na Morze Żółte, przypadkowo złapał przez radio południowokoreańską stację. Akurat nadawano słuchowisko komediowe, w którym dwie młode kobiety sprzeczały się o miejsce parkingowe na osiedlu. Było to dla niego niezrozumiałe, bo nie umiał sobie wyobrazić świata cierpiącego na nadmiar aut. Choć zbliżał się do czterdziestki i zajmował dość wysokie stanowisko, nie znał nikogo, kto miałby prywatny samochód, a to, że auto może mieć młoda kobieta, nie

mieściło mu się w głowie. Początkowo myślał, że to jakaś parodia, ale po paru dniach dotarło do niego, że w Korei Południowej może rzeczywiście jest tyle samochodów.

Kilka lat później uciekł, podobnie jak żołnierz, który zobaczył obcinacz do paznokci, i student, który zobaczył zdjęcie strajkującego robotnika.

Doktor Kim nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że mogłaby wyjechać z Korei Północnej. Nie dlatego, że brakowało jej ciekawości świata czy wiedzy o nim – czytała z zapałem, zwłaszcza książki o dalekich i egzotycznych krainach – ale była przekonana, że nie ma lepszego kraju niż KRLD. Czemu więc miałaby stąd wyjeżdżać?

Od dzieciństwa nasłuchała się od ojca o nędzy, której doświadczył w Chinach przed ucieczką do Korei Północnej na początku lat sześćdziesiątych. Doktor Kim dziękowała więc losowi, że urodziła się w KRLD, zwłaszcza zaś wdzięczna była władzom, które pozwoliły jej, córce prostego budowlańca, ukończyć za darmo medycynę. Uważała, że wykształcenie i godne życie zawdzięcza ojczyźnie. Bardzo chciała wstąpić do partii, by spłacić dług wobec narodu.

– Byłam żarliwą patriotką i na wezwanie partii oddałabym wszystko – wspominała później.

Doktor Kim, która łączyła obowiązki zawodowe z pracą społeczną w sekretariacie organizacji partyjnej, stwierdziła jednak, że nie cieszy się tam zaufaniem.

W zimie, po śmierci Kim Ir Sena, przychodziła do szpitala o wpół do ósmej rano, wcześniej niż inni lekarze, by pomóc uporządkować gabinet pełniącej funkcję sekretarza partii pięćdziesięciokilkuletniej doktor Chung, specjalistki od żółtaczki, do której zwracano się per towarzyszko-sekretarz. Był to niewielki pokój z obowiązkowymi portretami Kim Ir Sena i Kim Dzongila, zastawiony szafami na dokumenty. Szuflady starego drewnianego biurka nie domykały się, stosy papierów piętrzyły się także na podłodze. Ale gazety leżały starannie złożone na biurku, by nikt przez przypadek nie nadepnął na zdjęcie Kim Ir Sena albo Kim Dzongila. Towarzyszka Chung nie przepadała za lekturami i pisaniem, więc doktor Kim przygotowywała dla niej referaty oraz prasówki z „Rodong Sinmun” i z lokalnej gazety „Hambuk Sinmun”. Była przekonana, że w zamian za to towarzyszka-sekretarz poprze jej kandydaturę do partii. Marzyła, że kiedyś pójdzie w ślady swojej mentorki i też zostanie sekretarzem organizacji partyjnej.

W trakcie tych porządków zauważyła uchyloną szafkę. Ciekawość wzięła górę. Z szuflady wystawała gruba koperta. Zajrzała do niej: w środku była lista pracowników szpitala, których należy objąć szczególnie gruntowną inwigilacją. Przy każdym nazwisku były podane powody, które czyniły człowieka podejrzanym. Najczęściej wiązały się one z pochodzeniem klasowym: chodziło o praktyki religijne rodziców albo dziadków, o ziemiańskie korzenie, o krewnych, którzy powrócili z Japonii, o bliskich mieszkających w Chinach.

W spisie było jej nazwisko.

Doktor Kim nie wierzyła własnym oczom. Przez całe życie postępowała bez zarzutu. Jako perfekcjonistka z natury, od siebie wymagała najwięcej. Była prymuską w szkole i na studiach. Zawsze jako pierwsza brała na siebie dodatkowe obowiązki i pierwsza zgłaszała się na szkolenia ideologiczne. Jej ojciec przyjechał z Chin, gdzie wciąż mieszkają jego krewni, ale ona ich nie zna i nigdy z nimi nie korespondowała.

„To z pewnością jakaś pomyłka” – powiedziała sobie.

W końcu jednak dotarła do niej prawda. Towarzyszka Chung wykorzystywała ją, żerowała na jej ciężkiej pracy i zdolnościach, nie mając najmniejszego zamiaru poprzeć jej kandydatury do partii. Gorzej nawet – doktor Kim zaczęła podejrzewać, że w istocie pozostaje pod szczególnym nadzorem. Czuła, że działacze partyjni w szpitalu przyglądają jej się podejrzliwie.

O zasadności tych przypuszczeń przekonała się jakieś dwa lata później, gdy niespodziewanie odwiedził ją w pracy funkcjonariusz bezpieki. Był to śledczy z policji politycznej Bowibu. Doktor Kim sądziła w pierwszej chwili, że przyszedł w sprawie któregoś z pacjentów albo kolegów, ale on wypytywał tylko o nią, jej rodzinę, jej pracę, by w końcu przejść do sedna. Jak się okazało, przyszedł po to, żeby się dowiedzieć, czy doktor Kim planuje ucieczkę.

– Ucieczkę z Korei Północnej? – odparła z oburzeniem. Coś takiego nie przyszło jej nawet do głowy. Oczywiście, słyszała pogłoski, że ludzie uciekają, ale gardzi tymi, którym zabrakło wytrwałości, by kroczyć w Trudnym Marszu, i chcą zdradzić ojczyznę.

– Dlaczego miałabym myśleć o wyjeździe? – żachnęła się.

Agent jej to wyjaśnił. Ma krewnych w Chinach. Jej małżeństwo się rozpadło. Szpital nie płaci pensji.

– Mamy panią na oku, więc nie warto próbować ucieczki! – rzucił jej na odchodnym.

Potem odtworzyła sobie w pamięci tę rozmowę. I im więcej o tym rozmyślała, tym bardziej trafiały jej do przekonania argumenty tajniaka z Bowibu. Zasiał w niej ten pomysł, a ona nie mogła się od niego uwolnić.

Życie w Korei Północnej nie szczędziło jej rozgoryczeń. Były mąż wkrótce po rozwodzie ożenił się powtórnie. Sześcioletni synek mieszkał z byłymi teściami, ponieważ zgodnie z koreańskim prawem i tradycją dzieci rozwiedzionych rodziców należą do rodziny ojca i figurują tylko w jego dokumentacji rodzinnej. Doktor Kim, która mogła odwiedzać syna jedynie w niektóre weekendy, martwiła się, że dziecko jest małe i chude. Były mąż i teściowie nie bardzo mieli co jeść.

Jej powodziło się niewiele lepiej. Inni lekarze dorabiali sobie sprzedażą lekarstw i zabiegami, zwłaszcza przerywaniem ciąży. Ale doktor Kim do przeprowadzania aborcji nie miała kwalifikacji ani predyspozycji. Żywiła się tym, co dostawała od pacjentów, ale po pewnym czasie oni też nie mieli czym się dzielić.

W 1997 roku doktor Kim zrezygnowała z pracy na pediatrii. Nie mogła dłużej patrzeć w oczy głodującym dzieciom. Zajęła się pracą naukową, w nadziei, że nie będzie miała do czynienia z umierającymi ludźmi, ale do prowadzenia badań nie było warunków. Po śniadaniu lekarze zajmowali się zdobywaniem czegoś na kolację, po kolacji martwili się jutrzejszym śniadaniem. Doktor Kim zaczęła wcześniej wychodzić z pracy, by chodzić w góry na poszukiwanie jadalnych roślin. Czasem rąbała drewno na sprzedaż. Ważyła niecałe trzydzieści pięć kilogramów. Zwiędły jej piersi, przestała miesiączkować. Z odległości nie wyglądała na kobietę po trzydziestce, lecz na dwunastolatkę. Przez pierwszych kilka dni, gdy nie brała niczego do ust, z głodu byłaby gotowa odebrać jedzenie niemowlęciu. Ale po jakichś czterech dobach to minęło i miała już tylko dziwne uczucie, że jej ciało nie należy do niej, a ona unosi się w górę, po czym znów opada. Była skrajnie wyczerpana. Rano nie miała siły wstawać. Zrezygnowała z pracy społecznej w sekretariacie partii, a na początku 1998 roku przestała przychodzić do szpitala. Żeby zarobić, imała się różnych zajęć – sprzedawała na bazarze alkohol albo węgiel. Nie rozpaczała, że marnuje się jako lekarz. W szalejącym kryzysie liczyło się tylko to, żeby przetrwać.

Na bazarze spotkała któregoś dnia dawną koleżankę. Chodziły do jednej klasy w szkole średniej, obydwie cieszyły się powodzeniem i były zdolne, o

jednej i drugiej można było wtedy powiedzieć, że „świetnie się zapowiadają”. Koleżanka była przewodniczącą klasy. Wdały się w towarzyską rozmowę i choć obie były blade i wychudzone, wymieniły się komplementami na temat wyglądu. Gdy doktor Kim spytała koleżankę o rodzinę, ta odpowiedziała rzeczowo, że jej mąż i dwuletni synek zmarli, trzy dni po sobie.

Doktor Kim próbowała jej złożyć kondolencje.

– Och, teraz lepiej mi się powodzi. Mam mniej osób do wykarmienia – przerwała jej koleżanka.

Doktor Kim nie umiała powiedzieć, czy to bezduszność, czy szaleństwo, ale zrozumiała, że jeśli natychmiast nie wyjedzie z Korei Północnej, albo czeka ją to samo, albo zginie.

Ojciec przed śmiercią dał jej spis krewnych w Chinach oraz ich adresy sprzed lat. W pewnym sensie był to list samobójcy – ojciec, który postanowił zagłodzić się na śmierć, pisał go ręką drżącą z wycieńczenia. Doktor Kim, choć wtedy czuła się dotknięta jego zapiskami, nie wyrzuciła ich. Teraz sięgnęła do pudełeczka, w którym je przechowywała, delikatnie rozłożyła kartkę i popatrzyła na nazwiska.

– Oni ci pomogą – powiedział ojciec.

Doktor Kim wyruszyła do Chin samotnie. Nie stać jej było na przewodnika ani na łapówki dla strażników granicznych, musiała więc polegać wyłącznie na sobie, kierować się własnym rozumem i wyczuciem. W marcu 1999 roku przeprawiało się do Chin tak wielu ludzi, że w nadgranicznych miasteczkach można się było dowiedzieć, gdzie dokładnie należy to zrobić. Po wyjątkowo surowej zimie dopiero zaczynała się przedwiosenna odwilż i Tumen był jeszcze częściowo zamarznięty. Doktor Kim poszła tam, gdzie, jak słyszała, można przejść po lodzie. By sprawdzić jego grubość, co parę kroków rzucała przed siebie ciężkim kamieniem. Przy koreańskim brzegu lód był solidny. Wysuwała do przodu najpierw jedną stopę, potem drugą, delikatnie jak baletnica. Była mniej więcej w połowie drogi, gdy rzucony kamień zniknął w breji. Nie cofnęła się jednak i lodowata woda sięgnęła jej pasa. Rozgarniając rękami krę, torowała sobie drogę.

Wreszcie wygrzebała się na brzeg. Miała zdrętwiałe nogi i zamarznięte spodnie. Szła przez las, potem w porannym brzasku zobaczyła zabudowania na skraju wioski. Nie chciała zatrzymywać się na odpoczynek – bała się, że

zamarznie – ale czuła, że opada z sił. Nie mając wyboru, postanowiła zaryzykować i zwrócić się o pomoc we wsi.

Do gospodarstw prowadziła polna droga. Większość domów otaczały ogrodzenia z metalowymi furtkami. Jedna z nich nie była zamknięta na klucz. Popchnęła ją i zajrzała na podwórko. Na ziemi stała metalowa miseczka z jedzeniem. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła w niej biały ryż ze skrawkami mięsa. Doktor Kim nie pamiętała, kiedy po raz ostatni widziała miskę czystego, białego ryżu. Co tu robi ta miska, dlaczego stoi na ziemi? Domyśliła się i prawie jednocześnie usłyszała szczekanie.

Aż do tej chwili łudziła się nadzieją, że Chiny okażą się równie biedne jak Korea Północna. Wciąż chciała wierzyć, że jej kraj jest najlepszy na świecie. Że potwierdzi się to wszystko, w co wierzyła przez całe życie. Ale teraz nie mogła już zaprzeczyć temu, co zobaczyła na własne oczy: chińskie psy jadają lepiej niż lekarze w Korei Północnej.

Panna młoda na sprzedaż



[257] Północnokoreańskie żony Chińczyków, Tumen 2003

Nikogo nie zdziwiło, że Oak-hee szybko wykorzystała sposobność, by uciec z Korei Północnej. Najstarsza córka pani Song już jako dorastająca dziewczynka nie podzielała powszechnej miłości do Kim Ir Sena. Czerwoną chustę pionierską zdjęła od razu po skończeniu szkoły. Po śmierci Wielkiego Wodza w 1994 roku nie udawała, że płacze.

W miarę upływu lat, gdy w jej rodzinie robiło się coraz głodniej, narastała w niej złość. Uważała, że odpowiedzialność za kryzys gospodarczy ponoszą władze. Patriotyczne wymachiwanie flagami w takt pieśni *Marsz towarzyszy* („Żyjemy w państwie socjalistycznym bez zmartwień o jedzenie i ubranie. / Z wypiętą piersią spoglądamy dumnie na świat"), którym nieustannie raczyła ją telewizja, uważała za idiotyzm.

– Bez zmartwień? – prychała, gasząc telewizor.

Ale w gruncie rzeczy decyzję o wyjeździe z Korei Północnej podjęła nie tylko z powodu systemu, lecz także po to, żeby uciec przed mężem.

Ich małżeństwo od początku było burzliwe. Oak-hee i Yong-su, jak inne pary, kłócili się o seks i pieniądze, a gdy nadeszły trudne czasy, o jedzenie i sprawy polityczne. Yong-su zawsze był górą. Jeśli nie miał innych

argumentów, to dyskusję kończył ciosem, po którym Oak-hee przelatywała przez cały pokój.

Mimo że pił, dzięki koneksjom rodzinnym utrzymał posadę konduktora i mieszkanie. Praca konduktora należała do najatrakcyjniejszych na kolei. Gdy Yong-su jeździł nad granicę, dorabiał handlem z Chińczykami. Za ściągany z nieczynnych fabryk miedziany drut i złom żelazny płacił robotnikom pięć wonów, by odsprzedawać go za dwadzieścia pięć. Oak-hee była początkowo zdziwiona jego postępowaniem, bo mąż, choć nie przyjęto go do partii, dawniej kreował się niemal na aparatczyka i lubił wygłaszać mowy, w których pouczał ją i wszystkich dokoła o nieszczęściach, jakie niosą ze sobą egoizm i kapitalizm. Ganił ją, gdy żartowała z Kim Dzongila. Ale teraz zapomniał o dawnych skrupułach.

– Jeśli ktoś słucha partii, to znaczy, że jest głupi, bo dziś liczą się tylko pieniądze – powiedział.

Dzięki handlowi złomem mężowi Oak-hee powodziło się w dobie kryzysu stosunkowo dobrze. Z podróży nad granicę przywoził worki ryżu i sos sojowy, w mieszkaniu przez pewien czas mieli spore zapasy kukurydzy. Ilekroć jednak Oak-hee wspominała, że chciałaby dać trochę jedzenia głodującym rodzicom i bratu, Yong-su wpadał w furię.

– Jak możesz myśleć o pozbywaniu się żywności w tych czasach! – krzyczał.

Ponieważ podejrzewał, że i tak pomagałaby najbliższym, kiedy wyjeżdżał, prawie nie zostawiał w domu jedzenia ani pieniędzy, chociaż jego podróże trwały wiele dni i często przedłużały się, bo pociągi nie trzymały się rozkładów. W 1998 roku wyjechał na tydzień, nie zostawiając żonie z dziećmi – ośmioletnim synkiem i sześcioletnią córeczką – niczego do jedzenia. 5 czerwca, w Dzień Dziecka, syn miał uczestniczyć w szkolnych zawodach sportowych. Uczniom kazano przynieść drugie śniadanie, ale dom był całkowicie pusty. Oak-hee obiegła miasto, żeby uprosić coś od krewnych, oni jednak też nie mieli czym się podzielić. W końcu dostała kilka herbatników od siostry, która handlowała nimi na bazarze. Gdy w porze posiłku pędem dotarła do szkoły, jej zapłakany synek czekał na boisku.

– Kochanie, bardzo cię przepraszam – powiedziała, podając mu torebeczkę.

Niedoszły muzyk Yong-su miał ładny głos i umiał uwodzić kobiety. Teraz, gdy nie narzekał na brak pieniędzy, on i jego koledzy pili do późna i

zabawiali się z dziewczynami. Którejś nocy Oak-hee, śpiącą od dawna z dziećmi, zbudziły jego pijackie telepanie się po domu i spazmatyczny kobiecy śmiech. Nie wiedziała, czy sprowadził przyjaciółkę, czy prostytutkę, ale nie zamierzała wstawać, żeby to sprawdzić.

Od tego dnia zaczęła poważnie myśleć o wyjeździe. Mogłaby wystąpić o rozwód, ale wtedy wszystko by straciła. Partia głosiła wprawdzie, że niska pozycja kobiet w tradycyjnym społeczeństwie feudalnym słusznie należy do przeszłości, lecz były to puste deklaracje. System północnokoreański nie sprzyjał równouprawnieniu. W razie rozwodu mieszkanie i opiekę nad dziećmi przyznawano mężczyźnie, nawet jeżeli był winien przemocy albo zdrady. Oak-hee znajdowała się w szczególnie niekorzystnym położeniu z powodu degradacji klasowej jej rodziny oraz dlatego, że nie miała ojca, który mógłby negocjować w jej imieniu. Uznała więc, że byłoby najlepiej, gdyby udało jej się pojechać na zarobek do Chin. Jeśli uskłada dość pieniędzy na własne mieszkanie, to być może zdoła wymóc na mężu, by oddał jej dzieci.

Pewnego wieczora Yong-su wrócił do domu w wyjątkowo złym nastroju. Uderzył ją, powalił na podłogę i kopnął tak mocno, że niemal słyszała odgłos łamanych żeber. Nagle rozległo się pukanie – do ich mieszkania przy dworcu często zachodzili przyjezdni, żeby spytać o drogę. Gdy mąż poszedł otworzyć drzwi, Oak-hee podniosła się, schroniła w kuchni, po czym w nocnej koszuli wymknęła się tylnym wyjściem na ulicę.

Na dworcowym zegarze była dziesiąta wieczorem. Kończył się sierpień, było przyjemnie ciepło. Kiedy oddaliła się na bezpieczną odległość i wiedziała, że mąż jej nie dogoni, przystanęła, żeby pomyśleć, co ma dalej robić. Zwykle po awanturach uciekała do matki, która do jej rozciętych warg i podbitych oczu przykładała ciepłe kompresy. Nazajutrz, po otrzeźwieniu, Yong-su płakał, przepraszał i błagał, żeby wróciła, i Oak-hee zawsze wracała. Tak minęło dziesięć lat. Jeśli chce z tym skończyć, przyszła na to pora.

Bała się iść na dworzec w Chongjinie, bo tam mógłby ją zauważyć któryś z kolegów męża. W ciepłą noc ruszyła więc z centrum miasta na północ. Idąc wzdłuż torów kolejowych, dotarła do podmiejskiej stacji Suseong. W tym okresie było już tylu bezdomnych, że nikt nie zwracał uwagi na kobietę w koszuli nocnej.

Na stacji w Suseongu spędziła dwa dni. Rwało ją w żebrach, oślepiający ból przeszywał głowę wskutek odwodnienia i głodu, z powodu zawrotów

trudno jej było się podnieść. Ludzie na stacji zbili się w podnieceniu. Podstawiono pociąg do przygranicznego Musanu. Zebrawszy wszystkie siły, rzuciła się wraz z tłumem szturmującym drzwi i okna wagonów. Ludzie zajęli miejsca siedzące, zapełnili korytarze, toaletę, przejścia między wagonami, zwieszali się z okien, chwytali podwozi. W pociągu był taki tłok, że konduktor nie mógł się przecisnąć, żeby sprawdzić bilety i pozwolenia podróży. Po trzech dniach jazdy dotarła do Musanu. Bez dokumentów, bez pieniędzy, jedzenia i ubrania.

Była jednak względnie zdrową, trzydziestodwuletnią kobietą. Nigdy nie odznaczała się szczególną urodą. Matka mówiła o niej „ta bystra” – o jej młodszej siostrze mówiło się, że wygląda jak gwiazda filmowa – ale na Oak-hee głód nie odcisnął się tak bardzo jak na innych kobietach. Po matce niewysoka i z dużym biustem, nie sprawiała wrażenia wychudzonej. Z małym nosem i równymi, białymi zębami wyglądała młodo. Na prostytutkę była za stara, ale i tak nie brała pod uwagę takiego rozwiązania. Koreanki z Północy mogły się jednak sprzedać w inny sposób, uchodzący za bardziej przyzwoity.

Tuż za rzeką Tumen ciągnęły się kilometrami pola kukurydzy. Chińska wieś nie cierpiała na brak żywności, lecz na niedostatek kobiet. Ograniczenie liczby dzieci w rodzinie oraz tradycja preferująca synów sprawiły, że na trzynastu chłopców rodziło się tam dziesięć dziewczynek. Ponadto wiele młodych kobiet ze wsi migrowało do miast, by w dynamicznie rozwijającym się przemyśle znaleźć pracę lepiej płatną niż w rolnictwie. Wiejscy kawalerowie mieli trudności ze znalezieniem żon, zwłaszcza jeśli mieli więcej niż trzydzieści pięć lat i nie byli zamożni ani szczególnie przystojni. Korzystali więc z pomocy pośredników matrymonialnych, którzy za swoje usługi pobierali około trzystu dolarów, a jeśli kobieta była ładna i młoda, jeszcze więcej. Zresztą uroda i młodość nie były konieczne, bo starsi wdowcy do prowadzenia domu i gotowania szukali zdrowych kandydatek nawet po sześćdziesiątce.

Chińczycy uważali, że Koreanki z Północy mają w sobie jakiś tajemniczy urok. Mimo że nosiły fizyczne ślady niedożywienia, uchodziły za jedne z najpiękniejszych kobiet w Azji. Mężczyźni z Korei Południowej powiadali: *buk nyeo, nam nam* – kobiety północy, mężczyźni południa – co było jakoby najbardziej pożądanym zestawem genów. Chińczycy twierdzili, że Koreanki z Północy są skromniejsze i bardziej posłuszne od Chinek.

Oak-hee wiedziała wszystko o chińskim rynku matrymonialnym. Gdy w Chongjinie znikała tajemniczo jakaś kobieta, ludzie szeptali: „Ta dziwka pewnie sprzedała się Chińczykom”.

Transakcję można było przeprowadzić już na stacji w Musanie. Wystarczyło, by samotna kobieta zatrzymała się tam na trochę, by ktoś zgłosił się do niej z ofertą. Do Oak-hee podszedł człowiek, który, jak się okazało, był dawnym znajomym jej męża. Zaproponował jej następujące warunki: przewodnik przeprowadzi ją bezpiecznie przez rzekę, tam dostanie bieliznę, ubranie, wyżywienie i tymczasowe lokum. Pośrednik znajdzie jej porządnego człowieka, z którym będą żyli jak mąż i żona, ale obie strony muszą być świadome, że ich związku nie można zalegalizować w świetle prawa chińskiego. Ona musi się zobowiązać, że pozostanie z wybranym dla niej mężczyzną. W związku będzie miała dostęp do pieniędzy.

Oak-hee przyjęła tę ofertę z jednym zastrzeżeniem. Mężczyzna miał nie znać koreańskiego. Różniła się pod tym względem od większości Koreanek, które wolały partnerów należących do mniejszości koreańskiej.

– Nie zgadzam się na Koreańczyka, chcę żyć w świecie, gdzie nikt mnie nie zna – oświadczyła.

Znaleziono jej trzydziestopięcioletniego wieśniaka. Bardzo niski, jej wzrostu – mierzył około stu pięćdziesięciu pięciu centymetrów. Tępy z wyglądu – Oak-hee podejrzewała go wręcz o lekkie upośledzenie umysłowe – był tak nieśmiały, że nie umiał jej spojrzeć w oczy. „Nic dziwnego, że się nie ożenił” – pomyślała. Przedstawiono ich sobie w małej jadłodajni po chińskiej stronie. Koreanka, którą razem z nią przeprawiono przez granicę, została sprzedana mężczyźnie wyższemu i śmielszemu, umiejącemu się śmiać i żartować. Oak-hee poczuła ukłucie zazdrości, ale szybko się zreflektowała: na tym polegał jej wybór, chciała mężczyzny, którego nie będzie w stanie pokochać.

Chińczykom zostały sprzedane dziesiątki tysięcy Koreanek z Północy. Według niektórych szacunków wśród mniej więcej stu tysięcy uchodźców z Korei Północnej zamieszkałych w Chinach trzy czwarte stanowią kobiety, z których ponad połowa żyje w zaaranżowanych związkach z Chińczykami. Krąży mnóstwo opowieści o tych, które były bite, gwałcone, zakuwane w łańcuchy, zmuszane do niewolniczej pracy. Oak-hee miała znacznie więcej szczęścia. Jej mężczyzna, o imieniu Minyuen, nie miał cienia swady jej męża, ale jego dobroć wydawała się niemal nieżyciowa. Gdy po raz pierwszy szli do łóżka, zaniósł tam Oak-hee na rękach i najpierw obmył jej

nogi w misce z ciepłą wodą. Specjalnie dla niej przygotowywał posiłki i nie pozwalał jej zmywać naczyń. Jego rodzice też odnosili się do niej z czułością.

Oak-hee żyła z nim przez ponad dwa lata. Na tyle nauczyła się chińskiego, że mogli rozmawiać. Z podręcznika geografii dla dzieci dowiedziała się, gdzie mieszka. Znalazła się w żyznej prowincji Szantung (Shandong), gdzie rosną bawełna i pszenica, o tysiąc kilometrów na południowy zachód od miejsca, w którym przekroczyła granicę. Na wschód było miasto Quingdao. Zapamiętała, jak się tam jedzie autobusem. Przez cały czas myślała o ucieczce.

Dwukrotnie przerwała ciążę. Minyuen marzył o dzieciach, ale zdołała mu to wyperswadować. Chińskie władze nie uznawały małżeństw z Koreankami z Północy, więc dziecko nie miałoby obywatelstwa i nie mogłoby chodzić do szkoły.

– Mam już dwójkę dzieci w Korei Północnej i prędzej czy później będę musiała do nich wrócić – powtarzała mu, a on smutno kiwał głową.

Gdy przyszła na nią pora, Minyuen odprowadził ją na autobus i dał jej sto dolarów. Płakał. Spodziewała się, że będzie ją błagał, żeby została, ale tego nie zrobił. Nie był taki tępy, jak myślała o nim na początku. Powiedział jej tylko:

– Proszę, uważaj na siebie.

Podróż, w którą wyruszyła Oak-hee, rzeczywiście była niebezpieczna. W 2000 roku Chiny uznały, że mają dość uciekinierów z Korei Północnej. Uważano, że jest ich za dużo, że zabierają pracę rdzennym Chińczykom i naruszają równowagę etniczną w północno-wschodniej części kraju. Wbrew stanowisku międzynarodowych organizacji praw człowieka, które utrzymywały, że za uchodźców zbiegłych w poszukiwaniu jedzenia i bezpieczeństwa Chiny ponoszą odpowiedzialność moralną i prawną, tamtejsze władze traktowały ich jako nielegalnych imigrantów, którzy przekroczyli granicę z powodów ekonomicznych, więc nie podlegają ochronie w myśl podpisanej przez Chiny oenzetowskiej konwencji o statusie uchodźców. Chińczycy powoływali się na tajne porozumienie dwustronne z Koreą Północną z 1986 roku o współpracy w zwalczaniu nielegalnego ruchu granicznego.

Obławy na północnokoreańskich zbiegów nasilały się w Chinach okresowo. Na terenach przygranicznych wzmacniano posterunki drogowe i kontrolowano dokumenty. Ponieważ uciekinierów, którzy w ciągu paru

miesięcy zazwyczaj przybierali na wadze i kupowali sobie nowe ubrania, trudno było rozpoznać, władze chińskie wpuszczały na swoje terytorium północnokoreańską policję. Współpracowników i donosicieli rekrutowano także w środowisku uciekinierów. Za donosy na Koreanki z Północy żyjące z Chińczykami władze płaciły czterdzieści dolarów. Kobiety zabierano z domów od faktycznych mężów i dzieci. Po zapłaceniu kary mężczyźni mogli zatrzymać dzieci. W czasie takiej akcji przeprowadzonej w marcu 2000 roku aresztowano co najmniej osiem tysięcy kobiet. (W 2008 roku wciąż przeprowadzano obławy na uciekinierów z Korei Północnej).

We wsi swojego chińskiego męża Oak-hee była bezpieczna, bo w głębi kraju nie polowano na Koreańczyków z Północy. Ale żeby zarobić, musiała przenieść się tam, gdzie mieszkali ludzie znający koreański i gdzie łatwiej było dla niej o pracę, czyli pojechać na tereny przygraniczne. Pieniądze były dla niej jedyną szansą na niezależność i odzyskanie opieki nad dziećmi. Odżywiona i wypoczęta, wierzyła, że zdobędzie pracę w restauracji albo fabryce, a potem może założy własny biznes. Wsiadła do autobusu jadącego na północ, ale nie w okolice, w których przeszła przez rzekę, lecz do Dandongu, największego miasta na granicy chińsko-koreańskiej.

Dandong przeżywał boom. U nabrzeża rzeki Yalu, w gąszczu dźwigów błyszczały szklane fasady nowoczesnych biurowców i budynków mieszkalnych. W porównaniu z północnokoreańską nędzą po drugiej stronie rzeki, jego dobrobyt wydawał się uderzający. Ale, jak się wkrótce okazało, przyjazd do tego miasta nie przyniósł Oak-hee szczęścia. Przez Dandong prowadziła magistrala kolejowa łącząca Pekin z Pjongjangiem, przez tamtejszy most Przyjaźni Chińsko-Koreańskiej przepływała znaczna część oficjalnej wymiany handlowej między obydwoma krajami, a północnokoreańskie państwowe przedsiębiorstwa handlowe miały w Dandongu swoje przedstawicielstwa. W mieście roiło się od tajnych agentów bezpieki.

Oak-hee, aresztowaną w styczniu 2001 roku, odstawiono na posterunek policji w mieście Sinuiju na drugim brzegu rzeki. Po dwóch latach spędzonych w Chinach była wstrząśnięta widokiem swojego kraju. W środku ostrej zimy w komisariacie nie było ogrzewania. Z zimna trzęśli się policjanci i więźniowie. Z braku papieru funkcjonariusz spisywał jej dane na drewnianej tabliczce. Zbliżała się amnestia z okazji urodzin Kim Dzongila i tysiące drobnych przestępców miało wyjść na wolność. Oak-hee wypuszczono zaledwie po dwóch tygodniach aresztu.

Po wyjściu natychmiast ponownie przeszła przez rzekę do Chin.

Przed aresztowaniem Oak-hee najpierw pracowała w cegielni, potem w restauracji. Dolar czy dwa, które zarabiała dziennie, mogły się wydawać fortuną – stanowiło to równowartość miesięcznych zarobków w Chongjinie – ale w Chinach były to skromne sumy. Tym razem Oak-hee potrzebowała pracy, w której można zarobić więcej, nawet jeśli oznaczałoby to większe ryzyko. Postanowiła zatrudnić się u pośrednika matrymonialnego, takiego jak ten, który zaaranżował jej związek. W ramach pierwszego zlecenia miała się przekraść do Korei Północnej, by odszukać pozostawione tam dziecko i przeprowadzić je przez Tumen do Chin, gdzie czekała na nie rodzina. Oak-hee podjęła się tego zadania.

Dziecko prawdopodobnie przebywało w Musanie, przez który ona uciekała za pierwszym razem. Dobrze znała to miasto i miejscowy dialekt, więc wierzyła, że przez parę dni przetrwa tam, nie zwracając niczyjej uwagi. Ale się myliła. Policjant wyłuskał ją z tłumu pierwszego dnia po przyjeździe.

– Stać – krzyknął do niej. Po przeszło dwóch latach w Chinach Oak-hee była pulchna i miała jasną cerę. Używała pachnącego szamponu i mydła. Wyglądała i pachniała inaczej niż wszyscy. Do tego miała przy sobie kupione w Chinach tranzystorowe radio, które odbierało południowokoreańskie programy. Policjant skonfiskował jej odbiornik (najpierw kazał jej sobie pokazać, na jakich częstotliwościach można złapać Koreę Południową) i odebrał słuchawki, po czym przekazał ją Bowibu.

Oak-hee znalazła się w areszcie razem z ponad setką ludzi zatrzymanych w obławie. Kazano im klęczeć bez ruchu. Strażnicy chodzący między rzędami bili każdego, kto się poprawiał, żeby odciążyć kolana. Po takim uderzeniu Oak-hee pozwalała sobie jedynie na poruszanie oczami. Przyglądała się swoim współtowarzyszom. Na pierwszy rzut oka było widać, kto był w Chinach. Ci ludzie, tak jak ona, mieli jaśniejszą cerę, byli lepiej ubrani i wyglądali zdrowiej. Inni, wychudzeni, o ziemistej cerze, często bez butów, zostali prawdopodobnie złapani przy próbie przejścia przez rzekę.

To, że jednych i drugich trzymano razem, Oak-hee uznała za dobry znak. Liczyła przede wszystkim na to, że władze nie dowiedzą się o jej współpracy z pośrednikiem. Miała także nadzieję, że policjant, który skonfiskował jej radio, tego nie zgłosił i zatrzymał odbiornik dla siebie. Kary za ucieczkę były zróżnicowane w zależności od pochodzenia

klasowego zbiega oraz tego, co robił w Chinach. Ci, którzy przeszli przez granicę, żeby zdobyć jedzenie, dostawali łagodniejsze wyroki od tych, którzy tam mieszkali i pracowali. Winnym handlu kobietami, kontaktów z Koreańczykami z Południa, handlu płytami DVD oraz uczestnictwa w praktykach religijnych podczas pobytu w Chinach groził zarzut zdrady ojczyzny oraz kara śmierci lub obóz.

Aresztantów pogrupowano wreszcie według ich miejsca zamieszkania. Tak się złożyło, że wielu z nich pochodziło z Chongjinu. Nie było kajdanków, więc strażnicy związali więźniów po trzech nylonowymi żyłkami za kciuki. Zrobili to tak mocno, że palce, z których nie odpływała krew, stały się sinogranatowe. Więźniów odeskortowano do specjalnego pociągu i posadzono trójkami na dwuosobowych siedzeniach. Oak-hee zobaczyła, że mężczyzna siedzący naprzeciwko próbuje coś wydobyć z kieszeni. Miał przy sobie ukrytą zapalniczkę. Stopił nią plastikową żyłkę i zanim strażnicy zdążyli się zorientować, wyskoczył wraz z dwoma towarzyszami przez okno. Kobiety nie miały odwagi się ruszyć. Wstawały tylko, gdy jedna z nich musiała skorzystać z toalety: odprowadzano je tam we trzy, związane za kciuki.

Pociąg zatrzymał się, i Oak-hee zobaczyła, że są na dworcu w Chongjinie. Był wrzesień 2001 roku, od jej ucieczki w koszuli nocnej minęły trzy lata. Teraz wróciła: upokorzona, z pulsującymi kciukami, związana jak na galerach.

– *Baka, baka* – pochylić się, pochylić, krzyczeli konwojenci do więźniów wychodzących z pociągu.

Oak-hee i tak spuściłaby głowę jak najniżej. Co by było, gdyby zobaczył ją mąż albo któryś z jego kolegów? Kolumna przemaszerowała przez poczekalnię, przez plac przed dworcem, gdzie jej matka sprzedawała wypieki, i praktycznie pod oknami jej mieszkania. Sama kiedyś oglądała taki spektakl przez okno i w tłumie więźniów wypatrywała znajomych twarzy.

Prowadzono ich wśród ciekawskiego tłumu główną ulicą Chongjinu, potem przeszli przez dwa mosty, minęli dzielnicę przemysłową i podmokłe tereny, jedyne miejsce w mieście, gdzie były poletka ryżowe. Skręcili w stronę morza i doszli do kompleksu więziennego, otoczonego betonowym murem i drutem kolczastym. Więzienie Nongpo zbudowali Japończycy dla bojowników koreańskiego ruchu oporu. Już sama jego nazwa budziła

przerażenie. Teraz Nongpo zapełniali więźniowie złapani na próbach ucieczki.

Kobiety trzymano w trzech dużych celach, tak zatłoczonych, że więźniarki śpiące pokotem na ziemi musiały leżeć na boku. Te, dla których nie starczyło miejsca, spały na korytarzu przy ubikacji. Co parę dni przyjeżdżał nowy transport więźniów, zwykle liczący około stu osób. Strażnicy robili im rewizję osobistą, kobiety w widocznej ciąży oddzielali od pozostałych i niezależnie od jej zaawansowania kierowali na aborcję. Zakładano, że ojcami tych dzieci są Chińczycy.

W Nongpo więźniarek było dwa razy więcej niż mężczyzn, podobnie jak w całej populacji uciekinierów. Gdy Oak-hee poznała lepiej te kobiety, uderzyło ją, jak bardzo ich losy przypominały jej własną historię. Wiele z nich uciekło od mężów i zostawiło dzieci, tłumacząc ten krok nadzieją na zdobycie pieniędzy i jedzenia dla rodziny. Oak-hee potępiała te kobiety, podobnie jak potępiała siebie. Nigdy nie wybaczyła sobie, że zostawiła dzieci.

„Ale z nas wredne suki. Stałyśmy się takie z głodu” – powiedziała w duchu.

W obozie miała mnóstwo czasu na rozmyślania. Po długich dniach niewolniczej pracy przychodziły długie wieczory z zajęciami z samokrytyki i wykładami. Więźniowie byli źle niedożywieni i czasem znęcano się nad nimi, ale w Nongpo prawdopodobnie panowały lepsze warunki niż w innych w więzieniach. W soboty wieczorem pozwalano kobietom nabrać na kąpiel wody ze studni w podwórzu. Więźniarki wzajemnie iskały sobie wszy. Oak-hee w czasie całego pobytu w Nongpo tylko raz była świadkiem brutalnego pobicia. Jedna z więźniarek w przypływie wściekłości próbowała się wdrapać na więzienny mur. Był to raczej napad furii niż rzeczywista próba ucieczki, ale strażnicy ściągnęli ją, po czym na oczach więźniów skopali i zbili prawie do nieprzytomności.

Oak-hee odnosiła wrażenie, że kobiety w Nongpo są bardziej wściekłe niż przerażone. W czasie przymusowej pracy – przy wyrobie cegieł i pieleniu w polu – ich twarze zastygały w grymasie nienawiści. „Przez całe życie karmiono nas kłamstwami. Nasze życie jest kłamstwem. Cały ten system to kłamstwo” – powtarzała sobie w duchu, przekonana, że to samo myślą współwięźniarki.

Nawet administracja obozu nie wierzyła w reedukację. Zajęcia odbywały się jedynie dla zachowania pozorów, bez przekonania

odczytywano więźniom rezolucje partii. Wydawało się, że wszyscy uczestniczą w kłamstwie.

Któregoś dnia, gdy kobiety pracowały przy zbieraniu kukurydzy, na pole przyszedł naczelnik więzienia, by wygłosić wykład w terenie. Takie odczyty były na porządku dziennym. Nawoływał je, by w duchu nauk Kim Ir Sena stawiły czoło pokusom kapitalizmu i poświęciły się dla dobra kraju.

Na koniec powiedział:

– Kto przyrzeka nie uciekać więcej do Chin? Ręka w górę.

Zapadła głucha cisza. Oak-hee rozejrzała się: ani jedna kobieta nie podniosła ręki.

Po dłuższej chwili naczelnik dorzucił:

– Jeżeli chcecie jechać do Chin, to następnym razem nie dajcie się złapać.

W istocie, Oak-hee już planowała następny krok. Pewnego dnia skierowano ją do pielenia warzyw na otoczonym jedynie drutem kolczastym polu za murami. Po drugiej stronie drutów starsza kobieta pasła kozy. Oak-hee, rozejrzawszy się, czy w pobliżu nie ma strażników, zagadała do niej. Złożyła jej następującą propozycję: za przekazanie wiadomości o niej jej matce podaruje kobiecie majtki. W Korei Północnej trudno było o bieliznę, a Oak-hee miała nowe majtki, niedawno kupione w Chinach. Propozycja została przyjęta.

Oak-hee przykucnęła i ściągnęła majtki. Zwinęła je w kulkę, w środek włożyła karteczkę z adresem matki, po czym przerzuciła bieliznę nad ogrodzeniem.

Otworzyć oczy, zamknąć usta



[271] Świętowanie na ulicy w czasie Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej, Seul 2002

Pani Song nie zdziwiła się na wieść, że Oak-hee jest w Nongpo. Uważała, że córka prędzej czy później wyląduje w więzieniu. Po jej ucieczce od męża przed trzema laty nie miała od niej żadnej wiadomości, ale zakładała, że Oak-hee wyjechała do Chin, jak inne dziwki i zdrajcy. Skoro sprzeniewierzyła się krajowi, zasługuje na więzienie. Ale córka to córka. Pani Song nie mogła pozwolić, by jej pierworodna zgniła w najsłynniejszym więzieniu w Chongjinie.

Długie lata zmagań o przetrwanie zmusiły panią Song do kompromisów. Nauczyła się także kombinowania. Dawno zrozumiała, że łapówka pozwala wybrnąć niemal z każdego kłopotu. Jeśli tylko człowieka nie przyłapano na lżeniu Kim Ir Sena, to można się było wykupić nawet od wyroku śmierci. Kupiła więc na czarnym rynku dziesięć kartonów papierosów po pięćdziesiąt wonów. Następnie zasięgnęła języka, żeby się dowiedzieć, jaka instancja w aparacie bezpieczeństwa nadzoruje Nongpo, mrucząc pod nosem, że na marnotrawną córkę idzie jej tygodniowy zarobek.

Kilka dni później Oak-hee stanęła w progu i rzuciła się matce w ramiona.

Pani Song aż krzyknęła na jej widok. Był październik, nastały chłody, a córka przyszła prawie nago i boso. Strażnicy w Nongpo pocięli jej buty, podejrzewając, że chowa pieniądze w podeszwach. Oak-hee odpruła rękawy bluzki na podkłady menstruacyjne. Bieliznę oddała. Ubranie było w strzępach, głowa roiła się od wszy. Ale gdy pani Song zrobiła jej kąpiel, zobaczyła, że córka wygląda lepiej niż przed wyjazdem z kraju. Mimo że od tygodni żywiła się więzienną papką i surową kukurydzą z pola, nie cierpiała na dystrofię mięśni i miała jasną, zaróżowioną skórę.

Oak-hee nie zamykały się usta. W maniakalnym przypływie energii rozwodziła się z przejęciem o Chinach, o białym ryżu, który jadali tam na śniadanie, obiad i kolację, o sklepach i ubraniach. Jej opowieść z podróży była jednocześnie przemową polityczną. Pani Song słuchała tego razem z dwiema młodszymi córkami.

– A jak jest w Korei Południowej? – pytały.

Oak-hee nie wiedziała tego z pierwszej ręki, ale w Chinach naoglądała się południowokoreańskiej telewizji.

– Korea Południowa jest bogata. Nawet Chińczycy nie marzą o takim dobrobycie. Przysięgam, że wyjadę tam jeszcze przed śmiercią.

Zasłuchane siostry siedziały po turecku na podłodze. Opowieść fascynowała je i przerażała. Najbardziej sceptyczna z nich trzech była ta średnia, która wyszła za strażnika na kolei. Słuchając wywodów Oak-hee, coraz szerzej otwierała oczy. Przerwała niepewnie, bo siostra zawsze ją onieśmielała:

– Ale nasz Marszałek tyle zrobił, żebyśmy… – wskazała na portrety ojca i syna odkurzone tego ranka przez matkę.

– Ty nic nie rozumiesz? Twój Marszałek zrobił z was wszystkich idiotów – warknęła Oak-hee.

Yong-hee, najmłodsza córka, która po rozwodzie zamieszkała z matką, choć była skłonna zgodzić się z tym poglądem, bała się, że gadatliwość siostry źle się dla nich skończy. W ich rodzinie dość już było nieszczęść. Pani Song wprawdzie mieszkała w wolnostojącym domku, ale kto wie, czy ktoś ich nie podsłuchuje na dworze.

– Uważaj na to, co mówisz. Zresztą wszystkie musimy zachować ostrożność – powiedziała.

Gdy już Oak-hee opowiedziała o wszystkim matce i siostrom, znalazła sobie inne słuchaczki. Chociaż *ajumma* z sąsiedztwa wzięły ją na języki, one też były ciekawe. Wpadły po południu, żeby przywitać się z Oak-hee, i chętnie zostały na dłużej.

– Przejrzyjcie na oczy. Ten cały kraj to więzienie. To jest żałosne. Tutaj ludzie nie mają zielonego pojęcia o świecie.

Ilekroć w telewizji pokazywali Kim Dzongila, ogarniała ją wściekłość.

– Kłamca! Oszust! Złodziej! – krzyczała do ekranu.

Matkę w końcu wyprowadziło to z równowagi. Gadanina Oak-hee zagrażała im wszystkim. Gdyby nie była jej córką, pani Song uznałaby, że musi to zgłosić do *inminbanu*. Choć tyle przeszła, nie straciła wiary.

– Zamknij się! Zdradziłaś ojczyznę! – krzyknęła.

Oak-hee była wstrząśnięta, bo matka rzadko podnosiła głos, ale nie miała zamiaru zamilknąć. Rzuciła więc drwiąco:

– Dziękuję, że raczyłaś mnie urodzić w tym cudnym kraju. Kogo bardziej kochasz? Kim Dzongila czy mnie?

Kłótniom nie było końca. Po czterdziestu dniach spędzonych u matki, Oak-hee na tyle doszła do siebie, że postanowiła działać. Zapewniła panią Song oraz siostry, że dostała nauczkę i wraca do Chin, żeby zarobić, ale tym razem nie da się złapać. Pani Song, nie bez utyskiwań, pożyczyła jej pieniądze. Choć umierała z niepokoju, wyjazd córki przyjęła z ulgą.

Przez osiem miesięcy Oak-hee nie dawała znaku życia. W czerwcu do pani Song zapukała nieznajoma kobieta, która twierdziła, że ma dla niej wieści od córki. Matka przygotowała się na najgorsze. Oak-hee na pewno znowu jest w więzieniu, pomyślała. I znowu trzeba ją będzie wykupić. Ale nie, kobieta powiedziała, że Oak-hee mieszka niedaleko granicy chińskiej, pracuje i dobrze jej się powodzi. Chciałaby oddać matce dług, ma dla niej i sióstr ubrania i inne podarunki, ale w obawie przed aresztowaniem woli nie jechać do Chongjinu. Dlatego byłoby najlepiej, gdyby matka wybrała się do niej w odwiedziny.

Pani Song zaczęła się wahać. Nie znała tej kobiety. Od czasu katastrofy kolejowej w 1995 roku, zgubnej w skutkach dla jej najbliższych, nigdzie nie jeździła. W gruncie rzeczy nie potrzebowała pieniędzy, jej wypieki dobrze się sprzedawały. Na bazarze Songpyeon powstały zadaszone stragany, płaciła tam placowe i pracowała legalnie. Miała poczucie, że jest kobietą interesu. Poza tym właściwie po raz drugi wyszła za mąż. Ze starszym wdowcem, przyzwoitym i stosunkowo zamożnym człowiekiem, który

potrzebował pomocy w prowadzeniu domu, związali się nie tylko ze względów praktycznych. Jeszcze nigdy nie żyła tak wygodnie. Nie miała powodów, by wyprawiać się w niebezpieczną podróż na granicę chińską, pamiętała jednak o pięciuset wonach, które wydała na wykupienie córki z więzienia. Ta nieznajoma kobieta zapewniła ją, że nie musiałaby podróżować koleją, bo Oak-hee załatwiła jej transport samochodem. To na pani Song zrobiło wrażenie. Postanowiła pojechać.

Pani Song wyruszyła do Musanu w upalny, deszczowy dzień w czerwcu 2002 roku. Zabrała rzeczy na jedną noc. Prześpi się u córki i nazajutrz rano ruszy w drogę powrotną. Ale gdy przyjechała na miejsce, po Oak-hee nie było śladu. Ta kobieta mówiła jej tylko, że córka pracuje w pobliżu granicy. Nie powiedziała gdzie, ale to się szybko wyjaśniło: Oak-hee jest po tamtej stronie.

– Pieniądze i ubrania odbierze pani w Chinach. Córka czeka tam na panią – powiedziała jej nieznajoma. I poznała ją z mężczyzną, o którym mówiła, że to jej mąż. – Proszę się nie martwić. On się wszystkim zajmie.

Pani Song uznała, że skoro już pokonała kawał drogi, nie warto się wycofywać. Innym samochodem pojechali do leżącego też nad granicą miasteczka Hoeryong. Tam przeczekali do zmroku.

Gdy o dziesiątej wieczorem dotarli nad Tumen, ciągle padało. Wezbrana rzeka wystąpiła z brzegów, które zamieniły się w błotniste i śliskie mokradło. Pani Song nie bardzo wiedziała, gdzie zaczyna się właściwe koryto. Dołączyli do nich dwaj mężczyźni w mundurach północnokoreańskiej straży granicznej. Jeden z nich wziął ją jak dziecko na barana, drugi go podtrzymywał, żeby nie przewrócił ich nurt. Zachwiali się parę razy, tracąc niemal grunt pod nogami. Pani Song bała się, że wpadnie do wody i porwie ją prąd. Jak większość Koreańczyków z jej pokolenia, nie umiała pływać. Chciała krzyknąć: „Ja chcę z powrotem, chcę wracać!”, ale zanim zdążyła wydobyć z siebie głos, byli po drugiej stronie. Jeden z przewodników zapłacił strażnikom, po czym wszedł do rzeki, by wrócić na koreański brzeg. Pani Song ruszyła w drogę razem z drugim przewodnikiem. Po ciemku wdrapali się na wzgórze, o brzasku dotarli do jakiejś wioski.

Potem wsiedli do taksówki, pani Song zrobiła to pierwszy raz w życiu. Samochody, ciężarówki, skutery jechały wąskimi uliczkami na targ. Trąbiły klaksony. Była ósma rano, otwierano sklepy. W oknach wystawowych z hałasem zwijały się metalowe żaluzje. Z wielkich głośników nad

sklepowymi drzwiami zaczynała płynąć muzyka. Głośna, okropna muzyka, pomyślała pani Song. Chciała zatkać sobie uszy. Jeśli tak ma wyglądać kapitalizm, to jej się to nie podoba. Za dużo hałasu. Jak Oak-hee może żyć w czymś tak straszliwym?

Przewodnik zatrzymał się, żeby kupić im na śniadanie jajka, kiełbasę i nóżki wieprzowe. Wyjechali z miasteczka i polną drogą dotarli do wiejskich zabudowań. Weszli do jednego z domów. Przewodnik przedstawił panią Song gospodarzowi i jego kilkunastoletniej córce. Mieli obywatelstwo chińskie, ale z pochodzenia byli Koreańczykami i mówili praktycznie tym samym dialektem, co ona. Poprosili ją, żeby się rozgościła. Dom sam w sobie nie wydawał się niczym nadzwyczajnym: z czerwonej cegły, przykryty dachówką, od frontu ogrodzony drewnianym płotem chałupniczej roboty – ale w środku było w nim pełno najróżniejszych sprzętów, jak wieża stereo, filtr do wody, kolorowy telewizor. Gospodarz co chwila otwierał lodówkę i wyjmował nowe rzeczy do jedzenia i picia. Piwo, owoce, kimczi. Do tego doszły jeszcze produkty kupione przez przewodnika. Tak bogato zastawiony stół pani Song oglądała tylko na weselach. Było wszystko, o czym tylko mogłaby zamarzyć. Brakowało tylko Oak-hee.

– Gdzie jest moja córka? – spytała.

Mężczyzna, zerkając na nią, mruknął coś niewyraźnie. Pani Song powtórzyła pytanie, tym razem bardziej stanowczo.

– Wyjechała za pracą – powiedział. Pani Song jakoś mu nie dowierzała. Gospodarze byli dla niej mili, może nawet zbyt mili. Pewnie coś ukrywają, pomyślała, ale była zbyt wyczerpana, żeby dalej drążyć. Zapadła w niespokojny sen. Kiedy się obudziła, a po Oak-hee wciąż nie było śladu, do głowy przyszła jej rzecz straszna: zostałam porwana.

Pani Song zaczęła się zastanawiać nad ucieczką. Ale dokąd? Nie miała pojęcia, gdzie jest. Jej przewodnik odjechał. Czy powinna wprost powiedzieć gospodarzom, o co ich podejrzewa? Co się dzieje z Oak-hee? Właściciele domu przez cały czas ją uspokajali, mówili, że córce coś wypadło i że niedługo wróci. Następnego dnia Oak-hee wreszcie zatelefonowała. Na linii trzeszczało i pani Song miała wrażenie, że córka dzwoni z daleka. Próbowała uspokoić matkę, zapewniała ją, że wszystko jest w porządku, mówiła, że niedługo się zobaczą, prosiła, żeby odpoczęła.

– Ale gdzie ty właściwie jesteś? – spytała podejrzliwie pani Song.

– W Hanguk.

Pani Song nic nie mówiła ta nazwa.

– Gdzie to jest? Niedaleko Shenyangu? – dopytywała, wymieniając jedno z największych miast w północno-wschodnich Chinach, odległe o blisko pięćset kilometrów od miejsca jej pobytu.

– Dalej. Zadzwonię jutro i wszystko ci wyjaśnię.

Koreańczycy z Północy na określenie swego kraju używają nazwy Chosun, o sąsiedzie z południa mówią Nam Chosun, co znaczy dosłownie Korea Południowa. Koreańczycy z Południa nazywają swój kraj zupełnie inaczej. Mówią o nim Hanguk.

W następnej rozmowie Oak-hee przyznała się, że jest w Korei Południowej. Pani Song nie wierzyła własnym uszom. Trzęsła się z wściekłości. Bała się, że dostanie zawału. Oak-hee nieraz narozrabiała, począwszy od głupot, jakie wygadywała w dzieciństwie, na wylądowaniu w więzieniu kończąc, ale teraz miarka się przebrała. Bo przeszła na stronę wroga. Opłaciła ludzi, którzy podstępem ściągnęli tutaj jej matkę. Pani Song nigdy w życiu nie była tak wściekła.

– Zdradziłaś! Nie jesteś moją córką! – krzyknęła do telefonu i rzuciła słuchawką.

Oak-hee wydzwaniała przez następne trzy dni. Pani Song nie chciała podejść do telefonu. W końcu dała za wygraną.

Oak-hee płakała.

– Mamo, kocham cię. Chcę, żebyś przyjechała tutaj i zamieszkała ze mną. – Opowiedziała jej troszkę, co się z nią dzieje. Ma pracę. Od władz południowokoreańskich dostała pieniądze, żeby urządzić się po przyjeździe.

– Skoro w Seulu jest tak cudownie, to czemu płaczesz? – spytała ją matka.

Pani Song doszła do wniosku, że Oak-hee została przekupiona przez Koreańczyków z Południa, przez te marionetki posłuszne imperialistycznym bandytom amerykańskim. Gdy wyciągną z niej różne informacje, będą ją torturować, a potem zabiją. Słyszała, że Korea Południowa tak postępuje z uciekinierami z Północy. Nie ma powodu, by temu nie wierzyć.

– Mylisz się, mamo – obruszyła się Oak-hee. – Płaczę, bo tęsknię za tobą i chcę, żebyś tu przyjechała.

Pani Song nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała córce, że jak tylko zbierze siły przed podróżą, wraca do Korei Północnej. Odpocznie i ruszy za parę dni.

Zaczęła więc leniuchować, dużo drzemać, jeść, oglądać telewizję. Przez wielki biały talerz anteny satelitarnej przy domu można było odbierać

telewizję południowokoreańską. Z tamtejszych telenoweli pani Song podobał się najbardziej *Szklany pantofelek*, opowieść o dwóch sierotach rozdzielonych w dzieciństwie. W oczekiwaniu na kolejne odcinki przełączała się na kanał sportowy, gdzie pokazywano mecze futbolowe.

W 2002 roku Korea Południowa była wraz z Japonią gospodarzem mistrzostw świata w piłce nożnej. Tak wielu transmisji z Seulu nie nadawano od czasu olimpiady w 1988 roku. Pani Song mniej interesowała się piłką, bardziej ciekawiły ją migawki z Korei Południowej. Siłą rzeczy widziała samochody, wieżowce, sklepy. W przerwach na reklamy oglądała telefony komórkowe i inne przedmioty, o których nigdy w życiu nie słyszała.

Gdy Korea Południowa pokonała Polskę, zremisowała ze Stanami Zjednoczonymi, pobiła Portugalię, Włochy i Hiszpanię i jako pierwsza w historii mistrzostw drużyna z Azji weszła do półfinału – miliony rozentuzjazmowanych ludzi wyległy na ulice. Ubrani w czerwone koszulki, trąbili w czerwone trąbki klubu Czerwone Diabły[20]. Pani Song zobaczyła Koreańczyków, swoich rodaków, którzy mówili tym samym co ona językiem, ale wyglądali tak pięknie, byli tacy szczęśliwi i wolni.

Trudno jej było uwierzyć w to, co pokazywała telewizja. Spędziła życie w Korei Północnej (a poza tym przez dwadzieścia pięć lat była żoną dziennikarza), wiedziała więc, że obrazami można manipulować. Na szkoleniach partyjnych powtarzano jej, że zagraniczne programy telewizyjne są wymierzone przeciwko Kim Ir Senowi i Kim Dzongilowi. („Marionetki południowokoreańskie na usługach CIA wykorzystują specjalnie spreparowane materiały, by upiększać świat imperializmu”, słyszała na jednym z wykładów). Podejrzewała (słusznie), że jej gościnni gospodarze zostali opłaceni przez Oak-hee, żeby zrobić jej pranie mózgu i skłonić do wyjazdu.

To jednak nie mogła być tylko inscenizacja. Poza tym trudno jej było zaprzeczyć temu, co zobaczyła na własne oczy: w Chinach było mnóstwo jedzenia, samochody i sprzęty domowe.

Gospodarze mieli elektryczne naczynie do gotowania ryżu, które wyłączało się automatycznie, gdy ryż był gotowy. Pani Song nie bardzo rozumiała, jak działają inne sprzęty gospodarstwa domowego, a ten garnek nieustająco ją fascynował. Przed laty też miała garnek do ryżu. Nie umywał się do tego chińskiego, ale policja go skonfiskowała, bo do gotowania nie wolno było używać elektryczności.

Co rano, gdy słyszała, jak dzwonek w tym naczyniu oznajmia, że śniadanie jest gotowe, wpadała w zachwyt. To prawda, przyznawała w duchu, Korea Północna pozostaje w tyle za Chinami o całe lata, kto wie, może całe dziesięciolecia. A jaki dystans może ją dzielić od Korei Południowej? Zastanawiała się, co by na widok tego wszystkiego powiedział jej biedny, nieżyjący mąż. Chociaż od przyjazdu nie wyszła z domu, samo rozglądanie się po kuchni i włączanie telewizji wydawało się jej wielką przygodą. Szkoda, że nie może tego dzielić z Chang-bo. Myślała o nim zwłaszcza przy jedzeniu. On tak lubił jeść! Ta kiełbasa na pewno by mu smakowała. Od razu zwilgotniały jej oczy. Potem zaczęła myśleć o synu. Wobec niego czuła w sobie tyle winy i wstydu, że nie mogła nawet o nim mówić. Silny i taki przystojny – co za tragedia, że odszedł, mając dwadzieścia pięć lat. Nie dane mu było pożyć. A ile stracili oni wszyscy, ona i córki, uwięzieni w Korei Północnej i zapracowujący się na śmierć. W imię czego? Zrobimy tak, jak każe nam partia. Nie mamy czego zazdrościć. Idziemy własną drogą. Wierzyła w to i zmarnowała życie. A może i nie. Czy jej życie naprawdę już się skończyło? Ma pięćdziesiąt siedem lat i dobrze się trzyma.

Te myśli nie dawały jej spokoju któregoś ranka, gdy pokój powoli jaśniał o brzasku. Do rzeczywistości przywrócił ją dobiegający z kuchni dzwonek elektrycznego garnka do ryżu. Podniosła się natychmiast. Ten dzwonek ją zbudził. Była gotowa do wyjazdu.

Ziemia obiecana



[281] Pani Song na bazarze w Seulu, 2004

We wtorkowy poranek w końcu sierpnia 2002 roku pani Song weszła do samolotu Asiana Airlines, zajęła miejsce i zapięła pasy. Na lot z Dalianu (Dalian) na Incheon (Inczhon)[21], największe międzynarodowe lotnisko w Korei Południowej, odprawiła się pod fałszywym nazwiskiem na podstawie fałszywego paszportu. W samolocie znała tylko jednego człowieka, młodego mężczyznę, siedzącego kilka rzędów za nią. O szóstej rano przyniósł jej do pokoju hotelowego skradziony paszport południowokoreański, którego właścicielka była w zbliżonym do niej wieku. Prawdziwe zdjęcie zostało usunięte żyletką, a w jego miejsce wklejono fotografię pani Song. Gdyby ktoś ją pytał, miała mówić, że jest południowokoreańską turystką i spędziła długi weekend w Dalianie, popularnym kurorcie nad Morzem Żółtym, na zachód od Półwyspu Koreańskiego. Żeby to uprawdopodobnić, ubrano ją w nowe dżinsowe rybaczki i śnieżnobiałe adidasy – taki strój w Korei Północnej budziłby sensację. Miała sportowy plecak. Opiekunowie kazali jej przekłuć uszy – czego nie robią kobiety w jej kraju – obciąć włosy na krótko i zrobić sobie trwałą, modną wśród niemłodych Koreanek z Południa. Przez dwa tygodnie

pielęgnowano ją w Chinach i tuczono, żeby nie wyglądała na uciekinierkę. Zdradzić ją mógł jedynie gardłowy, północny akcent. Dlatego powiedziano jej, że w samolocie ma się nie wdawać w rozmowy i w czasie niespełna półtoragodzinnego lotu nie wstawać z fotela.

Siedziała zupełnie bez ruchu, z dłońmi złożonymi na podołku. Zważywszy na okoliczności, była niezwykle opanowana. Ten spokój wynikał z przekonania, że podjęła właściwą decyzję. Nie miała co do tego wątpliwości. Przestała się wahać tamtego ranka, gdy w wiejskim domu obudził ją automatyczny dzwonek naczynia do ryżu. Postanowiła przyjąć zaproszenie Oak-hee i wyjechać do Korei Południowej. Chciała na własne oczy zobaczyć świat z telewizyjnych migawek. Jej córki i wnuki dostaną w kiedyś tę szansę, bo sytuacja w Korei Północnej będzie musiała się kiedyś zmienić, ale ona nie ma przed sobą tylu lat. Postanowiła wykorzystać tę możliwość, ale przedtem musiała pojechać do Chongjinu, żeby pożegnać się z młodszymi córkami. Chciała im wyjaśnić, dlaczego podjęła tę decyzję, i dać im pieniądze, które Oak-hee zostawiła dla niej w Chinach – prawie tysiąc dolarów.

– Nie mogę pozwolić, żeby twoje siostry myślały, że umarłam – powiedziała pani Song córce. Oak-hee była temu przeciwna, bała się, że matka zmieni zdanie albo że skłonią ją do tego młodsze córki, ale pani Song była nieugięta.

W Chongjinie została miesiąc, bo Tumen wezbrał w porze deszczowej, ale nie wahała się ani przez chwilę. Determinacja pozwoliła jej przetrwać dzielnie najtrudniejsze chwile w czasie ucieczki. Wynajęci przez Oak-hee organizatorzy tego przerzutu nie mogli się nadziwić, że miła starsza pani podróżująca z fałszywym paszportem odprawia się z kamiennym spokojem na międzynarodowy lot.

Wydostanie się z Chin i wejście do samolotu było najniebezpieczniejszym momentem tej podróży. Gdyby chińska kontrola graniczna odkryła, że Pani Song posługuje się cudzym paszportem, zostałaby aresztowana i deportowana do Korei Północnej, gdzie zesłano by ją do obozu. Ostatnia przeszkoda czekała ją po wylądowaniu w Korei Południowej. Tutaj jej paszport był bezużyteczny, bo natychmiast wyszłoby na jaw, że jest kradziony. Zresztą młody mężczyzna, który towarzyszył jej w podróży, odebrał go pani Song jeszcze przed lądowaniem, a potem szybko zniknął w tłumie.

– Proszę udawać, że się nie znamy – przykazał jej na pożegnanie. Musiała przeczekać w damskiej toalecie, aż jej opiekun bezpiecznie wyjdzie z lotniska, po czym zgłosić się do kontroli paszportów i powiedzieć prawdę.

Nazywa się Song Hee-suk, ma pięćdziesiąt siedem lat, jest z Chongjinu. W czasie głodu straciła połowę rodziny, teraz chce dołączyć do córki, która zamieszkała w Korei Południowej. Niczego już nie musiała ukrywać.

Korea Południowa, jak stanowi artykuł trzeci jej konstytucji, sprawuje prawowitą władzę nad całym Półwyspem Koreańskim, więc wszyscy jego mieszkańcy, w tym Koreańczycy z Północy, automatycznie są jej obywatelami. O prawie do obywatelstwa przysługującym mieszkańcom KRLD orzekł także w 1996 roku Sąd Najwyższy w Seulu. Ale w praktyce nie jest to takie proste. By otrzymać obywatelstwo, Koreańczycy z Północy muszą znaleźć się z własnej woli na terytorium Korei Południowej. Nie mogą domagać się tego prawa w ambasadzie Korei Południowej w Pekinie ani w jej konsulatach na terenie Chin. Władze chińskie nie dopuszczają, by Koreańczycy z Północy występowali o azyl w południowokoreańskich placówkach dyplomatycznych w ich kraju ze względu na dawny sojusz z KRLD oraz po to, żeby zapobiec przekraczaniu granicy przez miliony uciekinierów. Pekin wie, że exodus obywateli NRD przez Węgry i Czechosłowację przyczynił się do upadku muru berlińskiego i Niemiec Wschodnich.

Masowego napływu uciekinierów z Północy obawiają się również władze w Seulu. Niekontrolowana imigracja byłaby dla Korei Południowej ogromnym obciążeniem finansowym i poważnym problemem społecznym.

Ludzie uciekają się do różnych sposobów, żeby tam dotrzeć. Jeśli mają pieniądze albo odpowiednie kontakty, to mogą lecieć do Korei Południowej na fałszywych paszportach. Mogą także przejść przez granicę z Chin do Mongolii albo Wietnamu, gdzie południowokoreańskie placówki dyplomatyczne chętniej przyjmują zbiegów. W odosobnionych przypadkach uciekinierzy zdołali wystąpić o azyl w ambasadach europejskich i przedstawicielstwach ONZ na terenie Chin.

Spośród stu tysięcy zbiegów z KRLD przebywających w Chinach jedynie bardzo nielicznym udało się przedostać do Korei Południowej. W 1998 roku o obywatelstwo Korei Południowej wystąpiło zaledwie 71 Koreańczyków z Północy, w 1999 roku ich liczba wzrosła do 148, rok później wyniosła 312, w 2001 roku 583, w 2002 roku 1139. W następnych latach do Korei Południowej przyjeżdżało od tysiąca do trzech tysięcy obywateli KRLD.

Gdy dotarła tam pani Song, rząd południowokoreański zdążył już przywyknąć do przyjeżdżających bez dokumentów Koreańczyków z Północy. Po jej przylocie na Incheon władze zastosowały wobec niej odpowiednią procedurę, a jej przybycie nie stanowiło sensacji.

Po wyjściu z samolotu pani Song poczuła się oszołomiona i zagubiona. Tylko raz w życiu była na lotnisku – tego ranka, gdy wsiadała na samolot w Chinach – ale nie mogło się ono równać z tym, co zobaczyła tutaj. Budowa otwartego rok wcześniej lotniska Incheon, położonego niedaleko plaży, gdzie w 1950 roku generał Douglas MacArthur przeprowadził desant wojsk ONZ, kosztowała pięć i pół miliarda dolarów. To jedno z największych lotnisk na świecie, kolos ze szkła i stali. Przez przezroczysty dach nad długim korytarzem dla przylatujących świeciło słońce. Podróżni wylewający się z bramek dla przyjezdnych przechodzili płynnie na ruchomy chodnik. Pani Song nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić, więc poszła za tłumem, trzymając się na odległość od człowieka, który eskortował ją w samolocie. Gdy ludzie ustawili się w kolejce do kontroli paszportowej, poszła do toalety dla kobiet, równie niezwykłej jak całe lotnisko. Nie wiedziała, jak się spuszcza wodę. Przy umywalkach woda włączała się i wyłączała automatycznie, bez dotykania kranów. Wyjrzała, żeby zobaczyć, czy mężczyzna już zniknął, ale on jeszcze stał w kolejce do kontroli paszportów, więc cofnęła się do środka. Poprawiła fryzurę i odświeżyła makijaż, zerkając w lustrze na dziwną, nieznajomą twarz, odwzajemniającą się spojrzeniem.

Gdy wyjrzała po raz drugi, już go nie było. Wyszła więc, żeby poszukać jakiegoś przedstawiciela władzy. Prawie zderzyła się z bardzo wysokim mężczyzną, który na wysokości jej oczu miał identyfikator ze zdjęciem. Skłoniła się nisko, bo przed urzędnikiem trzeba się nisko kłaniać, i wypowiedziała przećwiczoną wcześniej formułę:

– Jestem z Korei Północnej. Proszę o azyl.

Okazało się, że to jest portier. Wyglądał na zaskoczonego, ale wiedział, co ma robić.

– W ile jesteście osób? – spytał, bo uciekinierzy zwykle nie przylatywali w pojedynkę. Powiedziała, że jest sama. Zaprowadził ją do biura sąsiadującego z punktem kontroli paszportowej. Rozdzwoniły się telefony i bardzo szybko przyjechali ludzie z NIS (National Intelligence Service), południowokoreańskiej agencji wywiadu[22].

Przesłuchania pani Song trwały blisko miesiąc. Z lotniska zawieziono ją do prowadzonego przez służby wywiadowcze ośrodka dla nowo przybyłych uciekinierów. Nie wolno jej było stamtąd wychodzić, ale Oak-hee mogła odwiedzać matkę. NIS musiała najpierw wykluczyć, że pani Song jest szpiegiem albo oszustką, bo w ostatnich latach złapano agentów północnokoreańskich wysłanych do inwigilowania środowiska uchodźców. Południowokoreańskie służby namierzały też obywateli chińskich pochodzenia koreańskiego, którzy podszywali się pod obywateli Korei Północnej, żeby dostać obywatelstwo oraz wynoszącą ponad dwadzieścia tysięcy dolarów pomoc finansową dla przesiedleńców. Codzienne poranne przesłuchania pani Song trwały dwie godziny, potem proszono ją o sporządzanie pisemnych sprawozdań z tych rozmów. Pytano ją szczegółowo o różne obiekty w Chongjinie, proszono na przykład o opisanie siedzib partii i służb bezpieczeństwa oraz poszczególnych *gu* i *dong*, dzielnic i osiedli w mieście (we wszystkich miastach Korei Północnej obowiązywał taki podział administracyjny). Pani Song lubiła te przesłuchania, bo skłaniały ją do refleksji nad własnym życiem. Po południu ucinała sobie drzemkę i oglądała telewizję. Cieszyły ją wygody i drobiazgi, podziwiała na przykład porcjowane soczki w lodówce, zapakowane oddzielnie, każdy ze słomką.

Pobyt w ośrodku NIS będzie później wspominać jako pierwsze w życiu prawdziwe wakacje. Wkrótce wróci do ciężkiej pracy.

Ludziom, którzy zarabiali niecałego dolara miesięcznie, niełatwo się przystosować do życia w kraju będącym jedenastą pod względem wielkości gospodarką na świecie. W Korei Południowej roczny dochód na jednego mieszkańca wynosi około dwudziestu tysięcy dolarów i jest czternaście, piętnaście razy wyższy niż w Korei Północnej. (Dla porównania, gdy burzono mur berliński, dochód na głowę mieszkańca w RFN był od dwóch do trzech razy wyższy niż w NRD).

Propaganda po obydwu stronach strefy zdemilitaryzowanej lubi podkreślać, że Koreańczycy z Północy i Południa tworzą jeden naród – *han nar* – ale wskutek trwającego od ponad sześćdziesięciu lat podziału Półwyspu powstały między nimi głębokie różnice. Korea Południowa należy do najbardziej zaawansowanych technologicznie krajów świata. Podczas gdy większość mieszkańców KRLD nie wie o istnieniu internetu, u jej południowego sąsiada odsetek gospodarstw z szerokopasmowym dostępem do sieci jest wyższy niż w Stanach Zjednoczonych, Japonii i

prawie całej Europie. Korea Północna kulturowo i gospodarczo nie zmieniła się od półwiecza. Obydwa kraje nie mówią dziś także tym samym językiem, choćby dlatego że ten na Południu jest pełen zapożyczeń z angielskiego. Mieszkańcy dwóch Korei różnią się nawet fizycznie. Przeciętny siedemnastolatek z Południa, wychowany na koktajlach mlecznych i hamburgerach, jest o trzynaście centymetrów wyższy od swojego rówieśnika z Północy. Mieszkańcy KRLD mówią i jedzą tak, jak na Południu jadało się i mówiło w latach sześćdziesiątych.

Gdy w latach dziewięćdziesiątych przybywało uchodźców, coraz większy niepokój budził w Seulu problem ich integracji. By stworzyć odpowiedni program działań, rządowe think tanki powołały zespoły psychologów i socjologów, historyków i szkoleniowców. Chociaż liczba uciekinierów była niewielka (w końcu 2008 roku w liczącej czterdzieści cztery miliony mieszkańców Korei Południowej wynosiła 15 057), gdyby w przyszłości doszło do zjednoczenia kraju, z Północy napłynęłyby miliony ludzi. „Jeśli stosunkowo niewielka grupa uciekinierów z Korei Północnej nie zdoła się zaadaptować, to nasze perspektywy zjednoczeniowe rysują się ponuro – powiedział Yoon In-jin, południowokoreański socjolog. – Jeżeli ci ludzie odniosą tutaj sukces, to mamy szansę na przyszłą integrację kraju. Musimy więc robić wszystko, by im pomóc, a trudności, z jakimi się borykają, powinny być dla nas nauką na przyszłość”.

Korea Południowa analizowała rozwiązania zastosowane w innych krajach. Przypatrywała się izraelskim metodom integrowania Żydów przybyłych z dawnego Związku Radzieckiego i Afryki Północnej, którzy skorzystali z prawa powrotu do państwa żydowskiego, lecz nie znali jego języka i kultury. Obserwowała także procesy adaptacyjne mieszkańców dawnej NRD w zjednoczonych Niemczech.

W 1999 roku władze otworzyły położony osiemdziesiąt kilometrów od Seulu ośrodek szkoleniowo-adaptacyjny Hanawon dla przybyszy z Północy, który ma przygotowywać nowo przybyłych do samodzielnego życia w Korei Południowej. Ludzie uczą się w nim, jak korzystać z bankomatu i jak opłacić rachunek za prąd. Uczą się także alfabetu łacińskiego, żeby umieć czytać pełne angielskich zapożyczeń znaki, reklamy i ogłoszenia. Koreańczycy z Północy muszą się także wiele oduczyć z tego, co wpajano im od lat o wojnie koreańskiej i roli Stanów Zjednoczonych w drugiej wojnie światowej. Uczestniczą też w zajęciach dotyczących praw człowieka i poznają mechanizmy funkcjonowania demokracji.

W czasie szkoleń w ośrodku to wszystko wydawało się pani Song zrozumiałe, ale gdy wyjeżdżała z Hanawonu na zajęcia w terenie, czuła się kompletnie zagubiona. Jej grupa kupowała ubrania. Zabrano ich do fryzjera. Każdy z uczestników dostał pieniądze, by samodzielnie zamówić w barze lunch. Wszyscy wybrali kluski, bo nie znali innych potraw.

Czasem gdy pani Song wyjeżdżała z Hanawonu, niemal kręciło się jej w głowie z podekscytowania. Przytłaczał ją wszechobecny hałas i rozpraszały światła. Patrzyła na ogromne ekrany wiszące na ścianach budynków i na billboardy. Większość z nich była dla niej niezrozumiała. HDTV, MTV, MP_3, MP_4, XP, TGIF, BBQ – wydawało jej się, że to jakiś niemożliwy do odczytania kod. Ale najbardziej zdumiewali ją ludzie. To są przecież Koreańczycy, powtarzała sobie, ale miała wrażenie, że pochodzą z innej planety. Dziewczyny w bardzo krótkich spódniczkach i wysokich butach z prawdziwej skóry. Przedziwna moda: chłopcy i dziewczyny z włosami farbowanymi na czerwono i żółto. W uszach mają małe plastikowe zatyczki ze sznurami, których końce chowają w kieszeniach. Najbardziej szokowały ją pary, młodzież obejmująca się i nawet całująca na ulicy. Pani Song odwracała wtedy wzrok i rozglądała się, ale najwyraźniej nikt poza nią nie zwracał na to uwagi. Któregoś dnia wybrała się w Seulu na stację metra, gdzie obserwowała tłumy na ruchomych schodach, ludzi maszerujących korytarzami, żeby przesiąść się na inną linię. Nie wiedziała, jak oni wszyscy odnajdują drogę.

Pani Song spędziła w Hanawonie trzy miesiące. Pobyt w ośrodku zakończył się uroczyście. Na nowe życie dostała dwadzieścia tysięcy dolarów. Od tej chwili musiała sobie radzić samodzielnie.

Poznałam ją w 2004 roku, dwa lata po jej wyjeździe z Korei Północnej, gdy dla „Los Angeles Times” prowadziłam wywiady z byłymi mieszkańcami Chongjinu. Na spotkanie umówiłyśmy się w siedzibie gazety w Seulu. W drzwiach stanęła drobna, nienagannie ubrana pani, w której wyczuwało się stanowczość. Nosiła pierścionek z dużym nefrytem, różową koszulkę polo i starannie odprasowane beżowe spodnie. Wszystko, od pogodnych pasteli stroju, po idealnie ułożoną fryzurę, wskazywało na to, że pani Song świetnie się tutaj odnajduje.

Po opuszczeniu Hanawonu zatrudniła się jako pomoc domowa. W Korei Północnej przyzwyczaiła się do ciężkiej pracy i czuła, że nie zniosłaby bezczynności. Postanowiła nie mieszkać razem z Oak-hee, chciała urządzić się samodzielnie. W mieście Suwon, położonym trzydzieści kilometrów na

południe od Seulu, gdzie czynsze są niższe niż w stolicy, wynajęła kawalerkę w wieżowcu. Zarabiała i żyła oszczędnie, więc wkrótce mogła sobie pozwolić na podróże – o czym kiedyś nie mogła nawet marzyć. Z wycieczkami dla starszych pań zjeździła wzdłuż i wszerz Koreę Południową. Wybrała się nawet do Chin, tym razem jako turystka. Wraz z grupą uchodźców z Korei Północnej pojechała do Polski na konferencję poświęconą prawom człowieka. Znalazła przyjaciół. Zaczęła nawet troszkę randkować. Z przyjemnością chodzi na targ, żeby próbować nieznanych owoców: mango, kiwi, papai. Lubi jadać poza domem. Wprawdzie nie przekonała się do pizzy i hamburgerów, ale docenia grillowaną na sposób południowokoreański wołowinę i wieprzowinę.

Z panią Song spotykamy się mniej więcej co pół roku, żeby wspólnie coś przekąsić. Kiedy pracowałam nad artykułami o Korei Północnej, jej informacje były cenne i wiarygodne. Nie broni reżimu komunistycznego – „Prawdziwy sukinsyn!”, powiedziała kiedyś o Kim Dzongilu, jeden jedyny raz pozwalając sobie w mojej obecności na przekleństwo – ale w odróżnieniu od większości uciekinierów, których poznałam, nie jest zgorzkniała. Brakuje jej pewnych rzeczy, które miała w Korei Północnej: zażyłości z sąsiadami i darmowej opieki zdrowotnej, dostępnej zanim kraj pogrążył się w kryzysie. Z nostalgią wspomina młodość i pierwsze lata małżeństwa. O nieżyjącym mężu mówi z czułością, a oczy zachodzą jej wtedy mgłą.

– Na widok takiego jedzenia chce mi się płakać – powiedziała mi, gdy któregoś wieczora siedziałyśmy nad parującym półmiskiem shabu-shabu, ugotowanej w bulionie wołowiny, pokrojonej cienko i podanej w sosie sezamowym. – Nie mogę przestać myśleć o jego ostatnich słowach: „Chodźmy do porządnej restauracji. Musimy się napić dobrego wina”.

O swoim synu w ogóle nie umiała mówić. Od Oak-hee dowiedziałam się później, że matka nigdy sobie nie wybaczyła, że potępiała go, gdy zakochał się w starszej dziewczynie, i że nie była w stanie go wyżywić.

Ale to należy do przeszłości i tego pani Song woli nie roztrząsać. Umie cieszyć się wolnością i chce jak najlepiej wykorzystać lata, które jej pozostały. Rozpiera ją ciekawość świata.

– Tutaj nabrałam śmiałości i czuję się dużo młodziej – powiedziała.

Gdy pytałam ją o Koreę Północną, ona dla odmiany wypytywała o Amerykę i kraje, do których jeździłam. Pełna energii i zawsze pogodna, na nasze spotkania za każdym razem przychodzi w nowym, eleganckim stroju.

Po latach poświęceń dla innych postanowiła zadbać o siebie. Gdy zaokrągliła się w pasie – przyzwyczajona do niedojadania, bardzo się temu dziwiła – zaczęła się odchudzać. Zawsze jest umalowana. Któregoś dnia umówiłam się z nią w jakimś zatłoczonym miejscu w Suwonie. Kiedy się tam wypatrzyłyśmy i szłyśmy ku sobie przez tłum, jeszcze z oddali, nie mogąc się powstrzymać, zawołała podniecona:

– Spójrz na mnie. Zrobiłam sobie oczy!

Żeby wyglądać bardziej po europejsku, poddała się popularnej tu operacji plastycznej delikatnego podniesienia powiek. To było przypieczętowaniem jej południowokoreańskiej tożsamości. Pani Song czuje się tutaj u siebie.

Mimo że Oak-hee tak bardzo chciała wyjechać, w Korei Południowej adaptowała się gorzej niż jej matka. Ma trudniejszy charakter, nie umie pogodzić się ze sobą i ze światem. Patrząc na matkę i córkę, zawsze dziwiłam się, że przy uderzającym podobieństwie fizycznym – obie są niewysokie i mają identyczny, sercowaty zarys twarzy – tak bardzo się różnią osobowościowo. Oak-hee ubiera się na czarno – w czarne dżinsy, czarne, błyszczące koszule, czarne kozaki na wysokim obcasie. Efektu dopełniają prostokątne, druciane okulary i wyskubane brwi. Pani Song i córka są wobec siebie serdeczne, na powitanie ściskają się czule i głaszczą po głowach, jakby spotykały się po długiej rozłące, ale wciąż kłócą się o politykę. Kiedyś przy obiedzie moja znajoma, która pracuje w organizacji humanitarnej, spytała, czy w Korei Północnej, ich zdaniem, dary trafiają do potrzebujących. Oak-hee powiedziała, że wszystko rozkradają aparatczycy partyjni oraz armia i że pomoc umacnia tylko dyktaturę Kim Dzongila.

– Ale czasem ratuje także ludzkie życie – powiedziała pani Song.

– Ty wspierasz ten okrutny reżim – przerwała jej córka.

Pani Song zacisnęła usta i tego dnia więcej się nie odezwała.

Oak-hee często daje upust rozgoryczeniu. Po przyjeździe do Korei Południowej od początku borykała się z problemami finansowymi, które zaczęły się jeszcze, gdy była w Chinach. Obracała się tam w chińsko-koreańskim półświatku, wśród oszustów, szmuglerów, lichwiarzy. Ich głównym źródłem utrzymania był przerzut ludzi. Przez rzekę przeprowadzali kobiety do Chin, dostarczali uciekinierom kradzione paszporty i przewozili ich do Korei Południowej. Po ostatnim wyjeździe z Korei Północnej Oak-hee nie miała pieniędzy na przerzut z Chin do Korei Południowej. Przemytnik zgodził się dostarczyć jej paszport i bilet na

samolot za czternaście tysięcy dolarów, które miała mu potem wypłacić z zapomogi przyznawanej przez władze w Seulu uciekinierom z Północy. Ponieważ nie znali swoich prawdziwych nazwisk, umowę przypieczętowali odciskami kciuka.

Przemytnik zadzwonił do Oak-hee na komórkę tydzień po jej wyjściu z Hanawonu. Właśnie ją sobie sprawiła – wszyscy uciekinierzy w pierwszej kolejności kupują telefony komórkowe – nie mogła więc dojść, w jaki sposób zdobył jej numer. Nalegał, żeby mu natychmiast zapłaciła.

– Jestem w Seulu, spotkamy się przed twoim domem – powiedział.

Oak-hee wpadła w panikę. Rząd przyznał jej niższy zasiłek, niż się spodziewała. Uciekinierzy przed czterdziestką dostają mniej pieniędzy od ludzi starszych, bo zakłada się, że są zdolni do pracy. Zdążyła już wydać trzy tysiące dolarów na zadatek za wynajęcie mieszkania. Zgodziła się spotkać przed posterunkiem policji. Zdołała wytargować obniżkę: przemytnik pobrał od niej osiem tysięcy dolarów, niemal wszystko, co jej zostało.

Oak-hee zaczęła pracować w domu pogrzebowym i miała nadzieję, że wybrnie z kłopotów finansowych. Prawdopodobnie udałoby jej się to, gdyby nie straszliwa tęsknota.

Brakowało jej matki. Myśl o tym, żeby ją sprowadzić, chodziła jej po głowie od samego początku, ale po przyjeździe do Korei Południowej przerodziła się w obsesję. Nie mogła wyjść z podziwu, jak dobrze się tu mają starsi ludzie.

– W Korei Północnej człowiek, który jest za stary, żeby pracować, staje się niepotrzebny – powiedziała. – Zrobił się nieprzydatny, więc można się go pozbyć. Tutaj zobaczyłam, że staruszkowie mogą śpiewać i tańczyć. Myślałam wtedy o mojej matce, o tym, że zawsze tak ciężko harowała. Powiedziałam sobie, że jej też należy się coś od życia.

Ponieważ wiedziała, że niełatwo będzie przekonać panią Song do wyjazdu z Chongjinu, zwróciła się o pomoc do ludzi, którzy ją samą przerzucili do Seulu. Wymyślili wspólnie, jak zachęcić matkę do przejścia przez chińską granicę. Oak-hee bała się, że w razie wpadki pani Song może trafić do obozu, więc chciała, żeby ją przeprowadzono w sposób możliwie najbezpieczniejszy i najmniej dla niej stresujący. Dlatego wykupiła dla matki „pięciogwiazdkowy pakiet ucieczkowy”. Obejmował on przejazd samochodem z Chongjinu na granicę, łapówki dla północnokoreańskich

strażników, którzy panią Song przenieśli przez rzekę, oraz przelot na kradzionym paszporcie południowokoreańskim.

– Mogłam to urządzić taniej – wyjaśniła mi – ale chciałam, żeby podróżowała jak VIP.

Oak-hee wpadła w długi. W domu pogrzebowym brała nadgodziny, ale to nie wystarczało, żeby się spłacić. Zaczęła się zastanawiać nad innymi sposobami zarobkowania. Miała trzydzieści osiem lat, a wzywanie ludzi do ciężkiej pracy dla Kim Ir Sena było jej jedynym doświadczeniem zawodowym – w Korei Południowej niezbyt przydatnym.

Zaczęła pracować w biznesie karaoke. W *noribang*, czyli dosłownie pokojach piosenki, goście, zazwyczaj mężczyźni, relaksują się śpiewem. Klienci klubów karaoke mają do dyspozycji osobne pomieszczenia wyposażone w głośniki, mikrofony, monitory, napoje i przekąski. Ale prawdziwą atrakcją są tam hostessy, które także śpiewają, tańczą, nalewają drinki i wdają się z gośćmi w mniej lub bardziej poważne flirty. Do obowiązków Oak-hee należy rekrutacja tych kobiet, przywożenie ich do klubu i odwożenie do domu oraz pilnowanie, żeby klienci byli zadowoleni z ich pracy. Pracuje na obrzeżach Suwonu. Do tutejszych barów karaoke przychodzą głównie robotnicy budowlani, którzy w tych okolicach mieszkają tymczasowo i wieczorami nie mają innych rozrywek. Oak-hee ma pod swymi skrzydłami około dwudziestu dziewczyn, wyłącznie Koreanki z Północy. Większość z nich nie skończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat i została przyjęta do tej pracy od razu po wyjściu z Hanawonu.

– Przyjeżdżają tutaj bez żadnych kwalifikacji – wyjaśniła mi Oak-hee, gdy pewnego wieczoru towarzyszyłam jej w pracy. – Mogą się szybko zorientować, że za pracę w biurze albo w fabryce dostałyby dziewięćset dolarów miesięcznie. Tutaj w jeden wieczór zarabiają stówę.

Siedziała za kierownicą furgonetki huyndai, na podłodze walały się opakowania po papierosach i kasety magnetofonowe z psalmami. Była piąta po południu, Oak-hee zaczynała pracę. Na autostradzie dołączyła do samochodów wyjeżdżających w godzinie szczytu z Suwonu, potem skręciła na dwupasmową szosę wśród pól i szklarni. Zatrzymywała się w małych miasteczkach, gdzie przy drodze czekały na nią dziewczyny. W szpilkach niektóre wyglądały jak dziewczynki przebrane za dorosłe kobiety. Według policji jej zajęcie jest nielegalne, ale Oak-hee twierdzi stanowczo, że dziewczyny, które ma pod swoimi skrzydłami, nie są prostytutkami.

– Do niczego ich nie zmuszam. Mówię im: „Macie śpiewać, tańczyć i brać od klientów kasę, to wszystko”. – W tych okolicach ta praca jest lżejsza niż w wielkim mieście. – W Seulu musiałyby dawać z siebie więcej niż tutaj. Tam przychodzą faceci w garniturach, płacą za drinki i oczekują od dziewczyn czegoś więcej. Robotnicy budowlani są prymitywni, ale za to poczciwi.

Oak-hee zaczęła zarabiać na tyle dobrze, że mogła sobie pozwolić na wydatek dziesiątków tysięcy dolarów, by sprowadzić obie siostry. Najmłodsza przyjechała tutaj z pięcioletnią córką, średnia – z mężem i dwoma synami. One także zatrudniły się w biznesie karaoke.

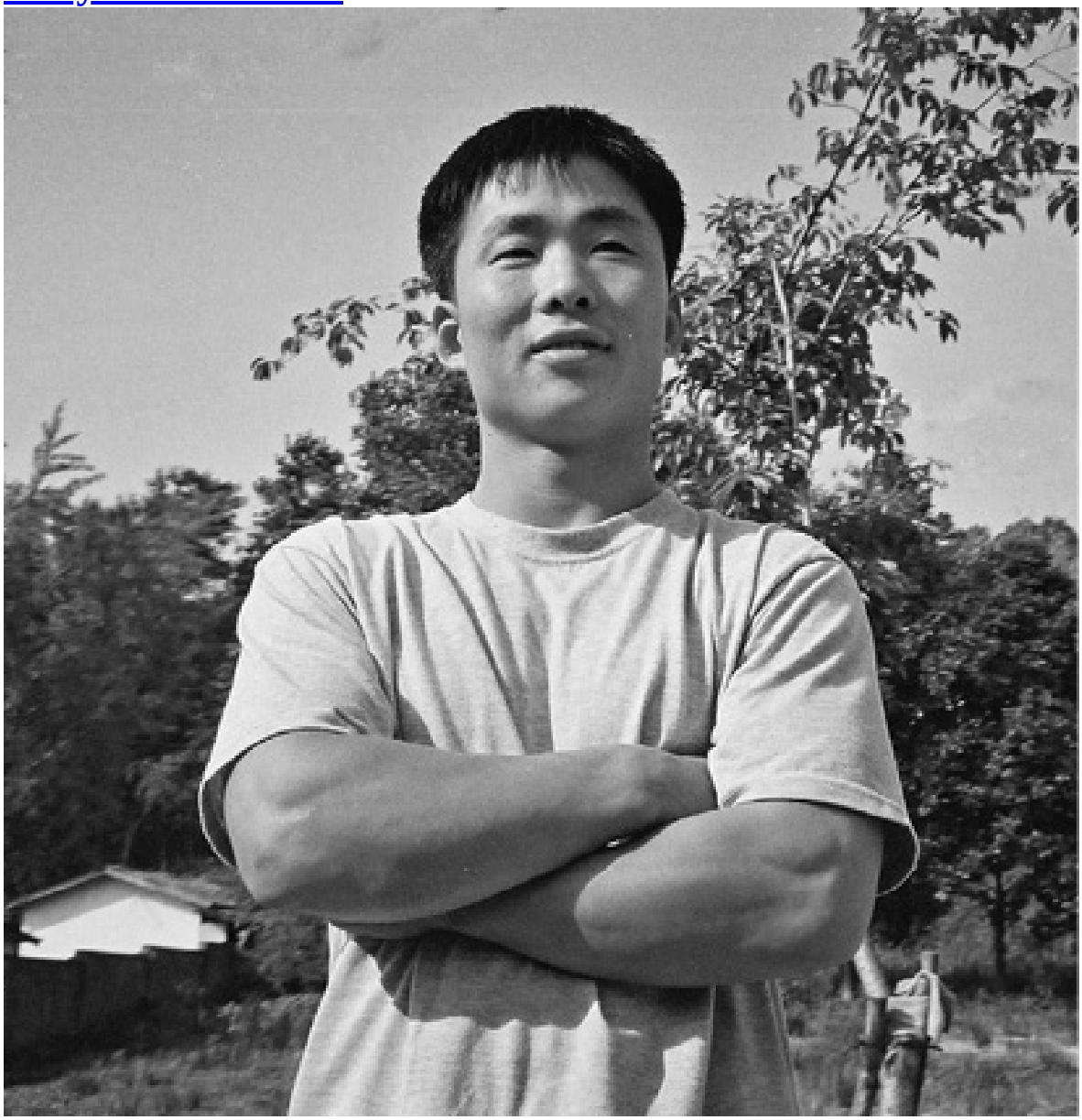
Ale Oak-hee nie może ściągnąć do siebie tych, których kocha najbardziej – swoich dzieci. Z tego powodu prześladuje ją poczucie winy.

– Żeby się ratować, poświęciłam własne dzieci – wyrzuca sobie.

Gdy ostatni raz widziałam się z nią w lecie 2007 roku, jej syn miał osiemnaście lat, córka szesnaście. Od swojej ucieczki w koszuli nocnej z Chongjinu w 1998 roku więcej ich nie widziała. Ale regularnie posyła im pieniądze przez pośredników w Chinach, którzy za opłatą przekazują je przemytnikom przeprawiającym się przez rzekę. Niedługo po jej wyjeździe z Korei Północnej w miejscowościach przygranicznych, gdzie można odbierać sygnał sieci komórkowych z Chin, rozwinął się nielegalny biznes telefoniczny. Oak-hee co kilka miesięcy rozmawia z mężem, od którego odeszła. Z Musanu dzwoni do niej przez chiński telefon z przemytu, ale nie pozwala jej na kontakty z dziećmi. Nie zgadza się także na ich sprowadzenie do Korei Południowej, bo nie bez powodu obawia się, że po ich wyjeździe Oak-hee przestałaby przysyłać pieniądze.

– Niedawno śniły mi się moje dzieci, syna trzymałam za rękę, córkę niosłam na plecach – powiedziała mi. – Biegniemy, chcemy uciec z Korei Północnej. Nagle widzę, jak zbliża się do nas wysoki mężczyzna w mundurze konduktorskim. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że to mój mąż i że chce nas zatrzymać. – Oak-hee budzi się ze świadomością, że jej dzieci zostały w innym świecie.

Obcy wśród swoich



[297] Kim Hyuck, 2004

Wysoki wzrost, jasna skóra, majątek, dyplom prestiżowej uczelni, markowe ubrania, biegła znajomość angielskiego – czyli to, co ceni się w Korei Południowej, jest właśnie tym, czego brakuje nowo przybyłym. Często obniża to samoocenę uchodźców, takich jak Oak-hee. Chociaż przed pięćdziesięcioma laty mieszkańcom Południa nie powodziło się lepiej niż tym na Północy, przybysze przypominają im o przeszłości, o której woleliby nie pamiętać. Jednocześnie uciekinierzy uświadamiają im, że także przyszłość może być bardzo trudna – Koreańczycy z Południa obawiają się

nie bez racji, że w razie upadku dyktatury Kim Dzongila ich kraj czeka inwazja dwudziestu trzech milionów ludzi, których trzeba będzie nakarmić i którym potrzebny będzie dach nad głową. Wprawdzie na Południu poprawność polityczna każe mówić, że wszyscy Koreańczycy należą do jednego narodu i wszystkim zależy na odzyskaniu bliskich („Zjednoczenie jest naszym pragnieniem, o którym pamiętamy nawet w snach", śpiewają posłusznie południowokoreańscy uczniowie), ale ta perspektywa nierzadko budzi strach. Think tanki w Seulu regularnie oszacowują potencjalne koszty zjednoczenia, które mają wynosić od trzystu miliardów do biliona ośmiuset miliardów dolarów. Ludzie młodzi, urodzeni długo po zakończeniu wojny koreańskiej, mają do Północy mniejszy sentyment niż starsi. Wolą ignorować ponure sąsiedztwo zbiedniałej dyktatury, mającej broń nuklearną. Przy ogromnym tempie życia – ich dzień pracy jest najdłuższy w całym rozwiniętym świecie, lubią intensywnie się bawić, szybko jeździć swoimi hyundaiami, słuchać głośnej muzyki z iPodów – łatwo zapomnieć o tym sąsiedztwie.

Uciekinierzy, choć dostają pomoc od rządu, widzą, że miejscowi spoglądają na nich z litością, strachem, wyrzutami sumienia i zakłopotaniem. Mieszane uczucia wobec nich sprawiają, że uchodźcy czują się obco we własnej ojczyźnie.

Doktor Kim nie miała zamiaru uciekać do Korei Południowej. Gdy w 1999 roku przekraczała Tumen, myślała jedynie o zaczepieniu się w Chinach. Chciała odszukać krewnych, których nazwiska i adresy sprzed lat spisał przed śmiercią jej ojciec. Miała nadzieję, że pomogą jej znaleźć jakąś pracę. Mogłaby się najeść i odzyskać siły, a potem zaoszczędzić, żeby sprowadzić syna. Zamierzała prędzej czy później wrócić do Chongjinu i do pracy w szpitalu. Mimo że dręczył ją tam głód, a partia nie umiała jej docenić, uważała, że skoro kraj zapewnił jej wykształcenie, ma wobec niego dług.

Od pierwszych godzin w Chinach, od chwili gdy zobaczyła na podwórku dużą miskę białego ryżu z mięsem dla psa, zaczęła jednak zmieniać zdanie. Codziennie dowiadywała się czegoś nowego i coraz bardziej oburzały ją kłamstwa, którymi ją karmiono. To, co wychodziło na jaw, oddalało ją coraz bardziej od ojczyzny i od dawnej żarliwości ideologicznej, by wreszcie skłonić ją do rezygnacji z powrotu.

Gdy popchnęła furtkę prowadzącą do domu, wściekłe szczekanie psa zbudziło gospodarzy. Mieszkali tam Koreańczycy, matka z dorosłym synem.

Po jej zamarzniętym ubraniu i wycieńczeniu zorientowali się od razu, że jest uciekinierką. Zaprosili ją do siebie, dali jej rzeczy na zmianę i gorący posiłek. Gdyby ci obcy ludzie chcieli ją sprzedać pośrednikom matrymonialnym, dostaliby setki dolarów – miała trzydzieści cztery lata i była stosunkowo atrakcyjna – ale oni gościli ją przez dwa tygodnie i pomogli jej odszukać krewnych ojca. Tamci także okazali jej wiele serca. Ludzie, którzy nie wiedzieli dotąd o jej istnieniu, bez wahania przyjęli ją do rodziny.

Doktor Kim szybko odnalazła się w miejscowym środowisku koreańskim. Nauczyła się trochę chińskiego. Znalazła pracę w restauracji, gdzie pakowała posiłki na wynos dla robotników. Ale w 2000 roku nasiliły się obławy chińskiej policji na uciekinierów z Korei Północnej. Doktor Kim złapano trzykrotnie. Za każdym razem jej rodzina płaciła łapówki, żeby ją wykupić. Po ostatnim aresztowaniu uznała, że dalszy pobyt w północno-wschodniej części kraju jest zbyt niebezpieczny. Pojechała pociągiem do Pekinu, żeby tam szukać pracy. Podając się za Koreankę z Yanbianu, zatrudniła się jako opiekunka koreańskiego dziecka.

Jej pracodawczyni, profesor z Korei Południowej, przyjechała do Chin z pięcioletnią córką na roczny urlop naukowy. Doktor Kim je polubiła, doceniła pracę przy małej i wygodne mieszkanie. Jako piastunka i gosposia spisywała się znakomicie. Gdy skończył się rok akademicki i pani profesor szykowała się do powrotu, zaproponowała doktor Kim zatrudnienie u siebie w Korei Południowej. Zamożne rodziny południowokoreańskie często przyjmowały do pomocy przy dzieciach Koreanki z Chin.

Doktor Kim uznała, że musi wyznać swojej chlebodawczyni prawdę. Wyrzuciła z siebie wszystko: opowiedziała jej o rozwodzie i utracie praw do opieki nad synem, o samobójstwie jej ojca po śmierci Kim Ir Sena, o latach głodowania i o dzieciach umierających w szpitalu.

– Mój Boże! Ty jesteś lekarką! – kobiety uściskały się i płakały razem. – Gdybym wiedziała, traktowałabym cię zupełnie inaczej.

– Gdybyś wiedziała, nie przyjęłabyś mnie do siebie. A ja potrzebowałam pracy.

Po tym wyznaniu kariera doktor Kim w charakterze pomocy domowej gwałtownie się zakończyła, ale profesor, która przyrzekła, że sprowadzi ją do Korei Południowej, dotrzymała słowa. Kilka miesięcy po wyjeździe skontaktowała doktor Kim z pośrednikiem.

Doktor Kim wylądowała na lotnisku Incheon w marcu 2002 roku. Perspektywy nowego życia napawały ją euforią. Ale ten stan nie trwał długo. Mężczyzna, którego poznała w kościele, namówił ją do zainwestowania znacznej części z dwudziestu tysięcy dolarów rządowej zapomogi w bezpośrednią sprzedaż mydła i kosmetyków. Miesięczny program orientacyjny dla nowo przybyłych nie nauczył jej rozpoznawania oszustów: przedsięwzięcie okazało się piramidą, w której straciła prawie wszystkie pieniądze. Wkrótce czekał ją następny cios, okazało się bowiem, że Korea Południowa nie uznaje jej dyplomu lekarza. Gdyby chciała wrócić do zawodu, musiałaby zaczynać wszystko od nowa: podjąć studia medyczne i samodzielnie je sfinansować, bo ze względu na wiek nie mogła się ubiegać o stypendium rządowe. Była rozgoryczona. Na marne poszły siedmioletnie studia i osiem lat praktyki zawodowej. Użalała się nad sobą i nienawidziła siebie. Nie przezwyciężyła też do końca poczucia winy z powodu wyjazdu z Korei Północnej. Myślała o samobójstwie.

W 2004 roku, gdy ją poznałam, spytałam, czy żałuje, że przyjechała do Korei Południowej.

– Gdybym wiedziała, co mnie tutaj czeka, nie zdecydowałabym się na to – powiedziała.

Ze wszystkich uciekinierów, których poznałam, tylko ona przyznała się do tego wprost, choć przypuszczam, że w swoich odczuciach nie była odosobniona. Po doktor Kim wciąż było widać, że przyjechała z Północy. Włosy nosiła związane czarną aksamitką, usta malowała czerwoną szminką w odcieniu żywcem wziętym z kolorowych filmów z lat sześćdziesiątych. Wyglądała jak jedna z działaczek partyjnych, które widywałam w centrum Pjongjangu.

Gdy zobaczyłam ją parę lat później, była całkowicie odmieniona. W kobiecie wchodzącej latem 2007 roku do eleganckiej restauracji japońskiej w Seulu trudno było rozpoznać dawną doktor Kim. Rozpuszczone włosy sięgały jej do ramion, nosiła niebieskie dżinsy i długie, koralikowe kolczyki w uszach.

– Miałam dość tej północnokoreańskiej monotonii – powiedziała.

Bardzo odmłodniała, wyglądała jak studentka i w istocie nią była. Po latach bezskutecznych bojów o uznanie dyplomu chwyciła byka za rogi i w wieku czterdziestu lat rozpoczęła czteroletnie studia medyczne. Zamieszkała w akademiku z koleżankami młodszymi od niej o prawie dwadzieścia lat. Jak mi powiedziała, studia okazały się trudne nie dlatego,

że przyjechała z Korei Północnej nieprzygotowana, ale z powodu całkowicie jej nieznanej terminologii angielskiej, stosowanej w tutejszej medycynie. Z języków obcych doktor Kim znała jedynie rosyjski. Na studiach odżyła jednak i odmłodniała. Powiedziała, że po dyplomie zamierza zająć się geriatrią. Jej matka chorowała na alzheimera i miała ciężką śmierć. Doktor Kim marzyła o założeniu domu opieki, może nawet kilku takich domów. Miała też nadzieję, że kiedyś, gdy upadnie północnokoreański reżim, będzie mogła wrócić do Chongjinu, by tam wykorzystać zdobytą w Korei Południowej wiedzę geriatryczną. Być może to były mrzonki, ale dzięki nim doktor Kim łatwiej odnajdywała w swoim życiu jakąś spójność, jakąś nić łączącą teraźniejszość z przeszłością, i łatwiej jej było przezwyciężyć poczucie winy związane z wyjazdem.

Smutna prawda jest taka, że uciekinierzy z Korei Północnej często mają trudny charakter. Wielu z nich zdecydowało się na wyjazd nie tylko dlatego, że cierpieli głód, lecz także dlatego, że byli nieprzystosowani. Często te problemy ciągnęły się za nimi także po przejściu granicy.

Szczególnie trudnym człowiekiem był Kim Hyuck. Kiedy jako dziewiętnastolatek przyjechał do Korei Południowej, był – jak przez całe swoje życie – biedny, niski, pozbawiony domu, rodziny i znajomości.

6 lipca 2000 roku Hyuck wyszedł z obozu pracy Kyohwaso nr 12. Był tak osłabiony z niedożywienia, że bez odpoczynku z trudem mógł przejść sto metrów. Zatrzymał się u przyjaciela, żeby się zastanowić, co dalej. Początkowo planował powrót do przemytu, wmawiał sobie, że będzie ostrożniejszy i nie da się złapać, ale obóz złamał w nim wiarę w siebie. W wieku osiemnastu lat Hyuck utracił złudne poczucie bezpieczeństwa, które sprawia, że kilkunastoletni chłopcy mają skłonność do brawury. Nie chciał ryzykować wpadki, nie chciał, żeby go bito. Był zmęczony niekończącą się ucieczką. W Korei Północnej nie miał czego szukać, a wiedział, że jeśli przekradnie się do Chin, tam też będą na niego polować. Uznał, że jedyną szansą jest dla niego Korea Południowa. Nie miał pojęcia, jak się tam dostać, ale doszły go słuchy o południowokoreańskich misjonarzach, którzy pomagają bezdomnym, ludziom takim jak on. W wigilię Bożego Narodzenia w 2000 roku po raz ostatni przekroczył Tumen, po to, żeby się zgłosić do jakiegoś kościoła.

Misjonarze z Korei Południowej, po Filipinach najbardziej chrześcijańskiego kraju w Azji, głoszą ewangelię i udzielają pomocy humanitarnej na swoim kontynencie, w Afryce i na Bliskim Wschodzie. W

odróżnieniu od większości mieszkańców Południa, którzy wobec rodaków z Północy mają mieszane uczucia, południowokoreańscy misjonarze ofiarnie im pomagają. W północno-wschodnich Chinach pracują ich tysiące – czasem wspólnie z koreańskimi misjonarzami z Ameryki. Żeby nie prowokować chińskich władz, działają dyskretnie, prowadząc małe, niezarejestrowane kościoły w prywatnych domach.

Jarzące się czerwienią neonowe krzyże sprawiają nocą niesamowite wrażenie na nieoświetlonych terenach wiejskich, ale informacje o przystaniach dla Koreańczyków z Północy przekazywane są jedynie z ust do ust. Ponieważ ani Wysoki Komisarz ONZ do spraw Uchodźców, ani organizacje pozarządowe głównego nurtu nie mogą działać wbrew chińskiemu prawu i otwarcie pomagać Koreańczykom z Północy, misjonarze wypełniają próżnię, zapewniając im wyżywienie i dach nad głową.

Hyuck dotarł do jednego z kościołów w Shenyang, największym mieście w północno-wschodnich Chinach. Placówkę tę finansował południowokoreański biznesmen, właściciel fabryki mebli, o którym krążyły pogłoski, że dzięki znajomościom i pieniądzom załatwia bezpieczne przerzuty do Korei Południowej.

– Chciałbym się nawrócić – skłamał Hyuck.

Podporządkował się ustalonym regułom. Wraz z kilkorgiem uciekinierów o piątej rano wstawał na modlitwę. Potem było śniadanie, gimnastyka, studiowanie Biblii, kolacja i modlitwa wieczorna. Kładli się spać o dziewiątej wieczorem. Tak mijały im dni powszednie, w weekendy czasem grali w piłkę nożną. Hyuck, podobnie jak jego północnokoreańscy rówieśnicy, wcześniej nie słyszał o Chrystusie. Kościoły w Chongjinie zostały zamknięte dziesiątki lat przed jego urodzeniem, a jeśli starsi ludzie wciąż uczestniczyli tam w praktykach religijnych, robili to w domach. Cała jego wiedza o chrześcijaństwie pochodziła z czytanek ze szkoły podstawowej, w których misjonarze byli przedstawiani jako banda łotrów, obłudnych i okrutnych. Hyuck był więc sceptyczny wobec chrześcijaństwa. Uważał, że południowokoreański kościół, dając mu jedzenie i schronienie, jednocześnie faszeruje go propagandą. Zarazem jednak miał wobec misjonarzy jakieś poczucie winy, bo udawał przed nimi, że wierzy. Stopniowo zmieniał nastawienie. Z czasem słowa modlitwy zaczęły przynosić mu ulgę, podobną do tej, której doznał jedynie we wczesnym

dzieciństwie podczas recytacji wiersza o Kim Ir Senie, gdy poczuł, że istnieje ktoś wyższy, w kogo może wierzyć.

Ale teraz, gdy mówił *Uri Abogi*, *Ojcze nasz*, zwracał się do Boga, nie do Kim Ir Sena, a gdy mówił o Synu, nie myślał o Kim Dzongilu, lecz o Jezusie.

Po pięciu miesiącach misjonarze zasugerowali mu, że przyszedł czas, by poszedł własną drogą. Jego kościół, który był pod ciągłą obserwacją chińskiej policji, obawiał się o bezpieczeństwo uchodźców. Hyuck dostał tysiąc juanów (około stu dwudziestu pięciu dolarów). Poproszono go także, żeby zaopiekował się kilkorgiem uciekinierów w drodze do granicy mongolskiej. Próbę wyjazdu do Korei Południowej mieli podjąć z Mongolii.

Jeśli ucieczkę pani Song samolotem, z fałszywym paszportem można nazwać podróżą pierwszą klasą, to przez Mongolię wyprawiali się pasażerowie najniższego pokładu. Dla ludzi bez pieniędzy było to jednak najlepsze rozwiązanie. Mongolia, inaczej niż Chiny, pozwalała, by ambasada południowokoreańska w Ułan Bator przyjmowała uciekinierów z KRLD. Jeśli Koreańczycy z Północy zdołali przekroczyć granicę mongolską, to po aresztowaniu przez tamtejszą straż graniczną czekała ich deportacja – do Korei Południowej. Zatrzymanie w Mongolii zapewniało więc w gruncie rzeczy darmowy bilet lotniczy do Seulu. Dlatego Mongolia stała się ważnym punktem przerzutowym dla uciekinierów z Północy pragnących wyjechać do Korei Południowej.

Hyuck razem z uchodźcami, którymi się opiekował, wsiedli do pociągu jadącego do Erenhot, ostatniej chińskiej stacji przed granicą mongolską, pustynnej mieściny, w której mieszkało więcej wielbłądów i owiec niż ludzi. W ich grupie było sześć osób, w tym trzyletnie dziecko i dziesięcioletni chłopiec, którego ojciec wcześniej uciekł do Korei Południowej. W umówionej kryjówce mieli się spotkać z inną grupą północnokoreańskich zbiegów, którzy jechali do Erenhot pociągiem z Dalianu. Ktoś z tamtej grupy znał teren i miał ich przeprowadzić przez granicę.

Ale plan wziął w łeb. Jeszcze w pociągu Hyuck odebrał telefon z wiadomością, że druga grupa została aresztowana. Oni nie mieli już wyboru, było za późno, żeby się cofnąć. Nie mogli skorzystać z kryjówki, bo obawiali się zasadzki. Żeby nie namierzyła ich policja, musieli się pozbyć telefonów komórkowych. Dorośli odbyli naradę. Mieli wskazówki

dotyczące drogi i ręcznie naszkicowaną mapkę. Postanowili mimo wszystko spróbować się przedrzeć.

Do dziewiątej wieczorem siedzieli w ukryciu w pobliżu końcowej stacji. Czekali, aż po długim letnim dniu zapadną ciemności. Zgodnie z instrukcjami mieli ruszyć na północ wzdłuż linii kolejowej do Ułan Bator, ale żeby nikt ich nie dostrzegł, trzymać się od torów w pewnej odległości. Na niestrzeżonym odcinku granicy czekało ich przejście pod trzymetrowym ogrodzeniem z drutu na pas ziemi niczyjej między dwoma krajami.

Od stacji w Erenhot było do granicy zaledwie osiem kilometrów, potem mieli jeszcze przejść półtora kilometra do pierwszego posterunku straży mongolskiej i tam oddać się w ręce władz. Powinni byli tam dotrzeć przed świtem, ale na oświetlonej tylko gwiazdami nocnej pustyni, wśród kamieni, ostów i piasku w kolorze mętnej kawy, tracili orientację. Zaczęli się kłócić, którędy mają iść.

Nie wiedzieli, czy powinni posuwać się wzdłuż torów kolejowych po stronie zachodniej, czy wschodniej. Zdecydowali się na trasę wschodnią, co okazało się fatalnym błędem. Granica biegnie na północny wschód, po czym skręca ostro ku północy, długo maszerowali więc równolegle do niej. Zdali sobie z tego sprawę dopiero po świcie. Temperatura na pustyni Gobi przekracza czterdzieści stopni. Zanim zmienili kierunek i wreszcie prześlizgnęli się pod drutem kolczastym, było już późne popołudnie. Po marszu w trudnym terenie mieli buty w strzępach i krwawiły im stopy. Poparzyło ich słońce. Skończył się sześciolitrowy zapas wody zabranej na drogę. Hyuck i inni dorośli nieśli trzylatka na zmianę, ale gdy dziesięcioletni chłopiec zaczął się słaniać, nie mając wyboru, zmuszali go do dalszego marszu. W końcu dotarli do opuszczonego szałasu i małego stawu nieopodal. Chłopiec został pod opieką jednej z kobiet, Hyuck pobiegł po wodę. Gdy wracał, dobiegł go krzyk tej kobiety. Chłopiec umarł.

Mongolska straż graniczna znalazła ich wieczorem. Śmierć dziecka spowodowała poważne komplikacje. O tym, że chłopiec zmarł z odwodnienia, bez udziału osób trzecich, musiał orzec biegły sądowy. Śledztwo ciągnęło się dziesięć tygodni, Hyuck i reszta dorosłych czekali na jego zakończenie w mongolskim więzieniu. Nie był to pomyślny początek nowego życia w wolnym świecie.

Do Korei Południowej Hyuck poleciał z Ułan Bator 14 września 2001 roku razem z kilkunastoma uchodźcami. Był bliski łez, gdy funkcjonariusz

urzędu imigracyjnego na lotnisku Incheon podstemplował mu tymczasowy paszport wydany w Mongolii, mówiąc: „Witamy w Republice Korei”.

Ale podobnie jak w przypadku wielu uchodźców, jego euforia nie trwała długo. Ponieważ Hyuck miał za sobą pobyt w obozie, poddano go bardzo wnikliwym przesłuchaniom. Władze południowokoreańskie obawiały się przestępców wśród zbiegów z Północy. Potem, gdy już myślał, że jest wolnym człowiekiem, odesłano go na miesiąc do Hanawon i wciąż traktowano podejrzliwie. Nie mógł się pogodzić z przymusowym pobytem w ośrodku.

O trudnościach, z jakimi borykał się w Korei Południowej, podobnie jak wcześniej na Północy, w znacznym stopniu przesądziło jego usposobienie. Hyuck szybko wpadał w złość. Buntował się przeciwko autorytetom. Brakowało mu cierpliwości. W społeczeństwie mającym obsesję na punkcie wzrostu niełatwo też było żyć z jego posturą. Wskutek głodowania w dzieciństwie miał nieproporcjonalnie krótkie nogi i dużą głowę. W organizmie cierpiącym na niedożywienie w okresie wzrostowym głowa i tułów rozwijają się kosztem kończyn. Literatura fachowa dotycząca głodu nazywa tę deformację karłowatością. Według badań przeprowadzonych w 2003 roku przez Światowy Program Żywności i UNICEF czterdzieści dwa procent dzieci w Korei Północnej cierpi na tę nieodwracalną deformację.

Gdy w 2004 roku po raz pierwszy spotkałam się z Hyuckiem, mieszkał w Buyeo, niewielkim mieście położonym o dwie godziny drogi na południe od Seulu. Mówił, że nerwowo nie wytrzymuje hałasu i korków wielkiego miasta. W jego okolicach nie było uchodźców, nie miał nikogo, kto by mu pomógł stanąć na nogi. Nie miał pieniędzy, bardzo szybko stracił dwadzieścia tysięcy dolarów zapomogi. Opłacił pośrednika, który twierdził, że odnajdzie jego starszego brata. Zwodzony przez ponad rok, uznał w końcu, że jego brat prawdopodobnie nie żyje.

– On mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt. Przy takim wzroście nie miał szans na przeżycie – powiedział mi. Niscy ludzie mają mniejsze zapotrzebowanie energetyczne.

Hyuck imał się różnych zajęć. Przez pewien czas roznosił lody, ale gdy się dowiedział, że ktoś z miejscowych zarabia w tej firmie więcej za tę sama pracę, odszedł wzburzony. Skończył kurs dla mechaników samochodowych i przez kilka miesięcy odbywał praktyki, jednak i w tym zawodzie nie umiał się odnaleźć. Potem chciał zostać zawodowym bokserem, ale gdy zgłosił się

na treningi w Seulu, odrzucono go z powodu niskiego wzrostu. Czuł się zraniony i zaczął wątpić, że zdoła znaleźć sobie dziewczynę.

Był rozpaczliwie samotny. Nie umiał nawiązywać znajomości. Gdy miejscowi odnosili się do niego z sympatią, dopatrywał się w ich zachowaniu protekcjonalności. Chociaż nienawidził dyktatury północnokoreańskiej, łapał się na tym, że gdy krytykują ją Koreańczycy z Południa, on nagle zaczyna jej bronić. Ten mechanizm był częsty wśród uchodźców.

Nie przestrzegał podstawowych konwenansów. Koreańczycy z Północy nie mają zwyczaju wdawania się w grzecznościowe rozmowy z nieznajomymi, a jeśli ktoś do nich zagada, czują się zbici z tropu. Kiedy Hyuck wychodził z bezpiecznego schronienia w swoim mieszkaniu, był zaskoczony, gdy pozdrawiał go ktoś z sąsiadów. Naburmuszony, odwracał wzrok.

– Nie wiedziałem, że trzeba powiedzieć parę słów. Nie zdawałem sobie sprawy, że w ten sposób mogę nawiązać kontakt z sąsiadami i że może ci ludzie zechcą mi pomóc. – O swoich nietaktach będzie po latach opowiadał ze śmiechem.

W 2008 roku spotkaliśmy się ponownie: Hyuck przeprowadził się do stolicy, zapisał na studia, chciał zdobyć dyplom z historii i biznesu. Chociaż żalił się gorzko, że wciąż nie znalazł sobie dziewczyny, miał wielu bliskich znajomych. Niedawno do Seulu dotarł jego przyjaciel z Musanu, więc Hyuck mógł objaśniać tutejsze realia komuś, kto jest jeszcze bardziej zielony, co także pomogło mu odzyskać poczucie własnej wartości. Powiedział mi, że niedawno poznał właściciela prywatnej szkoły angielskiego, znajdującej się blisko jego uniwersytetu. Wpadli na siebie przypadkowo, na ulicy. Okazało się, że tamten też jest uchodźcą z Korei Północnej. Zaproponował Hyuckowi darmową naukę w swojej szkole.

Hyuck się odnalazł.

Spotkania



[309] Jun-sang w pasażu handlowym Myongdong w Seulu z egzemplarzem *Roku 1984*, 2007

Jeśli w Korei Północnej nieczysta krew uniemożliwiała Mi-ran awans społeczny, to po wyjeździe stamtąd związki pokrewieństwa przyniosły jej nieocenione korzyści. Rodzina w Korei Południowej okazała się dla niej błogosławieństwem. W nowym świecie czekali na nią bliscy, nie była więc tak osamotniona jak inni uchodźcy.

Mimo triumfu nowoczesności, w Korei Południowej wciąż żywe są tradycje konfucjańskie. Ojciec Mi-ran jako jedyny syn zapewniał ciągłość rodu, po jego śmierci ta rola przypadła jego potomstwu.

Kiedy Mi-ran z matką, siostrą i bratem w 1998 roku przeszli przez Tumen do Chin, od razu zadzwonili do urzędu miejskiego w Seosanie w prowincji Chungchong Południowy. Ze wsi pod Seosanem, w której urodził się jej ojciec, wszyscy wyprowadzili się przed kilkudziesięcioma laty do miast, a jej tereny w większości znalazły się pod wodą, gdy zbudowano tam zbiornik retencyjny. Ale w Korei dom utożsamiany jest z miejscem urodzenia ojca, niezależnie od tego, czy żyją tam jeszcze jacyś bliscy. Urząd w Seosanie znał adresy młodszych sióstr Tae-woo – obydwie mieszkały pod Seulem – i przyrzekł przekazać im list. Napisał go dwudziestotrzyletni brat Mi-ran, który – najmłodszy w rodzinie – był w niej jedynym mężczyzną. „Jako jedyny syn Waszego brata, pragnę poinformować, że w ubiegłym roku odszedł on z tego świata w okręgu Kyongsong w prowincji Hamgyong Północny” – brat oficjalnie powiadomił ciotki. Podał im adres zwrotny w przygranicznym miasteczku Yanji oraz telefon do domu, w którym się zatrzymali.

Po paru tygodniach zadzwoniła do nich jedna z sióstr. Była nieufna. Od niemal pół wieku nikt nie dawał znaku życia, nie pisał ani nie telefonował, nie było nawet żadnych pogłosek, że brat przeżył wojnę koreańską. W 1961 roku, osiem lat po zakończeniu wojny, południowokoreańskie ministerstwo obrony umieściło go na liście poległych w 1953 roku. Dla nich umarł więc bezpotomnie w wieku dwudziestu jeden lat. Jego nazwisko znajduje się na tablicy poświęconej ofiarom wojny na Cmentarzu Narodowym. Skąd mają wiedzieć, że to nie jest mistyfikacja, ordynarna próba wyłudzenia pieniędzy? Siostra Mi-ran, która odebrała telefon, podzieliła się z ciotką okruchami swojej wiedzy o rodzinie. Podała jej jakieś daty urodzin i przezwiska. Południowokoreańskie krewne zaproponowały przeprowadzenie testu genetycznego. Mi-ran i jej rodzeństwo zgodzili się na to.

Spotkanie rodzinne trwało dwa tygodnie. Ciotki w podróż do Chin zabrały swoich bliskich, w sumie przyjechało dziesięć osób. Wystarczyło im na siebie spojrzeć, by badania genetyczne okazały się zbędne.

– Po prostu wpatrywaliśmy się w siebie. Nie mogliśmy się nadziwić kształtom głów i dłoni, sposobowi poruszania się i mówienia – wspominała Mi-ran.

– Ciotki sądziły, że wraz ze śmiercią mojego ojca, jedynego męskiego potomka, wygasł cały ród – powiedział jej brat. – Kiedy je zobaczyłem w Chinach, zadrżałem. Choć są kobietami, wyglądały dokładnie jak on.

Nie było już odwrotu. Matka Mi-ran, która zostawiła w Chongjinie dwie córki i wnuki, chciała do nich wrócić, ale wszyscy bali się, że północnokoreańskie władze dowiedzą się o ich spotkaniu w Chinach z krewnymi z wrogiego państwa – za co groziła kara śmierci. Rodzina Mi-ran nie miała wyboru: musiała jechać do Korei Południowej.

Ciotki pojechały do południowokoreańskiego konsulatu w Shenyang z prośbą o zgodę na przelot do Seulu ich północnokoreańskich krewnych – władze ich kraju przynajmniej tyle powinny zrobić dla wdowy i dzieci południowokoreańskiego jeńca wojennego tak długo przetrzymywanego w niewoli – ale im odmówiono. W lutym 1998 roku prezydentem Korei Południowej został Kim De Dzung, późniejszy laureat pokojowej Nagrody Nobla, inicjator „słonecznej polityki” odprężenia z Koreą Północną. Seulowi zależało też na dobrych stosunkach z Chinami. Konsulat obawiał się, że sprowadzenie rodziny Mi-ran może wywołać reperkusje dyplomatyczne.

Na szczęście południowokoreańscy krewni wzięli sprawę we własne ręce. Byli zamożni, ciotki prowadziły niewielki hotel, a syn jednej z nich, który był właścicielem łaźni na przedmieściach Seulu, kilka razy poleciał do Chin, żeby dostarczyć fałszywe dokumenty bliskim z Korei Północnej. Mi-ran dostała paszport kuzynki, swojej rówieśnicy, z podmienionym zdjęciem. Matkę zaopatrzono w „zgubiony” dokument jednej z ciotek. Wszystko to było nielegalne – jedna z kuzynek została później skazana na miesiąc aresztu za fałszerstwo – ale skuteczne. Mi-ran z siostrą, matką i bratem przylecieli do Korei Południowej w styczniu 1999 roku.

Dzięki rodzinie ojca Mi-ran została przyjęta na Południu nie jako obca, lecz jako ktoś, kto po dwudziestu pięciu latach nieobecności wrócił do siebie. Pochodzenie z Północy wyłącznie przydawało jej atrakcyjności i wśród Koreańczyków z Południa nie budziło lęku. W Korei Północnej

swym wzrostem powyżej metra sześćdziesięciu zwracała uwagę, tutaj uchodziła za stosunkowo wysoką. Wyglądała oryginalnie z wysokimi kośćmi policzkowymi i „rzymskim” nosem, który kiedyś tak zaintrygował Jun-sanga, gdy zobaczył ją w kinie. Roztaczała tajemniczy czar Koreanki z Północy, który działa na mężczyzn z Południa. Uroda, koneksje rodzinne, opanowanie i wrodzona inteligencja – to wszystko działało na jej korzyść. Szybko dostała się na studia podyplomowe z pedagogiki. Elokwentna, umiała wysławiać się jasno i barwnie opowiadać, więc często wypowiadała się publicznie i udzielała wywiadów na temat szkolnictwa w Korei Północnej.

Niedługo przed trzydziestymi urodzinami została przedstawiona postawnemu młodemu człowiekowi w okrągłych okularach, o szerokim uśmiechu i ciepłym spojrzeniu. Miał dobrą posadę, był cywilnym pracownikiem w wojsku. Pobrali się ku zadowoleniu obydwu rodzin. W końcu 2004 roku urodziła syna. Jak każe koreańska tradycja, pierwsze urodziny dziecka obchodzili hucznie. Na uroczysty obiad z tej okazji zaprosili prawie sto osób, przyjaciół i krewnych. Wynajęte piętro restauracji przyozdobiono niebieskimi i białymi balonikami, rodzice i dziecko nosili barwne świąteczne stroje *hanbok*. Mi-ran miała na sobie suknię z połyskującego jedwabiu w kolorze kości słoniowej, wyszytą pod szyją czerwonymi i czarnymi koralikami. Promieniejąca, wytworna, czarująca gospodyni. Zrealizowała koreańskie marzenie, a właściwie marzenie wielu kobiet, które poznałam: miała przystojnego męża, syna i dyplom magisterski w zasięgu ręki.

Ubiorem i sposobem mówienia nie różniła się od Koreanek z Południa. Pozbyła się charakterystycznej dla mieszkańców Północy gardłowej wymowy. Kupili z mężem mieszkanie w Suwonie, mieście w aglomeracji stołecznej, zamieszkiwanym przez prężną klasę średnią, rodziny, których nie stać na zakup za milion dolarów mieszkania w Seulu. Ich osiedle to las identycznych wieżowców z betonu, które można odróżnić jedynie po wielkich numerach wymalowanych na ścianach. Żyje się tam wygodnie. Domy są nowe, czyste, ładnie otynkowane na kremowo. Przez panoramiczne okno w ich salonie wpada słońce, w jasnym i przestronnym mieszkaniu na pierwszym piętrze dziecko ma osobny pokój, na biurku w gabinecie stoi komputer Samsunga, nowocześnie wyposażona kuchnia jest otwarta na jadalnię.

Kiedy tam wpadłam z wizytą, Mi-ran przygotowywała właśnie posiłek dla synka, pulchnego chłopczyka, który oglądał kreskówki w salonie.

– Gdyby się urodził w Korei Północnej, karmiłabym go lekko osłodzonym ryżem na mleku, jeśli mogłabym sobie na to pozwolić.

Gawędziłyśmy o kolejach jej życia. Teraz próbuje pogodzić studia podyplomowe z obowiązkami rodzinnymi. Teściowie chcieliby, żeby była tradycyjną koreańską żoną. Opieka nad dzieckiem drogo kosztuje, Mi-ran zmaga się z ukończeniem studiów. Chodzi na aerobik, bo po ciąży chce zrzucić zbędne kilogramy. Z powodu stresu miewa dolegliwości skórne. Mogłoby się wydawać, że z podobnymi problemami boryka się prawie każda pracująca czy studiująca młoda matka.

Ale gdzieś głęboko pozostała dawną Mi-ran, dziewczyną z północnokoreańskich nizin społecznych, biedną i naznaczoną piętnem nieczystej krwi. Gdy dorastała, była całkowicie zindoktrynowana, później zrozumiała, że ją oszukiwano; przez lata żyła w strachu przed uzewnętrznieniem swoich nieprawomyślnych poglądów. Nauczyła się nosić pancerz, umiała przechodzić ulicą obok zmarłych. Nauczyła się jeść, wyjadać swoją porcję aż do ostatniego kęsa kukurydzy i ziarenka ryżu, nie myśląc o swoich umierających z głodu wychowankach. Prześladowały ją wyrzuty sumienia. Poczucie winy i wstydu nie daje spokoju uciekinierom z Północy. Za to, co przyszło im robić, żeby przeżyć, wielu z nich nienawidzi siebie.

W przypadku Mi-ran wina nie była czystą abstrakcją. O tym, co się stało z jej siostrami, opowiedziała mi po przeszło dwóch latach naszej znajomości. Latem 1999 roku, jakieś pół roku po przyjeździe Mi-ran z siostrą, bratem i matką do Korei Południowej, bezpieka prawie równocześnie zabrała w nocy z domów jej obydwie siostry. Najstarszą, Mi-hee, najpiękniejszą z nich, tę, która wyszła za mąż za urzędnika w wojsku i w czasie głodu była dla nich bardzo szczodra, i młodszą, Mi-sook. Obydwie zachowywały się nienagannie, kochały rodziców, mężów, dzieci i były wierne Kim Dzongilowi. Przyszli po nie w środku nocy, jak w prześladującym Mi-ran koszmarze, tyle tylko, że ich dzieci pozostały przy ojcach, którym nakazano się rozwieść. Najprawdopodobniej trafiły do któregoś z obozów dla więźniów z wieloletnimi wyrokami. W 1999 roku panował głód, więc bardzo możliwe, że nie przeżyły.

Ich los zaciążył na całej rodzinie, przesłonił chwile radości. Nie umieli się cieszyć, nawet gdy Mi-ran urodziła zdrowego chłopca, a jej brat Sok-ju

dostał się na uniwersytet w Australii. Wydawało im się to niesprawiedliwe. Uciekinierzy, którzy przyjechali parę lat później, mogli posyłać pieniądze krewnym w kraju, a ich bliscy nie byli tam represjonowani i żyli w Korei Północnej lepiej niż przeciętnie. Możliwe, że siostry Mi-ran zostały ukarane szczególnie surowo, bo były naznaczone piętnem klasowym, a ich rodzina uciekła jako jedna z pierwszych. Matka, silna kobieta, która przeprowadziła najbliższych przez lata głodu, załamała się po przyjeździe do Korei Południowej. Mimo że miała wtedy zaledwie sześćdziesiąt dwa lata, podupadła na zdrowiu fizycznym i psychicznym. Zwróciła się do szamana-wróżbity, który powiedział, że córki żyją, ale to tylko wzmogło jej lęk.

Szukała oparcia w religii. Jako dziecko, w czasach przedkomunistycznych chodziła w Chongjinie do kościoła i teraz wróciła do dawnej wiary. Modliła się nieustannie o przebaczenie za zdradę córek.

Niewierząca Mi-ran nie miała tego pocieszenia. Poczucie winy nie dawało jej spać, ucieczki szukała więc w codziennych obowiązkach, chciała, żeby w ich natłoku nie było czasu na myślenie. Za to, by mogła prowadzić hyundaia, jej siostry zapłaciły najwyższą cenę.

Rozmyślała też o chłopcu, którego zostawiła. Uważała, że to dzięki niemu potrafiła przezwyciężyć ograniczenia związane z niskim urodzeniem i uwierzyła w siebie, jako kobieta i jako nauczycielka. Chociaż nigdy nie zdradził się przed nią krytycznym słowem na temat reżimu, nauczył ją samodzielności myślenia, to zaś pozwoliło jej zdobyć się na trzeźwy osąd rzeczywistości.

W czasie naszych spotkań często o nim mówiła. Przypuszczam, że wspominanie pierwszej miłości sprawiało jej radość, a nie mogła o niej rozmawiać ani z matką, ani tym bardziej z mężem. Kiedy opowiadała mi o tym, jak Jun-sang wypatrzył ją w kinie, i o ich nocnych spacerach, ożywiała się jak zwierzająca się koleżance nastolatka.

– Czy możesz to sobie wyobrazić? Trzy lata trzymania się za ręce, sześć do pierwszego pocałunku? Właściwie to nawet nie był pocałunek, tylko muśnięcie policzka.

Żartowałyśmy, że wieczna bywa tylko nieodwzajemniona miłość, a w jej przypadku – miłość nieskonsumowana. Odnosiłam wrażenie, że Mi-ran bardziej niż za byłym chłopakiem tęskni za własnym wiekiem niewinności.

Spytałam ją, czy ma o Jun-sangu jakieś wieści.

– Przypuszczam, że się ożenił. – Umilkła, siląc się na obojętność.

Nie żałuje, że nie są razem, powiedziała. Kocha swojego męża, ale przykro jej, że wyjechała z Korei Północnej bez pożegnania. Opowiedziała, jak ostatniego dnia w Chongjinie wydawało się jej, że widzi go na ulicy, ale nie podeszła do niego z obawy, żeby nie pokrzyżować sobie planowanego wyjazdu.

– Wiesz, nas dwoje łączy szczególna więź. Myślę, że kiedyś jeszcze się spotkamy.

Tamta rozmowa odbyła się w połowie października 2005 roku, na krótko przed pierwszymi urodzinami jej syna. Trzy tygodnie później Mi-ran zadzwoniła do mnie szalenie podekscytowana.

– On tu przyjechał!

Tydzień później spotkaliśmy się na kawie w Starbucksie, kilka przecznic od mojej redakcji w Seulu.

Po opowieściach Mi-ran oczekiwałam, że poznam wysokiego, przystojnego, niezwykłego mężczyznę. Przyszedł szczupły młodzieniec w dżinsach i okularach. Ale miał w sobie coś wyjątkowego. Połysk białych zębów jak u gwiazdora filmowego. Szczupłe policzki i szerokie nozdrza sprawiały, że wyglądał egzotycznie, trochę na Tatara, i przypominał mi Rudolfa Nuriejewa. Kiedy na kontuarze postawiono nasze kawy, skoczył po nie zwinnie i lekko. Czuło się w nim swobodę. Mi-ran była dla odmiany wyraźnie spięta. Miała na sobie krótką dżinsową spódniczkę i ostrzejszy niż zwykle makijaż.

Właśnie miałam powiedzieć, że jak na kogoś, kto świeżo przyjechał z kraju, gdzie nie ma kawiarni, porusza się tu z godną podziwu łatwością, ale okazało się, że Jun-sang jest w Korei Południowej prawie od roku. Gdy dowiedział się, że Mi-ran wyszła za mąż – od pracownika wywiadu, który przesłuchiwał go po przyjeździe – uznał, że dla nich obojga będzie lepiej, jeśli się z nią nie skontaktuje. Nie wynikało to z obojętności. Przeciwnie, po jej wyjeździe był zdruzgotany, cierpiał znacznie bardziej, niż sobie wyobrażała. Jej ucieczka zachwiała w nim wiarę w siebie. Bezsens tego, co się stało, nie dawał mu spokoju. Dlaczego byli wobec siebie tak skryci? Jak to się stało, że oboje marzyli o wyjeździe, ale żadne z nich się do tego nie przyznało? Do tego jeszcze czuł się tchórzem, bo nie uciekł jako pierwszy. Jego duma własna została zraniona nie dlatego, że Mi-ran go zostawiła, ale dlatego, że okazała się odważniejsza od niego.

– Zawsze sądziłem, że jestem śmielszy w myśleniu, ale byłem w błędzie – przyznał.

Mi-ran przerwała mu, żeby połechtać jego miłość własną:

– To prawda, już wtedy byłam pełna wątpliwości i niewiary w system, ale on więcej ode mnie wiedział o świecie. – Uśmiechnęła się do niego i pozwoliła mu ciągnąć opowieść.

Po jej wyjeździe zapamiętywał się w pracy w instytucie badawczym, gdzie zaproponowano mu stałą posadę. Miał szansę na przyjęcie do partii. Rodzice i rodzeństwo zachęcali go, by wykorzystał te możliwości. W Korei Północnej trudno było o większy sukces. Żył wygodnie w Pjongjangu. Miał ciepłe lokum i nie brakowało mu jedzenia. Ale on bronił się przed stabilizacją. Nie spotykał się z koleżankami z uczelni, wśród których mógłby znaleźć odpowiednią dziewczynę. Nie chodził na nadobowiązkowe zajęcia ideologiczne, choć obecność na nich przyspieszyłaby przyjęcie do partii. Po pracy wracał wieczorami do siebie, starannie zaciągał zasłony i oglądał południowokoreańską telewizję.

W 2001 roku poprosił w instytucie o zwolnienie z pracy. Szefowi i kolegom powiedział, że jego rodzice podupadli na zdrowiu, a on, jako najstarszy syn, powinien się nimi zająć. Brzmiało to prawdopodobnie. Naprawdę postanowił wrócić w rodzinne strony, bo przypuszczał, że tam jego poczynania nie będą tak bacznie śledzone, a z Chongjinu jest znacznie bliżej do granicy chińskiej. Zmieniał miejsca pracy, na krótko zatrudnił się w domu opieki, w pobliżu którego przechodzili z Mi-ran podczas nocnych spacerów. Zamiast trwonić pieniądze, wieczory zwykle spędzał w domu z rodzicami, choć musiał wtedy znosić pełne wyrzutu milczenie ojca, głęboko zawiedzionego obiecującym kiedyś synem.

Chociaż wszystko rozważył i zaplanował, na swojej drodze napotkał znacznie więcej przeszkód niż Mi-ran.

Jun-sang przez trzy lata oszczędzał pieniądze na ucieczkę. Metodyczny z natury, ważył każde słowo i liczył się ze skutkami każdego kroku. Wszystko przemyślał w najdrobniejszych szczegółach, począwszy od tego, w co się ubierze na drogę – wybrał drogą koszulę w barwny wzór, którą dostał w prezencie od wuja z Japonii. Była zbyt krzykliwa, żeby nosić ją w Chongjinie, jeśli jednak założy ją w Chinach, to nikt go tam nie weźmie za północnokoreańskiego nędzarza. Do plastikowej torby schował najlepsze japońskie spodnie i plecak. Przez granicę przechodził w czerwcu, gdy rzeka była wezbrana. Postanowił przeprawić się w miejscu, gdzie jest dość głęboko, bo tam granica była słabiej strzeżona. Eskortujący go przewodnik przyniósł puste butelki z plastiku, które miały posłużyć jako pływaki. Jun-

sang i uciekająca razem z nim czterdziestoletnia kobieta, odwróciwszy się skromnie, mimo że było ciemno choć oko wykol, rozebrali się do bielizny. Jun-sang zawinął ubranie w plastikową folię, by zabezpieczyć je przed zamoknięciem.

Woda sięgała mu do brody, nurt był nadspodziewanie silny, jego współtowarzyszce, która nie umiała pływać, woda zakrywała głowę. Jun-sang, trzymając ją mocno za rękę, walczył z prądem. Nagle bosą stopą dotknął piaszczystej łachy i po chwili wdrapał się na brzeg. Kobieta wyszła za nim. Był w Chinach. Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył majaczące na tle jaśniejącego nieba o świcie postrzępione szczyty górskie w Korei Północnej. Ścisnęło mu się serce, ale trzeba było wziąć się w garść. Założył ubranie, które przemokło mimo zabezpieczenia folią, i ruszył za przewodnikiem w stronę wzgórz. Wkrótce stracił z oczu Koreę Północną.

Nie przypuszczał, że w czerwcu może być tak zimno. Mokre buty ocierały mu nogi, na stopach porobiły się pęcherze. Gdy wreszcie dotarli do wsi, gdzie mieli nadzieję odpocząć i zjeść, miejscowi przyjęli ich wrogo, bo przed paroma dniami przyłapano tam na kradzieży Koreańczyka z Północy. W obawie, że ktoś wezwie policję, szybko stamtąd uciekli. Jego współtowarzyszka zaproponowała, żeby – nie zatrzymując się – poszli do wsi, do której ona zmierza. Ma tam chińskiego męża. Po drodze opowiedziała Jun-sangowi swoją historię. Żyła z tym człowiekiem od kilku lat, mieli roczne dziecko. Aresztowano ją przed siedmioma miesiącami, po deportacji do Korei Północnej była w obozie pracy. Nie może się doczekać powrotu do męża i synka. Zapewniła go, że będzie mógł zatrzymać się u nich i odpocząć przed dalszą drogą.

Ale Jun-sang nie znalazł u nich schronienia. Kiedy dotarli na miejsce, rozwścieczony mąż skopał i pobił żonę, po czym rzucił się z siekierą na przybysza. Najwyraźniej myślał, że żona przyprowadziła kochanka.

Jun-sang błądził samotnie po okolicy. Gdy wreszcie udało mu się złapać rowerową rikszę, wypowiedział jedyne chińskie słowo, jakiego nauczył go przewodnik: *shichang*, bazar. Na niewielkim targu pod gołym niebem wypatrzył sprzedawczynię kimczi. To na pewno Koreanka, pomyślał, po czym spytał ją, czy zna kogoś, u kogo mógłby znaleźć pracę. Kobieta najpierw popatrzyła na jego okulary, potem na kolorową koszulę.

– Ty chyba nigdy się nie zhańbiłeś ciężką pracą – powiedziała wzgardliwie. Ale zdołał ją przekonać: handlarka zapoznała go z inną Koreanką, właścicielką cegielni, u której znalazł zatrudnienie.

Całymi dniami dźwigał ciężkie palety z cegłami, tak gorącymi, że gdy za nisko trzymał głowę, opalał sobie brwi. Nocował w baraku dla robotników i tam zaczął robić zapiski w notatniku, który sobie sprawił. Dziennik prowadził pierwszy raz w życiu – w Korei Północnej przelewanie na papier własnych myśli było zbyt niebezpieczne. Spisywał wspomnienia z uniwersytetu, pisał wiersze. Dziennik był dla niego odskocznią od ogłupiającej pracy w fabryce, pozwalał mu nie zapominać o powodach ucieczki.

Żeby zdobyć środki na dalszą drogę, przepracował w cegielni dwa miesiące. Potem pojechał autobusem do Qingdao, miasta, w którym wielu Koreańczyków z Południa prowadzi interesy i znajduje się południowokoreański konsulat.

Urzędy konsularne Korei Południowej na terenie Chin są dobrze strzeżone właśnie przed takimi ludźmi jak Jun-sang, ale on liczył, że jeśli ubierze się elegancko, to zdoła zmylić ochronę. Wszystkie oszczędności wydał więc na garnitur i nowe okulary. Pewnym krokiem wszedł do biurowca, minął ochroniarzy przy wejściu, wsiadł do windy i nacisnął przycisk siódmego piętra, na którym był konsulat. Okazało się jednak, że ten guzik i guzik ósmego piętra uruchamia się na kod. Pojechał więc na szóste piętro, ale gdy zobaczył, że tam też stoi ochroniarz, cofnął się do windy. Wysiadł na dziewiątym i schodami rzucił się na dół. Gdy wybiegał z budynku, słyszał, jak zaaferowani ochroniarze rozmawiają przez radiotelefon.

Szczęśliwie udało mu się uciec przed aresztowaniem.

Ale był bez pieniędzy i nie wiedział, co ma dalej robić. Zastanawiał się nad powrotem do kraju – i gdyby nie odkrył internetu, zapewne by tam wrócił.

Chociaż Jun-sang należał do najlepszych absolwentów elitarnej uczelni, nigdy nie korzystał z internetu. Na jego uniwersytecie były przyzwoite komputery, zgodne ze standardem IBM i wyposażone w procesory Pentium 4, a on korzystał z północnokoreańskiego „intranetu”, zamkniętego systemu dla naukowców, w którym były dostępne ich prace oraz zakupiona przez władze i ocenzurowana encyklopedia. Ale Korea Północna należała do kilku krajów na świecie niepodłączonych do sieci internetowej. W komputerowym klubie w Chongjinie dzieci mogły korzystać jedynie z gier.

Jun-sang słyszał o internecie i po przyjeździe do Chin chciał się o nim dowiedzieć czegoś więcej. Miał nawet niesprecyzowaną ideę, że sieć

pozwoli mu rozwiązać kwestie praktyczne. Ale nie umiał z niej korzystać. Kiedy usłyszał koreański na dworcu autobusowym w Qingdao, zaczepił młodego człowieka. Okazało się, że to Koreańczyk z Południa, który przyjechał na wymianę studencką.

– Nie ma sprawy, wszystko ci pokażę, to jest bardzo proste – powiedział chłopak i zaprowadził go do kafejki internetowej.

Dla Jun-sanga sieć była rewelacją. Wystarczyło kliknąć i świat stawał przed nim otworem. Po raz pierwszy nabrał pełnego przekonania, że jego ucieczka do Chin miała sens. Absolwent jednej z najlepszych uczelni w Korei Północnej, który należał do ludzi najlepiej znających komputery w tym kraju, przyjechał tu bezradny w tej dziedzinie jak dziecko. Do południowokoreańskiej wyszukiwarki wpisał: „prawa człowieka w Korei Północnej” oraz „uciekinierzy z Korei Północnej”.

Przez kilka następnych tygodni do późnej nocy przesiadywał w kafejce, żywiąc się makaronem błyskawicznym, i czytał. Dowiedział się, że północnokoreańscy uchodźcy, którzy chcą wyjechać do Korei Południowej, trafiają na podobne przeszkody, co on, dowiedział się, jak je próbują pokonać, co jest skuteczne, a czego robić nie warto. Zapoznał się z południowokoreańskimi zapisami prawnymi dotyczącymi Koreańczyków z Północy i zrozumiał uwarunkowania polityczne, z powodu których Seul zamknął przed uchodźcami swoją ambasadę i konsulaty w Chinach. Żeby opracować trasę ucieczki, studiował mapy Chin oraz rozkłady kolejowe i lotnicze.

Któregoś dnia trafił w sieci na pewnego pastora z miasta Incheon, z pasją i współczuciem piszącego o uciekinierach wędrujących z Chin do Mongolii. Jun-sang, który przy pomocy znajomego studenta założył sobie skrzynkę mailową, podekscytowany napisał do pastora: „Jestem w Quingdao. Proszę o wskazówki, jak dotrzeć do Korei Południowej”.

Wybrał trasę, którą podróżował Kim Hyuck. Ponieważ przeszły tamtędy już setki ludzi, istniały dokładne mapy pokazujące, gdzie można przekroczyć granicę i skryć się po drodze. Wuj z Japonii przesłał mu dwa i pół tysiąca dolarów potrzebnych na podróż. Jun-sang pojechał pociągiem do Erenhotu, następnie przez pustynię przeszedł do Mongolii, gdzie straż graniczna odstawiła go do ambasady południowokoreańskiej. W październiku 2004 roku przyleciał do Korei Południowej, po przyjeździe przesłuchiwały go służby wywiadowcze.

Potem jemu pozwolono zadawać pytania. Nie była to pierwsza rzecz, o jaką poprosił, ale jedna z pierwszych: spytał, czy mogą skontaktować go z Mi-ran. Wiedział na pewno, że jest w Korei Południowej, bo w kafejce w Quingdao odszukał jej nazwisko w internecie i przeczytał wywiad, którego udzieliła po przyjeździe. Służby miały oko na uciekinierów z Północy i niewątpliwie znały jej namiary.

Funkcjonariusz zawahał się: ponieważ Korea Południowa obawiała się szpiegów z Północy, przepisy nie zezwalały mu na udzielanie informacji o uchodźcach.

– Przykro mi, dane osobowe podajemy tylko najbliższym krewnym.

– Ona była moją narzeczoną, moją pierwszą miłością – prosił Jun-sang.

Agent był sentymentalny i zgodził się pomóc. Nazajutrz powiedział Jun-sangowi, że poda mu jej numer telefonu, ale musi go poinformować, że Mi-ran wyszła za mąż.

To wprawiło go w osłupienie. Jak przyznał później, jego przekonanie, że Mi-ran z nikim się nie związała, było idiotyczne, a nadzieja, że na niego czeka, świadczyła o niebywałej zarozumiałości. Mi-ran miała trzydzieści jeden lat. Od ponad sześciu lat nie utrzymywali kontaktu.

– Ale szczerze mówiąc, nie przyszło mi wtedy do głowy, że mogłaby wyjść za mąż – wspominał Jun-sang.

Próbował się trzymać. Pocieszał się, że przechodząc przez Tumen, powtarzał sobie w duchu wiersz dziewiętnastowiecznego poety węgierskiego Sándora Petöfiego:

> Wolność, miłość – przysięgnę
> Jednako mi niezbędne.
> Ja za miłość jestem gotów oddać żywot.
> Ja za wolność jestem gotów
> Oddać miłość[23].

Ten wiersz poruszył go przed laty w Pjongjangu i wtedy nauczył się go na pamięć. Żeby zostać w stolicy, poświęcił miłość do Mi-ran. Nigdy nie dopuścił, by zajęła najważniejsze miejsce w jego życiu. W poszukiwaniu wolności przyjechał do Korei Południowej – samotnie.

Przez następne miesiące czekały go typowe dla uchodźcy obrzędy przejścia. Po zakończeniu programu orientacyjnego znalazł sobie lokum, kupił telefon komórkowy, z niedowierzaniem błądził po ulicach i sklepach, próbując nie dać się przytłoczyć. Znał tylko parę osób i czasem żałował, że nie wie, jak odnaleźć Mi-ran. Kiedy dowiedział się, że wyszła za mąż, nie chciał wziąć jej numeru telefonu.

„Lepiej dać jej spokój, ma męża” – powiedział sobie w duchu.

Któregoś wieczoru poszedł w gości do znajomego z Hanawonu. Uchodźcy spotykali się od czasu do czasu na piwo. Tego dnia był wśród nich zamyślony młodzieniec, w którym Jun-sang rozpoznał od razu młodszego brata Mi-ran. Kiedyś przekupywał go cukierkami. Sok-ju był wtedy dzieckiem i po latach nie poznał Jun-sanga.

Tego dnia zamienili parę słów, potem rozmawiali przy następnych okazjach towarzyskich. Po pewnym czasie Sok-ju zrobił się podejrzliwy.

– Skąd wiesz tak dużo o mnie i o mojej rodzinie? – spytał. I zanim Jun-sang zdążył mu odpowiedzieć, olśniony, uderzył się w czoło. – No jasne, przecież to ty kręciłeś kiedyś z moją siostrą...

Tydzień później Jun-sang chodził tam i z powrotem przed identycznymi wieżowcami mieszkalnymi. Umówili się z Mi-ran przy stacji metra we wschodnim Seulu. Rozpoznany przez jej brata, Jun-sang nie miał wyboru – musiał do niej zadzwonić. Od razu poznała go po głosie i powiedziała z oburzeniem:

– Czemu się wcześniej nie odzywałeś? Przecież moglibyśmy ci pomóc.

Było mu głupio. Po przyjeździe niemal przez rok błąkał się tutaj zagubiony i rozpaczliwie samotny. Trzeba było zwrócić się o pomoc do przyjaciółki, tym bardziej, że przyjaźniła się z nim przez lata, dobrze go znała i umiałaby zrozumieć jego problemy. Choć było mu przykro, że porzuciła go bez słowa, zaczął ją przepraszać.

Teraz co chwila sprawdzał czas w komórce – tutaj nikt nie nosi zegarka. Niepokoił się, czy wysiadł na właściwej stacji i czy czeka przy właściwym wyjściu. Nie poruszał się jeszcze swobodnie w seulskim metrze, którego gęsta sieć nieustannie się rozrastała, na ogromnych stacjach w nieskończoność ciągnęły się wykładane kafelkami korytarze i trudno było trafić do odpowiedniego wyjścia. Znalazł się w nowo wybudowanej dzielnicy mieszkaniowej, gdzie, jak powiedziała Mi-ran, mieszka jej matka. Jun-sang wypatrywał znajomej twarzy w przelewającym się tłumie. Był piękny, słoneczny dzień krótkiego interludium między parnym latem a zimą. Wśród przechodniów przeważały kobiety, bo to był dzień roboczy, a większość Koreanek z Południa nie pracuje po urodzeniu dzieci. W obcisłych dżinsach rozmawiały przez komórki, z których zwisały puszyste maskotki. Niektóre pchały cudaczne wózki, kosztujące pewnie tyle co rowery. W Korei Północnej prawie nie widuje się wózków, małe dzieci nosi się w chustach zarzuconych na plecy. Zastanawiał się, czy Mi-ran też jest

taką wygodnicką matką. Ogarnęła go panika, że może jej nie rozpoznał i przeszła mu tuż przed nosem. I wtedy usłyszał swoje imię. Rozejrzał się zdumiony.

– Długo czekałeś? – Mi-ran opuściła szybę w aucie.

Jun-sang wciąż pozostawał wierny metaforyce hollywoodzkiej. Od lat wyobrażał sobie ich spotkanie i miał jeszcze w głowie scenę, w której para biegnie ku sobie na zamglonym peronie. Wymyślił różne scenariusze, ale w żadnym z nich nie było samochodu – z pewnością zaś samochodu z Mi-ran za kierownicą.

Zatrzymała się na pasie dla autobusów, otworzyła przednie drzwiczki i zaprosiła go do środka. Mówiła szybko, przepraszała za spóźnienie, tłumaczyła się, że były korki, powiedziała, że nie miała gdzie zaparkować. Patrzyła na drogę przed sobą, gdy on zerkał na nią. Nie zmieniła się – aż trudno mu było uwierzyć, że bał się, że nie zdoła jej rozpoznać. Może nie była tak olśniewająco piękna jak kiedyś, a może przez lata rozłąki wyidealizował jej obraz. Zmęczenie trudami macierzyństwa odbiło się na jej cerze, makijaż nie tuszował wyprysków na brodzie. Wyczuwał, że ma już w sobie coś z *ajumma*. Nosiła falbaniastą spódnicę w kolorze brzoskwiniowym i luźną bluzkę z krótkimi rękawami. Wyszukany strój i skomplikowane życie – po jej dziewczęcej prostocie nie było śladu.

– Jesteś taka spokojna – przerwał ciszę.

– Wcale nie, może tego nie widać, ale się denerwuję.

Pojechali do zacisznej restauracji na przedmieściu. Zaczęli uprzejmą rozmowę o najbliższych, ale siłą rzeczy był to tragiczny temat. On bał się spytać o jej siostry. Słyszał, że je zabrano. Ona nie chciała poruszać sprawy jego rodziców, skoro Jun-sang być może już ich nie zobaczy. Szybko przeszli do sprawy jej niezapowiedzianego wyjazdu. Kiedy o tym mówili, czuł, jak narasta w nim złość.

– Mogłaś dać mi to jakoś do zrozumienia – powiedział.

Wyjaśniła, że wtedy nie wiedziała jeszcze, czy ucieknie – mogło się skończyć na wyprawie do Chin, żeby zobaczyć się z krewnymi – i chociaż nie do końca jej wierzył, kiedy to usłyszał, poczuł się lepiej.

Dowiedziała się, że w październiku 1998 roku, w dniu jej wyjazdu, nie było go w Chongjinie – więc to, że go widzi po drugiej stronie ulicy, było złudzeniem.

– Skoro chciałeś wyjechać do Korei Południowej, dlaczego zrobiłeś to tak późno?

Jun-sang czuł, że nie znajdzie dobrej odpowiedzi. Mi-ran się rozpłakała, a sens pytania wydawał się oczywisty. Miała męża i dziecko. Było za późno.

Po upływie kilku miesięcy ich spotkanie po latach straciło początkowy urok. W rozmowach z nimi wyczuwałam, że są sobą zmęczeni. Jun-sang utyskiwał, że ona nie jest już tak piękna jak kiedyś. Mi-ran przyrzekła, że pozna go ze swoimi koleżankami, ale nie dotrzymała słowa. Wysyłali sobie e-maile albo zostawiali wiadomości głosowe. Nowoczesne sposoby porozumiewania się i możliwość otrzymania natychmiastowej odpowiedzi unicestwiły dawny czar tej znajomości. Ich związek kwitł po części dzięki przeciwnościom, z jakimi borykali się w Korei Północnej. Uczucia jakoś więcej znaczyły, gdy wyrażało się je, pisząc ręcznie na trudnym do zdobycia papierze, albo gdy trzeba było długo jechać pociągami, zatrzymującymi się między stacjami z braku paliwa.

– Teraz to już nie jest takie ekscytujące, bo w każdej chwili mogę do niego zadzwonić albo wysłać mu wiadomość – przyznała Mi-ran. – Trudno mi dzisiaj pojąć, dlaczego przez tyle lat nie przestawałam o nim myśleć.

Nie pomagało im także to, że ona cieszyła się teraz wyższym od niego statusem społecznym. W Korei Północnej to Jun-sang miał lepsze pochodzenie klasowe, pieniądze, eleganckie swetry z Japonii i studiował w Pjongjangu. Tutaj był przybyszem bez pieniędzy i koneksji. Na Południu jego północnokoreańskie wykształcenie okazało się bezwartościowe. Zdobyta tam wiedza naukowa i techniczna tutaj była przestarzała. Pozbawiony szans na szybką karierę, zarabiał na różne sposoby, na przykład rozwoził skuterem posiłki na wynos. Któregoś dnia potrąciła go taksówka. Pozbierał się, czując, że ani jemu, ani skuterowi nie stało się nic złego, i ruszył w dalszą drogę. Kiedy po powrocie do restauracji opowiedział o tym swemu szefowi, ten wybuchnął śmiechem. Gdyby nie był naiwnym nowicjuszem, domagałby się od taksówkarza odszkodowania.

Jun-sang umiał się tym nie przejmować. Nie zamierzał dopuścić, by takie drobiazgi wytrącały go z równowagi. Miał głęboką, niezachwianą wiarę w siebie. Nigdy się nad sobą nie użalał i nie żałował przyjazdu, ale martwił się, że nie zobaczy rodziców. Napawał się wolnością i cieszył drobnymi rzeczami. Chodził w dżinsach właśnie dlatego, że było to zakazane w Korei Północnej. Zapuścił włosy do ramion. („Zawsze o tym marzyłem. Uznałem, że nie będę z tym czekał do czterdziestki” – powiedział). Bardzo dużo czytał. W jego wykształceniu humanistycznym wyniesionym z Korei Północnej były luki. Często pożyczałam mu książki.

Ogromne wrażenie zrobił na nim koreański przekład *Roku 1984*. Uważał, że Orwell oddaje istotę północnokoreańskiej odmiany totalitaryzmu.

Po raz ostatni spotkałam się z nim w Lotte World, ogromnym kompleksie handlowo-rozrywkowym w południowym Seulu. W niedzielne popołudnie tuż przed Nowym Rokiem księżycowym przyszły tam tłumy. Z trudem torowaliśmy sobie drogę w poszukiwaniu jakiegoś kąta, gdzie można by porozmawiać. W końcu znaleźliśmy wolne miejsca przy obrotowym barze sushi, który w Korei Południowej jest ostatnim krzykiem mody. Przy nakładaniu potraw z taśmociągu Jun-sang powiedział, że studiuje farmację. W czasie wakacji akademickich pracował na budowie pod miastem przy montażu urządzeń wentylacyjnych. Niezbyt to licowało z jego kwalifikacjami. Byłam pewna, że kiedy się spotkamy następnym razem, będzie miał inne zajęcie.

Koreańczycy z Północy często mają kłopoty adaptacyjne. Uciekinierom z totalitarnego kraju niełatwo jest żyć w wolnym świecie. Ten świat zmusza ich nieustannie do podejmowania decyzji. Wybór miejsca zamieszkania, zajęcia czy ubrania, które wkładamy rano, nawet dla nas, przyzwyczajonych do tego, bywa trudny. Ludzi, którzy przez całe życie przywykli, że totalitarne państwo decyduje w ich imieniu o wszystkim, konieczność dokonywania wyborów może paraliżować.

Uchodźcom doskwiera także poczucie tymczasowości. Wielu z nich, jeśli nie większość, pragnie wrócić do Korei Północnej. Zazwyczaj wyjeżdżali w przeświadczeniu, że reżim Kim Dzongila jest na skraju upadku i że za parę lat wrócą do wolnego kraju. Istniały ku temu racjonalne podstawy. W połowie lat dziewięćdziesiątych, po śmierci Kim Ir Sena i rozpadzie Związku Radzieckiego, wydawało się, że koniec tej dyktatury jest nieuchronny i wymaga jedynie pewnych uzgodnień na arenie międzynarodowej. Turyści, którzy odwiedzają Pjongjang i fotografują tam sięgające nieba pomniki, defilujących żołnierzy i socrealistyczne, kiczowate plakaty, nie mogą się nadziwić, że to wszystko dzieje się w dwudziestym pierwszym wieku. „Zobaczcie to, póki czas”, reklamuje wycieczki do KRLD jedno z biur turystycznych.

Podczas gdy trwanie tego reżimu zadziwia świat, dla Koreańczyków z Północy, nawet tych, którzy zdołali stamtąd uciec, jest tragedią. Jun-sang nie powinien się łudzić, że zobaczy swoich rodziców, jeżeli dyktatura nie upadnie za ich życia. Mi-ran może mieć tylko nadzieję, że jej siostry

doczekają chwili, gdy otworzą się bramy obozów i więźniowie odbywający długoletnie wyroki wyjdą na wolność.

W tym miejscu przerywam tę opowieść. Korea Północna wciąż jest ostatnim bastionem prawdziwego komunizmu. Pani Song niedawno przeszła na emeryturę. Oak-hee pracuje w Suwonie w biznesie karaoke. Doktor Kim studiuje na ostatnim roku medycyny, Jun-sang na pierwszym roku farmacji. W grudniu 2007 roku Mi-ran urodziła drugie dziecko, dziewczynkę. Siłą rzeczy jest to opowieść niedokończona, bo zarówno w życiu jej bohaterów, jak i samej Korei, nastąpi ciąg dalszy.

Epilog: Czekanie



[329] Przystanek autobusowy przy głównej ulicy w Chongjinie, 2008

W Seulu, gdzie przez pięć lat pracowałam jako korespondentka „Los Angeles Times", spotykałam się na niezliczonych kolacjach z innymi dziennikarzami, dyplomatami i naukowcami. Korea Północna była stałym przedmiotem naszych rozmów i zawsze ktoś zaczynał snuć domysły, kiedy upadnie reżim Kim Dzongila.

W istocie, dla wielu ludzi zajmujących się zawodowo tym krajem trwałość północnokoreańskiego reżimu jest swoistą zagadką. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia praktycznie wszyscy spodziewali się rychłego końca tej dyktatury. (Wybitny koreanista Nicholas Eberstadt w czerwcu 1990 roku opublikował artykuł pod tytułem *The Coming Collapse of North Korea* [Zbliżający się upadek Korei Północnej]. Ale wbrew tym prognozom Korea Północna przetrwała zburzenie muru berlińskiego, rozpad Związku Radzieckiego, reformy rynkowe w Chinach, śmierć Kim Ir Sena, głód w latach dziewięćdziesiątych oraz dwie kadencje prezydentury George'a W. Busha. Ten ostatni w głośnym przemówieniu zaliczył Koreę

Północną obok Iranu oraz Iraku do państw „osi zła” i dał do zrozumienia, że Kim Dzongil podzieli los Saddama Husajna.

Tymczasem jednak to Bush odszedł w 2009 roku ze sceny politycznej, a Kim Dzongil, mimo kłopotów ze zdrowiem, wciąż pozostaje u władzy. Jest jednym z ostatnich dwudziestowiecznych dyktatorów, żywym anachronizmem. Kim rządzi Koreą Północną, jakby na świecie w dalszym ciągu toczyła się zimna wojna, wspiera się pompatyczną propagandą, nie lubi wpuszczać do kraju cudzoziemców, prawdziwych i urojonych wrogów straszy użyciem broni nuklearnej i rakietowej. 25 maja 2009 roku na poligonie podziemnym w prowincji Hamgyong Północny, osiemdziesiąt kilometrów na południe od Chongjinu, Korea Północna przeprowadziła drugą próbę jądrową, a według szacunków wywiadu amerykańskiego zdetonowana bomba miała moc kilkudziesięciu kiloton. Teraz, gdy piszę te słowa, kolejne administracje amerykańskie od szesnastu lat na próżno próbują osiągnąć porozumienie, na mocy którego Stany Zjednoczone nawiązałyby stosunki dyplomatyczne z Koreą Północną w zamian za jej rezygnację z programów zbrojeniowych oraz podpisanie traktatu pokojowego kończącego wojnę koreańską[24]. Zaledwie kilka tygodni po przeprowadzeniu próby jądrowej północnokoreański reżim dał wyraz swojemu nieprzejednanemu stanowisku, skazując na dwanaście lat ciężkiego obozu pracy dwóch amerykańskich dziennikarzy schwytanych w pobliżu granicy na rzece Tumen.

Dobiegający siedemdziesiątki Kim Dzongil posiwiał i zmizerniał. W lecie 2008 roku prawdopodobnie przeszedł udar, na późniejszych zdjęciach jedna ręka zwisa mu bezwładnie, jakby cierpiał na częściowy paraliż.

Ale problemy zdrowotne nie przesądzają o tym, że Kim wkrótce umrze. Nawet jego śmierć nie musiałaby zresztą oznaczać końca reżimu. Na posiedzeniu Najwyższego Zgromadzenia Ludowego do Narodowej Komisji Obrony został powołany Jang Song-taek, szwagier Kima. Decyzja ta, zdaniem obserwatorów, jest sygnałem, że w razie śmierci przywódcy Jang przejmie jego obowiązki, być może jedynie tymczasowo, do chwili, gdy do tej roli dojrzeje faworyzowany przez Kima jego najmłodszy syn, dwudziestosześcioletni Kim Dzong Un.

Wśród specjalistów zajmujących się Koreą Północną toczy się debata, czy warunki w kraju poprawiają się, pogarszają czy pozostają bez zmian. Ponieważ w Pjongjangu bywałam krótko, unikam wypowiadania się o sytuacji w kraju na podstawie poczynionych tam obserwacji, zdaję sobie

bowiem sprawę, że na użytek gości zagranicznych władze dokonują w stolicy niebywałych inscenizacji. W 2008 roku odwiedziłam Koreę Północną dwukrotnie, na początku następnego roku dwa razy pojechałam na jej tereny przygraniczne, i z tych podróży mam mieszane wrażenia. W Pjongjangu zobaczyłam ze zdziwieniem kilka placów budowy, gdzie budynki wznosi się od podstaw, oraz prowadzone w wielu miejscach prace remontowe. Widziałam rusztowania na domach, słyszałam piły łańcuchowe i wiertarki. W porównaniu z innymi stolicami azjatyckimi, w których buduje się mnóstwo drapaczy chmur, te przedsięwzięcia są niczym, ale w Pjongjangu, mieście pogrążonym w zastoju, jakby zamkniętym w latach sześćdziesiątych w kapsule czasu, robią wrażenie. Poza kilkoma pomnikami przywódców od dziesięcioleci praktycznie niczego tam nie budowano. Moi północnokoreańscy przewodnicy mówili, że do 2012 roku, na obchody setnej rocznicy urodzin Kim Ir Sena, w mieście powstanie sto tysięcy nowych mieszkań. Jak uważają obserwatorzy Korei Północnej, ta inwestycja jest finansowana częściowo przez kapitał z Bliskiego Wschodu. Egipskie konsorcjum Orascom, które zainwestowało w Korei Północnej czterysta milionów dolarów, zakłada tam między innymi telefonię komórkową i zajmuje się liftingiem najsłynniejszego molocha w Pjongjangu – tworzącego stupięciopiętrową piramidę hotelu Ryugyong. Poprzedni krótki flirt KRLD z telefonią komórkową został przerwany po wybuchu w pociągu w 2004 roku. Niektórzy uważają, że miał to być zamach na Kim Dzongila, a ładunek został odpalony za pomocą telefonu. Dzięki telefonii komórkowej Korea Północna przybliży się trochę do tak odległego od niej świata dwudziestego pierwszego wieku.

Czy widać inne oznaki poprawy? W podziemiach domu towarowego Rakwon, w którym zaopatrują się przede wszystkim dyplomaci oraz stołeczna nomenklatura, powstał dobrze zaopatrzony supermarket spożywczy, gdzie można kupić mrożoną wołowinę z Australii i amerykańskie płatki śniadaniowe. Ulica w Pjongjangu ubiera się lepiej i bardziej kolorowo niż podczas moich wcześniejszych wizyt. Ostatnim razem pojechałam tam na tydzień we wrześniu, było ciepło i w mieście widziałam kilka kobiet w seksownych letnich pantoflach na szpilkach. Po raz pierwszy zobaczyłam tam także kogoś z lekką nadwagą – pani w średnim wieku daleko było do otyłości według standardów amerykańskich, ale w Pjongjangu taki widok był na tyle niezwykły, że zanim zniknęła za rogiem, chciałam zrobić jej zdjęcie.

O stolicy KRLD powiada się często, że to wieś potiomkinowska, sztuczny twór, zaaranżowany starannie na użytek cudzoziemców. Na każdym kroku spotyka się tam podejrzanie eleganckich, nienaturalnie upozowanych ludzi – na przykład młode kobiety siedzące na cementowych ławkach przed głównym pomnikiem Kim Ir Sena mają mocno uróżowane policzki, noszą tradycyjne stroje i udają, że czytają książki. Że coś tu nie gra, widać dopiero po chwili. W czasie ostatniej podróży patrzyłam, jak żołnierze w galowych mundurach składają pod tym pomnikiem kwiaty. Gdy przy niskim pokłonie lekko im się uniosły nogawki spodni, widać było, że noszą buty na bose nogi. Wojsko cierpi chronicznie na brak skarpet.

Kiedy w zeszłym roku w Pjongjangu koncertowała Filharmonia Nowojorska, miasto rozświetliło się jak na Boże Narodzenie, plac Kim Ir Sena skąpany był w blasku reflektorów, na głównych ulicach jarzyły się girlandy białych lampek. Trzystu zagranicznych gości – muzycy i dziennikarze – zamieszkało w hotelu Yanggado (zwanym „Alcatraz", bo z wyspy na rzece, gdzie go zbudowano, wydostać się nie jest łatwo). Mogliśmy się porozumiewać ze światem, bo hotel został podłączony do szybkiego internetu. Pokoje tak przegrzewano, że wielu z nas chodziło w podkoszulkach. Niezwykle fetowani byliśmy także przy stole. Na bankietach podawano łososia, kraby z rusztu, jagnięcinę, bażanta i wiedeński tort czekoladowy. Przebogaty bufet śniadaniowy dekorowały rzeźby z lodu i ozdobnie powycinane melony. Wiadomo, że to było na pokaz, ale trzeba przyznać, był to pokaz udany. Dziennikarze, nawet ci najbardziej sceptyczni, odnieśli wrażenie, że Korea Północna się dźwiga, że po Trudnym Marszu lat dziewięćdziesiątych powoli wychodzi na prostą.

I o to, oczywiście, chodziło. To był błysk, krótka feeria świateł w ponurym, niewydolnym kraju, jakim jest naprawdę Korea Północna. Internet został odłączony. Wygaszono iluminację. Gdy tydzień po koncercie rozmawiałam telefonicznie z ówczesnym przedstawicielem Światowego Programu Żywności ONZ w Pjongjangu, Jean-Pierre de Margerie powiedział:

– Jak tylko wyjechaliście, tutaj znów zapanowały egipskie ciemności.

W raportach Światowego Programu Żywności, największej organizacji pomocy humanitarnej działającej w Korei Północnej, sytuacja gospodarcza kraju wygląda ponuro. Z dwustu pięćdziesięciu gospodarstw domowych objętych badaniami ankietowymi programu w lecie 2008 roku, w dwóch trzecich uzupełniano dietę trawą i chwastami zbieranymi na wsi. Większość dorosłych nie jadała obiadu. Według de Margerie, respondenci nie wiedzieli,

co będą jeść na następny posiłek, albo odpowiadali niekonkretnie, mówiąc na przykład: „Mam nadzieję, że wieczorem dostanę ziemniaki od krewnych ze wsi”.

Agendy ONZ nie przewidują kolejnej klęski głodu na miarę lat dziewięćdziesiątych, ale uważają, że ludność Korei Północnej od wielu lat cierpi na chroniczne niedożywienie. „Nauczyciele skarżą się, że dzieci z powodu braku sił są opóźnione w rozwoju intelektualnym i społecznym. Robotnicy nie są w stanie pracować w pełnym wymiarze godzin, a także pracują wolniej” – napisali wysłannicy amerykańskich organizacji pomocy humanitarnej w raporcie sporządzonym ostatniego lata. Według personelu szpitali, czytamy w tym dokumencie, częstotliwość nieżytu pokarmowego wskutek niewłaściwej diety wzrosła o dwadzieścia do czterdziestu procent.

Prawdziwy obraz Korei Północnej, choć widziany przez szyby autobusowe czy samochodowe, zaczyna się odsłaniać dopiero po wyjeździe ze stolicy. Nawet przedstawiciele organizacji humanitarnych mających siedziby w Pjongjangu nie mogą się poruszać po kraju bez eskorty. Gdy we wrześniu 2008 roku przejeżdżałam przez Nampo (miasto nad Morzem Żółtym, w którym Mi-ran po raz pierwszy zobaczyła zmarłego na ulicy człowieka), widziałam ludzi, prawdopodobnie bezdomnych, śpiących na trawnikach przy głównej ulicy. Inni bezczynnie siedzieli w kucki z opuszczonymi głowami, choć była dziesiąta rano i dzień roboczy. Chodnikiem szedł chłopiec, mniej więcej dziewięcioletni, bosy, w ubłoconym kombinezonie z krokiem poniżej kolan. To wtedy po raz pierwszy zobaczyłam na własne oczy słynną zbłąkaną jaskółkę, *kochebi*.

Przez całe czterdzieści kilometrów drogi od Pjongjangu do Nampo można było obserwować, jak ludzie zdolni do pracy muszą zdobywać jedzenie. Po wsiach wędrowały urzędniczki w średnim wieku, z notesami i łopatami przewieszonymi przez ramię. Klęczący na poboczu drogi starsi ręcznie przesiewali zielsko w poszukiwaniu roślin nadających się do zjedzenia. Nad polami unosił się odór odchodów zbieranych nocami, stosowanych do użyźniania gleby. Z powodu zeszłorocznych napięć politycznych Korea Południowa obcięła dostawy nawozów sztucznych, przekazywanych KRLD w formie darów. Prawie nie widziało się traktorów pracujących w polu. Ciężarówki pluły kłębami dymu, jakby zamiast benzyny palono w nich drewnem i kolbami kukurydzianymi. Ludzie wędrujący wzdłuż zardzewiałych torów kolejowych, nieużywanych najwyraźniej od lat, uginali się pod ciężarem worów zarzuconych na plecy.

Nawet w najlepszym okresie żywność produkowana w Korei Północnej zaspokajała zapotrzebowanie ludności jedynie w sześćdziesięciu procentach, a obecnie kraju nie stać na uzupełnianie braków importem. Im dalej od Pjongjangu, tym większe są niedobory. Jak wynika z zeszłorocznego raportu przygotowanego wspólnie przez Światowy Program Żywności i Organizację do spraw Wyżywienia i Rolnictwa ONZ, najtrudniejsza sytuacja, podobnie jak kiedyś, panuje w prowincji Hamgyong Północny.

Gospodarka KRLD kurczy się w dalszym ciągu. Według szacunków sporządzonych przez Bank Korei z siedzibą w Seulu, w 2006 roku zmalała o 1,4 procent, w 2007 roku o 2,3 procent. (W momencie, gdy piszę te słowa, nie opublikowano jeszcze danych dotyczących 2008 roku, ale prognozy wskazywały na dalszy spadek).

Po 2007 roku, gdy prezydenturę w Seulu objął konserwatysta Lee Myung-bak, zmalały południowokoreańskie inwestycje na Północy. Ostatniego lata, po przypadkowym zastrzeleniu turysty z Południa przez żołnierza północnokoreańskiego, Korea Południowa zawiesiła wycieczki do malowniczego kurortu na górze Kumgang w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej, które stanowiły dla Korei Północnej jedno z najważniejszych źródeł twardej waluty. Z powodu napięć politycznych między Koreami niepewna jest także przyszłość specjalnej strefy ekonomicznej w północnokoreańskim Kaesongu, gdzie południowokoreańskie fabryki zatrudniają trzydzieści osiem tysięcy obywateli KRLD.

Wojownicza retoryka Pjongjangu idzie w parze z przykręcaniem śruby w sferze ekonomicznej. Podczas gdy inne kraje komunistyczne dawno uległy naporowi kapitalizmu, Kim Dzongil próbuje sterować gospodarką tak, jak robił to jego ojciec w latach pięćdziesiątych. Jeśli w kraju dokonują się jakieś zmiany, to wyłącznie wstecz, reżim wycofuje się bowiem z przemian rynkowych ostatniej dekady. Partia walczy z bazarami, gdzie mieszkańcy Korei Północnej znajdowali owoce z importu i kolorowe koszulki, a niektórzy obawiają się całkowitej likwidacji prywatnego handlu. W większości kraju bazary mogą być otwarte tylko przez cztery godziny dziennie, od drugiej do szóstej po południu, a sprzedażą mogą zajmować się wyłącznie kobiety powyżej pięćdziesiątego roku życia. Młodsze kobiety i wszyscy mężczyźni mają obowiązek pracy w przedsiębiorstwach państwowych. Coraz surowsze ograniczenia dotyczą także sprzedawanych

towarów. Oprócz ryżu i kukurydzy zakazem handlu na bazarach objęto też soję, rzekomo by zapobiec ich wywozowi do Chin, skąd miałyby trafiać do wroga z Południa. Specjalne jednostki policji kontrolują stragany i konfiskują zakazane towary.

– Nasz Generał chce przywrócić dawny socjalizm – powiedział mi handlarz, który przedstawił się jako Kim Young-chul. Z nim i kilkoma innymi ludźmi z prowincji Hamgyong Północny rozmawiałam w czerwcu 2009 roku na chińskich terenach przygranicznych. Powiedział, że władze wydały wojnę produktom „made in China", więc z bazarów praktycznie znikły kosmetyki, słodycze i lekarstwa.

– Zamiast towarów chińskich mamy kupować krajowe, ale Korea Północna niczego nie produkuje, wszystko pochodzi z Chin, więc już niczego nie można dostać – dodał.

Pięćdziesięciokilkuletnia Lee Myong-hee uskarżała się na restrykcje dławiące gospodarkę.

– Jak mamy przeżyć, skoro nie ma jedzenia ani ubrań i nie wolno nam niczego kupować? – powiedziała.

Pochodzi z Kilju, miasta sąsiadującego z poligonem nuklearnym, z Korei Północnej wyjechała pięć dni przed przeprowadzoną tam próbą. Odchodziła od zmysłów z niepokoju: o skażenie promieniotwórcze, sankcje nałożone przez ONZ, o gospodarkę.

– Jak można marnować pieniądze na broń nuklearną, gdy ludzie głodują? – powtarzała z płaczem.

Chociaż Chiny pozostają najważniejszym partnerem handlowym Korei Północnej, zmalał ruch przez Tumen. Przed olimpiadą w Pekinie w 2008 roku Chińczycy postawili nad rzeką zasieki z drutu kolczastego i zainstalowali kamery. By uniemożliwić ucieczki i nielegalny handel, Korea Północna wzmocniła posterunki straży granicznej. Chińska właścicielka fabryki w Chongjinie powiedziała mi, że władze północnokoreańskie w ramach ochrony rynku wewnętrznego ustanowiły niedawno embargo na eksport blachy stalowej do Chin.

Na Chongjin, chyba najbardziej przedsiębiorcze miasto w kraju, władze centralne wywierają nieustanną presję, zaniepokojone próbami zdobycia przez nie pewnej niezależności. W ostatniej dekadzie, gdy dla losów miasta ważniejszy był handel przygraniczny niż dyktaty Pjongjangu, mniej ulegli stali się nie tylko jego mieszkańcy, lecz także władze prowincji. W marcu 2008 roku doszło do otwartego protestu przeciwko zakazowi handlowania

dotyczącego kobiet poniżej pięćdziesiątego roku życia. „Dajcie nam jeść albo pozwólcie pracować!” – krzyczały handlarki zebrane przed biurem zarządu wielkiego bazaru Sunam.

Po tym niezwykłym wystąpieniu zarząd bazaru zrezygnował z restrykcji, choć ostatnio próbuje wprowadzić je ponownie. Według moich rozmówców z Chongjinu ludzie w mieście zadają sobie pytanie, czemu władze nie dają im po prostu spokoju, czemu nie dają im żyć. Wprawdzie nie wyrażają tego głośno, ale to odczucie wydaje się powszechne. Górnik z Chongjinu, którego poznałam w Chinach w 2004 roku, powiedział:

– Ludzie nie są głupi. Wszyscy wiedzą, że to rząd jest winien tej straszliwej sytuacji. Wszyscy to wiemy, i wiemy, że wszyscy tak myślą. Nie musimy o tym rozmawiać.

Wśród osób, których losy prześledziłam w tej książce, części udaje się od czasu do czasu skontaktować z bliskimi z Chongjinu przez nielegalne telefony komórkowe, które w Musanie, Hoeryongu i innych miejscowościach przygranicznych odbierają sygnał z Chin.

– Wszystkim jest bardzo, bardzo ciężko – powiedziała mi pani Song w marcu 2009 roku po rozmowie telefonicznej z bratem. – Na bazarze nie ma dość jedzenia i panuje straszliwa inflacja. Ludzie ledwo wiążą koniec z końcem.

Zdaniem pani Song jej rodzeństwu żyje się lepiej niż większości, bo wysyła im pieniądze przez Chiny, choć władze w znacznej części je konfiskują.

– Krewni uciekinierów należą do najbogatszych mieszkańców naszej dzielnicy – powiedziała Oak-hee. – Mój mąż mówi, że ciągle nachodzą go agenci bezpieki i ciągle się czegoś domagają. Wpadają nawet po to, żeby się ogolić, bo wiedzą, że tylko on ma żyletki.

Wobec rosnącej przepaści między bogatymi a biednymi nasila się przestępczość. Mąż średniej córki pani Song do 2006 roku, gdy Oak-hee ściągnęła go z żoną do Korei Południowej, pracował jako strażnik na kolei. Z powodu nagminnych kradzieży żywności z magazynów strażnicy dostali broń z ostrymi nabojami i rozkaz strzelania do złodziei. Uzbrojona straż pilnowała także wąskich działek pracowniczych przy torach, na których kolejarze uprawiają kukurydzę. W Chongjinie istnieje też poważny problem narkomanii: miejscowe fabryczki produkują tak zwany lód, czyli metamfetaminę w kryształkach, łatwo dostępną zarówno w mieście, jak i

przy granicy chińskiej. Lód staje się popularny, bo jest tani i zabija łaknienie.

Chongjin, w odróżnieniu od Pjongjangu, nie przeżywa boomu budowlanego. Oprócz kilku stacji benzynowych przy głównej ulicy w śródmieściu, od lat niczego tam nie zbudowano. Najnowszy budynek to wzniesiony w końcu lat dziewięćdziesiątych jaskraworóżowy pawilon, w którym znajduje się stała wystawa kimdżongilii, kwiatów nazwanych tak na cześć Drogiego Przywódcy. Fasady przy głównej Drodze nr 1 zostały odmalowane w odcieniach jasnej zieleni i brzoskwini, ale gzymsy się sypią i pod domami niebezpiecznie jest chodzić. Na ulicy pojawiły się ustawione w regularnych odstępach tablice z najnowszym reżimowym sloganem, nawołującym do przebudowy ekonomicznej kraju: *kyungjae jeonsun*, front gospodarczy.

W ostatnich latach w pustych budynkach, w których kiedyś mieściły się firmy i restauracje państwowe, powstało kilka prywatnych restauracji oraz *noribang*, barów karaoke. Ale większość z nich nie jest w stanie przetrwać i szybko pada.

– Nie widzę żadnych oznak zmian na lepsze. Chongjin w gruncie rzeczy sprawia wrażenie miasta, które cofa się w czasie. Wszystko tutaj coraz bardziej się sypie – powiedział Anthony Banbury, dyrektor Światowego Programu Żywności w Azji po swojej podróży do miasta w sierpniu 2008 roku. – Większość fabryk najwyraźniej nie pracuje. W najlepszym razie na osiem kominów dymi jeden.

Eckart Dege, niemiecki geograf, któremu zawdzięczam zdjęcia do tej książki, we wrześniu 2008 roku pojechał za zgodą władz do Chongjinu i okręgu Kyongsong, gdzie wychowała się Mi-ran. On także nie dostrzegł tam oznak ożywienia gospodarczego, nie licząc naprawy drogi do Kyongsongu, przy której ludzie pracowali bez pomocy maszyn.

– Tysiące, całe tysiące ludzi, zupełnie jak przy budowie piramid, na szuflach znosiły ziemię ze wzgórz i usypywały ją w niewielkie kopczyki – powiedział Dege.

W mieście jego uwagę przykuł niezwykle częsty widok ludzi przycupniętych w pozycji niemal symbolicznej dla Korei Północnej: siedzących w kucki z kolanami podciągniętymi wysoko do piersi.

– Wszędzie na świecie ludzie coś nieustannie robią, a oni tylko siedzieli – dodał.

To zjawisko zaobserwowało w Korei Północnej wielu przyjezdnych. Nie ma ławek, więc ludzie godzinami siedzą skuleni przy drogach, w parkach, na bazarach. Patrzą przed siebie, jakby na coś czekali – może na tramwaj, może na przejeżdżający samochód? Na przyjaciela albo krewnego? A może nie czekają na nic konkretnego, po prostu wypatrują zmiany.

Barbara Demick

wrzesień 2009

Trzecie pokolenie

19 grudnia 2011 roku w południe północnokoreańskie radio i telewizja nadały komunikat specjalny o spowodowanej zawałem serca śmierci Kim Dzongila. Chociaż dyktator zmarł stosunkowo młodo, w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat, jego zgon nie był kompletnym zaskoczeniem. Dwa i pół roku wcześniej Kim Dzongil przeszedł udar, po którym powłóczył nogą, miał niedowład ręki, stracił spory dawniej brzuch i przez wiele miesięcy nie pokazywał się publicznie.

Po jego śmierci Pjongjang powtórzył w najdrobniejszych szczegółach taniec odprawiony po odejściu Kim Ir Sena w 1994 roku. Północnokoreańskie władze odczekały dwa dni potrzebne na przygotowania, by następnie uprzedzić wszystkie zakłady pracy, wojsko, szkoły i urzędy państwowe, że zostanie ogłoszony komunikat specjalny. Prezenterka telewizyjna Ri Chun-hee, która przed siedemnastoma laty odczytała wiadomość o śmierci Wielkiego Wodza, ubrana chyba w ten sam czarny, tradycyjny strój, załamującym się głosem powiadomiła naród o śmierci jego syna. Ogłoszono dziesięciodniową żałobę narodową. Stołeczna telewizja pokazywała setki tysięcy zrozpaczonych ludzi zbierających się przy pomnikach w Pjongjangu. Tłumy na ulicach łkały i wznosiły okrzyki „*Abogi*, *Abogi*” (Ojcze, Ojcze). Uroczystości pogrzebowe rozpoczął trzygodzinny przejazd konduktu przez miasto. Komentator telewizyjny nazwał spowijający je śnieg „łzami spadłymi z niebios”. Za limuzyną wiozącą gigantyczny portret uśmiechniętego Kim Dzongila jechał karawan z trumną. Towarzyszyła mu idąca pieszo wierchuszka państwowa. Na jej czele, z ręką położoną na samochodzie, szedł ubrany od stóp do głów na czarno korpulentny i młody, niespełna trzydziestoletni człowiek.

Kim Dzong Un, który wyszedł z cienia, by po śmierci swojego ojca kontynuować dynastyczną władzę Kimów, został najmłodszą na świecie głową państwa. Jako trzeci z uznanych synów Kim Dzongila, gdy obejmował przywództwo w kraju, był czarnym koniem. Dorastał w Szwajcarii, gdzie jego prawdziwe personalia ukrywano, i w berneńskiej szkole średniej kształcił się jako syn północnokoreańskiego dyplomaty. Zakładano zrazu, że Kim Dzongil wyznaczy na swego następcę pierworodnego syna, Kim Dzong Nama, ale ten w 2001 roku zdyskredytował się kompromitującym aresztowaniem w Japonii, gdzie przyjechał, żeby odwiedzić tokijski Disneyland. Po tamtym incydencie do

kraju sprowadzono najmłodszego Kima i wraz z wymyślonym dlań życiorysem w mitologii rodzinnej powstał nowy rozdział. I tak, Kim Dzong Un miał rzekomo uzyskać dyplom na Wydziale Fizyki Uniwersytetu imienia Kim Ir Sena oraz ukończyć Akademię Wojskową także pod patronatem dziadka. Machina propagandowa wspomniała o nim w 2009 roku, jeszcze bez podawania jego personaliów, oznajmiając, że w szkoleniach ideologicznych uczestniczył „młody generał" i zarazem „wybitny towarzysz", a jego imię i nazwisko rozgłosiła rok później, gdy otrzymał on czwartą gwiazdkę generalską oraz stanowisko wiceprzewodniczącego Centralnej Komisji Wojskowej Partii. To, że młody Kim został namaszczony na sukcesora, potwierdziło się 10 października 2010 roku, gdy podczas gigantycznej parady wojskowej z okazji sześćdziesiątej piątej rocznicy powstania Partii Pracy pojawił się on u boku ojca na trybunie honorowej.

Kim Dzong Un to zażywny młody człowiek, którego pokaźna tusza i podwójny podbródek sprawiają, że wygląda starzej niż na swoje lata. Zęby odsłonięte w szerokim uśmiechu i dołeczki przydają mu ujmującego podobieństwa do dziadka. Jeśli patrzącym z zewnątrz na kraj, który balansuje na krawędzi głodu, obfite kształty nowego lidera wydawały się rażące, to w oczach Koreańczyków z Północy najwyraźniej przysparzały mu respektu.

Wkrótce po śmierci Kim Dzongila pierwszy raz usłyszałam od nich słowa optymizmu. Ludzie winili za głód zmarłego przywódcę, więc nie trzeba było ich szczególnie zachęcać do przyznawania się, że mają do niego mieszane uczucia.

Kobieta z Pjongjangu, którą spotkałam w Chinach w 2012 roku, powiedziała mi: „Gdy umarł Kim Ir Sen, płakałam z rozpaczy. Po śmierci jego syna też płakałam, ale już nie tak gorzko. Żyje się nam bardzo ciężko. Szczerze mówiąc, nie ma w nas dawnej wiary. On jest taki młody – dodała z nadzieją o nowym przywódcy. – Uważamy, że on otworzy Koreę Północną. Nie będzie uprawiał takiej polityki jak tamci".

Kim Dzong Unowi sprzyjał los, bo przejął władzę, gdy w kraju dużo się budowało z okazji przypadającej w 2012 roku setnej rocznicy urodzin Kim Ir Sena. Studenci, zamiast chodzić na zajęcia uniwersyteckie, musieli w czynach społecznych pracować na budowach. W nowych modernistycznych osiedlach w stylu corbusierowskim wznoszono bloki o falistych fasadach z tysiącami nowych mieszkań. Wznowiono prace

budowlane w stupięciopiętrowym hotelu Ryugyong, którego pusta, oddana w stanie surowym bryła od dwudziestu lat majaczyła w panoramie miasta i stała się przedmiotem narodowych dowcipów. Wzorem Times Square nad dworcem kolejowym w Pjongjangu zainstalowano ekran cyfrowy, żeby ludzie mogli oglądać telewizję państwową. Ponieważ stolica od lat osiemdziesiątych prawie się nie zmieniła, prowadzone remonty bardzo rzucały się w oczy. I chociaż inwestycje budowlane rozpoczęły się w 2008 roku – już wtedy podczas odwiedzin miasta zaskoczył mnie łoskot młotów pneumatycznych – Koreańczycy z Północy inicjatywę w tej dziedzinie przypisywali energicznemu młodemu przywódcy.

Wkrótce po przejęciu rządów przez Kim Dzong Una u jego boku zaczęła się pojawiać publicznie młoda atrakcyjna kobieta, Ri Sol Ju, o której krążyły słuchy, że pochodzi z Chongjinu. Parę często fotografowano razem, ona lubiła występować w chanelowskich garsonkach i o dziwo nie przypinała sobie obowiązkowego znaczka z podobizną Kim Ir Sena. Dotychczas partnerki przywódców otaczała tajemnica państwowa. Obecność Ri Sol Ju w życiu publicznym stanowiła *novum*, które miało przydać temu krajowi trochę pozorów normalności.

Początkowo zdawało się, że w sprawie reformy gospodarczej Kim Dzong Un będzie bardziej otwarty niż ojciec. Ostatnie lata panowania Kim Dzongila upłynęły pod znakiem niemal nieustannej walki z bazarowym handlem. Pjongjang wydawał kolejne dekrety zakazujące sprzedaży soi, ziemniaków albo kosmetyków – wszelkich produktów pochodzących z Chin. Pod koniec 2009 roku, żeby skuteczniej położyć kres prywatnemu handlowi, władze w trybie nagłym przeprowadziły wymianę waluty, skutkującą wielomiesięcznym chaosem i niemal wybuchem zamieszek. Po śmierci Kim Dzongila antyhandlowa presja zelżała, bazary mogły funkcjonować swobodniej i ludność odczuła pewną poprawę zaopatrzenia.

Zarazem jednak szybko się okazało, że Kim Dzong Un nie zamierza rezygnować z programu zbrojeniowego poprzedniej ekipy. W kwietniu 2012 roku Korea Północna przeprowadziła próbę wystrzelenia satelity w celu wyniesienia go na orbitę, używając do tego technologii rakietowej do przenoszenia pocisków międzykontynentalnych. Tamten eksperyment był nieudany, rakieta spadła kilka sekund po wystrzeleniu. Kolejna, grudniowa próba zakończyła się sukcesem i Korea Północna umieściła na orbicie okołoziemskiej niewielkiego satelitę. W lutym następnego roku władze ogłosiły, że na odległym o niecałe sto kilometrów od Chongjinu poligonie

pod Kilju przeprowadzono podziemny test jądrowy. Był to trzeci północnokoreański test od 2006 roku, który potwierdził, że Pjongjang dysponuje potencjałem nuklearnym, choć prawdopodobnie wciąż technologicznie niezaawansowanym.

To, co mogło być dla młodego Kim Dzong Una chwilą triumfu, przyniosło fiasko w stosunkach międzynarodowych. W odpowiedzi na sankcje ONZ spowodowane próbą jądrową KRLD zerwała Traktat o rozejmie z 1953 roku, który zakończył wojnę koreańską, ogłosiła, że jest w stanie wojny z Koreą Południową, i zagroziła uderzeniami nuklearnymi na Stany Zjednoczone oraz ich bazy na Pacyfiku. Straszyła, że „przetrąci kark swoim oszalałym wrogom, zmiażdży im gardła i pokaże jasno, jak wygląda prawdziwa wojna". Na początku kwietnia Korea Północna doradziła zagranicznym ambasadom ewakuację z Pjongjangu, gdyż region stanął „w obliczu wojny termojądrowej".

Nawet jak na północnokoreańskie standardy były to poważne straszaki. Stany Zjednoczone potraktowały zagrożenie do tego stopnia poważnie, by swoje siły w rejonie Oceanu Spokojnego postawić w stan gotowości. Rozwścieczony Pekin zarzucił nieopierzonemu Kim Dzong Unowi, że za jego sprawą Amerykanie rozmieszczają posiłki w regionie. Zerwawszy z polityką wspierania Pjongjangu, Chiny opowiedziały się w Radzie Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych za sankcjami wobec Korei Północnej, a chińscy uczeni wystosowali apel wzywający władze swego kraju do wycofania poparcia dla niej. Zważywszy na to, że północnokoreańskie zapotrzebowanie na ropę naftową w mniej więcej dziewięćdziesięciu procentach zaspokajał import tego surowca z Chin, perspektywy dla Pjongjangu malowały się w ponurych barwach.

Na domiar złego Korea Północna, nie podając konkretnego powodu, zamknęła położoną na północ od linii demarkacyjnej strefę przemysłową w Kesongu. Strefa ta była dotąd pokazowym miejscem realizacji „słonecznej polityki" odprężenia między Pjongjangiem a Seulem, dla KRLD stanowiła jedno z głównych źródeł legalnie zdobywanych dewiz oraz zapewniała północnokoreańskim robotnikom zatrudnionym w południowokoreańskich fabrykach płace w wysokości dziewięćdziesięciu milionów dolarów rocznie. Jak przypuszczano, ten krok reżimu z Północy został starannie przemyślany i w ostatecznym rozrachunku miał służyć wywarciu presji w celu uzyskania większej pomocy i koncesji gospodarczych.

Tymczasem jego buńczuczność okazała się tak przeciwskuteczna, jego pogróżki tak daremne i na wyrost wobec rzeczywistych możliwości Pjongjangu, że zrodziły się wątpliwości, czy nowa ekipa zdoła utrzymać władzę. „Ten dzieciak nie wie, co robi” – powiedział mi pewien emerytowany chiński generał.

Z czasem Kim Dzong Un zaczął postępować jeszcze bardziej nieobliczalnie. W grudniu 2013 roku zgładził swojego wuja Jang Song-taeka. Sześćdziesięciosiedmioletni Jang wbrew woli Kim Ir Sena poślubił przed laty jego córkę Kim Kyong Hui, młodszą siostrę Kim Dzongila. W Chongjinie, skąd Jang rzekomo pochodził, aż huczało od plotek o ich gorącym romansie. Przebojowy w młodości zięć dyktatora bywał w Korei Południowej oraz w Chinach i uchodził za największego światowca z izolującej się od świata rodziny panującej. Swoich braci obsadził na wysokich stanowiskach w armii, a siostrzeńca i szwagra na placówkach dyplomatycznych. Miał walny udział w kontrolowanym przez przedsiębiorstwa wojskowe przygranicznym handlu rybami, węglem, surowcami mineralnymi oraz towarami konsumpcyjnymi i na dalekiej północy kraju uważano go za promotora przedsiębiorczości. Później, w okresie, gdy Kim Dzongil podupadł na zdrowiu, a Kim Dzong Un uczył się tajników sprawowania władzy, dyktator uczynił Janga faktycznym regentem. Po przejęciu rządów przez syna uważano Janga za człowieka numer dwa w kraju.

Rozprawa z nim była teatralnym spektaklem, którego nie powstydziłby się Stalin. Telewizja państwowa nadała materiał z nadzwyczajnego plenum Partii Pracy, na którym Janga chwycono pod ręce i wyprowadzono. Kilka dni później północnokoreańska agencja prasowa ogłosiła, że „Jang był nikczemną kanalią, zdrajcą gorszym od psa” i że za próbę przejęcia władzy został stracony. (Choć na chińskich blogach pojawiły się wieści, że rozebrano go do naga i rzucono na pożarcie wygłodzonej sforze psów, niemal na pewno nie była to prawda, a Jang najprawdopodobniej został po prostu rozstrzelany). W liczącym dwa tysiące siedemset słów oświadczeniu zarzucono mu, że sprzedawał Chińczykom surowce naturalne po cenach dumpingowych oraz że dopuścił się licznych małostkowych czynów godzących w nowego przywódcę, między innymi że nie klaskał gorąco, gdy Kim Dzong Una ogłoszono wiceprzewodniczącym Centralnej Komisji Wojskowej Partii, i że pomnik młodego Kima w siedzibie Ludowych Służb Bezpieczeństwa Wewnętrznego zamiast na honorowym miejscu stanął w

ciemnym kącie. Jak wynika z późniejszych doniesień, prawdziwym powodem rozprawienia się z Jangiem, było to, że zdobył on za duży udział w przygranicznym handlu z Chinami, z którego rugował kluczowych partnerów wojskowych.

Choć nieco dyskretniej, młody Kim Dzong Un pozbył się także wielu czołowych funkcjonariuszy reżimu z czasów swojego ojca. Zanim dobiegł końca rok 2013, czystka objęła pięciu spośród siedmiu oficjeli idących przy trumnie Kim Dzongila. Podczas obchodów pierwszomajowych w 2014 roku zdegradowany został wicemarszałek Koreańskiej Armii Ludowej Choe Ryong-hae, który po zgładzeniu Janga miał rzekomo umocnić swoją pozycję. Wyglądało na to, że Kim Dzong Un systematycznie usuwa z wierchuszki państwowej ludzi starszego pokolenia, równocześnie wynosząc na piedestał własne rodzeństwo: starszego brata Kim Dzong Czola, który jako żarliwy fan Erica Claptona jeździł po świecie na jego koncerty, oraz młodszą siostrę Kim Yo-jong – widywanych często u boku przywódcy.

Nowy dyktator nadał najwyższą rangę kwestii młodzieży. Jednym z jego priorytetów wkrótce po dojściu do władzy był remont wesołego miasteczka w stolicy, który został objęty osobistym nadzorem przywódcy, a propagandowe zdjęcie młodego Kim Dzong Una w nowym rollercoasterze podziwiał cały kraj. W 2014 roku otworzono park wodny oraz pierwsze w Korei Północnej stacje narciarskie. Cudzoziemcem, którego w Pjongjangu podejmowano z niezwykłymi honorami, był wytatuowany i wypiercingowany koszykarz Dennis Rodman. 8 stycznia 2014 roku na przyjęciu z okazji trzydziestych pierwszych urodzin Kim Dzong Una Rodman odśpiewał mu *Happy Birthday*, nieudolnie naśladując Marilyn Monroe fetującą urodziny Johna F. Kennedy’ego.

Do momentu, w którym piszę te słowa, Pjongjang w żadnej mierze nie zdołał przełamać izolacji na arenie międzynarodowej. W lutym 2014 roku oenzetowska Komisja Specjalna do spraw Łamania Praw Człowieka w KRLD opublikowała najobszerniejszy jak dotąd akt oskarżenia pod adresem tego kraju. W liczącym czterysta stron raporcie jego autorzy zarzucili Korei Północnej „eksterminację, morderstwa, wykorzystywanie pracy niewolniczej, tortury, przetrzymywanie w więzieniach, gwałty, przymusowe aborcje oraz inne formy przemocy seksualnej, prześladowania z powodów politycznych, religijnych, rasowych i genderowych, przymusowe przesiedlenia ludności, akty porwania, a także nieludzkie wykorzystywanie klęski głodu jako narzędzia represji”. W podsumowaniu raportu komisja

ONZ stwierdziła, że działania te noszą znamiona „bezprecedensowej w świecie współczesnym” zbrodni przeciw ludzkości, oraz sugerowała, by przywództwo KRLD, a nawet osobiście Kim Dzong Una postawić przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym.

Gdy w listopadzie 2014 roku doszło do niszczycielskiego, zmasowanego cyberataku na wytwórnię filmową Sony Pictures, podejrzewano, że stoi za nim Korea Północna. Hakerzy włamali się do sieci komputerowej Sony i wykradli mnóstwo poufnych danych, między innymi kompromitującą szefów wytwórni prywatną korespondencję elektroniczną, a prasa rozpisywała się całymi miesiącami o tym wydarzeniu. Atak miał być jakoby zemstą za zrealizowanie filmu satyrycznego *Wywiad ze Słońcem Narodu* z udziałem Setha Rogena i Jamesa Franco, w którym dziennikarz telewizyjny oraz reżyser wyprawiają się z misją zamordowania Kim Dzong Una. Pod pewnymi względami przypisywana dyktatorowi napaść w cyberprzestrzeni okazała się jego największym dotychczasowym sukcesem; straty, jakie w pierwszym kwartale 2015 roku poniosło Sony, sięgały piętnastu milionów dolarów, a ten atak przysporzył Kim Dzong Unowi więcej rozgłosu niż jego próby z bronią jądrową albo rakietową. To, że KRLD może niemal sparaliżować wielką zagraniczną korporację, uzmysłowiło też światu, że nie docenia się północnokoreańskiego potencjału technologicznego. Mimo prawie całkowitego odcięcia tego kraju od internetu okazało się, że w dziedzinie komputerowej szkoli on ludzi zdolnych do przeprowadzenia skutecznego ataku za granicą.

W rokowaniach nuklearnych panuje impas i osiągnięcia techniczne Korei Północnej budzą lęk. Przekonano się bowiem niezbicie, że Pjongjang nie zamierza rezygnować ze swojego arsenału atomowego w zamian za pieniądze, zagraniczną pomoc czy akceptację wspólnoty międzynarodowej. Na plenum Komitetu Centralnego Partii Pracy, które odbyło się w 2013 roku, Kim zapowiedział, że rozwój gospodarczy kraju pójdzie w parze z rozbudową jego potencjału jądrowego. Wraz z obraniem tego kursu politycznego reżim zamówił piosenkę oraz radosne wideo propagandowe, na którym obrazy pocisków i czołgów przeplatały się ze zdjęciami zjeżdżalni wodnych i fabryk, czemu towarzyszył chwytliwy refren: „Gospodarka i broń idą ramię w ramię”.

W dziedzinie ekonomicznej Korea Północna, znów wbrew przewidywaniom, wykazuje jednak nieznaczne przyspieszenie pulsu. Jak wynika z danych południowokoreańskiego banku centralnego, gospodarka

KRLD odnotowała słaby wzrost, który w 2012 i 2013 roku wyniósł 1,3 procent, a w kolejnym 1,1 procent. Hyundai Research Institute prognozuje, że w 2015 roku produkt brutto KRLD może się zwiększyć o 7 punktów procentowych. Przed rozprawą z Jangiem powstawały plany utworzenia trzynastu specjalnych stref ekonomicznych mających naśladować zapoczątkowane w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia chińskie eksperymenty wolnorynkowe.

Wśród północnokoreańskich przemian w pierwszej dekadzie XXI wieku najdonioślejszą stanowiło wprowadzenie telefonii komórkowej. Zakłada ją od 2008 roku egipski koncern telekomunikacyjny Orascom, który finansuje także wznowienie prac budowlanych w hotelu Ryugyong. W 2013 roku sieć komórkowa obsługiwała już, jeśli wierzyć danym, dwa miliony abonentów. Zresztą przyłączenie bezprzewodowe zdobywało się znacznie łatwiej niż stacjonarne i chociaż przez północnokoreańską komórkę nie można się połączyć ani z zagranicą, ani z internetem, umożliwiła ona ludziom prowadzenie interesów. Żeby zamówić towar, sprzedawca z bazaru może się skontaktować z dostawcą i może porównywać ceny na terenie kraju.

Kim Dzong Un próbuje tej samej sztuczki, jakiej dokonała komunistyczna partia w Chinach: chce Koreę Północną otworzyć gospodarczo bez ustępstw w sferze kontroli politycznej. Mimo wszystkich tych prób ekonomicznego majstrowania w jego kraju nie ma miejsca dla wolności myśli i wyrażania poglądów.

Korea Północna pozostaje więzieniem dla dwudziestu trzech milionów ludzi, chociaż sytuacja bytowa stołecznej klasy panującej najwyraźniej się poprawiła. Jeśli dawniej nomenklatura w Pjongjangu co najwyżej osiągała stopę życiową południowokoreańskiego robotnika przemysłowego, dzisiaj stołeczne elity z Północy mieszkają wygodnie, a jeśli dysponują pieniędzmi, mogą kupić artykuły konsumpcyjne. Kiedyś sklepy dla wybranych powodowały zakłopotanie, podczas gdy obecnie północnokoreańska telewizja transmituje huczne uroczystości z okazji ich otwarcia. Nawet Kim Dzongil uległ magii konsumpcjonizmu: ostatni raz przed śmiercią dyktator pojawił się publicznie w zarządzanym przez Chińczyków stołecznym supermarkecie Walmart, który miał na składzie dwadzieścia rodzajów szczoteczek do zębów, dwanaście marek piwa oraz egzotyczne towary z importu takie jak masło orzechowe Skippy.

Odwiedzający ostatnio Pjongjang obcokrajowcy ze zdziwieniem konstatują, że północnokoreańska stolica nie odpowiada już wyobrażeniom

o kapsule czasowej z epoki stalinowskiej. W mieście nie brak młodych kobiet chodzących na wysokich obcasach, nastoletnich chłopaków, którzy noszą bejsbolówki daszkiem do tyłu, i małych dziewczynek w ładniutkich różowych sukienkach. Nietrudno zobaczyć tam podkoszulki z podobiznami disnejowskich bohaterów i plecaki ozdobione rysunkami stworów z gry komputerowej *Angry Birds*. Ułudę radosnego życia umacnia też moda jeżdżenia na rolkach, wspierana w ramach kampanii młodzieżowej Kim Dzong Una.

Boom budowlany na miarę tego miasta nie ominął także Chongjinu. Przed paru laty odmalowano fasady na Drodze nr 1, a ostatnio remontuje się tam kilka budynków. W zeszłym roku przy placu Pohang rozpoczęto budowę dwudziestojednopiętrowego kompleksu mieszkaniowego, dociągając ją obecnie do dwunastej kondygnacji. W ośrodku wystawienniczym na zapleczu tego placu można oglądać makietę projektowanego parku rozrywki oraz, jak go opisał jeden ze zwiedzających, model „wieżowca przyszłości, niczym w Dubaju”.

Ruch budowlany ma najwyraźniej współgrać z próbą przyciągania turystów przywożących twardą walutę. W ramach zorganizowanego niedawno objazdu dla grupy europejskich naukowców pokazano im wzorcowe przedszkole, w którym dziewczynki uczestniczące w popisach scenicznych na ich cześć miały uróżowane policzki, uszminkowane usta i nosiły jaskraworóżowe sukieneczki. Ale po wyjściu stamtąd uwadze gości nie umknęło dwóch małych chłopców w za dużych, brudnych ubraniach, którzy gołymi rękoma uprzątali w pobliżu gruz.

Obserwatorzy śledzący Koreę Północną spierają się, czy warunki życia w kraju poprawiają się, pogarszają, czy też pozostają bez zmian. Ale to, że władze wciąż dokładają ogromnych starań, by zmylić przyjezdnych z zagranicy, nie ulega wątpliwości. Turyści natykają się na podejrzanie elegancko ubranych, przedziwnie upozowanych ludzi – młode kobiety, które siedzą na ławkach w pobliżu głównego pomnika Kim Ir Sena i udają, że czytają, mają policzki pomalowane jaskrawym różem, a ich tradycyjne, mocno wykrochmalone, rozkloszowane sukienki przypominają z fasonu indiańskie tipi. Pewnego razu oglądałam oddział żołnierzy, którzy w odprasowanych mundurach składali pod tym pomnikiem kwiaty, ale kiedy się pochylili w niskim ukłonie i uniosły się im nogawki spodni, zauważyłam, że nie noszą skarpet.

Gdy w 2005 roku byłam pierwszy raz w Pjongjangu, po powrocie do mojego pokoju w hotelu Koroyo zdumiało mnie, że na przekór apelom skierowanym do gości, żeby oszczędzali prąd, pokojówka włączyła wszystkie lampy, także w łazience i garderobie. Jak dowiedziałam się później, światła zapalono dlatego, że w Pjongjangu przebywał wówczas z wizytą chiński prezydent Hu Jintao i chodziło o to, by wprawić w podziw jego delegację. Kiedy w 2008 roku odwiedziłam północnokoreańską stolicę wraz z dziennikarzami towarzyszącymi występom Filharmonii Nowojorskiej, miasto było iluminowane jak na Boże Narodzenie. Plac Kim Ir Sena kąpał się w blasku reflektorów, na głównych ulicach jarzyły się girlandy białych lampek. Muzycy, obsługa orkiestry i my, zagraniczni dziennikarze – w sumie trzysta osób – mieszkaliśmy w hotelu Yanggado (zwanym często „Alcatraz", bo z wyspy na rzece, gdzie go zbudowano, jego gościom wydostać się nie jest łatwo). Choć na dworze ściskał lutowy mróz, pokoje tak przegrzewano, że musieliśmy się rozbierać do podkoszulków. W oddanym do naszej dyspozycji centrum prasowym mieliśmy dostęp do internetu. Kolacje były wielodaniową ucztą z łososiem, zapiekanymi krabami, jagnięciną, carpaccio z bażanta i wiedeńskim tortem czekoladowym. Bufet śniadaniowy dekorowały rzeźby z lodu oraz ozdobnie cięte melony obficie wypełnione przeróżnymi frykasami – między innymi sandwiczami bananowymi. Może to było nieco dziwne, ale ten show robił wrażenie. Nawet najbardziej sceptyczni dziennikarze w naszym gronie nabierali poczucia, że Korea Północna powoli się dźwiga po Trudnym Marszu z lat dziewięćdziesiątych. I rzecz jasna chodziło tu o to, żebyśmy dali się zwieść. To był przelotny błysk, krótkie, jasne interludium w ponurym, niewydolnym kraju, jakim naprawdę jest KRLD. Gdy tylko wyjechaliśmy, odłączono internet i zgasły światła. Tydzień po koncercie rozmawiałam przez telefon z przedstawicielem Światowego Programu Żywnościowego ONZ w Pjongjangu i Jean-Pierre de Margerie powiedział mi: „Zaraz po waszym wyjeździe tutaj znów zapanowały egipskie ciemności".

Prawdziwa Korea Północna, choć oglądana przez okna autobusowe czy z szybko jadących aut, zaczyna się wyłaniać dopiero, gdy się wyjedzie z Pjongjangu. W podróży przez Nampo (miasto na zachodnim wybrzeżu kraju, w którym Mi-ran pierwszy raz zobaczyła na ulicy ludzkie zwłoki) mignęła mi przed oczyma zbłąkana jaskółka, *kochebi* – poboczem drogi szedł tam chłopiec, mniej więcej dziewięcioletni, bosy, w ubłoconym

kombinezonie. Na trawie przy głównej ulicy spali ludzie, prawdopodobnie bezdomni. Inni, z opuszczonymi głowami siedzieli w kucki, najwyraźniej nie mając nic lepszego do roboty w dzień powszedni o dziesiątej rano.

Koreanki z Północy, które niedawno spotkałam w Chinach, bardzo przypominają panią Song. To inteligentne kobiety, które harują ponad siły, żeby utrzymać przy życiu swoje rodziny. Wiele z nich należy do partii i do pracy za granicą wydostały się dzięki swoim koneksjom albo oszczędnościom. W 2012 roku poznano mnie z Kim Keun-hee, kobietą po pięćdziesiątce, mającą pomarszczoną, papierową skórę i gęste, kręcone włosy związane nisko nad karkiem. Powiedziała mi, że pędziła bimber i hodowała świnie – bo to dobrze szło w parze, skoro trzodę można żywić odpadkami z produkcji alkoholu. Musiała wykarmić męża i dwóch dorosłych synów, wstawała o wpół do piątej rano, żeby zebrać zielsko, którym uzupełniała rodzinną dietę i paszę dla zwierząt. Nigdy nie jadła mięsa – za sprzedaną świnię kupowała ryż i mieszała go z kaszą kukurydzianą stanowiącą podstawę ich wyżywienia. Starszego, dwudziestopięcioletniego syna po siedmiu latach służby zwolniono z wojska, bo chorował wskutek niedożywienia. „Jego posiłki składały się z trzech ziemniaków, ryżu nie dostawał” – powiedziała mi pani Kim. Drugi syn, pięć lat młodszy, został przydzielony do pracy w zakładach taboru kolejowego, ale jako że nie otrzymywał wynagrodzenia, płacił swojej fabryce trzy dolary miesięcznie, by nie musieć się w niej stawiać i móc pomagać matce przy świniach i produkcji samogonu.

Pani Kim pochodziła spod Pjongjangu i gdy odwiedzała stolicę, obserwowała w niej zmiany na lepsze. „W mieście więcej się buduje i można więcej kupić – wyjaśniła. – Ale nam na co dzień żyło się jeszcze ciężej” – dodała.

Kim Dzong Un, jeśli chciał jakichś pozytywnych zmian, to całą swoją energię zmarnotrawił na realizowaniu przedsięwzięć, z których ludzie mają niewiele pożytku. „Po co komu wesołe miasteczko, gdy panuje głód? – spytał Kim Yong-chol, pięćdziesięcioośmioletni kierowca ciężarówki, który także pochodził z okolic Pjongjangu i uciekł z kraju w 2013 roku. – Jak Kim Dzong Un objął władzę – powiedział – to przyrzekł, że się nam poprawi, ale nic z tego nie wynikło”.

Wszyscy Koreańczycy z Północy, których spotykałam w ostatnich latach, opisują budzący zgrozę wzrost przestępczości z użyciem przemocy i szerzącą się narkomanię. Po zamknięciu zakładów farmaceutycznych w

Hamhungu tamtejsi bezrobotni chemicy zaczęli około 2004 roku wytwarzać chałupniczo metamfetaminę w swoich domowych kuchniach. Produkcja tego narkotyku zwanego *orum* (czyli „lód") rozpowszechniła się z czasem w Chongjinie i przygranicznych miasteczkach, a popyt nań w kraju rośnie, bo metamfetamina nie tylko jest tania, ale ma też dodatkową zaletę: zabija łaknienie. Jak opowiadają mi Koreańczycy z Północy, nagminne staje się częstowanie nią gości zamiast herbatą.

Przepaść między bogatymi a biednymi pogłębia się, a wzrastająca liczba osób bezdomnych, to problem dotykający już nie tylko dzieci, ale także i starców. „Młodzi z trudem walczą o przetrwanie, więc bywa, że starzy ludzie są wyrzucani z domu" – powiedziała mi czterdziestodziewięcioletnia Park Jeong-suk, która uciekła z Chongjinu w lecie 2012 roku. Parę miesięcy przedtem widziała nad rzeką Sunam porzucone zwłoki starego mężczyzny. „W pobliżu dworca wciąż kręci się mnóstwo bezdomnych dzieci – wspominała – i trzeba było chować przed nimi jedzenie, żeby ci go nie wyrwały".

Pani Park, podobnie jak pani Song, trudniła się wypiekiem sucharów, które słodziła sacharyną, bo na cukier nie mogła sobie pozwolić. Jej mąż pracował w fabryce, ale mu nie płacono. Jak mi powiedziała, należała do partii komunistycznej i pozwolenie na podróż do Chin zdobyła dzięki znajomościom. Na wyjazd zdecydowała się w nadziei, że od krewnych pożyczy pieniądze, żeby pomóc przetrwać zostawionej w domu rodzinie.

Spytałam ją, ilu według niej ludzi wciąż wierzy w system.

Ściszywszy głos, odparła stanowczo i bez ogródek: „Ani jeden. To nie wiara w ustrój nas trzyma, my po prostu chcemy żyć".

O erozji systemu świadczy między innymi to, że dziś od wierności politycznej znacznie ważniejsze są pieniądze. Można się za nie przeprawić przez granicę i można się wykupić z obozu. Jak na ironię, rodzinom uciekinierów otrzymującym wsparcie finansowe z Korei Południowej żyje się często lepiej niż przeciętnym współobywatelom, a pośrednicy organizujący przemyt ludzi swoje zarobki inwestują w zakupy mieszkań, komputerów albo żywności. Krewni uciekinierów są coraz częściej nachodzeni przez domagających się łapówek funkcjonariuszy bezpieki. Oak-hee powiedziała mi, że agenci nadzorujący dzielnicę wpadają do jej męża, żeby się ogolić. „Wiedzą, że w całej okolicy tylko on ma żyletki" – wyjaśniła.

Jak długo może trwać ten system? Właśnie to pytanie pada najczęściej w rozmowach o Korei Północnej.

KRLD ostała się mimo przeciwności, przetrwała zburzenie muru berlińskiego, rozpad Związku Radzieckiego, reformy rynkowe w Chinach, klęskę głodu w latach dziewięćdziesiątych, śmierć Kim Ir Sena i dwie kadencje prezydenta George'a W. Busha, który groził Kim Dzongilowi, że podzieli los Saddama Husajna. Tymczasem wbrew prognozom o jego rychłym upadku Kim Dzongil nie tylko utrzymał dyktatorską władzę, ale zdołał ją przekazać młodemu i niewypróbowanemu synowi.

Tak więc Korea Północna wciąż przeczy przewidywaniom zapowiadającym jej nieuchronną klęskę. Wielu analityków spodziewało się implozji reżimu wskutek walki wewnętrznej, która miała nastąpić po rozprawie Kim Dzong Una z jego wujem. Tymczasem jednak wygląda na to, że młody satrapa okrzepł na tronie, by rządzić krajem niczym w latach zimnej wojny, wspierać się bombastyczną propagandą, ściśle reglamentować przyjazdy obcokrajowców, wobec swoich rzeczywistych oraz urojonych wrogów stosować straszak nuklearny i rakietowy. Jest on praktycznie ostatnim spośród tyranów sprawujących tego typu dyktaturę, jest żywym anachronizmem.

Utrzymująca się odporność Korei Północnej powoduje rozpacz uciekinierów. Kiedy na początku 2015 roku ostatni raz widziałam się z Jun-sangiem, powiedział mi, że nie wierzy, by Korea Północna miała wkrótce upaść, ani też nie wierzy w jej transformację. Pogodził się z tym, że już nigdy nie zobaczy rodziców. „Nie wyobrażałem sobie, że sprawy przybiorą taki obrót – ciągnął. – Co prawda wolałem się nie łudzić tym, że na pewno będziemy mieli otwarte granice, ale do głowy mi nie przychodziło, że po dziesięciu latach wciąż nie będzie można wysyłać wiadomości ani komunikować się przez telefon".

Aby ludzie opisywani w tej książce mogli się skontaktować ze swoimi rodzinami, ich bliscy muszą korzystać z nielegalnych chińskich komórek, które w przygranicznych miejscowościach, jak Musan czy Hoyerong, odbierają sygnały przez chińską sieć. Żeby zadzwonić, krewni z Chongjinu muszą więc jeździć nad granicę, a wyprawy te nie tylko są kosztowne, ale też wiążą się z rosnącym ryzykiem. Po zgładzeniu Janga północnokoreański reżim przykręca bowiem śrubę transgranicznej wymianie handlowej z Chinami. Krewni uciekinierów boją się, że są śledzeni, i mówią niewiele. Krótkie zwykle rozmowy nie przynoszą pociechy.

„Zawsze słyszę: »jest nam ciężko, przyślij pieniądze«” – powiedziała pani Song, która ze swoim starszym rodzeństwem z Chongjinu rozmawia parę razy rocznie.

Z szóstką ludzi, których losy opisałam w tej książce, utrzymuję kontakty. Oni wszyscy, jak sądzę, radzą sobie lepiej niż większość uciekinierów, co być może nie jest dziełem przypadku. Nie do końca świadomie wybrałam sobie bowiem na bohaterów osoby, które na tle ich rówieśników wyróżniała ponadprzeciętna determinacja. Odnoszę też wrażenie, że ich gotowość, by się przede mną otworzyć, świadczyła o tym, że zdołały się one uporać ze sprzecznymi emocjami związanymi z ucieczką, albo wręcz czuję, że w ich przypadku rozmowa była doświadczeniem przynoszącym *katharsis*, pozwalającym lepiej mierzyć się z życiem.

Pani Song i Oak-hee udało się kolejno sprowadzić wszystkich należących do młodszego pokolenia członków ich rodziny – pozostałe córki pani Song, ich mężów oraz dzieci – za każdym razem płacąc przemytnikom ludzi po dziesięć tysięcy dolarów. Oak-hee, która po długim namawianiu i przekupywaniu męża zdołała ściągnąć córkę, ma obecnie trzy *noribang*, bary karaoke. Wszyscy oni znaleźli zatrudnienie w rodzinnym biznesie, także pani Song, która chociaż ma już swoje lata i mogłaby przejść na emeryturę, powtarza: „Obawiam się, że gdybym przestała pracować, groziłaby mi nuda”.

Kim Ji-eun po kilku trudnych latach na początku ukończyła w Korei Południowej studia medyczne i uprawia zawód lekarza. We wschodnim Seulu otworzyła własną klinikę i dzięki znacznym dochodom mogła opłacić pośrednika, który wydostał jej syna z Korei Północnej. (Były mąż doktor Kim zmarł na raka, więc nie było rodzinnych przeszkód uniemożliwiających wyjazd chłopca). O synu opowiadała z dumą, że jest „zdolny, wysoki i spotyka się z Koreanką z Południa”. Kiedy rozmawiałam z nią ostatni raz, był na Hawajach, dokąd pojechał z chórem kościelnym. Doktor Kim też sporo podróżowała. Przed rokiem wyprawiła się do Berlina. „Dziwiło mnie – powiedziała – że wśród Niemców ze Wschodu spotkałam takich, którzy mówili, że kiedyś było łatwiej, bo zgodnie z kwalifikacjami dostawało się przydział pracy, i że niektórzy z nich nie umieją się odnaleźć w nowych warunkach. Z Koreami, Północną i Południową, będzie podobnie” – dodała. Mimo że odniosła sukces, przyznaje, że w znacznej mierze wciąż się czuje Koreanką z Północy. „Gdy słyszę, jak Koreańczycy z Południa przeklinają Koreę Północną i wygadują

na jej przywódców, to gdzieś w głębi duszy robi mi się przykro. Nawet sobie tego nie uświadamiam, to po prostu we mnie siedzi" – wyjaśniła. Widziałyśmy się 16 lutego i spytałam ją, czy wie, jaki mamy dzień. Przez chwilę była trochę zbita z tropu, po czym wybuchła śmiechem. „*Oh my God, oh my God* – powtórzyła po angielsku. Spotkałyśmy się bowiem w dniu urodzin Kim Dzongila, najważniejszym dniu północnokoreańskiego kalendarza. – Aż mi się nie chce wierzyć, że mogłam o tym zapomnieć" – skwitowała.

Mi-ran w 2014 roku przeprowadziła się do Gangnam, modnej wśród seulskiej klasy średniej dzielnicy, którą rozsławił piosenkarz Psy w teledyskowym hicie *Gangnam Style*. Ma drugie dziecko, dziewczynkę, i nie planuje powiększać rodziny. Często bywa z synkiem i córeczką w Kanadzie, u krewnych męża, bo zależy jej, żeby dzieci złapały angielski. Kiedy się ostatnio spotkałyśmy na obiedzie, wprawiło mnie w podziw, że Mi-ran już nieźle dogaduje się po angielsku. Kilka razy miesięcznie jeździ autem na północne obrzeża Seulu, do ośrodka przystosowawczego dla nowo przybyłych Koreańczyków z Północy. Doradza im, jak dostać pracę, jak starać się o mieszkanie, i dzieli się swymi doświadczeniami dotyczącymi asymilacji. „Myślę, że skoro należę do tych, którym się powiodło – powiedziała – ludzie chcą mnie wysłuchać i moja historia może ich zachęcić do adaptacji".

Jun-sang prowadzi w Seulu ustatkowane, zwyczajne życie. Unika kościołów, w których spotykają się przybysze z Północy, i nie bywa w ich grupach wsparcia. O KRLD nie wypowiada się publicznie z obawy przed odwetem władz grożącym jego bliskim. Prowadzi małą firmę. Jeśli po przyjeździe z radością zapuścił włosy i włożył dżinsy, z czasem zaczął się nosić jak typowy, pnący się po drabinie społecznej profesjonalista: chodzi w płóciennych marynarkach, okularach w markowych, europejskich oprawkach, z krótszą, elegancką fryzurą. Parę lat temu ożenił się z wykształconą, mającą dobry zawód kobietą pochodzącą z Korei Północnej. Mieszkali na tym samym seulskim osiedlu, wyswatał ich ktoś z sąsiadów. Na pierwszej randce Jung-san uświadomił sobie, że ta dziewczyna już wcześniej wpadła mu w oko, w bibliotece, gdzie uczyła się pilnie, a jemu spodobała się jej pasja do nauki. Byłam na ich ślubie, który wzięli w urzędzie stanu cywilnego mieszczącym się w szklanym wieżowcu w południowym Seulu. W uroczystości uczestniczyło zaledwie kilkadziesiąt osób – bo ani on, ani jego żona nie mają krewnych w Korei Południowej.

Z grona moich bohaterów największą niespodziankę sprawił mi Kim Hyuck. Podjął przerwaną naukę, skończył szkołę średnią i college, następnie zrobił magisterium w rządowym Instytucie Studiów nad Pokojem i Zjednoczeniem. Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, Kim Hyuck powiedział, że przygotowuje doktorat ze spraw północnokoreańskich. Dla przyjemności gra w piłkę nożną, ćwiczy na siłowni, jeździ na snowboardzie. Spośród ludzi opisanych w tej książce Hyuck jest najbardziej widoczny publicznie. O jego losach powstał krótki film animowany. Zeznawał też przed wspomnianą komisją oenzetowską, która sporządziła raport o łamaniu praw człowieka w KRLD.

To, że w Korei Północnej nie przeżył nikt z jego rodziny, skłania go do odwagi. Z czasem przekonałam się bowiem, że uciekinierzy z Północy, których poznałam w Korei Południowej, nabrali ostrożności. Obawiają się szpiegów infiltrujących północnokoreańskie środowisko oraz prób szantażu z ich strony. Z lęku przed odwetem na bliskich unikają zabierania głosu w gremiach upominających się o prawa człowieka czy udzielania wywiadów dziennikarzom. Nawet gdy człowiek zdoła wyjechać, nigdy do końca nie ucieknie przed terrorem panującym w Korei Północnej.

Barbara Demick
lipiec 2015

Podziękowania

Najgłębszą wdzięczność pragnę wyrazić sześciorgu Koreańczykom z Północy, których losy opisałam w tej książce. Nie szczędzili mi swojego czasu, znosili moje wścibstwo, wracali do bolesnych wspomnień, by pomóc mnie i moim czytelnikom zrozumieć ich świat. Dziękuję także ich najbliższym. Gorące podziękowania winna jestem również Jinnie Park, tłumaczce większości wywiadów wykorzystanych w tej książce. W środowisko uchodźców z Chongjinu wprowadził mnie nieżyjący już doktor Jae Nam. O Korei Północnej bardzo wiele mnie nauczyła niezwykle dzielna pani K., która zrezygnowała z wygodnego życia na emeryturze w Stanach Zjednoczonych i mimo zaawansowanego wieku pracuje niezmordowanie wraz z mężem na rzecz uchodźców północnokoreańskich. Jest ona jedną z wielu osób, o których trzeba wspomnieć w tym miejscu.

Wiedzę o KRLD zawdzięczam nie tylko ludziom opisanym w tej książce, lecz także innym byłym mieszkańcom Północy. Są to Joo Sung-ha z Dong-a Ilbo, który kiedyś napisze własną książkę, Kim-Do-seon, Kim Yong-il, Cho Myong-chol, Kim Hye-young oraz Kim Tae-jin.

Korzystałam także z pomocy wielu organizacji pozarządowych zajmujących się sprawami północnokoreańskimi. Organizacja Good Friends z siedzibą w Seulu wydaje znakomity biuletyn poświęcony Korei Północnej. Lee Young-hwa z organizacji Rescue the North Korean People służył mi wyjaśnieniami oraz zdjęciami i nagraniami wideo, które wzbogaciły opisy Chongjinu. Bezcennej pomocy udzielili mi także: Tim Peters, Michael Horowitz, Suzanne Scholte, Han Ki-hong z „Daily NK", Sunny Han, pastor Kim Young-shik, Chun Ki-won, Human Rights Watch oraz Citizens' Alliance for North Korean Human Rights. Badania Do Hee-yuna dotyczące jeńców wojennych oraz osób porwanych pomogły mi opisać losy ojca Mi-ran.

Pragnę podziękować również przedstawicielom organizacji humanitarnych: Katharinie Zellweger ze szwajcarskiej organizacji rządowej SDC, amerykańskiemu agronomowi Pil-ju Kim Joo oraz pracownikom Światowego Programu Żywności ONZ – Jean-Pierre'owi de Margerie, Geraldowi Bourke'owi i Tony'emu Banbury.

Nie szczędzili mi czasu koreaniści, zwłaszcza Michael Breen i Scott Snyder oraz Stephan Haggard, Marcus Noland, Nicholas Eberstadt, Bob Carlin i Leonid Petrov, Brian Myers, Daniel Pinkston, Donald Gregg, David

Hawk i Brent Choi. Ogromnie pomógł mi Andrei Lankov, którego prace wielokrotnie przywołuję w tej książce. Wiedzą i pomysłami dzielili się ze mną dziennikarze Donald Macintyre i Anna Fifield, którym tak jak i mnie Korea Północna nie daje spokoju. Nieustającym wsparciem służył mi Charles Sherman oraz inni przyjaciele i koledzy w Seulu: Jennifer Nicholson, Jennifer Veale, Scott Diaz, Sue-Lynn Koo, Patricio Gonzalez, Pascal Biannac-Leger, Lachlan Strahan i Lily Petkovska. W Seulu pomagali mi także Moon Il-hwan, Tim Savage, Paul Eckert, Jasper Becker, Choe Sang-hun, Kim Jung-eun, Donald Kirk oraz Bradley Martin, którego książkę *Under the Loving Care of the Fatherly Leader* wielokrotnie cytuję. W wielu rozmowach z Koreańczykami z Północy towarzyszyli mi Chi jung-nam i Lim Bo-yeon.

Pragnę podziękować autorom zdjęć wykorzystanych w tej książce: geografowi Eckartowi Dege, który jesienią 2008 roku pojechał do Chongjinu i okręgu Kyongsong, fotografom Jeanowi Chung i Erikowi Laffourge, dziennikarzom Annie Fifield i Jonathanowi Wattsowi. Jiro Ishimaru z Asia Press pomógł mi dotrzeć do zdjęć z Chongjinu, które mimo ogromnego ryzyka zrobili Koreańczycy z Północy.

W kwerendzie związanej z tą książką pomagali mi Lina Park Yoon, Park Ju-min, Hisako Ueno i Rie Sasaki, a Howard Yoon służył mi cennymi radami przy pracy nad jej koncepcją.

Moje przyjaciółki Julie Talen i Tirza Biron doradzały mi przy pisaniu i pomagały odejść od stylistyki, do której przywykłam, pisząc dla gazet. Nie sądzę, bym mogła opublikować tę książkę bez udziału Jima Dwyera. Margaret Scott i Terri Jezntz służyły mi radą zarówno, gdy myślałam nad tą pracą, jak i w trakcie jej pisania. Do powstania książki przyczynili się także Gay Epstein, Molly Fowler, Ed Gargan, Eden Soriano Gonzaga, Lee Hockstader, Aliza Marcus, Ruth Marcus, Nomi Morris, Evan Osnos, Catherine Peterson, Flore de Preneuf, David Schmerler i Isabel Schmerler, Lena Sun, Jane Von Bergen, Nicholas Von Hoffman, Eric Weiner, Laura Wides-Munoz oraz Tracy Wilkinson. Po wielu latach wciąż jestem wdzięczna memu nauczycielowi, nieżyjącemu już Johnowi Herseyowi, który na zajęciach z literatury faktu namawiał nas, byśmy szukali inspiracji i wzorów u innych autorów. Dla mnie przy pisaniu tej książki na kanwie losów sześciorga bohaterów inspiracją była jego *Hiroszima*.

Miałam niezmierne szczęście, że jako agent zgodził się mnie reprezentować Filip Brophy, który do pracy nad tym projektem przystąpił w

okresie Bożego Narodzenia 2006 roku mimo ciężkiej grypy, a potem udzielał mi wsparcia wykraczającego poza jego obowiązki zawodowe. Julie Grau i Celina Spiegel, które wydały tę książkę, od samego początku wierzyły w koncepcję, którą im przedstawiłam, a Laura Van der Veer pomagała mi porządkować materiały.

Jeśli chodzi o „Los Angeles Times", to pragnę podziękować Simonowi Li, który wysłał mnie jako korespondentkę do Korei, oraz redaktorom Deanowi Baquetowi, Johnowi Carrollowi, Markowi Duvoisin, Doughowi Franzowi, Marjorie Miller i Bruce'owi Wallace'owi, którzy wspierali mnie w pisaniu i sprawili, że jestem dumna, iż dane mi było pracować dla tej gazety. Julie Makinen znakomicie zredagowała cykl artykułów o Chongjinie, które zapoczątkowały tę książkę. Wśród wielu kolegów z „Los Angeles Times" szczególnie pomogli mi Mark Magnier, John Glionna, Valerie Reitman, Ching-ching Ni, Don Lee i David Pierson.

Na Uniwersytecie Princeton, gdzie w roku akademickim 2006–2007 przebywałam jako stypendystka Ferrisa przy Council of the Humanities, dzięki Carol Rigolot stworzono mi warunki do pisania w Henry House. Cennymi radami służyli mi tam inni stypendyści: Lisa Cohen, Martha Mendoza, T. R. Ried i Rose Tang, oraz moi przyjaciele pracujący na tym uniwersytecie: Gay Bass, Maryanne Case, Gabe Hudson i Jeff Nukanawa.

Szczególną wdzięczność pragnę na koniec wyrazić mojej matce Gladys Demick, która na wieść, że wyjeżdżam do Korei i zabieram tam jej jedynego wnuka, zamiast narzekać, powiedziała: „Wspaniale, nie przepuść tej okazji!". Dzięki jej wsparciu mogłam się poświęcić sprawom zawodowym. Dziękuję też mojemu synowi Nicholasowi, który w swoim młodym życiu nie pamięta czasów, w których nie musiał rywalizować o moją uwagę z Koreą Północną. Pytał mnie dziesiątki razy: „Jeszcze nie napisałaś tej książki?". Teraz mogę mu wreszcie powiedzieć, że ją skończyłam.

Przypisy

Ta książka jest przede wszystkim „historią mówioną”. Dołożyłam wszelkich starań, by relacje moich rozmówców zweryfikować na podstawie innych źródeł i uzupełnić ich opowieści własnym materiałem dziennikarskim dotyczącym Korei Północnej.

W latach 2001–2008 byłam tam dziewięć razy, w tym trzykrotnie w Pjongjangu i jego okolicach; inne podróże ograniczyły się do otwartych dla turystów rejonów przy strefie zdemilitaryzowanej, jak kurort na górze Kumgang. Podczas pracy nad tą książką i artykułami publikowanymi w „Los Angeles Times” przeprowadziłam wywiady z mniej więcej setką uciekinierów z KRLD, których większość zamieszkała w Korei Południowej lub w Chinach, a połowa pochodziła z Chongjinu. Obejrzałam również wielogodzinne materiały wideo, kręcone w tym mieście z ukrycia. Część z nich nagrali kamerami schowanymi w torbach odważni mieszkańcy Korei Północnej Ahn Myong-chol i Lee Jun. Filmy udostępniła mi także organizacja Rescue the North Korean People z siedzibą w Osace, a agencja Asia Press pozwoliła mi wykorzystać swoją dokumentację fotograficzną. Znakomite zdjęcia z Chongjinu i Kyongsongu wykonane w 2008 roku przez niemieckiego geografa Eckarta Dege okazały się bardzo pomocne w weryfikowaniu i uzupełnianiu opisów widoków i krajobrazów, które przywoływali moi rozmówcy.

Po ciemku trzymaliśmy się za ręce

Określenie „zajadła szczekaczka” zawdzięczamy znawcy Korei Północnej Aidanowi Foster-Carterowi. *Great Vituperator: North Korea’s Insult Lexicon*, „Asia Times”, 26 maja 2001.

Kim Dzongil ogłosił swoje *credo* dotyczące filmu w książce *On the Art of Cinema* (O sztuce filmowej), Pjongjang: Foreign Languages Publishing House, 1973[25]. Jego miłość do kina przybrała najskrajniejszą formę, gdy w 1978 roku kazał porwać z Korei Południowej Choi Eun-hee, swoją ukochaną aktorkę, oraz jej byłego męża Shin Sang-oka. Para, która rozwiodła się na krótko przed tym wydarzeniem, „za radą” Kima pobrała się ponownie w KRLD. Choi i Shin grali w północnokoreańskich produkcjach do 1986 roku, kiedy uciekli do Wiednia. Rok później wydali wspólnie napisane wspomnienia będące relacją z pierwszej ręki o Kim Dzongilu.

Więcej o kinematografii północnokoreańskiej, patrz: Andrei Lankov, *The Reel Thing*, w: *North of DMZ: Essays on Daily Life in North Korea*, Jefferson, N.C.: McFarland, 2007. Według radia z Pjongjangu, pisze Lankov, w 1987 roku przeciętny Koreańczyk z Północy był w kinie dwadzieścia jeden razy. Na podstawie ankiety przeprowadzonej wśród uciekinierów socjologowie południowokoreańscy stwierdzili, że chodzili oni do kina od piętnastu do osiemnastu razy rocznie. Według Lankova mieszkaniec Korei Południowej chodzi do kina średnio dwa, trzy razy w roku.

Po powrocie z festiwalu filmowego w Pjongjangu w 2008 roku napisałam do mojej gazety artykuł o kinie w KRLD. *No Star, No Swag, but What a Crowd!*, „Los Angeles Times", 11 października 2008.

Nieczysta krew

O dzieciństwie Tae-woo dowiedziałam się z rozmów, które przeprowadziłam 28 lutego 2008 roku z dwoma jego przyjaciółmi z tego okresu, mieszkającymi do dziś pod Seosanem w Korei Południowej.

Pisząc o życiu na południowokoreańskiej wsi przed wojną, korzystałam z: Cornelius Osgood, *The Koreans and Their Culture*, New York: Ronald Press, 1951.

O brzemiennym w skutki podziale Korei pisze we wspomnieniach Dean Rusk, *As I Saw It*, New York: W. W. Norton, 1990.

Wojna z perspektywy Korei Południowej, patrz: Bong Lee, *The Unfinished War: Korea*, New York: Algora Publishing, 2003.

Miejsce, w którym Tae-woo został schwytany do niewoli, ma dwie nazwy – Kumhwa albo Kimhwa. Opisy bitwy pochodzą ze wspomnień byłego dowódcy sił ONZ w Korei: Matthew B. Ridgeway, *The Korean War*, New York: Doubleday, 1967.

Bezcennym źródłem informacji są wspomnienia byłego jeńca Huh Jae-suka, który uciekł z Korei Północnej w 2000 roku. Pojmany przez Chińczyków w Kumhwa tydzień przed ojcem Mi-ran, podobnie jak on pracował w kopalniach: Huh Jae-Suk, *Nae Ireumeun Ttonggannasaekki-yeotta* [Moje imię było brudem], Seul: Won Books, 2008.

Informacje i dane statystyczne dotyczące południowokoreańskich jeńców wojennych pochodzą ze sprawozdania Podkomisji do spraw Azji i Pacyfiku przy Komisji Spraw Międzynarodowych Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych *Human Rights Update and International Abduction*

Issues, 27 kwietnia 2006. Przed tą podkomisją zeznawali Koreańczycy z Południa, którzy byli w niewoli w KRLD.

Wśród licznych materiałów prasowych oraz audycji na ten temat szczególnie interesujący był reportaż *Hardly Known, Not Yet Forgotten, South Korean POWS Tell Their Story* wyemitowany przez Radio Free Asia 25 stycznia 2007 roku.

Wśród książek dotyczących wojny koreańskiej i podziału kraju warto wymienić:

Blair, Clay, *The Forgotten War: America in Korea, 1950–1953*, Annapolis: Naval Institute Press, 1987.

Hastings, Max, *The Korean War*, New York: Simon & Schuster, 1987.

Oberdorfer, Donald, *The Two Koreas: A Contemporary History*, Basic Books, 1997.

Stueck, William, *The Korean War: An International History*, Princeton, N.J.: Princeton University Press, 1950.

Kategorie zaliczające się do „wrogiej klasy" w KRLD zostały wymienione w raporcie dotyczącym praw człowieka w Korei Północnej, s. 103–112, opublikowanym w 2005 roku przez Koreański Instytut Zjednoczenia Narodowego, zespół doradczy rządu Korei Południowej. Wykorzystano w nim materiały służb wywiadu południowokoreańskiego sporządzone na podstawie zeznań uciekinierów. Jak powiedział mi w 2006 roku Kim Dok-hong, aparatczyk partyjny, który zbiegł wraz z Hwang Jang-yopem, najwyższym rangą dygnitarzem w historii Korei Północnej, który stamtąd uciekł, akta są przechowywane w ogromnym archiwum podziemnym w prowincji Yanggang.

Znakomite pozycje dotyczące społeczeństwa i reżimu północnokoreańskiego to:

Hunter, Helen-Louise, *Kim Il Song's North Korea*, Westport, Conn.: Praeger, 1999.

Oh, Kongdan, i Ralph C. Hassig, *North Korea Through the Looking Glass*, Washington, D.C.: Brookings Institution Press, 2000.

Scalapino, Robert A. i Chong-sik Lee, *Communism in Korea, Part II: The Society*, Berkeley: University of California Press, 1972.

Rekrutację młodych kobiet do pracy w rezydencjach Kim Ir Sena i Kim Dzongila prowadził wydział piąty prezydium Partii Pracy. O działalności *okwa* patrz wszechstronne studium poświęcone KRLD: Bradley Martin,

Under the Loving Care of the Fatherly Leader: North Korea and the Kim Dynasty, New York: Thomas Dunne Books, 2004, s. 198–202.

Dane statystyczne dotyczące reemigracji z Japonii do Korei Północnej podaję za: Yoshiko Nozaki, Hiromitsu Inokuchi, Kim Tae-young, *Legal Cathegories, Demogarphic Change and Japan's Korean Residents in the Long Twentieth Century*, „The Asia-Pacific Journal: Japan Focus", 10 września 2006.

Historia rodziny Jun-sanga przywodzi na myśl głośne wspomnienia byłego więźnia północnokoreańskich łagrów Kang Chol-hwana, którego rodzice również wrócili z Japonii, by służyć komunistycznej ojczyźnie. Patrz: Kang Chol-hwan, Pierre Rigoulot, *Usta pełne kamieni: dziesięć lat w północnokoreańskim gułagu*, przeł. Jerzy Kierul, Warszawa: Świat Książki, 2005.

Niezłomna komunistka

Chongjin jest miastem o wyjątkowo zafałszowanej historii oficjalnej, ponieważ władze usiłują pominąć udział Japończyków w jego rozwoju. Andrei Lankov udostępnił mi swój niepublikowany artykuł *The Colonial North* o tej odległej części kraju. Kim Du-seon, były wysoki urzędnik przedsiębiorstw handlowych w tym mieście, który zbiegł do Korei Południowej w 1998 roku, był skarbnicą wiedzy o Chongjinie. Zawdzięczam mu wyjaśnienia w sprawach historycznych i topograficznych.

Najlepszym opublikowanym źródłem dotyczącym historii Chongjinu, na jakie trafiłam, jest: *Choson Hyangto Daebaekkwa* [Encyklopedia geografii i kultury Korei Północnej], Seul: Institute for Peace Affairs, 2003.

Nie odnalazłam dokładnych danych dotyczących liczby mieszkańców Chongjinu. Ostatni spis ludności przeprowadzono w Korei Północnej w 1993 roku; uważa się, że w następnych latach populacja miasta zmniejszyła się wskutek wysokiej śmiertelności spowodowanej głodem, ucieczek i niskiego przyrostu naturalnego. Fundusz Ludnościowy Narodów Zjednoczonych oraz północnokoreański Główny Urząd Statystyczny prowadzą obecnie kolejny spis.

Informacje o Kim Ir Senie pochodzą z: Suh, Dae-Sook, *Kim Il-sung: The North Korean Leader*, New York: Columbia University Press, 1988.

Kult jednostki otaczający Kim Ir Sena ciekawie opisuje historyk Charles Armstrong: „Kult Kima łączy metaforykę konfucjańskiej tradycji rodzinnej ze stalinizmem, elementy deifikacji japońskiego cesarza z motywami chrześcijańskimi. Chyba najbardziej swoiście koreańskim rysem

tego kultu była konfucjańska nauka o rodzinie, szczególnie zaś o cnocie synowskiego oddania (*hyo*)". Charles K. Armstrong, *The North Korean Revolution, 1945–1950,* Ithaca: Cornell University Press, 2003, s. 223–225.

Według szacunków Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w czasie wojny koreańskiej wskutek nalotów Chongjin został zniszczony w sześćdziesięciu pięciu procentach. Generał William Dean, który znalazł się w niewoli, pisze, że widział miasta „obrócone w gruzy albo w obozowiska przysypane śniegiem". Conrad C. Crane, *American Airpower Strategy in Korea, 1950–1953,* Lawrence: University Press of Kansas, 2000, s. 168, 169.

Kim Dzongil uważa się za znawcę nie tylko kina, teatru, opery i literatury, lecz także dziennikarstwa. Patrz: *The Great Teacher of Journalists*, Pyongyang: Foreign Languages Publishing House, 1973.

O inwigilacji i donoszeniu w Korei Północnej, patrz: Lankov, *Big Brother Is Watching*, w: *North of DMZ.*

Utopiona w czerni

O gospodarce Korei Północnej przed 1990 rokiem pisała Helen-Louise Hunter; jej praca *Kim Il-sung's North Korea* zawiera szczegółowe dane dotyczące płac i świadczeń w KRLD. Podane tam liczby zgadzają się z tym, co zapamiętała pani Song.

Jak pisze historyk Bruce Cumings, „raport CIA wymienił niemal z niechęcią osiągnięcia reżimu, jakimi były wszechstronna opieka nad dziećmi, zwłaszcza nad sierotami wojennymi, »radykalna zmiana« pozycji kobiet, bezpłatne mieszkania, opieka i profilaktyka zdrowotna, wskaźniki śmiertelności niemowląt i długości życia porównywalne aż do wybuchu klęski głodu z większością krajów rozwiniętych". Bruce Cumings, *North Korea: Another Country*, New York: New Press, 2003, s. ii-ix.

Bradley Martin w *Under the Loving Care of the Fatherly Leader* pisze: „»Analizy zewnętrzne« dotyczące tego okresu potwierdzają enuncjacje Kima. Jedno ze studiów pokazuje, że w chwili podpisania rozejmu w 1953 roku poziom gospodarczy Północy (dochód narodowy brutto na jednego mieszkańca wynosił tam 56 dolarów) był niemal identyczny z tym na Południu (55 dolarów). W latach sześćdziesiątych wzrósł on na Południu zaledwie do 60 dolarów, podczas gdy na Północy aż do 208 dolarów. [...] *Korean Miracle* [Koreański cud] – tak w 1965 roku zatytułował swój artykuł pewien badacz zachodni; jego tekst nie dotyczył Korei Południowej, lecz właśnie gospodarki KRLD" (s. 104, 105).

O gospodarce Korei Północnej patrz także: Nicholas Eberstadt, *The North Korean Economy: Between Crisis and Catastrophe*, New Brunswick, N.J.: Transaction Publishers, 2007.

Podarunki dla Kim Ir Sena znajdują się na Międzynarodowej Wystawie Przyjaźni w Myohangu (na północ od Pjongjangu). Zwiedziłam ją w 2005 roku; powiedziano mi wtedy, że w zbiorach znajduje się 219 370 prezentów dla Kim Ir Sena oraz 53 419 dla Kim Dzongila. Patrz artykuł mojego kolegi: Mark Magnier, *No Gift Is Too Small for Them; At a fortress museum, North Korea shows off every present sent to the Kims, from limo given by Stalin to plastic tchotchkes*, „Los Angeles Times", 25 listopada 2005.

Cytat z komunikatu Koreańskiej Centralnej Agencji Informacyjnej podał Reuters 26 września 1992 roku, *North Korea Angrily Denies Reports on Food Riots.*

Wiktoriański romans

Andrei Lankov w *North of DMZ* (część 8: *Family Matters*) zamieszcza kilka artykułów o seksie i randkach w Korei Północnej.

O kobietach i życiu rodzinnym dużo pisze Isabella Bird w książce poświęconej tradycjom koreańskim. Ta wydana w 1898 roku pozycja jest wznawiana i dostępna na rynku. Isabella Bird Bishop, *Korea and Her Neighbors: A Narrative of Travel with an Account of the Recent Vicissitudes and Present Position of the Country*, Seul: Yonsei University Press, 1970, s. 37, 345.

Odchodzenie Boga

Patrz doskonały opis śmierci Kim Ir Sena w: Oberdorfer, *The Two Koreas*, s. 337–345.

W mojej relacji z okresu żałoby korzystałam z wielogodzinnych nagrań telewizji północnokoreańskiej dostępnych w bibliotece Ministerstwa do spraw Zjednoczenia w Seulu. Najbardziej wyczerpujący opis żałoby, jaki ukazał się w prasie amerykańskiej, patrz: T. R. Reid, *Tumultous Funeral for North Korean: Throngs Sob at Kim Il-sung's Last Parade*, „Washington Post", 20 lipca 1994.

W tym rozdziale odwołuję się do klasycznej pozycji: Charles Mackay, *Extraordinary Delusions and the Madness of Crowds*, 1841; New York: Three Rivers Press, 1980 [*Niezwykłe złudzenia i szaleństwa tłumów*, WIG-Press, 1999].

Kroplówka z dwóch butelek po piwie

Badania przeprowadzone w 1998 roku przez agendy ONZ wykazały, że wskutek niedożywienia sześćdziesiąt pięć procent dzieci poniżej siedmiu lat zostało dotkniętych opóźnieniami rozwojowymi. W 2004 roku ich odsetek spadł do trzydziestu siedmiu procent, po części dzięki pomocy humanitarnej.

Po katastrofie kolejowej i wybuchu 22 kwietnia 2004 roku w miejscowości Ryongchon, w których ponad tysiąc osób odniosło rany, władze Korei Północnej wpuściły do szpitali pracowników zagranicznych organizacji pomocy humanitarnej. Kilkoro z nich podzieliło się swoimi obserwacjami. Barbara Demick, Mark Magnier, *Train Victims' Suffering Is Compounded*, „Los Angeles Times", 28 kwietnia 2004.

O przyznaniu się przez Koreę Północną do niedoborów żywności patrz: Kevin Sullivan, *North Korea Makes Rare Pleas After Floods Devastate Country*, „Washington Post", 22 września 1995.

Dane statystyczne patrz: Nicholas Eberstadt, *The North Korean Economy*, s. 31. Jak pisze Eberstadt w rozdziale *Our Own Style of Statistics*, dane dotyczące gospodarki Korei Północnej nie są wiarygodne. KRLD podała ONZ, że produkt narodowy brutto na jednego mieszkańca wynosił tam w 1997 roku dwieście trzydzieści dziewięć dolarów. Dane dotyczące eksportu podaje Eberhard w: *The Persistence of North Korea*, „Policy Review", październik/listopad 2004.

O skutkach niedożywienia dzieci i systemie ochrony zdrowia w Korei Północnej patrz także:

Główny Urząd Statystyczny [Central Bureau of Statistics], Instytut Żywienia Dzieci [Institute of Child Nutrition] we współpracy z UNICEF i Światowym Programem Żywnościowym, *DPRK 2004 Nutrition Assessment: Report of Survey Results.*

Medical Doctors in North Korea, „Chosun Ilbo North Korea Report", 30 października 2000.

Akordeon i tablica

O udziale propagandy w szkolnictwie Korei Północnej, patrz: Andrei Lankov, *The Official propaganda in the DPRK: Ideas and Methods*, http://north-korea.narod.ru/propaganda_lankov.htm.

O szkołach podstawowych pisze uciekinier z Korei Północnej w swych niedawno opublikowanych wspomnieniach: Hyok Kang, *This Is Paradise! My North Korean Childhood*, Londyn: Abacus, 2007, s. 64, 65.

Cytowane w tym rozdziale przykłady pochodzą z północnokoreańskich podręczników, które kupiłam w przygranicznym sklepie w Chinach, gdzie uciekinierzy z Północy wyprzedają rzeczy osobiste. Przejrzałam także podręczniki znajdujące się w bibliotece Ministerstwa do spraw Zjednoczenia w Seulu. Zbiór czytanek z wierszykiem o zabijaniu żołnierzy japońskich został omówiony w 2007 roku w audycji telewizji japońskiej.

Przyrostki w języku koreańskim oznaczają szacunek lub jego brak. Końcówka *nim* jest grzecznościowa, *nom* skrajnie obraźliwa. Propaganda północnokoreańska często nazywa Amerykanów mianem *miguknom*, który można przetłumaczyć jako „amerykańscy bandyci".

Szkoła w Kyonsongu musiała sfinansować budowę sali poświęconej Kim Dzongilowi, bo w latach dziewięćdziesiątych władze centralne zobligowały instytucje do zdobywania środków finansowych. Wymóg samofinansowania objął nawet północnokoreańskie placówki zagraniczne, co sprawiło, że dyplomaci KRLD byli przyłapywani na przemycie narkotyków, fałszowaniu pieniędzy i – w jednym przypadku – na handlu kością słoniową.

W Pjongjangu można dostać dziesiątki hagiograficznych biografii Kim Dzongila. O młodszym Kimie patrz: Michael Breen, *Kim Jong-il: North Korea's Dear Leader*, Singapur: John Wiley & Sons, 2004.

Najpierw umierają ludzie dobrzy

Istnieje kilka znakomitych opracowań dotyczących głodu w Korei Północnej:

Becker, Jasper, *Hungry Ghosts: Mao's Secret Famine*, 1996; New York: Hery Holt, 1998. Becker był jednym z pierwszych dziennikarzy zachodnich piszących o głodzie w Korei Północnej. Książka zawiera dodatkowy rozdział poświęcony temu krajowi.

Flake, L. Gordon i Scott Snyder (red.), *Paved with God Intentions: The NGO Experience in North Korea*, Westport, Conn.: Praeger, 2003. Ten zbiór dotyczy pomocy humanitarnej dla Korei Północnej.

Haggard, Stephen i Marcus Noland, *Famine in North Korea: Markets, Aid, and Reform*, New York: Columbia University Press, 2007. Autorzy tego wiarygodnego opracowania dokonali najbardziej dotychczas wszechstronnych oszacowań dotyczących głodu; jak podają, w KRLD zmarło z głodu od sześciuset tysięcy do miliona ludzi. Hwang Jang-yop, najwyższy rangą dygnitarz, który zbiegł z KRLD, podaje, że w ocenach władz liczba ta wynosiła od miliona do dwóch i pół miliona zmarłych.

Natsios, Andrew S., *The Great North Korean Famine*, Washington, D.C.: United States Institute of Peace Press, 2001.

Smith, Hazel, *Hungry for Peace: International Security, Humanitarian Assistance, and Social Change in North Korea*, Washington, D.C.: United States Institute of Peace Press, 2005.

Andrew Natsios, który w czasie głodu był wiceprzewodniczącym organizacji pozarządowej World Vision, pisze: „Większość transportów żywności dotarła dopiero, gdy zaczęła spadać śmiertelność", s. 186. Jasper Becker także szeroko opisuje wycofywanie się organizacji pomocowych w: Becker, Jasper, *Ro, Rogue Regimes: Kim Jong-il and the Looming Threat of North Korea*, New York: Oxford University Press, 2005, s. 213–217.

Propagandowe hasła głoszące, że Kim Dzongil jadał skromnie, są absurdalne. W czasie głodu wydawał ogromne sumy na luksusową żywność. Jego upodobania kulinarne nabrały rozgłosu dzięki byłemu kucharzowi, specjaliście od sushi, który pod pseudonimem Kenji Fujimoto wydał wspomnienia, w których opisuje swoje podróże po świecie w poszukiwaniu produktów dla Kima. Gdy Kim odwiedził Rosję w 2001 roku, przysłano mu samolotem żywe kraby i francuskie wino, o czym pisze wysoki urzędnik rosyjski Konstantin Pulikovsky. O jego upodobaniach kulinarnych pisałam obszerniej w: *Rich Taste in Poor Country: North Korea's Enigmatic Leader Kim Jong-il Demands the Finest Food and Drink*, „Los Angeles Times", 26 czerwca 2004.

Matki wynalazku

O przemówieniu Kim Dzongila z grudnia 1996 roku po raz pierwszy napisała wydawana w Seulu gazeta „Wolgun Chosun" [Miesięcznik Chosun]. Jego fragmenty przytacza Natsios, *The Great North Korean Famine*, s. 99.

Także Światowy Program Żywnościowy ONZ uznał, że herbatniki mogą być uzupełnieniem diety i w ramach programu pomocy Chongjinowi wspierał produkcję w tamtejszych fabrykach ciasteczek wzbogaconych mikroelementami, które rozdawano w szkołach.

Cudzoziemcom zabrania się w Korei Północnej wstępu na bazary. Długie nagranie filmowe z bazaru w dzielnicy Sunam w Chongjinie zrobił w 2004 roku ukrytą kamerą Koreańczyk z Północy. Na tym filmie, który obejrzałam dzięki Lee Hwa-youngowi z organizacji Rescue of North Korean People, widać wystawioną na sprzedaż żywność z zagranicznych

darów. Przedstawiciele Światowego Programu Żywnościowego nie wykluczają, że sprzedawano ją z worków pozostałych po darach.

Przytoczone w tym rozdziale ceny podaję za organizacją Good Friends: Center for Peace, Human Rights and Refugees, z siedzibą w Seulu. Ta buddyjska organizacja dysponuje znakomitymi źródłami informacji o Korei Północnej i wydaje regularne sprawozdania pod tytułem *North Korea Today*, dostępne w internecie na stronie http://goodfriends.or.kr/eng/.

Górnik z kopalni węgla był jednym z bohaterów moich artykułów o Chongjinie, patrz: *Glimpses of a Hermit Nation*, „Los Angeles Times", 3 lipca 2005; oraz *Trading Ideals for Sustenance*, „Los Angeles Times", 4 lipca 2005.

Zbłąkane jaskółki

Jak pisze Andrei Lankov, w KRLD dowód osobisty był między innymi dokumentem ograniczającym swobodę podróżowania w obrębie kraju.

Informacje o kanibalizmie patrz: Jasper Becker, *Hungry Ghosts*, s. 211–219.

Opis pochówku patrz: Andrew Natsios, *Great North Korean Famine*, s. 76.

Uroki chaosu

Informacje dotyczące kodeksu karnego KRLD pochodzą z: Yook Dae-kyu, *Analysis of Changes in the DPRK Criminal Code*, Institute for Far Eastern Studies, Kyungnam University, 31 stycznia 2005. Kodeks karny został też częściowo przełożony przez Koreański Instytut Zjednoczenia Narodowego, *White Paper on Human Rights in North Korea*, Seul 2006.

Wśród uciekinierów prawie nie ma byłych więźniów politycznych północnokoreańskiego gułagu; nasza wiedza o obozach opiera się przede wszystkim na wywiadzie satelitarnym oraz relacjach pośrednich.

Najbardziej wyczerpujący opis obozu przedstawił Kang Chol--hwan w: *Usta pełne kamieni*. Kang spędził większość dzieciństwa w Yadoku (Jodoku), najsłynniejszym obozie dla więźniów politycznych.

Dane statystyczne oraz część terminologii więziennej pochodzi ze starannie udokumentowanego raportu dotyczącego praw człowieka: David Hawk, *The Hidden Gulag*, Washington D.C.: U.S. Committee on Human Rights, 2003.

„Dziewięćset dwadzieścia siedem ośrodków" było czymś pośrednim między noclegowniami dla bezdomnych a obozami koncentracyjnymi. Jak szacuje Natsios, rocznie w Korei Północnej przechodziło przez obozy od

378 tysięcy do 1,9 miliona ludzi (*The Great North Korean Famine*, s. 74, 75).

Byli mieszkańcy Chongjinu podają różne daty wyjścia z miasta Szóstego Korpusu. Kim Du-seon, wysoki urzędnik centrali handlowej, który mieszkał niedaleko bazy w Nanamie, w wywiadzie z 26 sierpnia 2004 roku powiedział mi, że najwięcej konwojów wojskowych przejechało jesienią 1995 roku.

O tym incydencie wspomina wiarygodne opracowanie dotyczące północnokoreańskiej armii: Joseph S. Bermudez, Jr., *The Armed Forces of North Korea*, London, New York: I. B. Tauris, 2001, s. 202.

Informacja o uczniach straconych za bieganie nago pochodzi z: *White Paper on Human Rights i North Korea*, s. 30.

Żaby w studni

O czytelnictwie w KRLD i literaturze północnokoreańskiej patrz: Brian R. Myers, *Han Sorya and North Korean Literature: The Failure of Socialist Realism in the DPRK*, Ithaca, N.Y.: Cornell East Asia Series nr 69, 1994.

Fragment rosyjskiej broszury ekonomicznej podaję na podstawie relacji Jun-sanga. Książki tej nie zdołałam odnaleźć. Chociaż Jun-sang nie był tego wówczas świadomy, audycje radia południowokoreańskiego, których słuchał w tamtym okresie, w większości emitowano na potrzeby słuchaczy z KRLD.

Rzeka

Na przełomowym spotkaniu na szczycie w czerwcu 2000 roku Kim Dzongil doszedł do porozumienia z południowokoreańskim prezydentem Kim De Dzungiem w sprawie spotkań rozłączonych rodzin. Do dzisiaj 16 212 Koreańczyków wzięło w nich udział osobiście, a 3748 za pośrednictwem kamer wideo. Na liście oczekujących pozostaje dziewięćdziesiąt tysięcy mieszkańców Korei Południowej. Dane południowokoreańskiego Czerwonego Krzyża podaje „Korea Herald”, 13 maja 2009.

Najbardziej wyczerpujące opracowanie dotyczące ucieczek z Korei Północnej: Stephan Haggard i Marcus Roland (red.), *The North Korean Refugee Crisis: Human Rights and International Response*, Washington, D.C.: U.S. Committee for Human Rights in North Korea, 2006.

Epifanie

Do października 1998 roku jedynie dziewięćset dwudziestu trzech Koreańczyków z Północy uciekło do Korei Południowej. Patrz: raport

Yonhap News z 11 października 1998 roku, który podaje dane liczbowe za południowokoreańskim Ministerstwem do spraw Zjednoczenia.

Na temat danych liczbowych dotyczących uciekinierów z NRD patrz: Haggard i Noland, *The North Korean Refugee Crisis* (s. 54), którzy podają je za: Albert O. Hirschman, *Exit, Voice and the Fate of the German Democratic Republic: An Essay in Conceptual History*, „World Politics" 45:2 (1993).

Informacje o DVD pochodzą od północnokoreańskiego przemytnika, z którym rozmawiałam w Bangkoku w maju 2005 roku. Powiedział mi, że do KRLD od początku lat dziewięćdziesiątych szmuglowano kasety wideo, ale biznes rozkwitł wraz z rozpowszechnieniem się małych i łatwych do ukrycia płyt CD.

Referat opublikowany przez Chosun Workers' Party Press w kwietniu 2005. Jego egzemplarz dostałam od organizacji Rescue the North Korean People.

Panna młoda na sprzedaż

Szacunkową liczbę Koreanek z Północy sprzedanych Chińczykom podaje Choi Jin-i, północnokoreańska poetka i pisarka, która również była w zaaranżowanym związku w Chinach. Przeprowadziłam także wywiady z wieloma kobietami w chińskich wioskach niedaleko granicy. *North Korea's Brides of Despair*, „Los Angeles Times", 18 sierpnia 2003.

Temu zjawisku poświęcono kilka znakomitych opracowań:

Mucio, Norma Kang, *An Absence of Choice: The Sexual Exploatation of North Korean Women in China*, London: Anti-Slavery International, 2005.

Denied Status, Denied Education: Children od North Korean Women in China, New York: Human Rights Watch, 2008.

Zmiany w kodeksie karnym KRLD nieco złagodziły penalizację nielegalnego przekraczania granicy. Patrz: Haggard i Nolan, *The North Korean Refugee Crisis*, s. 18.

Więzienie Nongpo opisuje dość szczegółowo David Hawk w *The Hidden Gulag*; w opracowaniu tym zamieszczone zostało satelitarne zdjęcie tego więzienia oraz innych więzień. Jak twierdzą byli więźniowie, powszechne było zabijanie nowo narodzonych dzieci więźniarek, bo ich ojcowie byli Chińczykami Han. Oak-hee powiedziała, że w czasie pobytu w więzieniu nie słyszała o tej praktyce; według niej być może zaprzestano zabijania niemowląt w 2001 roku, przed jej aresztowaniem.

Otworzyć oczy, zamknąć usta

Tytuł tego rozdziału pochodzi z wykładu *How to Thoroughly Crush the Schemes of the Enemeis Who Disseminate Unusual Lifestyle* [Jak dać całkowity odpór wrogom propagującym obcy nam styl życia], Chosun Workers Party Press.

O „planowanych ucieczkach z Korei Północnej" patrz: artykuł Blaine Harden, „The Washington Post", 18 listopada 2007:

> Tania ucieczka przez Chiny i Tajlandię do Seulu wiązała się z niebezpiecznymi przejściami przez rzeki, długimi marszami i kilkutygodniowym pobytem w areszcie granicznym w Tajlandii; jak twierdzą czterej tamtejsi pośrednicy, jej koszty nie przekraczały dwóch tysięcy dolarów. Cena ucieczki »pierwszą klasą« na fałszywym paszporcie chińskim wraz z przelotem z Pekinu do Seulu wynosiła ponad dziesięć tysięcy dolarów, a przyjazd na miejsce następował często zaledwie po trzech tygodniach od wyjazdu.

Ziemia obiecana

O konstytucji Korei Południowej i statusie prawnym uciekinierów z KRLD patrz: Haggard i Noland, *The North Korean Refugee Crisis.* Autorzy piszą (s. 75): „Jeśli stanowisko Chin można nazwać niekonstruktywnym, to polityka Korei Południowej nacechowana jest wręcz karygodną ambiwalencją".

Liczby uciekinierów z Korei Północnej mieszkających w Korei Południowej, podane przez południowokoreańskie Ministerstwo do spraw Zjednoczenia, zostały zacytowane we wspomnianym opracowaniu (s. 54). W 2008 roku liczba przyjętych uciekinierów znacząco wzrosła, co może mieć związek z objęciem rządu w Seulu przez konserwatystów. Dwaj poprzedni prezydenci, Kim De Dzung i Roh Moo-hyung, prowadzili ugodową politykę wobec Pjongjangu.

Z socjologiem Yoon In-jin rozmawiałam w związku z moim artykułem *Fleeing to Culture Shock,* „Los Angeles Times", 2 marca 2002.

O programie szkoleniowym w Hanawon patrz: Norimitsu Onishi, *North Korean Defectors Take a Crash Course in Coping*, „New York Times", 25 czerwca 2006.

O wzroście Koreańczyków patrz: Sunyoung Pak, *The Biological Standard of Living in the Two Koreas*, „Economics and Human Biology" 2:3 (2004), s. 511–518.

O fizycznych skutkach niedożywienia dzieci napisałam długi artykuł *A Small Problem Growing: Chronic Malnutrition Has Stunted a Generation of North Koreans,* „Los Angeles Times", 12 lutego 2004.

Niski wzrost jest istotnym utrudnieniem w adaptacji Koreańczyków z Północy w Korei Południowej. Don Oberdorfer opisuje incydent, w którym dwaj niscy żołnierze północnokoreańscy, dziewiętnastoletni i dwudziestotrzyletni, przez pomyłkę znaleźli się na wodach terytorialnych Korei Południowej. W szpitalu wojskowym ktoś słyszał, jak mówili między sobą, że nie będą mogli poślubić Koreanek z Południa, bo „one są dla nas za duże". Żołnierze ci zostali na własną prośbę odesłani do KRLD (*The Two Koreas*, s. 314.)

Na temat danych dotyczących gospodarki niemieckiej patrz: Werner Smolny i Matthias Kirback, *Wage Differentials Between East and West Germany*, University of Ulm i Centre for European Economic Research, Mannheim, 17 marca 2003. Dane dotyczące gospodarki KRLD są niewiarygodne, jak pisze Eberstadt, więc porównania z Koreą Południową opierają się na szacunkach.

Najbardziej przystępna książka o Korei Południowej: Michael Breen, *The Koreans*, New York: Thomas Dunne Books, 1998.

Obcy wśród swoich

O pomocy działaczy chrześcijańskich uciekinierom z KRLD patrz:

Macintyre Donald, *Running out of the Darkness*, „Time", 24 kwietnia 2006.

Reitman Valerie, *Leading His Flock of Refugees to Asylum, A Missionary Helps North Koreans Flee via China and Mongolia*, „Los Angeles Times", 27 października 2002. Uchodźcy opisani w tym artykule przechodzili do Mongolii przez Erenhot w Chinach, tak samo jak Kim Hyuck.

O religii w Korei Północnej patrz: David Hawk, *Thank You, Father Kim Il-sung*, Washington, D.C.: U.S. Commission on International Religious Freedom, 2005.

Spotkania

Kuzynka Mi-ran została aresztowana i odbyła krótki wyrok w więzieniu za oszustwo i fałszowanie paszportów. Gdy jednak do Korei Południowej dotarły wieści, że wielu byłych jeńców wojennych oraz ich rodziny po ucieczce do Chin nie zostało przyjętych przez placówki dyplomatyczne Korei Południowej, władze w Seulu najadły się wstydu. Południowokoreańscy weterani byli oburzeni, a Ministerstwo Obrony musiało przepraszać. Jeden z takich przypadków opisuję w: *Fifty Years*

after Korean War's End. Ex-POW Returns Home, „Los Angeles Times", 25 grudnia 2003.

Do 2005 roku przez Tumen uciekło do Chin sześćdziesięciu dwóch byłych południowokoreańskich jeńców wojennych. Szacuje się, że w KRLD mieszka ich kilkuset.

Epilog: Czekanie

Eberstadt wyjaśnia powody swojej pomyłki w prognozowaniu rychłego upadku Korei Północnej w: *The Persistence of North Korea*, „Policy Review", październik/listopad 2004.

Dane gospodarcze podaję za: Bank of Korea w Seulu.

Informacje o gospodarce Korei Północnej w chwili obecnej pochodzą także z:

Raport *Crop and Food Security Assessment Mission to the Democratic Poeple's Republic of Korea* Organizacji do spraw Wyżywienia i Rolnictwa oraz Światowego Programu Żywności, 8 grudnia 2008.

Stephan Haggard, Marcus Noland, Erik Weeks, *North Korea on the Precipice of Famine*, Erik Weeks Peterson Institute for International Economics, maj 2008.

O amerykańskich organizacjach pozarządowych patrz: *Rapid Food Security Assessment. North Pyongan and Chagang Provinces, Democratic People's Republic of Korea*, Mercy Corps, World Vision, Global Resource Services, Samaritan's Purse, czerwiec 2008.

O napięciach na bazarach w Chongjinie: *Good Friends: Centers for Peace, Human Rights and Refugees*, „North Korea Today" nr 275, maj 2009; *City of Chungjin Declares, 'Do Not Sell Any Items Others Than Agricultural Products', Mass Protest Against Conrtol over Commercial Activities at Chungjin*, „North Korea Today", nr 206, kwiecień 2008.

O handlu patrz także: Kyungnam University, Institute for Far Eastern Studies, *New Restrictions on DPRK Market Trading*, „NK Brief", 15 listopada 2007. Instytut cytuje wewnętrzny dokument Partii Pracy, w którym mówi się o konieczności „ukrócenia działalności bazarów, które stały się wylęgarnią antysocjalizmu".

Spis fotografii

9 · © by NASA
27 · © by the Harry S. Truman Library
49 · © by the U. S. Naval Historical Center
71, 91, 109, 329 · © by Eckart Dege
123 . © by Gerald Bourke and the World Food Programme
139, 157, 257, 297, 309 · z archiwum Autorki
173 · © by Lee Jun and Asia Press
187 · © by Ahn Chol and Asia Press
201 · © by Eric Lafforgue
215 · © by Jonathan Watts
231 · © by Anna Fifield
245 · © by the World Food Programme
271 · © by Chung Sung-Jun and Getty Images
281 · © by Jean Chung

Przypisy końcowe

[1] W książce zastosowano system transkrypcji McCune’a-Reischauera (przyp. red.).

[2] W KRLD studia wyższe trwają cztery–sześć lat. Studia Mi-ran to odpowiednik polskich studiów magisterskich. W roku 1987 Korea Północna miała trzysta jeden tysięcy studentów. Wysoki poziom kształcenia reprezentują stołeczne uczelnie: Uniwersytet im. Kim Ir Sena, Politechnika im. Kim Chaeka i Uniwersytet Języków Obcych. Politechnika im. Kim Chaeka kształci dwustu studentów zagranicznych na kursach magisterskich i studiach doktoranckich (przyp. red.).

[3] Oficjalna nazwa państwa to Republika Korei. Zgodnie z zapisami konstytucji Republika Korei jest jedynym państwem koreańskim, obejmującym całe terytorium koreańskie i jego ludność. Republika Korei nigdy nie uznała Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej za drugie państwo koreańskie. W relacjach między Koreami obowiązują specjalne regulacje prawne, kontakty te nie są traktowane jako zagraniczne. Nazwa Korea Południowa jest nazwą potoczną (przyp. red.).

[4] Słynna Stołeczna Dywizja Piechoty Zmechanizowanej, zwana też dywizją Tygrysa, powstała 20 czerwca 1948 roku. W czasie wojny koreańskiej stoczyła bohaterskie walki i zdobyła Wonsan i Hamhung, dochodząc aż do granicy koreańsko-chińskiej. Uczestniczyła też w wojnie wietnamskiej. Dzisiaj jest jedną z pięciu dywizji piechoty zmechanizowanej armii Republiki Korei (przyp. red.).

[5] W 1967 roku dokonano w Korei Północnej weryfikacji ludnościowej, zgodnie z zasadą *Songbun*. W ciągu trzech lat każdy z obywateli KRLD – w zależności od pochodzenia klasowego, zachowania politycznego i stopnia lojalności wobec systemu – został przypisany do jednej z trzech kategorii, podzielonych dodatkowo na pięćdziesiąt jeden podkategorii. *Songbun* decyduje o przyjęciu do partii, wojska i na studia oraz o prawie zamieszkania w Pjongjangu. Dwadzieścia osiem procent obywateli zaliczono do właściwej klasy rewolucyjnej, czterdzieści pięć procent do ludności nieustabilizowanej politycznie, a dwadzieścia siedem procent do klasy wrogiej. Do tej ostatniej klasy należeli między innymi byli właściciele ziemscy, przemysłowcy, kolaboranci z Japonią i byli żołnierze armii Republiki Korei. *Songbun* przechodzi z pokolenia na pokolenie. Nie był to jednak wynalazek Kim Ir Sena. Sztywna hierarchia społeczna z podziałem na kategorie istniała w Królestwie Korei od średniowiecza. Mieszkańcy Korei byli ściśle przydzieleni do określonej kategorii (przyp. red.).

[6] W Korei Północnej istnieje wiele organów zajmujących się bezpieczeństwem państwa, a inwigilacji podlegają wszyscy obywatele poza Kim Dzongilem. Najważniejszą rolę odgrywa Agencja Bezpieczeństwa Państwa. Czwarte Biuro zajmuje się inwigilacją członków rządu, Drugie Biuro – inwigilacją i rozpoznaniem cudzoziemców, Trzecie Biuro – ochroną granic. Siódme Biuro administruje obozami koncentracyjnymi. Agenci służb bezpieczeństwa działają we wszystkich północnokoreańskich instytucjach i miejscowościach, a także za granicą (przyp. red.).

[7] Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego KRLD pełni normalne funkcje policyjne, ale wspomaga też Agencję Bezpieczeństwa Państwa, przede wszystkim w inwigilacji obywateli. Udziela pozwoleń na podróże i kontroluje podróżujących po kraju, zbiera również dla agencji informacje (przyp. red.).

[8] Tajne projekty zbrojeniowe są częścią północnokoreańskiej strategii przetrwania w zmienionym świecie. Po zamrożeniu rozmów sześciostronnych w sprawie likwidacji programu nuklearnego KRLD tajne programy zbrojeniowe są kontynuowane. Rozwój broni nuklearnej i środków jej przenoszenia KRLD traktuje jako polisę ubezpieczeniową. Przygotowywane są kolejne testy rakietowe i nowa próba nuklearna (przyp. red.).

[9] Po ofensywie armii japońskiej w zimie 1938/1939 roku oddział komunistycznej armii partyzanckiej dowodzony przez Kim Ir Sena walczył, a właściwie przetrwał w wysokich górach na pograniczu chińsko-koreańskim. W 1940 roku Kim Ir Sen ze swoim oddziałem przeszedł do Związku Radzieckiego. Został dowódcą w stopniu kapitana 1. batalionu w 88. Brygadzie Zwiadu Armii Radzieckiej. 16 lutego 1942 we wsi Wjakuckoje koło Chabarowska przyszedł na świat Kim

Dzongil. Propaganda KRLD zmieniła miejsce jego urodzenia na zbocza góry Pektusan. Załamanie gospodarki i brak żywności prowadzący do głodu nazwano drugim Trudnym Marszem (przyp. red.).

[10] Kyongsong – miasto okręgowe w prowincji Hamgyong Północny; znajdują się w nim zakłady ceramiczne i dwie wyższe uczelnie techniczne (przyp. red.).

[11] Przepis ten obowiązuje do dzisiaj, a zgodę na ślub wydaje organizacja partyjna lub młodzieżowa. Ważna jest też opinia wspólnoty sąsiedzkiej *inminaban* (przyp. red.).

[12] Koroyo, zbudowany przez Francuzów w latach osiemdziesiątych, miał przyćmić hotel Shilla w Seulu. W latach osiemdziesiątych na ostatnim piętrze działały dwie restauracje, obecnie czynna jest tylko jedna (przyp. red.).

[13] Kiedy na olimpiadę w Seulu otwarto hotel 61, w Pjongjangu rozpoczęto prace nad stupięciopiętrowym hotelem Rugyong. Budynku do dziś nie ukończono (przyp. red.).

[14] W KRLD obowiązkowa nauka trwa jedenaście lat. Ponieważ Kim Ir Sen uznał, że rodzina jest instytucją reakcyjną ideologicznie, zadanie tworzenia od podstaw nowego człowieka *dżucze* przejęło państwo. Antyamerykańskie i antypołudniowokoreańskie wychowanie jest podstawą systemu. Indoktrynacja zaczyna się już w tygodniowych żłobkach, do przedszkoli wprowadzono nauczanie ideologiczne (przyp. red.).

[15] Święta góra Koreańczyków, na której szczycie znajduje się powulkaniczne jezioro. Większa część jego brzegu leży po stronie chińskiej; przyjeżdżają tam masowo turyści z Korei Południowej. Góra jest symbolem Korei. Pojawia się w hymnie Republiki Korei, a zgodnie z północnokoreańską ideologią jest miejscem narodzin Kim Dzongila (przyp. red.).

[16] Po tych wydarzeniach Szósty Korpus Armijny Koreańskiej Armii Ludowej został rozwiązany. Kadrę dowódczą usunięto, a żołnierzy wcielono do Dziewiątego Korpusu Armijnego, którego dowództwo zostało przeniesione z Wonsanu do Chongjinu. Istnieją dwie wersje opowieści o tym incydencie. Według pierwszej dowódcy i członkowie Departamentu Politycznego Dywizji za łapówki i korupcję zostali aresztowani i osądzeni. Zgodnie z drugą wersją dowodzący Szóstym Korpusem byli zaangażowani w domniemany zamach na Kim Dzongila (przyp. red.).

[17] Partia Pracy Korei Północnej powstała 10 października 1945 roku z połączenia Komunistycznej Partii Korei Północnej i Nowej Partii Ludowej. Faktycznie została sformowana z połączenia Partii Pracy Korei obydwu Korei w Pjongjangu. Twórcą i wieloletnim przywódcą partii był Kim Ir Sen. Obecnie Sekretarzem Generalnym Partii jest Kim Dzongil. Oficjalną ideologią partii jest *dżucze* – ideologia zakładającą, że naród koreański jest gospodarzem we własnym kraju. Partia liczy dwa miliony członków. W 2010 roku odbyła się Konferencja Partyjna, która uznała sukcesję Kim Czung Una, trzeciego syna Kim Dzongila (przyp. red.).

[18] Centralna Agencja Bezpieczeństwa Nauki i Technologii Komunikacyjnej KRLD – urząd centralny powołany do kontroli w dziedzinie telewizji, radia i internetu (przyp. red.).

[19] Rejestr rodów koreańskich powstał w okresie Trzech Królestw (57 r. p.n.e.–668 r. n.e.). Wtedy ukształtował się system rodowy, na którego funkcjonowanie miał wpływ konfucjanizm. Do dzisiaj w Korei używa się tylko dwustu pięćdziesięciu nazwisk. W obrębie każdego nazwiska funkcjonuje wiele rodów. Każdy z nich co trzydzieści lat publikuje swoją genealogię, zapisywaną znakami chińskimi (Hanjia) i w Hanul (przyp. red.).

[20] Klub stworzony przez kibiców drużyny piłki nożnej Republiki Korei. Nazwa Czerwone Diabły nawiązuje do postaci pochodzącej z mitologii chińskiej i koreańskiej, czerwonego diabła Chiwoo Cheonwang, będącego maskotką klubu. Drużyna koreańska występuje w czerwonych strojach. Przed mistrzostwami w Korei w 2002 roku kibice odbywali regularne treningi. Używając bębnów i trąb, starali się zdezorientować drużyny przeciwne i wybić je z rytmu. Pierwszą ofiarą ich działań byli piłkarze polscy, którzy na stadionie w Pusanie o dwunastej w południe przy trzydziestu ośmiu stopniach Celsjusza i osiemdziesięciopięcioprocentowej wilgotności powietrza przegrali z Koreą zero do dwóch. Ubrani na czerwono kibice spotykali się też na skwerach, w parkach i w pubach oraz towarzyszyli swojej drużynie podczas wyjazdów za granicę (przyp. red.).

[21] Dalian jest miastem położonym w chińskiej prowincji Liaodung. Z portu lotniczego w Dalianie tygodniowo odbywa się siedemdziesiąt lotów na seulskie lotnisko Incheon, które zbudowano na Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej, organizowane przez Koreę i Japonię w 2002 roku. Asiana jest linią, która obok China Eastern obsługuje najwięcej połączeń między Chinami a Koreą Południową (przyp. red.).

[22] Służba powstała w 1961 roku jako Koreańska Centralna Agencja Wywiadowcza. Agencja była narzędziem walki dyktatury prezydenta Parka Chung-hee z opozycją polityczną. W 1981 roku, po zamachu stanu generała Chun Doo-hwana została przemianowana na Agencję do spraw Planowania Bezpieczeństwa Narodowego. W 1999 roku za kadencji prezydenta Kim De Dzunga powołano Narodową Agencję Wywiadu Republiki Korei. NIS jest podzielona na trzy dyrekcje: Spraw Międzynarodowych, Spraw Wewnętrznych i Korei Północnej. Obecne zadania agencji to walka z wewnętrznymi i zewnętrznymi zagrożeniami dla bezpieczeństwa narodowego, działania wywiadowcze i kontrwywiadowcze (przyp. red.).

[23] *Wolność i miłość* w przekładzie Anny Kamieńskiej, w: Sándor Petöfi, *Poezje wybrane*, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1973 (przyp. tłum.).

[24] Wojna koreańska zakończyła się Traktatem o rozejmie, podpisanym 27 lipca 1953 roku w Panmunjom przez Dowództwo Organizacji Narodów Zjednoczonych z jednej strony oraz przedstawicieli Koreańskiej Armii Ludowej i Chińskich Ochotników Ludowych z drugiej. Traktat powołał do życia Komisję Nadzorczą Państw Neutralnych, mającą monitorować przestrzeganie postanowień traktatu. Strona ONZ zaprosiła do KNPN Szwecję i Szwajcarię, a strona chińsko-koreańska – Polskę i Czechosłowację. Polska do dziś aktywnie działa w komisji. Z powodu stanowiska zajmowanego przez Koreę Północną mechanizm rozejmowy praktycznie nie funkcjonuje. Zamrożenie rozmów sześciostronnych w sprawie likwidacji programu nuklearnego Korei Północnej i napięcia w relacjach między KRLD a Republiką Korei i Stanami Zjednoczonymi sprawiają, że podpisanie traktatu pokojowego pozostaje odległą perspektywą (przyp. red.).

[25] Wydawnictwo propagandowe rzadu KRLD. Mieści się blisko głównego dworca kolejowego w Pjongjangu. Wydaje w językach obcych dzieła Kim Ir Sena i Kim Dzongila, książki i magazyny ilustrowane (przyp. red.).

WYDAWNICTWO CZARNE SP Z O.O.
czarne.com.pl
Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl
Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl
Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl
Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl
Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl
Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, malgorzata.wietecha@czarne.com.pl
Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl
Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl
Wołowiec 2017
Wydanie II

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Od autorki
Po ciemku trzymaliśmy się za ręce
Nieczysta krew
Niezłomna komunistka
Utopiona w czerni
Wiktoriański romans
Odchodzenie Boga
Kroplówka z dwóch butelek po piwie
Akordeon i tablica
Najpierw umierają ludzie dobrzy
Matki wynalazku
Zbłąkane jaskółki
Uroki chaosu
Żaby w studni
Rzeka
Epifanie
Panna młoda na sprzedaż
Otworzyć oczy, zamknąć usta
Ziemia obiecana
Obcy wśród swoich
Spotkania
Epilog: Czekanie
Trzecie pokolenie
Podziękowania
Przypisy
Spis fotografii
Przypisy końcowe
Kolofon